

# *Krekodaj (slupski)*





# *Krekodaj* *(śląski)*

*Fotografia nie jest prostym skutkiem zetknięcia się fotografa z wydarzeniem: samo wykonywanie zdjęć stanowi zdarzenie, i to zdarzenie jawnie uprzywilejowane, ma bowiem prawo zakłócać, naruszać albo ignorować wszystko, cokolwiek się dzieje.  
(Susan Sontag: „O fotografii”.)*



*Ex Libris wykonany przez Romanę Małecką.*

*Jan Edward Maziejuk*

*Krekodaj*  
*(slupski)*

*Slupsk 2014*

## Wydawca

Starostwo Powiatowe w Słupsku



## Redaktor

Zbigniew Babiarez-Zych

## Tekst rozdziałów:

*Ukazy i kurhany, Między zagrodą i historią, Gorzki smak rosółu  
oraz opracowanie pozostałego tekstu*

Czesława Długoszek

## Opracowanie graficzne i skład

Artur Wróblewski

Zdjęcia wykorzystane w książce nieopatrzone nazwiskiem autora są dziełem  
Jana Edwarda Maziejuka lub pochodzą z jego zbiorów prywatnych.

## Źródła fotografii

Zbiory prywatne: Bronisława Piwniczuka, Alicji Maziejuk,  
Janiny Twardowskiej, Czesława Łubaczewskiego,  
Artura Wróblewskiego, Bartosza Arszyńskiego, Sławomira Żabickiego,  
Konrada Remelskiego, Zbigniewa Bieleckiego, Leszka Krefta.

Nakład: 350 egz.

## Wydanie I

(Nie do sprzedaży)

Copyright by Jan Edward Maziejuk

ISBN 978-83-60228-55-5

Słupsk 2014

## Druk

PASAŻ Sp. z o.o.,  
ul. Rydlówka 24, 30-363 Kraków.

## KILKA ZDAŃ O NOWEJ KSIĄŻCE JANA MAZIEJUKA

Zasadniczą część publikacji Jana Edwarda Maziejuka zatytułowanej „Kre-kodaj słuński”, którą można bez wątplenia nazwać autobiografią, stanowią wspomnienia samego autora. Część nosząca tytuł „Liściem drzewa” oraz rozdziały: „Ukazy i kurhany”, „Między zagrodą i historią”, „Gorzki smak rosolu” zawierają wzmianki historyczne dotyczące położonej na Podlasiu rodzinnej miejscowości Terebela, jej dziejów, przypominają o przodkach autora, ich przynależności do obrządku unickiego, zawierają opisy cmentarzy w Trebeli i w Sworach. Z publikacji można dowiedzieć się, jakie zwyczaje panowały w tamtejszych okolicach i jakimi zajęciami parali się rodzice Jana: była to uprawa lnu, kopanie torfu itp. Autor, który urodził się w poniedziałek, 16 maja 1938 r. dodaje, iż nie miał szczęścia poznać dziadków, ale starsi bracia i rodzice w domowych rozmowach często ich wspominali, zaś mały „Janek” wzrastał w tradycji szacunku dla dziadków i poszanowania rodzinnej przeszłości. Podobnie jak starsi bracia oraz inne dzieci w Jagodnicy. Później nadeszły lata drugiej wojny światowej i okupacja”. Do podlaskich wsi wkroczyli Niemcy. Już w październiku 1939 r., po utworzeniu Generalnej Guberni, cały majątek Rzeczypospolitej przeszedł pod zarząd okupanta. Ta część biograficznych wspomnień kończy się pobytem w domu dziecka oraz sfinalizowaniem w 1955 r. przez Jana Edwarda Maziejuka nauki w zasadniczej szkole zawodowej o profilu samochodowym w Białej Podlaskiej.

Część publikacji zatytułowana „Kółko czy zorka” traktuje o jego pierwszej pracy w Przedsiębiorstwie Komunikacji Samochodowej w Kraśniku Fabrycznym, o następnym - miesięcznym pobycie w domu dziecka w Lublinie i wyjeździe do pracy na Ziemię Odzyskane. Było to 17 marca 1956 r., kiedy to wraz z werbownikiem wsiadł do pociągu, by udać się do Miastka w województwie koszalińskim. Werbownik po drodze uciekł. W Miastku pracy nie było, dlatego Jan Maziejuk trzy dni pracował w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w pobliskiej Wołczy Wielkiej przy oborniku, następnie przyjęto go do pracy w Państwowym Gospodarstwie Rolnym w Kamnicy, gdzie najpierw zatrudniono w zakładzie naprawczym jako ślusarza, a nieco później przewodnicząca związków zawodowych powierzyła mu etat pracownika kulturalno-oświatowego i prowadzenie zakładowej świetlicy. Opiekował się radiowęzłem, dwa razy w tygodniu nadawał własny program oraz prezentował w gablocie przodowników pracy, dlatego otrzymał małoobrazkowy aparat fotograficzny „Zorka”. I tak zaczęła się pasjonująca praca jako fotografa, której uczył się od podstaw.

Kolejna część „Ada i Ala” traktuje o pobycie w Miastku oraz przyrodnych siostrach, które nosiły te imiona. Ala została zresztą później jego żoną. Z aparatem fotograficznym nie rozstawał się działając w miasteczkim powiatowym domu kultury.

Rozdział „W nowych butach” traktuje o przeniesieniu się do Słupska. W 1972 r. połączono bowiem Północne Zakłady Obuwia w Słupsku z Fabryką Rękawiczek i Odzieży Skórzanej w Miastku, gdzie zatrudniony był autor, tworząc wraz z zakładami przemysłu skórzanego w Kępicach, Białogardzie, Dębnicy Kaszubskiej oraz oddziałami szwalni w Lęborku i Darłowie kombinat Północne Zakłady Przemysłu Skórzanego „Alka” w Słupsku. Tam pracując jako fotoreporter Jan Maziejuk związał się z tygodnikiem „Konfrontacje”, który w 1978 r. wszedł w skład Koszalińskiego Wydawnictwa Prasowego. I tak został etatowym fotoreporterem. Od 1975 r. był wolnym strzelcem w dzienniku „Głos Koszaliński”.

Część następną, zatytułowana „Na grobli” stanowi między innymi opowiadanie o kulisach i szczegółach wykonywania zdjęć dla tygodnika „Zbliżenia”, fotoreporterskich poczynaniach autora w okresie powstawania słupskiej „Solidarności”, stanu wojennego oraz o niektórych wystawach fotograficznych.

Rozdział „Męski wiek, nowe szpalty” dotyczy pracy Jana Maziejuka w „Głosie Pomorza” po transformacji politycznej od 1990 do 1998 r. i epizodycznej współpracy z „Gazetą Wyborczą”.

Ostatnia część „Czas porządków” zawiera informacje na temat rozstania z redakcją „Głosu Pomorza” ze względu na przejście na emeryturę, losów jego archiwum fotograficznego, osobistych refleksji i przemyśleń, relacje z odwiedzin rodzinnych stron.

We wspomnieniach autor przywołuje liczne imiona i nazwiska ludzi prasy, kultury, polityki, z którymi zetknął się lub pracował. Prezentacja całej treści jest zresztą zbędna, odbiorca uzyska ją bowiem po osobistym zapoznaniu się ze wspomnieniami samego Jana Maziejuka.

\*\*\*

Książka zawiera nie tylko osobiste refleksje samego autora, lecz ukazuje również proces zasiedlania Pomorza Środkowego, w tym szczególnie ziemi słupskiej i ziemi miasteckiej po II wojnie światowej. Ilustruje przemiany gospodarcze, społeczne, polityczne i kulturowe na tych terenach. Należy dodać, że cała książka liczy ponad dwieście stron i zamieszczono w niej około 200 fotografii, stanowiących zaledwie niewielką część niezwykle bogatego dorobku fotoreporterskiego autora.

Barwne opowiadania biograficzne uzupełniają zamieszczone wypowiedzi niektórych z jego kolegów dziennikarzy. Pierwsza i najobszerniejsza jest opinia wyrażona przez Wiesława Wiśniewskiego - byłego reaktora naczelnego „Zbliżeń”, w której napisał wprost, że Jan Maziejuk jest autorem największego zbioru zdjęć prasowych, dokumentujących historię, stworzył bogatą galerię autentycznych portretów słupszczan i mieszkańców terenu z okresu PRL-u, że w redakcji dziennikarze wiedzieli, iż „ma nosa do ludzi i obiektów, których losy



godne są piór”. Fotoreporter Konrad Remelski z „Głosu Pomorza” opisując z panem Jankiem wędrówki po terenie nazywa go „podpisywaczem i ilustratorem”, podkreśla, że dużą wagę przykładął do gestykulacji i ruchu rąk. Wspominając wyprawy w teren skrupulatnie dodaje, iż wiodły one „przez lasy, pola i... gnojowicę” oraz powraca do frapujących incydentów, które wspólnie przeżyli. Zbigniew Talewski przywołuje Jana Maziejuka ślady nie tylko na Gochach. Jolanta Nitkowska-Węglarz snuje opowieści o wspólnych wyprawach na Kaszuby oraz fotografowaniu wyborów „Miss Natura” w Rowach.

Autor zamieścił bibliografię, w której znalazły się między innymi opublikowane wcześniej katalogi, wspomnienia oraz tytuły prasowe, w których zamieszczono już jego zdjęcia.

*dr Eugeniusz Grzegorz Wiązowski*



# *Liściem drzewa...*

---

**O**d ponad czterdziestu lat mieszkam w Słupsku i gdybym na tym zakończył, byłaby to najprostsza i najkrótsza opowieść autobiograficzna. Pozostałyby pytania - a wcześniej gdzie? i dlaczego teraz w Słupsku? I inne pytania, wynikające z pierwszych.

Nie myślałem o pisaniu. Pracowałem w różnych miejscach, niosło mnie życie lub jak kto inny powie los albo historia, nie pytając, dokąd zmierzam. Czasem czułem się jak patyk rzucony w nurt rzeki. Dlatego zamiast nad Kulkówką w rodzinnej Jagodnicy, mieszkam nad Słupią, której malowniczy i zmienny rytm odmierza mój czas. Nie wiem, ile było w tym przypadku, a ile świadomego wyboru. Po prostu, tak musiało być.

Przyszedł czas, by spojrzeć w tył. Zabieg może okazać się niebezpieczny. Opowieść o żonie Lota jest jakąś przestrożą, ale i wyjaśnieniem tego, co chcę zrobić. Myśl ta nie daje mi spokoju. Muszę zaufać pamięci zdarzeń i uczuć. Wiem, że szczególnie te najwcześniejsze są rodzajem wspólnej własności - rodzinnej, lokalnej, polskiej. Nie potrafię już precyzyjnie rozdzielić mojego przeżycia i późniejszej wiedzy, która je utrzymywała. Jednak jedno i drugie wpływa na kształt mojego postrzegania rzeczywistości.

Nie jestem dobry w sztuce słowa. Mówiłem językiem fotografii, ona wyrażała moje widzenie spraw i ludzi, zachwyty i oburzenia. Dlatego jej powierzę główne zadanie. W sprawie słowa skorzystam z pomocy, jak kiedyś. Wciąż mam w pamięci piękny braterski czas, kiedy z Henrykiem odkrywaliśmy na nowo nasze rodzinne historie. Zostałem sam. Z myślą o Henryku, z pamięcią o nim rozpoczynam nową opowieść. Chciałem, by moim partnerem w sztuce opowiadania był ktoś bliski mojemu doświadczeniu chłopskiego rodowodu, rozumieniu spraw małych i wielkich z perspektywy możliwości, jakie wiejskiemu dziecku dawało i daje wykształcenie oraz by był to ktoś, kto uzna moje władztwo nad materią opowieści, daleki od dziennikarskiej profesji i będący jedynie świadomym swego zadania sekretarzem. Tak oto rozwijać się będzie moja opowieść pisana fotografią i słowem - widziana jak w rybim oku - od Bugu po Bałtyk, od strzechy po mieszkanie w bloku, od chłopskiego pług do „Nikona”.

# Ukazy i kurhany

---

**T**erebela, której nazwa wywodzona jest od łacińskiego „terra bella”, czyli piękna ziemia, wcześniej znana jako Niewęglowszczyzna, w XVII wieku należała do majątności Cicibor. Najdawniejsze informacje pochodzą z 1491 roku, znaleźć je można w nadaniu Kazimierza Jagiellończyka. Wieś należała kolejno do rodów Zabrzezińskich, Illiniczków, Radziwiłłów.

To tam wśród wyjątkowej przyrody Polesia Podlaskiego nad rzeką Krzną, największym lewobrzeżnym dopływem Bugu, i Kulkówką, lokalnym ciekim, położone są rodzinne strony Maziejuków, wieś i miasteczka: Terebela, Jagodnica Witulin, Cicibor, Hrud, Leśna Podlaska. Okolice nad Bugiem, Krzną, Kulkówką stanowią malowniczy obszar, na którym współistniały religie - katolicka, prawosławna, unicka i żydowska, a zatem i kultura z wpisanymi w nią obrzędami i obyczajami. Każdy obrządek religijny, z natury rzeczy hermetyczny, wydawał się być oporny wobec procesów homogenizacji, czyli wzrostu jednorodności społecznej. Mimo to, nie zacierając kulturowej odrębności wynikającej z religii, przenikały się zwyczaje, obrzędy, sposoby gospodarowania i świętowania, ponieważ dominującym czynnikiem okazywało się poczucie związku z polskością. W taki sposób do obrządku grekokatolickiego przenikały elementy katolicyzmu zachodniego. Dlatego też odrębność religijna, podstawa różnorodności i jednocześnie wspólnoty, utrzymywała prywatną, rodzinną identyfikację z szeroko rozumianą kulturą regionu Podlasia. Podobnie funkcjonował język pogranicza, gwara chachłacka, będąca przemieszaniem języka ukraińskiego z polskim, białoruskim, rosyjskim i rusińskim. Na kształtowanie się języka znaczny wpływ miała również polszczyzna z kresowymi cechami. Współcześnie język chachłacki zanika. Rozumieją go tylko starsi, a wobec znikomej ilości tekstów pisanych, język wraz z wyrażaną nim kulturą i widzeniem świata odchodzi w zapomnienie.

Były to czasy, kiedy przynależność religijna była utożsamiana z narodowością, stąd strzec wiary ojców stawało się obowiązkiem kolejnych pokoleń. Poczucie więzi rodzinnej i regionalnej przekazywanej z ojców na synów, losy splecione z burzliwą i trudną historią - to wszystko znalazło świadectwo w poszukiwaniach genealogicznych i historycznych Jana i Henryka - braci Maziejuków. Ich

szczere i barwne publikacje, bogate szczegółami niełatwego życia, wnoszą do historii Podlasia cenny osobisty ryt.<sup>1</sup>

Stamąd, z regionu północno-wschodniej Lubelszczyzny obejmującej skraj Podlasia Południowego wywodzą swój ród, a że Maziejuków było kilku, do nazwiska rozpoznanego protoplasty Maksyma Maziejuka już w XIX wieku dodawano przydomek Krekodaj. Skąd i dlaczego to dziwne imię przylgnęło do tej gałęzi Maziejuków, nie wiadomo. Poszukiwania etymologiczne na nic. W języku chorwackim, podobnie jak w serbskim, istnieje słowo krek, które oznacza pęknięcie. Czy tam należy szukać etymologii? Na pewno jest jakieś wytłumaczenie. Może było jakieś rodzinne „pęknięcie”, odejście? Nie będziemy tworzyć legendy, choć mogłaby być malownicza, Co oznaczałby drugi człon? Łatwiej wyjaśnić pochodzenie nazwiska i jego związek z południowo - wschodnim regionem, gdzie nazwiska z przyrostkiem (ej)-uk były częste i pierwotnie tworzono je jako patronimika oznaczające najstarszego syna w rodzinie. Pewne jest jedynie to, że syn Maksyma, Leon Maziejuk, jego wnuk Franciszek i prawnukowie: Antoni, Henryk i Jan odpowiedzieliby na zawołanie Krekodaj, choć rozpierzchli się na różne strony, bo takie nastały czasy. Nazwisko i owo przedziwne zawołanie to ich trwałe i jedynie pewne dziedzictwo po przodkach.

Wywodzili się ze stanu chłopskiego. Maksym Maziejuk był chłopem pańszczyźnianym wyznania unickiego. Wraz z żoną Juchymią mieszkał w Terebeli, gdzie po pamiętnym roku 1864 uprawiał ziemię nadaną rodzinie ukazem carskim, ciesząc się zapewne, że są wreszcie na swoim trzymorgowym zagonie i mają gwarantowane prawo korzystania ze wspólnotowego pastwiska. Dochowali się trzech synów: Pawła (1850), Leona (1862) i Emiliana (1867). O ich życiu, związkach z podlaską ziemią opowiedział Henryk Maziejuk w autobiograficznych książkach „W czepku urodzony?” i „Słowa jak skiby”.

Ludzie pamiętają, że w Terebeli do roku 1778 znajdowała się unicka cerkiew parafialna, spalona prawdopodobnie przez Kozaków, a także zabytkowy, znaczony murszejącymi krzyżami unicki cmentarz, o którym opowiadają Jan i Henryk - bracia Maziejukowie w publikacji „Cmentarz unicki w Terebeli”.

---

1 W niniejszej opowieści będziemy się odwoływać do wcześniejszych publikacji:

- Henryk Maziejuk, Jan Maziejuk: „Jagodnica. Ludzie. Architektura. Historia. Wydarzenia”, Jagodnica 2004.
- Henryk Maziejuk, Jan Maziejuk: „Cmentarz unicki w Terebeli”, Jagodnica 2006.
- Henryk Maziejuk: „Urodzony w czepku?”, Jagodnica 2007.
- Henryk Maziejuk: „Słowa jak skiby...Wspomnienia”, Jagodnica 2009.

W południowej części Lubelszczyzny udział podlaskich chłopów w powstaniu 1863 roku był znaczny, mimo że generalnie chłopci podchodzili z rezerwą do „pańskiej wojny”. Decyzję Rządu Tymczasowego w sprawie uwłaszczenia, które miało być zachętą do powszechnego zrywu powstańczego, stordedowała władza carska ukazem z 2 marca 1864 roku nadającym ziemię włościanom.

*„Ukaz cara Aleksandra II dla Królestwa Polskiego w sprawie uwłaszczenia chłopów, odszkodowań dla dziedziców i serwitutów z dn. 2 marca (19 lutego wg starego stylu) 1864 r., Petersburg.*

1. *Ziemie pozostające w użytkowaniu włościan w majątkach prywatnych, majoratowych i państwowych stają się zupełną własnością używających ich włościan.*

2. *Z dn. 3 (15) kwietnia 1864 r. uwalnia się włościan na zawsze od wszystkich bez wyjątku powinności, do których byli obowiązani na rzecz właścicieli ziemskich, a mianowicie: od pańszczyzny, okupu w pieniądzu, czynszu, danin w naturze itp. Wszelkie żądania odrobienia zaległości wstrzymuje się i nie można ich wznowiać. Na przyszłość włościanie są obowiązani wnosić do kasy rządowej za przypadającą im na własność ziemię podatek gruntowy ustanowiony obecnym ukazem [...].*

3. *Właściciele majątków otrzymują od rządu wynagrodzenie za uwolnienie włościan od obowiązków pańszczyźnianych. [...] Prócz tego na wszystkich właścicieli majątków, w których na podstawie obecnego ukazu włościanie otrzymują ziemię na własność, nakłada się obowiązek czynić włościanom w wypadkach nadzwyczajnych klęsk ułatwienia i zaopatrywać ich na kredyt w bydło robocze, narzędzia i ziarno do siewu. [...]*

11. *Włościanie także i po przejściu w posiadanie należnych im siedzib zachowują prawo do tych wygód, [...] a mianowicie: prawo do otrzymywania drzewa budulcowego, drwa, zbierania chrustu i łomu, a także liści na podściółkę, prawo pasienia w lasach pańskich i na dworskich czy folwarcznych gruntach”.<sup>2</sup>*

Uwłaszczenie przeprowadzono na zasadach korzystniejszych niż w Rosji. Właściciele ziemscy otrzymali rekompensatę z kasy państwa, a na chłopów nałożono obowiązek opłaty podatku gruntowego. Po raz pierwszy chłopci mieli na własność zagon, odwieczną tęsknotę i pragnienie. Skomplikowaną sytuację społeczną tamtego czasu przedstawił Stefan Żeromski w „Rozdzio-  
bią nas kruki, wrony”, a wcześniej Eliza Orzeszkowa w „Nad Niemnem”.

2 Tekst źródłowy nr 48. (<http://pthlodz.uni.lodz.pl/dydaktyka/zrodla/zrodlo48.pdf>)  
(dostęp: 15-01-2014).

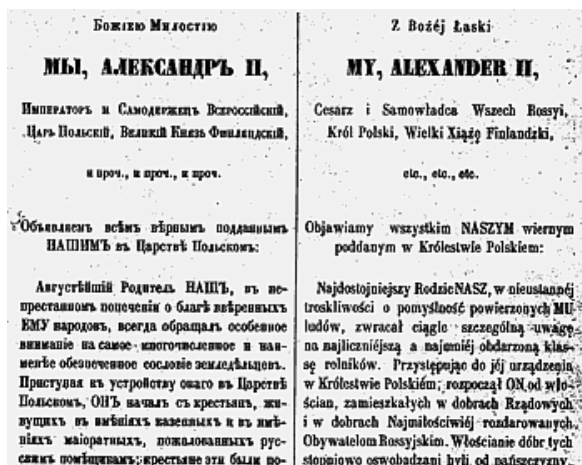
Dawne zobowiązania mają współczesną kontynuację, jak chociażby tak zwane wigierskie serwituty, przyznające chłopom prawo połowu ryb w jeziorze Wigry. Sprawa znalazła się na wokandzie w roku 2000 i w wyroku Sądu Okręgowego w Suwałkach z 18 października 2000 roku zezwolono na połów z brzegu na własne potrzeby, z zachowaniem obowiązujących terminów i wymiarów ochronnych ryb, trzem mieszkańcom wsi Rosochaty Róg, na podstawie przywilejów z carskiego ukazu.<sup>3</sup>

W podlaskich wioseczkach Jagodnica, Witulin, Biała pamięć tamtego czasu porosła nieużytkami na polach i łąkach. Jej znakiem pozostał kurhan położony nieopodal Witulina na skraju lasu zwanego Kuranowo, za rzeczką Klukówką.

Od strony Jagodnicy wśród łąk Wyżary wytrawny badacz historii, wspomagając się legendą, odnajdzie ślady okopów powstańczych, w których zatrzymał się oddział powstańczy zdążający do Komarna z odsieczą przeciw carskim wojskom. Tyle możemy odczytać z topografii, uzupełnić wiedzę strzępami opowieści, wkleić informacje i przeczcucia w matrycę wielkiej historii.

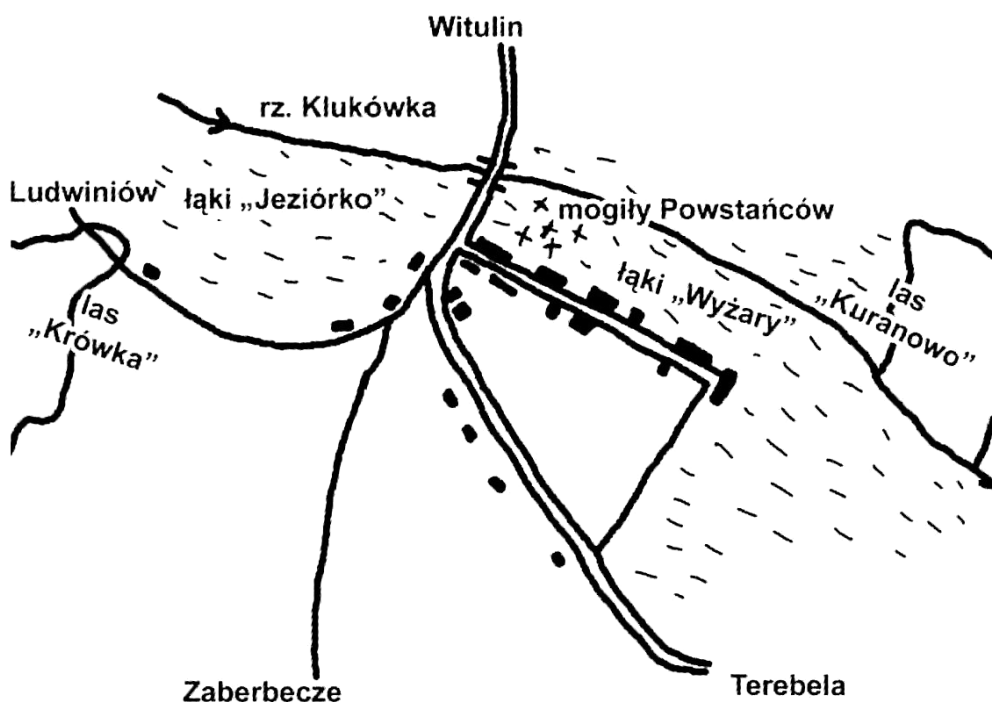
Po latach wydobywano w okolicy glinę, coraz napotykJając ludzkie szczątki, bagnety i szable pokryte rdzą. Nikt ich nie badał, nikogo nie zdziwiła zbiorowa mogiła poza cmentarzem. Czy było to miejsce straceń albo zbiorowa mogiła powstańczego oddziału? Tyle tajemnic kryje ziemia, tyle losów zapomnianych! Ostatecznie „rozprawiono” się z ukrytymi w ziemi pamiątkami wiele lat później, kiedy koparkami, ciężkim sprzętem meliorowano podmokłe łąki. Pewnie była to mogiła powstańcza, jakich wiele na wschodnich rubieżach. Odręczny rysunek lokalizujący powstańcze mogiły w pobliżu Jagodnicy zamieścili Henryk Maziejuk i Jan Maziejuk w monograficznym wydaniu „Jagodnica” na str. 19.

Powstanie styczniowe odcisnęło piętno na ziemi podlaskiej, brak jednak jakichkolwiek śladów pisanych na temat udziału w powstaniu mieszkańców okolic Jagodnicy, Terebeli, Hruda.



*Ukaz cara Aleksandra II dla Królestwa Polskiego w sprawie uwłaszczenia chłopów...*

3 M. Abrosiewicz: „Wigierskie serwituty”, [w:] „Przyroda i Krajobraz” nr 1/2002, [http://www.wigry.win.pl/kwartalnik/nr5\\_serwituty.htm](http://www.wigry.win.pl/kwartalnik/nr5_serwituty.htm) (dostęp: 15-01-2014).



Uproszczony szkic sytuacyjny wsi Jagodnica.

Niepiśmienni chłopci obraz zdarzeń przechowywali w zbiorowej pamięci miejsc, legendach, czasem pieśniach. Nie ma wątpliwości, że popowstaniowe prześladowania dotyczyły tych terenów i ludności. Tożsamość rodziny, rodu, regionu, rodzącego się pojęcia ojczyzny wpisana była w zwyczaje, obrzędy, uroczystości religijne. Po stłumieniu powstania rząd rosyjski rozpoczął likwidację przywilejów Unii Brzeskiej gwarantującej swobodę wyznania, w której ludność Podlasia realizowała identyfikację etniczną. Był to jeden ze sposobów rusyfikacji.

Na Podlasiu obrządek greko-unicki chroniony przynależnością do Rzeczypospolitej uznawał zwierzchnictwo papieża i w takim kształcie istniał od Unii Brzeskiej w 1596 roku. Dlatego popierany przez Rzym i Polskę Kościół unicki spotykał się z restrykcjami Rosji



i prawosławnego patriarchatu moskiewskiego, ponieważ prawosławni biskupi z obszaru Rzeczypospolitej uznali zwierzchnictwo papieża. Początkowo obrzędy religijne i liturgia odbywały się zgodnie ze wschodnią tradycją, jednak z upływem lat Kościół unicki zmieniał się, przyjmując niektóre katolickie modlitwy. Rozwój Kościoła unickiego został zahamowany rozbiorem Polski. Katarzyna II zniosła istnienie Kościoła unickiego na Ukrainie, a kolejni władcy zakazali obrządku unickiego na Litwie i Białorusi. Po powstaniu styczniowym Kościół unicki działał już tylko w Królestwie Polskim. W 1874 r. na obrządek ten wydano wyrok śmierci i nie jest to tylko metafora. Zginęło wówczas łącznie z ofiarami ze stycznia 1874 z Drelowa, Pratulina, Hruđa i Witulina około sto pięćdziesiąt osób, a setki zesłano na Sybir. W nieodległych od Jagodnicy Sworach kwaterowały dwie rotę kozaków, którzy doprowadzili wieś do nędzy. Wielu mieszkańców zmarło z głodu lub pobicia. Najbardziej opornych trzymano w więzieniach, a potem zesłano na Sybir. Podlascy unicy z małych wsi, często ci najubożsi, okazywali się wielcy wiarą i odwagą osobistej postawy wobec sztuczek zaborcy.

Ich zwycięstwo nadeszło 15 czerwca 1905 roku. Czterdziesto-trzyletni Leon Maziejuk, syn Maksyma i Juchymii z domu Michalczuk, mąż Anastazji z domu Laszuk, córki Józefata i Anny, mieszkał w Terebeli, gdzie uprawiał odziedziczoną po ojcu ziemię. W czerwcowy dzień stanął wraz z żoną Anastazją i sześciorgiem dzieci: trzema synami (Stanisławem, Władysławem i Franciszkiem) i trzema córkami (Leontyną, Marianną i Felicją) w kościele św. Anny w Białej Podlaskiej, aby świadomie przyjąć powinność wyznawania wiary w obrządku rzymsko - katolickim. Unicka od pokoleń rodzina Maziejuków zarówno po mieczu, jak i po kądzieli, wśród 53 unickich rodzin sąsiadów ze wsi Terebela opowiedziała się za katolicyzmem, co wydawało się równoznaczne z opowiedzeniem się za polskością.

Na nic rusyfikacyjny trud. Pomordowani w obronie unickiej wiary spoczęli na cmentarzach, które po latach pogardliwie i niesłusznie nazywano „ruskimi”. Unicki cmentarz w Terebeli świadczy o bolesnej drodze Podlasia do polskości.

Najmłodszym synem Leona Maziejuka był Franciszek urodzony w Terebeli w 1899 roku. Miał sześć lat, gdy uczestniczył w uroczystości przyjęcia katolicyzmu. Z pewnością przejęty był tłumem, oprawą liturgiczną, ale czy zdawał sobie sprawę z doniosłości owej chwili?

Kroniki podają, że w tym czasie na terenie Podlasia żyło około 100 tys. unitów. Wielu z nich, tak zwanych „opornych unitów”, w roku 1905 korzystając z carskiego Aktu Tolerancyjnego odeszło

od prawosławia, powracając do obrządku zachodniego kościoła rzymskiego. O postawie unitów wobec prawosławia i obronie wiary utożsamianej z polskością piszą bracia Henryk i Jan Maziejukowie w unikatowej publikacji „Cmentarz unicki w Terebeli”, wysoko ocenionej przez dr Zdzisława Stankiewicza, badacza kultury Podlasia<sup>4</sup>. Stary, zapomniany już, unicki cmentarz w Terebeli kryje prochy przodków Leona Maziejuka, gdzie i on znalazł wieczne odpoczywanie po latach trwania w wierze, w której wyrażał również przywiązanie do polskości.

Natomiast przodkowie Ceniuków odpoczywają na wieki na unickim cmentarzu w Sworach lub w nieodległym Ciciborze. Ród Ceniuków znany był w okolicy i rozgałęziony. Działalność jednego z Ceniuków, Antoniego, zwanego Antonem, głównego organizatora tajnego życia religijnego zapisała się w pamięci okolicznej ludności. Organizował śluby, chrzty, pogrzeby. Paulina Matoszuk, katechетка z Cicibora, dokumentując regionalne historie zapisała wspomnienia Franciszki Litwiniuk, która opowiada, że w stodole u Samociuków przechowywany był Najświętszy Sakrament, którym opiekował się Antoni Ceniuk. Do Antona zgłaszali się ludzie chcący ochrzcić swoje dziecko, a on organizował Mszę św. z udziałem księdza. Nie ominęła go kara za taką działalność. Ktoś go wydał władzom carskim, został schwytany i osadzono go w więzieniu w Białej Podlaskiej. Po odbyciu kary powrócił z powrotem do Cicibora. Z opowiadań wynika, że we wsi Cicibór nie stosowano drastycznych kar za wyznawanie wiary.<sup>5</sup>

Zofia Ceniuk z domu Lubańska, matka Bronisławy Maziejukowej, pochodziła z ubogiej włościańskiej rodziny z Grabanowa koło Białej Podlaskiej. Tamtejszym zwyczajem, gdy była potrzeba, biedniejsi włościanie pracowali sezonowo w okolicznych dworach, również Zofia od wczesnej młodości posługiwała we dworze. Tam, w majątku ziemskim Szeliskich we Wrońcu, Zofia Lubańska poznała Andrzeja Ceniuka, pracującego tu w charakterze fornalna i kowala. Młodzi pokochali się i niebawem zawarli związek małżeński.

Zofia i Andrzej Ceniukowie zamieszkali w dworskich czworakach w Jagodnicy przeniesieni tu wolą właścicieli majątku - obejmującego również Worgule i Terebelę - należącego do Szeliskich. Wprawdzie Zofia wychodząc z domu w Grabanowie dostała w wianie trochę gotowizny w złocie jako należną jej spłatę, jednak nie tak

4 por.: Zdzisław Stankiewicz: „Zamiast recenzji. Nie tylko o Terebeli” [w:] Henryk Maziejuk, Jan Maziejuk: „Cmentarz”, op.cit.s.73.

5 Paulina Matoszuk: „Tradycje unickie w Ciciborze Dużym”, <http://szkolnictwo.pl/index.php?id=PU7854>, (dostęp: 15-01-2014).

dużą, by można było za to kupić ziemię. Pieniądże zdeponowano w banku, gdzie przepadły w czasie I wojny. Pozostała jedynie książeczka oszczędnościowa na nazwisko Franciszka Maziejuka jako rodzinny skarb, li tylko o sentymentalnej wartości.

Tymczasem w Jagodnicy w długim czworacznym budynku z drewna na ceglanej podmurówce zamieszkiwało kilka rodzin pracujących w folwarku. Ceniukowie zajmowali jednoizbowe mieszkanie z niewielką kuchnią. Gliniana ubita na klepisko podłoga, ceglany piec z zapiekiem, czyli miejscem do spania, były powszechnym rozwiązaniem budynków dla służby folwarcznej. Urządzenie izby stanowiły proste, zbite z desek łóżka wyściełane słomą przykrytą płachtą zrobioną na domowych krosnach. Słomę wymieniano przy okazji świątecznych porządków. Nawet kiedy trzeba było kogoś przenocować, wnoszono do domu snop słomy, przykrywano derką i posłanie było gotowe. Tak było podczas kolejnej wojny, a później, aż do lat sześćdziesiątych XX wieku używane były słomiane sienniki szyte z lnianych płacht. Słoma to doskonały izolator i nie tęchnie, ponieważ z racji przestrzenno-rurkowej budowy dobrze przepuszcza powietrze.

Sprawy sanitarno - higieniczne rozwiązywano w najprostszy sposób. Za potrzebą wszyscy mieszkańcy czworaków wychodzili do wspólnego wychodka, a gdy zaszła nagła potrzeba w nocy lub gdy chodziło o dzieci, takie potrzeby załatwiano do drewnianego wiadra w izbie. Sobotnia kąpiel odbywała się w balii w kuchni lub na podwórzu w szafliku, gdy pogoda pozwalała. Taki był mały świat Ceniuków, Maziejuków, Misiejuków, tak żyli sąsiedzi i nikt nie pragnął więcej nad zdrowie i zgodę w rodzinie. Przetaczały się dziejowe zawieruchy, przynosiły zmiany w świecie, lecz ich życie niewiele się zmieniało. Pierworodnym dzieckiem Ceniuków była Paulina, później urodził się syn Aleksander, a w 1908 roku przyszła na świat córka Bronisława.

Majątek w Worgulach z folwarkami we Wrońcu i Jagodnicy od 1881 roku, kiedy zakupił go Piotr Szeliski herbu Szeliga, należał do rodu Szeliskich, Dwór w Ludwinowie, siedziba rodu, jak i większość dóbr majątku ziemskiego znajdował się w rękach Szeliskich do 1944 r. Po II wojnie światowej majątek został podzielony wśród okolicznych chłopów, natomiast dwór popadł w ruinę. Ostatnia właścicielka, Maria Szeliska z domu Wężyk zmarła w 1956 roku.

W 1988 roku resztki dworu wraz z pozostałościami rozległego zespołu parkowego kupił prywatny właściciel, odbudował obiekt dokładnie w tym samym miejscu co niegdyś na podstawie dokumentacji konserwatora zabytków.

# Między zagrodą a historią

---

**W** 1914 roku na czas wojny wysiedlano ludność z terenów Podlasia, by nacierającym wojskom niemieckim zostawić „spaloną ziemię”. Ceniukowie z dziećmi, jak większość fornalskich rodzin, musieli podążyć wraz z właścicielami majątku.

Administracja i władze wojskowe czyniły przygotowania do ewentualnej ewakuacji głównie urzędów państwowych na wypadek wojny. Jednak w 1914 r., zanim gubernator lubelski ogłosił ewakuację, w niektórych miejscowościach ogarniętych wojną ewakuacja przerodziła się w paniczną ucieczkę, jak na przykład w Janowie Podlaskim. Do bieżęstwa nakłaniały władze carskie i prawosławni duchowni, którzy podgrzewali niepokój. Ludzie ogarnięci psychozą strachu porzucali swoje wioski i wyjeżdżali w nieznaną. Wtedy kozacy podpalali opustoszałe zabudowania. Bieżęcy jechali tysiące kilometrów od domu, osiedlali się tymczasowo w nieznanym miejscu, czasem z litości przygarnięci przez miejscowych, gdzie żyli w głodzie i chłódzie albo upale. Biedna ludność miejscowa była wobec nich przyjazna, lecz nic w ich położeniu nie mogła zmienić.

Prości ludzie byli świadkami piekła rosyjskiej rewolucji, ale, dzięki Bogu, w większości rewolucyjne doświadczenia ich omijały. Mimo to wielu straciło swoich bliskich z powodu chorób, wycieńczenia, tęsknoty.

Kiedy wrócili po długiej nieobecności, majątek w Jagodnicy był zdewastowany, ocalał jedynie barak folwarczny. Maria Szeliska owdowiała, straciła majątek i gotowa była przekazać ziemię jagodnickiego folwarku do parcelacji.

Po latach Bronisława z Ceniuków Maziejukowa, która wtedy była dzieckiem, opowiadała synom o swojej podróży z Białej Podlaskiej do dalekiego Astrachania, gdzie kawior z jesiotra nie smakował i nie pachniał jak domowy chleb w folwarcznym czworaku w Jagodnicy. Nie zapomniała tamtych przeżyć, odbieranych wrażliwością dziecka.

Wokół widoczne były ślady wojennych i rewolucyjnych zniszczeń, które dotyczyły także rodziny Ceniuków. Po roku 1920, kiedy okolicę zniszczyli i splądrowali bolszewicy, zarobku trzeba było szukać w pobliskich dworach. Przed zamążpójściem Bronisława

wynajmowała się do pracy we dworze w Witulinie, posiadłości Wężyków.

Stary modrzewiowy dwór spłonął pod koniec II wojny światowej podpalony najpewniej przez jeńców rosyjskich ukrywających się w lesie Floria.<sup>6</sup> Obecnie w dawnym dworskim spichlerzu mieści się dyskoteka.

W 1925 roku na mocy ustawy o małej reformie rolnej przynajmniej między innymi bezrolnym i małorolnym, inwalidom wojennym i robotnikom rolnym, Andrzej Ceniuk, ojciec Bronisławy, pobrał na hipoteczną spłatę przysługującą jemu i córkom: Bronisławie i Paulinie ziemię z parcelowanego w Jagodnicy folwarku. Według przepisów służba folwarczna miała prawo przejmowania ziemi pod zastaw weksli Banku Rolnego, którego oddział dla Jagodnicy znajdował się w Sitniku. Włóścianie zobowiązani byli do zapłaty gotówką. Ceniukowie skorzystali z szansy, otrzymali ziemię. Było tego około 7 hektarów. Bronisława otrzymała swoją część oraz ziemię przypadającą rodzicom, którym miała zapewnić dożywocie.

W 1928 roku zawiązało się powinowactwo Ceniuków z Maziejukami, kiedy Bronisława - najmłodsza córka Zofii i Andrzeja Ceniuków - poślubiła Franciszka, najmłodszego syna Leona Maziejuka.

Po zaślubinach Bronisława (1908) i Franciszek (1899) Maziejukowie gospodarowali na pięciu morgach ornej ziemi podzielonych na trzy poletka o szerokości około 5 m i długości kilometra aż pod Terebelą i odległych od siebie, i odległych od siedliska w Jagodnicy o blisko trzy kilometry. Natomiast na ziemi położonej w Jagodnicy wniesionej w wianie przez Bronisławę, powstawał ich dom i obejście. Wspólne gospodarstwo liczyło około 8 ha ziemi. Jednak w wiejskiej społeczności pamięć o pracy na folwarku trwała długo i tych co wywiedli swój chłopski zagon z folwarku, nazywano pogardliwie dworusami. Z goryczą wspomina ten fakt Henryk Maziejuk, pisząc: „To tak, jakbyśmy byli ulepieni z innej gliny niż rodowici włóścianie”.

Jagodnicki dom Maziejuków powstawał od podstaw. Siedlisko było obszerniejsze niż w dawnej zabudowie. W przeciwieństwie do stojących szczytem do drogi większości wiejskich chałup, ich dom stał do drogi frontem. Obok było miejsce na zabudowania gospodarcze i mały domek dla Pauliny, póki z mężem nie dorobili się własnego, nieco dalej. Nowa chata na własnej parceli powstawała z rozbieranego folwarcznego czworaka, który stał się bezużyteczny,

6 por.: Henryk Maziejuk „W czepku”, op. cit. (s.128-135).

ale przecież nic nie mogło się zmarnować. Wykorzystali zatem do budowy nowego domu bierwiona folwarcznego czworaka. W taki sposób pamięć folwarcznej przeszłości została wmurowana w nowy dom dosłownie i w przenośni.

Ściany z bierwion układanych na węgiel, bielone latem kornicą gliną z ultramaryną, zimą gacone leśną ściółką i obornikiem, przykrywał dach z cementowej dachówki. Wewnątrz znajdowała się świąteczna izba z drewnianą podłogą, duża kuchnia z glinianym klepiskiem oraz okazałym, pełniącym różnorakie funkcje piecem, sień i za nią komora jako powszechne rozwiązanie w chłopskich domostwach Podlasia. Na strychu Franciszek Maziejuk hodował z pasją i miłością gołębie pocztowe, więc poddasze zastawione było



klatkami. Niewielka dziura w polepie sieni przykryta klapą pełniła rolę piwniczki.

Zamieszkali razem - wielopokoleniowa rodzina, czyli rodzice Bronisławy, ona z mężem Franciszkiem i przychodzące na świat dzieci. W gospodarstwie potrzebna była każda para rąk, a jedna miska musiała wystarczyć dla wszystkich. Potrawy były proste, ale przyrządzane ze smakiem. Bronisława lub jej mama Zofia Ceniukowa stawiała na stole w dużej misie prażuchy albo pyzy nadziewane soczewicą, czasem jajecznicę zaprawianą dla zwiększenia objętości mąką i mlekiem. W codziennej diecie były kasze, mleko, kapusta kwaszona, grzyby świeże, kwaszone lub suszone. Ot co, dania były proste i smaczne.



*Jagodnica. Obraz Władysława Stańczyka z roku 1960 namalowany na podstawie zdjęć Jana Maziejuka.*

Obok domu znajdowała się skromna stodółka i obora, a w niej koń, dwie krowy, kilka świń, owiec i ptactwa: kur i gęsi. Chłopskie gospodarstwo było w zasadzie samowystarczalne. Nikt nie kupował chleba, mleka, mięsa, warzyw, owoców. Jajka, masło, śmietanę gospodynie niosły do miasta na targ, by za zdobyty grosz kupić sól, naftę i to co niezbędne. W chłopskich rodzinach takie zasady obowiązywały jeszcze długie lata dwudziestego stulecia.

Jan Maziejuk zapamiętał z dzieciństwa chorobę matki i obowiązek wędrowki do miasta z jajami.

- Mama bardzo chorowała. Antek pracował w polu lub gospodarstwie, Henryk mu pomagał, a ja raz w tygodniu maszerowałem do Białej Podlaskiej na targ. W koszu wypełnionym siewką niosłem kopę jaj. Musiałem iść ostrożnie, by żadnego nie stłuc. Na targu sprzedawałem, starając się o dobrą cenę. Za zarobione pieniądze kupowałem, co było najpotrzebniejsze, najczęściej z myślą o mamie.

Gospodynie przędły i tkwały na krosnach tkaniny lniane i wełniane, płótna, ręczniki, samodziały. Każda wiejska kobieta od dziecka zasiadała przy kołowrotku i krosnach. Tylko jakość nitki wywiedzionej z przędzy świadczyła o zręczności rąk, a kunszt tkackiego splotu o zmyśle artystycznym. Bronisława Maziejukowa umiejętności tych uczyła się zwykłą koleją rzeczy w domu od matki i uważała je za naturalne i konieczne. Domowe poduszki i pierzyny były oznaką zamożności, a ich powleczenie i piętrowe ułożenie świadczyły o dobrym smaku gospodyni.

W wiejskich gospodarstwach tłoczono olej lniany i makowy. Olejarnie były w zasadzie w każdej wsi, najczęściej prowadzone przez Żydów, rzadziej drewniana prasa do tłoczenia oleju była w gospodarstwie. Wyselekcjonowane nasiona lnu wsypywano powoli do podgrzewanej prasy napędzanej ręcznie kołem zamachowym. Najpierw kołem kręciło dziecko lub kobieta, później, kiedy makuch trzeba było dobrze wycisnąć, przy kole siadał krzepki mężczyzna. Olej spływał do rynny. Był podstawowym tłuszczem, pachnącym i smacznym. Kraszono nim kasze, kluski lub używano do smażenia. Wyciśnięte w prasie odpady nazywane makuchami wyjmowano po wytłoczeniu oleju. Makuchy były cenną paszą przy odchowie cieląt lub prosiąt.

Domowym sposobem w stępie lub w okolicznych młynach wiatrowych wyrabiano pożywne kasze: gryczaną, jęczmienną i jaglaną z prosa. Uprażone były same w sobie wystarczającym daniem. Spożywano je ze skwarkami, olejem lub mlekiem. Z Jagodnicy przy odpowiednim wietrze wdać było obracające się skrzydła koźlaka pana Denisiuka, młynarza z Witulina. Koźlak był



najstarszym typem wiatraka europejskiego. Na koźle obracał się cały korpus, tak by śmigła mogły uchwycić wiatr. Kilka razy w roku jeździło się do młyna zemleć żyto lub pszenicę na mąkę albo jęczmień i proso na kasze.

- W ciągu naszego życia przeminął czas wiatraków obecnych w wiejskim pejzażu przez wieki. Wituliński koźlak najpierw stracił śmigi, później cały popadł w ruinę. Nie ma po nim śladu, a dzieci nie wiedzą, jaki był ważny dla wiejskich gospodarstw - ustaliśmy w rozmowie o zapamiętanych z dzieciństwa szczegółach architektonicznego krajobrazu polskich wsi, również pomorskich. To one czyniły ten krajobraz swojskim, gdy po wojnie nastał czas przesiedleń.

Każda praca, każde zajęcie odbywało się według obrządku i było okazją do spotkań towarzyskich i kulturalnych. Darcie pierza w zimowe wieczory, przędzenie na kołowrotku organizowano w chłopskich chałupach z radością. Była to okazja do rozmów, śpiewania, opowieści, wspomnień. Spotykali się młodzież i starsi, przekazując umiejętności, opowieści, pieśni. Jednak ponad pół wieku temu bezpowrotnie zniknęły z podlaskiego pejzażu bielące się na majowej trawie długie wstęgi lnianego płótna czy porozwieszane na płotach motki przędzy, zastąpione współcześnie przez gotowy materiał fabryczny. Z rejonu Podlasia pochodzi dziecięcy wierszyk opisujący dawny zwyczaj obróbki lnu:

*Międli matuś len w komorze  
aż paździora lecą.  
Pójdę, stanę przy międlicy,  
pomogę co nieco.  
Będę patrzeć  
jak oczyszcza len żelazna szczotka.  
Potem siądę,  
gdy prząść będzie, obok kołowrotka.  
Przyjdzie do nas prządek kilka  
i nie będzie smutno.  
Będą śpiewać,  
prząść niteczki na to białe płótno.*

W ogrodzie Bronisława Maziejukowa uprawiała proso i soczewicę, len, mak, buraki i kapustę na potrzeby rodziny. Przed domem sadziła kwiaty, by cieszyły oczy i duszę.

Czas zniw przez wieki był najważniejszym okresem w chłopskim kalendarzu. Pracowały całe rodziny, sąsiedzi pomagali sobie wzajemnie.

Żaden kłos nie mógł się zmarnować. Zboże koszone kosą, za kosiarzem szła kobieta podbierająca pokos, często pomagając sobie sierpem. Powróśłem skreconym ze źdźbeł wiązała snopy, później ustawiano je w kopy, po dziesięć snopów. Po kilku dniach, gdy zboże przeszło, zwożono snopy do stodoły, gdzie czekały na młockę. Na koniec żniw zostawiało się garść dorodnego żyta na brzegu pola, najlepiej przy gościńcu. Kobiety wiązały kłosa barwną krajką, wplatając w środek kwiaty. Był to dożynek, zwany także na Podlasiu i Mazowszu przepiórką, na wschodnich kresach perepełką, a w Małopolsce kozą bądź brodą. Był też na Podlasiu zwyczaj chwytania znieńacka gospodarza za nogi i przeciągania dookoła przepiórki. Zdarzyło się, że przeciągnięto gospodynię. Kiedy podwinęła się spódnica, najadła się wstydu, bo dla wygody pracowała w polu bez majtek. Na koniec żniw gospodarz zapraszał robotników na poczęstunek i napitek. Pili po kolei z jednego kieliszka, ostatnie krople strząsając zamasyście na ziemię. W czasie podorywki przepiórkę okalano, pozostawiając kłosa jako dar dla ptaków i myszy, a przepiórka miała zapewnić ciągłość plonów. Niewielu dziś pamięta piękne zwyczaje łączące ludzi w pracy i zabawie. Współczesne dożynki mają zupełnie inny charakter. Przede wszystkim brak im spontaniczności, przybierają w najlepszym wypadku postać rekonstrukcji etnograficznej.

Powszechnym zajęciem wśród mieszkańców Jagodnicy, Terebeli i innych wsi było kopanie torfu. Podobnie jak inne wiejskie prace i to powszechne zajęcie miało charakter ceremoniału, a dla młodych było atrakcyjną formą spotkania i rywalizacji. Maziejukowie, nie gorsi przecież od innych, mieli na terebelskim torfowisku swoją działkę.

W XIX i XX wieku wydobywano torf na Podlasiu jak w innych miejscach w Polsce, na przykład na Pobrzeżu Słowińskim, Mazowszu Płockim czy nadnoteckiej Krajnie. Rozpocynało się na ogół wiosną, po zakończeniu pierwszych prac polowych i w nadziei na przygotowanie opału wysuszonego wiosennym wiatrem i słońcem. Do pracy wychodziły całe rodziny. Nie była specjalnie ciężka, choć w miarę pogłębiania się wykopu zwiększało się niebezpieczeństwo związane z podsiąkaniem wody. Antek, Henryk i killkuletni wówczas Jan Maziejukowie najpierw z rodzicami, a po śmierci ojca sami lub tylko z matką zabierali się do kopania. Najpierw trzeba było zdjąć darń, później sztychem, czyli łopatą o długim trzonku kroić ścianę torfu, w końcu siekaczem, czyli narzędziem o ostrzu wygiętym pod kątem prostym wycinać kostki. Układali je w „koziołki”, susząc w ten sposób kostki na słońcu. Wysuszony torf układali



*Żniwa w gospodarstwie Marysi i Bronka Piwniczuków, następców Antoniego Maziejuka, odbywają się według dawnego zwyczaju, a wieńczy je tak zwany „dożynek”.*

w przyzmy, zabezpieczając przed przemoczeniem, bo nie zawsze w porę udawało się go zwieźć do szopy. Czasem koń grzązł w bagnie, a koła wozu zapadały się w trzęsawisku i trzeba było czekać odpowiedniej pory.

Na terenie powiatu bialskiego istnieją udokumentowane złoża torfu w dawnych dolinach rzecznych i bezodpływowych zagłębieniach. Torf kopano na dużą skalę jako najłatwiejszy do pozyskania opał do lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Niestety, złożo Klukowszczyzna zostało wyeksploatowane. Później torfowiska zarosły, a obecnie spełniają funkcję obszarów retencyjnych wód oraz naturalnych siedlisk rzadkich i chronionych roślin. W gminie Leśna Podlaska wzdłuż drogi powiatowej Cicibór - Leśna Podlaska w 1967 roku utworzono blisko siedemdziesięciohektarowy rezerwat leśny obejmujący dobrze zachowane lasy lęgowe i grądowe z cennymi okazami grabów, dębów, lipy wąskolistnej.

Przeminął czas kopania torfu. Przeminął czas wspólnych prac, naturalnego spoiwa wiejskich społeczności. O kopaniu torfu przeczytamy w „Zmierzchu” Stefana Żeromskiego lub obejrzymy

jako ciekawostkę etnograficzną na „Czarnym Weselu” w Klukach. Dla braci Maziejuków, z których Henryk (1935 - 2009), zostanie znanym dziennikarzem a Jan fotografikiem, kopanie torfu było wspólnym doświadczeniem chłopskich dzieci ze wsi Jagodnicy na Podlasiu.

Pierwszym dzieckiem Bronisławy i Franciszka Maziejuków była córeczka Lodzia urodzona, około 1930 roku. Szczęśliwa matka w niej widziała przyszłą nadzieję i pomoc. Stało się inaczej. Dziecko zmarło w wieku niespełna dwóch lat. Nie był to rzadki wypadek w tamtym czasie. Warunki życia rodzin chłopskich, często bieda, deficyt opieki zdrowotnej stawały się powszechnymi przyczynami chorób zakaźnych. Ospa, dur brzuszny i dur rzekomy, czerwonka, płońca i błonica były chorobami zakaźnymi zgarniającymi tragiczne żniwo. Tylko w roku 1934 na błonicę na ziemiach polskich zachorowało prawie 30 tys. dzieci.<sup>7</sup> Wprawdzie trwały wdrożenia obowiązkowych bezpłatnych szczepień, ale dotyczyły głównie wielkich miast. Na wsiach nikt o tym nie słyszał ani nie wiedział. Lodzia umarła, bo tak Bóg chciał, a matka nie wiedziała nawet, jaka choroba była przyczyną śmierci, bo nikt nie wzywał lekarza. Dziecko pochowano na cmentarzu w Leśnej Podlaskiej. Rodzice opłakiwali stratę, z którą trudno się było pogodzić.

W styczniu 1932 roku urodził się Antoni, duży zdrowy chłopiec, oczko w głowie dziadków Ceniuków. Chuchano i dmuchano na dziecko mając w pamięci niedawną żałobę. Trzy lata później na świecie pojawił się Henryk, którym również na co dzień opiekowali się dziadkowie, bo rodzice zajęci byli w gospodarstwie. Był ostrożniejszy i posłuszny, nie jak Antoni, z którego temperamentem mieli trzy światy. Dziadek chłopców, Andrzej Ceniuk, zmarł w 1937 roku. Po stracie męża babka Zofia Ceniukowa podupadała na zdrowiu i z tęsknoty, i z racji wieku. Zmarła w 16 maja 1938 roku w dniu, kiedy na świat przyszedł ostatni jej wnuk od córki Bronisławy.

Jan Edward Maziejuk urodził się 16 maja 1938 roku w poniedziałek, co odczytywano jako dobrą wróżbę dla dziecka.

Pierwszy roboczy dzień tygodnia - poniedziałek - według ludowych wierzeń - obdarza urodzonych w tym dniu odwagą i wolą walki, nawet ryzykownej. Posiadają talenty artystyczne, a prawie zawsze manualne. Ich życiem rządzi zmienne koło fortuny, szczególnie w sprawach finansowych. Osiągają sukcesy, ale pod warunkiem nieustannej rzetelnej pracy nad sobą.

7 por.: Urszula Sztuka-Polińska: „Sytuacja epidemiologiczna niektórych ostrych chorób zakaźnych w Polsce w okresie międzywojennym XX wieku.” *Przegląd Epidemiol* 2002;56:137-49 ([http://www.pzh.gov.pl/przeglad\\_epimed/56-1/561\\_16.pdf](http://www.pzh.gov.pl/przeglad_epimed/56-1/561_16.pdf)) (dostęp: 15-01-2014).

Tylko matka miała w tym dniu czas dla małego Jasia. Czy przypuszczała wówczas, jakie zdarzenia kierować będą jego losem? Tuliła dziecko, oplakując jednocześnie śmierć własnej matki. Koło życia zaznaczyło swój rysunek uzmysławiając obecnym, że wszystko na tej ziemi ma swój początek i kres, a czas dany każdemu z nas, wypełniamy po swojemu, zmagając się z materią rzeczywistości.

Jaś nie miał szczęścia poznać dziadków, ale starsi bracia i rodzice w domowych rozmowach często ich wspominali. Mały Janek wzrastał w tradycji szacunku dla dziadków i poszanowaniu rodzinnej przeszłości.

Podobnie jak starszych braci oraz inne dzieci w Jagodnicy i okolicznych wsiach pierwsza wzięła go w ręce wiejska babka, akuszerka Marianna Wróbel, bez dyplomów, za to z dużym doświadczeniem. Nie było przypadku, by położnica zmarła. W każdej okolicy kobiety korzystały z opieki i pomocy „babki”, nikomu do głowy nie przyszło wzywać do porodu lekarza. Rodzące towarzyszyły kobiety. Do tajemnego aktu narodzin wstępu nie mieli mężczyźni. Na wielu wsiach zwyczaj ten przetrwał do połowy XX wieku. Współcześnie bardzo rzadko zdarza się, by kobieta zdecydowała się na poród domowy. Wtedy okresowi ciąży i połogu towarzyszyło wiele czynności magicznych, których celem było zdrowie i pomyślność dziecka. Starano się pomóc rodzącej na wiele sposobów: kobiety rozplatały warkocze, rozwiązywano wszystkie węzły, otwierano zamki, a w rodzinach prawosławnych, gdy poród był bardzo ciężki, proszono batuszkę aby otworzył w cerkwi Rajskie Wrota.

W czasie porodu nie wolno było śpiewać. Panowała atmosfera ciszy i powagi. Najważniejsza rola przypadała babce-akuszerce. Nowonarodzonemu dziecku kreśliła na piersi święconą wodą znak krzyża, lnianą nitką zawiązywała pępowinę, po czym kąpała dziecko, bardzo ciasno zawijała je w płótno, czyli powijaki i przynosiła do piersi matki. Kładła je z prawej strony, żeby ssało najpierw prawą pierś, aby w przyszłości było praworęczne. Położnicę odwiedzały kobiety z sąsiedztwa, przynosząc jej i dziecku drobne podarunki.

Uważano, że łatwiej rodzą kobiety niezamężne. Im z pomocą przychodziła Matka Boska. Panieńskie dziecko nazywano bachorem (jidyszyzm) albo bajstrukiem (regionalizm podlaski).

W niektórych domach, kiedy już pępowina odpadała, kładziono ją za drewniany bal w suficie, żeby dziecko rosło wysokie. Gdy szło do szkoły, rodzice dawali mu pępowinę do rozwiązania. Jeżeli dziecku udawało się szybko ją rozwiązać, był to znak, że będzie dobrze się uczyć i poradzi sobie w dorosłym życiu.

Marianna Wróbel pamiętała, że starszy brat Jana - Henryk Maziejuk urodził się w czepku, co miało być wróżbą życiowego powodzenia. Po latach, gdy wypełniło się życie Henryka, w taki sposób odczytać można jego los. Wiejski chłopiec, zbyt wcześnie osierocony przez oboje rodziców, ukończył studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim i zdobył uznanie jak dziennikarz czasopism chłopskich, działacz społeczny i sportowy. Czy była to zasługa czepka czy też chłopskiego uporu i ambicji, to już sprawa interpretacji.

Babce dziękowano i wynagradzano jej pomoc zwyczajowo, najczęściej otrzymywała połąć płótna albo inne wynagrodzenie w naturze.

Nic nie wiemy o pogodzie w dniu narodzin Jana Edwarda Maziejuka, gdy spłotyły się radość z narodzin dziecka i smutek śmierci jego rodzonej babki, o tym milczy rodzinna legenda. Bo i jakże miała przetrwać, kiedy niebawem los zatarł pamięć wielkimi tragediami.

Tymczasem wiejskim zwyczajem po trzech dniach na cmentarzu w Leśnej Podlaskiej pochowano Zofię Ceniukową, a kilka dni później ochrzczono małego Jana Edwarda. Matką chrzestną była młodsza siostra ojca, Felicja. Od niej niemowlę otrzymało chrzconkę jako ważny i znaczący podarunek. Był to płócienny biały ręcznik wykorzystywany przez kapłana w czasie sakramentu chrztu, a później przechowywany w wielkim poszanowaniu przez matkę. Co później stało się z tą pamiątką, nikt nie wie. Po ojcu chrzestnym Edwardzie Polaku z Jagodnicy otrzymał na chrzcie drugie imię i życiową zaradność. Wierzono bowiem, że dzieci dziedziczą cechy także po rodzicach chrzestnych.

Zabrakło dziadków do pomocy w domu. Najstarszy Antoni miał sześć lat, Henio trzy latka i był maleńki Jaś. Gospodarstwo było niewielkie, licząc dzisiejszą miarą, ale trzeba było obrządzić chudobę, był to czas siewów, pracy w polu i ogrodzie. Bronisława Maziejukowa dbała o dzieci i bardzo kochała swych chłopców, ale od najwcześniejszego dzieciństwa wdrażała ich do obowiązków. Wiejskim zwyczajem najstarsze dziecko trzymało pieczę nad młodszymi. Antek pilnował braci, gdy rodzice byli zajęci, a i później, kiedy rodziców zabrakło, stał się rzeczywistym opiekunem osieroconych braci i gospodarstwa. Został na wsi, na rodzinnym gospodarstwie w Jagodnicy, tworząc dom dla braci i ich rodzin. Ukończył tylko cztery klasy szkoły powszechnej, co nie przeszkadzało, że został później najlepszym wśród swoich gospodarzem, ciekawym nowych rozwiązań technicznych. Jako pierwszy we wsi kupił ciągnik i zbudował nowy, obszerny dom.

# Gorzki smak rosółu

W roku 1938 Europa przygotowywała się do nieuchronnego. Śwąd wojny rozchodził się wraz z podstępными ideami i obłądnymi decyzjami Hitlera. W marcu 1938 dokonano anshlusu Austrii. W Niemczech przeprowadzano czystki etniczne realizując praktycznie „Ustawy Norymberskie” z 1935 roku. Nocą z 9 na 10 listopada po raz pierwszy w sposób zaplanowany i zorganizowany dokonano pogromu Żydów, a fakt ten historia pamięta pod nazwą „kryształowej nocy”. Wydarzenia te nie zwiastowały niczego dobrego. Rząd polski zawierał pospieszne sojusze, a dowódcy zapewniali, że nie oddamy nawet guzika.

Które z tych informacji docierały do Jagodnicy? Czy Maziejukowie wiedzieli, jak nadchodzące zdarzenia zmienią ich życie? Pewnie w sąsiedzkich rozmowach pojawiały się strzępy informacji, ale nikt nie miał wyobrażenia o ogromie potworności, jakie przyniesie wielka wojna.

31 sierpnia 1939 roku Biała Podlaska oklejona była afiszami o powszechnej mobilizacji. Franciszek Maziejuk, żołnierz rezerwy, otrzymał przyniesione przez sołtysa Godlewskiego wezwanie do stawienia się w pierwszych dniach września w punkcie mobilizacyjnym na Wołyniu. Nieprzewidziane zdarzenia najbliższych dni uczyniły wezwanie niezasadnym.

1 września kilka minut po 6. rano od strony Białej Podlaskiej dochodziły odgłosy alarmowych syren. Jednocześnie rozległy się wybuchy bomb zapalających, zrzuconych z „Dorniera 17” na Podlaską Wytwórnę Samolotów i przyfabryczne lotnisko. Po chwili płonęły ulice miasteczka. Bombardowania trwały kilka dni. Prerażeni mieszkańcy szukali schronienia w pobliskich wsiach: w Ciciborze,



*Franciszek Maziejuk.  
To jedyny portret w rodzinie.*

Jażwinie, Terebeli. Kilka dni później przez Białą Podlaską przejechały czołgi niemieckie, ostrzeliwując po drodze okoliczne wsie i wznecając pożary. Nieskuteczną i przypadkową walkę podjął nocujący w mieście batalion Zdzisława Niedziałkowskiego. W nierównej, chaotycznej walce wielu żołnierzy zginęło, inni ratowali się ucieczką. Drogi zapełniły się uciekinierami. Główny „rządowy” szlak prowadził w kierunku Rumunii i na Węgry, ale uciekający cywile kierowali się także na zachód, z obawy przed Armią Czerwoną. Naprawdę, nikt nie panował nad sytuacją. Przerażeni mieszkańcy Jagodnicy obserwowali z niepokojem rozbłyski na niebie, odgłosy huków, samoloty. Pozostawało jedynie mocno trzymać się codziennych zajęć, by nie ulec emocjom.

Tymczasem rozkaz Naczelnego Wodza Rydza Śmigłego z godzin popołudniowych 17 września brzmiał: „Sowiety wkroczyły, nakazuję ogólne wycofanie się na Węgry i Rumunię najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, bronić w razie natarcia z ich strony albo prób rozbrojenia oddziałów. Zadania Warszawy i miast, które się miały bronić przed Niemcami, bez zmian. Miasta, do których podejda bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier lub Rumunii”.<sup>8</sup>

Pierwsze oddziały sowieckie pojawiły się w Białej Podlaskiej 23 września budząc strach jednych i entuzjazm innych, szczególnie ludności pochodzenia żydowskiego, świadomej nazistowskiej ideologii, widząc w armii ze wschodu jakiś ratunek. Najpierw komunikaty o napaści Niemców, a od wschodu Rosjanie! W ogólnym chaosie ludzie tracili orientację. Niestety, szybko okazało się jaki ich zamiar. Wkraczali do dworów, szykanowali właścicieli majątków, szukali wszędzie, nawet wśród ludności wiejskiej, przeciwników władzy sowieckiej.

- Byłem zbyt mały, by pamiętać zdarzenia, rozumieć ich sens. Docierały do mnie z czasem strzępy rozmów i opowiadań. Nie było sposobu, by nie mówić, co się wokół działo. Dorośli ścisali głos, nie było już pewne, kto swój.

We wsi Jeziory na Polesiu, tuż przed wkroczeniem wojsk sowieckich, samobójstwo popełnił pisarz i malarz Stanisław Ignacy Witkiewicz. Scenariusze pisane ludzkimi losami przybierają nieprzewidywany kształt. Po latach największy zbiór dzieł Witkiewicza zgromadziło Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, a Nowy Teatr otrzymał imię Witkacego. Po latach Jan Maziejuk, wówczas nieświadom zdarzeń chłopczyk ze wsi Jagodnica na Podlasiu,

<sup>8</sup> cyt za: <http://marszaleksmiglyrydz.blogspot.com/2011/07/rozkaz-20-wrzesnia-1939.html> (dostęp: 15-01-2014).



w Słupsku zyskał sławę i uznanie jako fotografik i fotoreporter, autor wielu cenionych publikacji albumowych.

Na linii Nur - bieg Bugu wyznaczono linię demarkacyjną, wojska radzieckie wycofały się za Bug utrzymując wpływy na Podlasiu Środkowym i Północnym. Pas południowy Lubelszczyzny wraz z Jagodnicą został włączony do Generalnej Guberni. Okupacja niemiecka stała się faktem.

Maziejukowie, szczególnie chłopcy, zapamiętali, że z nakazu władz okupacyjnych ojciec musiał się pozbyć hodowanych z miłością gołębi pocztowych. Henryk Maziejuk przez całe życie pamiętał ojcowskie łzy i gorzki, z ich przyczyny, smak rosółu, który ugotowała matka.

W codzienność z dnia na dzień coraz wyraźniej wdzierała się wojenna rzeczywistość. Niebawem okazało się, co znaczył sojusz niemiecko-sowiecki. Najlepiej ilustruje to historia twierdzy brzeskiej. Po pożarze Pińska w sierpniu 1921 roku, Brześć był stolicą województwa poleskiego, a w twierdzy stacjonowało Wojsko Polskie. Niestety, twierdza miała też pamiętną, niechlubną kartę. Była miejscem przetrzymywania działaczy antysanacyjnych, między innymi Wincentego Witosa przed zbliżającymi się wyborami do sejmiku w 1930 roku.

Kiedy w dniach 14-17 września 1939 roku pod dowództwem gen. Konstantego Plisowskiego trwała ofiarna obrona twierdzy przed zmasowanym atakiem artyleryjskim i lotniczym wojsk niemieckich, okoliczna ludność z nadzieją oczekiwała zwycięstwa. Jednak twierdza poddała się 17 września. Plisowski został ranny. Żołnierze polscy opuścili Brześć, udając się w kierunku Terespoła. Po kapitulacji 28 września - na mocy porozumienia między Niemcami i Sowietami - twierdza przeszła w ręce Rosjan. Z kolei po agresji Niemiec na ZSRR czerwonarmiści bronili jej przed Niemcami od 22 czerwca do 20 lipca 1941, a obrona twierdzy brzeskiej stała się częścią legendy „wojny ojczyźnianej”. Mieszkańcy Jagodnicy patrzyli nocą na jasne od flar niebo, bo aż tu docierał pogłos huku niemieckich samolotów zrzucających bomby i echo ostrzału artyleryjskiego.

Do podlaskich wsi wkroczyli Niemcy. W październiku 1939 roku, zaraz po utworzeniu GG, cały majątek Rzeczypospolitej, w tym także monopole przeszły pod zarządek okupanta. Już na przełomie lat 1939/1940 wprowadzono reglamentację produktów żywnościowych i gospodarskich ze względu na potrzeby gospodarki wojennej.

W początkowym okresie Niemców prawie nie było widać. Mieli swoją placówkę powiatową w Białej Podlaskiej, urzędowali

w gminach, a we wsiach pojawiali się, gdy trzeba było ściągać kontyngenty, którymi byli obłożeni wszyscy bez wyjątku. Czasem pojawiali się w dni wypłaty należności za odstawiony kontyngent. Rzadko płacili pieniędzmi. Za dostarczone dodatkowo płody rolne, takie jak: jajka, mięso itp. chłopcy otrzymywali znaczki premiowe („Prämienmarke”) na zakup różnych towarów: jak części do maszyn rolniczych, np. lemiesz do pługów, buty, tekstylia, tytoń, naczynia, skóry i inne. Niewywiązanie się z obowiązkowej dostawy zagrożone było surową karą.

Kiedy na przełomie maja i czerwca 1941 roku na terenach nadbużańskich pojawiły się duże ilości wojsk niemieckich, mieszkańcy obawiali się nowych restrykcji. W wiejskich stodołach i izbach kwaterowali żołnierze.



*Odpust w Witulinie,  
rok 1940. Bronisława  
Maziejuk z synami  
Antonim (po prawej)  
i Henrykiem.*

W tym czasie w chałupie Maziejuków gościnną izbę zajęli dwaj oficerowie niemieccy. Chłopców intrygowali nieproszeni goście. Szczególnie mały Janek szukał sposobu, by wejść do izby, gdzie w kącie stały karabiny. Czerwcowe dni były ciepłe. Pewnego ranka oficerowie zostawili otwarte drzwi, a małec tylko na to czekał. Wszedł, już sięgał po broń, gdy jednym szarpnięciem Niemiec wyrzucił chłopca izby. Mogło skończyć się gorzej, dla wszystkich. Z tamtego krótkiego czasu inni zapamiętali zapach chleba z wojskowych piekarni, waniliowy budyń, którym częstowali dzieci. „Ten budyń szczególnie pamiętam. Żółciutki, pachnący wanilią i słodki. Taki budyń przynosił po kolacji żołnierz o nazwisku Placek (pisownia prawdopodobnie była inna, ale wymawiało się Placek). Pewnego wieczoru Placek przyniósł większą niż zwykle porcję budyniu i ze łzami w oczach mówił, że to ostatni raz, bo rano maszerują na wschód” - wspominał Henryk Kozuchowski ze wsi Studzianki w gminie Łomazy po wschodniej stronie powiatu Biała Podlaska.<sup>9</sup>

Z rejonu Podlasia 22 czerwca 1941 roku Niemcy rozpoczęli podbój ZSRR. Doskonale uzbrojone jednostki niemieckie właściwie nie napotykały oporu w pierwszej fazie wojny. Do niewoli trafiały całe oddziały armii radzieckiej, tylko w 1941 roku ponad 2,6 miliona żołnierzy przeszło na status jeńca wojennego.

Jeńców umieszczano w obozach organizowanych na zajętych terenach. Do bardziej znanych należały obozy w Białej-Podlaskiej (Stalag 366/2), Chełmie (Stalag 316), Dęblinie (Stalag 307), Łambinowicach (Stalag 344), Siedlcach, Suchożebrach (Stalag 366), Zamościu (Stalag 325 - 3 obozy), we wsi Grondy (Stalag 324)<sup>10</sup>. W pierwszym okresie wobec niedostatków organizacyjnych i ogólnego chaosu zdarzały się ucieczki, skuteczne, jeśli uciekinierzy otrzymali pomoc od miejscowej ludności. Było i tak, że uciekinierzy ginęli w pościgu od niemieckich kul. Zabitych grzebano tam, gdzie padli. Później jeńców wykorzystywano do prac przy kopaniu torfu, regulacji rzeczki Klukówki, naprawy dróg. Prowadzono ich przez Jagodnicę, obdartych i wynędzniałych, ale nie można im było pomóc.

Gubernator dystryktu warszawskiego L. Fischer rozporządzeniem z dnia 27 września 1941 roku oraz generalny gubernator H. Frank ustanowili system kar za udzielanie pomocy jeńcom i skazanym, włącznie z karą śmierci. Mimo to kierowani ludzkim odruchem mieszkańcy podlaskich wsi starali się pomóc uciekinierom,

9 Henryk Kozuchowski: „Szanujmy wspomnienia”. Cz. 1, <https://tadeuszczernek.wordpress.com/2011/04/15/szanujmy-wspomnienia-henryk-kozuchowski-2/> (dostęp: 26-01-2014).

10 Jacek Smolarek: „Zagłada jeńców radzieckich”, <http://sppr.republika.pl/publikacja3.htm> (dostęp: 15-01-2014).

narażając się, jak się okaże, nie tylko na restrykcje okupanta. W rodzinnej historii Maziejuków żywe jest smutne wspomnienie pomocy jeńcom rosyjskim, okupionej ceną życia.

Jesienią 1941 roku Franciszek Maziejuk kończył prace polowe na odległych gruntach między Terebelą a Ciciborem Dużym i Rakowiskami. Szybko zapadał zmierzch, bo dzień był wyjątkowo chmurny i dżdżysty. Pod osłoną ciemności z zarośli na skraju pola wyszli dwaj mężczyźni i po rosyjsku, przyciszonym głosem poprosili o pomoc. Widocznie obserwowali pracującego w polu cały dzień, by mieć pewność, że nikt więcej ich nie zobaczy. Franciszek Maziejuk w odruchu serca zabrał ich na wóz i przywiózł do domu. Żona Bronisława ugotowała kartofle i buraki, nakarmiła wynędzniałych uciekinierów. Jednym z nich był Michaił Mykytiuk, inżynier metalurg z Ukrainy. Przenocowali na słomie obok kuchennego pieca, a nad ranem przebranych w ubrania gospodarza i zaopatrzonych w chleb i słoninę Franciszek Maziejuk wyprowadził do lasu zwanego Kuranowem. Tam mieli przeczekać dzień, a nocą ruszyć dalej do Worgul omijając Witułlin, gdzie stacjonował niemiecki oddział. Radził im, by najgorszy czas przczekali w lesie Floria. Jak się później okazało, Miszka i Grisza skorzystali z rady, wiedzieli przecież, że front posuwał się na wschód. Pojawiali się w Jagodnicy i później, chcąc nie chcąc, zwiastując nowe kłopoty.

Tymczasem gospodyni pospiesznie uprzątała izbę ze słomy. Tyle było tam wszy, że trzaskały w ogniu. Obawy narastały, teraz bali się nie tylko represji Niemców, wiedzieli, że w okolicy ludzie chorowali na tyfus. Kolejnej nocy mały Janek obudził się rozpalony temperaturą. Zachorował. Po kilku dniach cała rodzina zaległa z niemocy. Najdłużej chorobie opierał się ojciec Franciszek, dogłądając bliskich i dobytku. Nie mogli liczyć na pomoc, bo miejscowy weterynarz Paweł Jakimiuk i Czesław Wadowski, odpowiedzialny za zgłaszanie chorób zakaźnych, mieli zakaz udzielania pomocy chorym na tyfus. Obowiązywała zasada absolutnej izolacji. Jedyne siostra Bronisławy - Paulina Misiejuk i sołtysina Emilia Godlewska z litości zaglądały z ciepłą strawą. Ze Swór przyjeżdżała krewna Bronisława Werbińska, by zająć się inwentarzem.

Po kilku dniach choroby w dniu 18 listopada 1941 roku w wieku 42 lat Franciszek Maziejuk zmarł, leżąc w jednym łóżku z synem Antkiem. Ceremonia pogrzebowa była pospieszna. Sąsiedzi

*Obwieszczenie wojenne w sprawie obowiązkowych kontyngentów na rzecz okupanta.*

# Gospodarze i Gospodynie!

Przydział premii za cały szereg produktów rolnych znacznie podwyższono, a szczególnie za dostawę jaj, drobiu, mleka, owoców, warzyw i wieprzów rzeźnych. Nawet przy odstawieniu takiej samej ilości produktów otrzymacie więcej premii w porównaniu z dotychczasowymi przepisami. Wzmóżona dostawa przyniesie Wam niezmiernie wielką ilość premii. Teraz bardziej, niż kiedykolwiek leży w Waszym własnym interesie odstawianie Waszych produktów rolnych w punktach zbornych w ilości większej, niż wyznaczone kontyngenty.

## To się naprawdę opłaca!

### Przy dostawie:

3 kurczaków . . . . .  
 160 jaj . . . . .  
 100 litrów mleka stosownie do zawartości tłuszczu . . . . .  
 1 kg masła . . . . .  
 warzyw wszelkiego rodzaju, również rosnących dziko, a nadających się do celów spożywczych, wartości 50 zł  
 owoców wszelkiego rodzaju pestkowych i jagód krzewów owocowych, jak również dziko rosnących jagód, owoców i grzybów wartości 50,— zł. . . . .

100 kg (żywej wagi) wieprza klasy I . . . . .  
 100 " " " " " " II . . . . .  
 100 " " " " " " III . . . . .  
 100 kg (żywej wagi) wołu . . . . .  
 100 " " " " " " cielęcina . . . . .  
 100 " " " " " " barana . . . . .  
 100 " " " " " " konia rzeźnego . . . . .  
 Zwierząt hodowlanych . . . . .

Ziemniaków wartości 100,— zł . . . . .  
 100 kg owsa, tańarki, prosa . . . . .  
 100 " żyta, jęczmienia . . . . .  
 100 " kukurydzy . . . . .  
 100 " grochu pastewnego, wyki, peluszki, bobu, łubinu  
 100 " pszenicy . . . . .  
 100 " grochu polnego . . . . .  
 100 " grochu żółtego Wiktoria, groszku zielonego, fasoli, soczewicy . . . . .  
 100 kg nasienia konopi . . . . .  
 100 " " " " " " lnu, gorczycy, słonecznika . . . . .  
 100 " rzepaku i rzepiku. . . . .  
 100 " maku . . . . .

### otrzymujecie:

4,5 kg cukru  
 4 kg cukru i 2 l wódki  
 do 32 punktów premiowych  
 6 punktów premiowych  
 7 1/2 punktów premiowych

10 punktów premiowych  
 i 3 paczki sacharyny  
 360 punktów premiowych  
 200 " " "  
 40 " " "  
 20—75 " " "  
 30—60 " " "  
 40—50 " " "  
 15 " " "  
 (Informacji udzielają Urzędy  
 Hodowli Bydła)

30 punktów premiowych  
 8 " " "  
 10 " " "  
 11 " " "  
 12 " " "  
 10—13 " " "  
 15 " " "  
 20 " " "  
 25 " " "  
 30 " " "  
 35 " " "  
 50 " " "

## Za 100 punktów otrzymujecie:

5 m sztucznego jedwabiu na suknię, albo innych materiałów, 5 litrów wódki, 300 papierosów, 5 kg towarów żelaznych, wyrobów skórzanych wartości 10 zł, środków do prania, albo świec wartości 10 zł, towarów użytku domowego wartości 5 zł.

ciało zawinęli w płachtę z łóżka, włożyli do zbitej z desek trumny i pochowali na cmentarzu w Leśnej Podlaskiej bez udziału księdza. Nikt z bliskich, złożonych chorobą, nie uczestniczył w pochówku.

Po pogrzebie żałobnicy dla dezynfekcji raczyli się alkoholem, który gospodarz zgromadził jako zapłatę za dostarczony kontyngent.

Najdłużej i bardzo ciężko chorował Janek. Dzięki Bogu, wyszedł z choroby, ale bardzo wymizierowany, dziwnie pokręcony i z mową zniekształconą jękaniem, częstym powikłaniem duru plamistego, jakim jest niedowład języka. Wtedy nikt o tym nie wiedział, liczone na cud Boży, taki, jaki było ocalenie dziecka ze śmiertelnej choroby. Wydobrzył dopiero po kilku miesiącach, ale jak sam wspomina tylko po to, by zrozumieć, że właściwie skończyło się jego dzieciństwo. Śmierć ojca obciążała chłopców poczuciem wielkiej straty i dodatkowymi obowiązkami, którym musieli sprostać.

Dur plamisty popularnie zwany tyfusem pojawiał się w okresach wojen i głodu. Jako plaga był znany w starożytności. Do zakażenia dochodziło, gdy chory drapiąc się po ciele wcierał zarazki w uszkodzony przez wszy naskórek. Wyszuszony kał wszy był przyczyną zakażenia błony śluzowej oczu i jamy ustnej.

Osieroceni bracia z wdzięcznością wspominali sąsiada Mariana Godlewskiego, który w najtrudniejszym okresie przychodził z pomocą. Był człowiekiem odważnym i pomysłowym. Uprawiał tytoń, który w całości przejmowany był przez okupanta dysponującego monopolem, ale producentowi przysługiwały deputaty reglamentowanych produktów, między innymi nafty. Jako dobry sąsiad dzielił się nią z Maziejukami. Kiedy zabrakło nafty, oświetlali izbę karbidówką, ale trzeba było być bardzo ostrożnym, bo karbid łatwo wybuchał. Ponadto karbidówki wykonane domowym sposobem w mieszkaniach używane były niechętnie ze względu na nieprzyjemny zapach. Nie było jednak wyjścia, ponieważ świece były drogie, a nafta reglamentowana. Jako producent tytoniu Godlewski mógł wybudować suszarnię, a w niej ukryć żarna, z których korzystali także sąsiedzi. Potajemnie nocą mielono żyto na razową mąkę, z której kobiety wypiekały chleb.

Dla dorosłych wojenna rzeczywistość była trudna do zniesienia, jeszcze smutniejsze było życie dzieci, które musiały wchodzić w rolę dorosłych, choćby w staraniach o żywność. Najtrudniejsze były jednak sytuacje, kiedy dzieci musiały decydować jak dorośli.

20 stycznia 1942 r. na konferencji w Wannsee na przedmieściach Berlina zapadła decyzja rozpoczęcia operacji ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej, Endlösung der Judenfrage.

We wrześniu 1942 r. Niemcy przystąpili do likwidacji getta w Białej Podlaskiej. Rozstrzelali blisko tysiąc pięciuset Żydów na terenie getta i na kirkucie. Henryk Maziejuk był przypadkowym świadkiem masakry.

„Jechaliśmy furmanką ulicą Janowską w kierunku centrum. W stronę przeciwną do żydowskiego cmentarza, kirkutu, ciągnęły jeden za drugi drabiniaste konne wozy. Furmanki były załadowane po brzegi, aż do wysokości kłonic, ludzkimi zwłokami. Ciała niczym worki z kartoflami były poukładane warstwami. Moją uwagę zwróciły przerażone, wybałuszone i zapadłe oczy. Spomiędzy szczebli drabin wystawały ręce. Mama ukradkiem ocierała łzy. W mojej głowie to wszystko nie mogło się pomieścić. Nocą budziłem się złany potem.”<sup>11</sup>

Pozostałych przy życiu, łącznie z ludnością żydowską z Janowa Podlaskiego i Konstantynowa w liczbie około sześciu tysięcy osób, odprawiono pieszo do Międzyrzecza Podlaskiego. Tam w obrębie getta był punkt zborny. W dniach 26 września i 6 października 1942 r. z Międzyrzecza Podlaskiego ruszyły transporty kolejowe do obozu w Treblince.

W tym czasie, od września do listopada 1942 r., miały miejsce liczne i często udane ucieczki Żydów z gett. Ratująca się ucieczką ludność żydowska rozpraszała się po okolicznych lasach, budując w nich prowizoryczne szałas i bunkry. Część uciekinierów kryła się w chłopskich zabudowaniach, szukając pomocy u mieszkańców wsi. Mieszkali kiedyś obok siebie, teraz stawką było życie. Nawet jeśli ktoś im pomagał, zachował to w tajemnicy, bo wojna sprawiła, że nikt nikomu już nie wierzył. I nie dlatego, że był złym człowiekiem. To zwierzęcy strach sprawiał, że ludzie zachowywali się podejrzliwie.

Kiedy pewnego ranka Henio Maziejuk poszedł do szopy po torf, przestraszył się, gdy ze złożonej słomy wychynęła głowa kobiety. Przerażony przybiegł do matki i opowiedział co go spotkało. - Nie wolno ci o tym nikomu mówić, bo wszyscy zginiemy - powiedziała matka, a on wiedział, że nie żartuje. Zostawiła chłopców i poszła do szopy. Zastała tam znajomą Żydówkę, właścicielkę sklepu bławatnego z Białej, która prosiła, by dać jej schronienie w zamian za towar pozostawiony w sklepie. Ale gdzieżby miała ją schować i jak utrzymać, kiedy sama z synami ledwo dawała sobie radę. Miała w pamięci pomoc, której jej mąż udzielił rosyjskim jeńcom, dobrze pamiętała, jakim nieszczęściem się to skończyło. Jeszcze nie otrząsnęła się z żałoby. Nie mogła narażać życia dzieci. Pozwoliła

11 Henryk Maziejuk: „W czepku”, op. cit., s.108.

kobiecie pozostać przez dzień, a następnej nocy odprowadziła ją do lasu, gdzie ukrywali się inni. Bolała nad własną stratą, tym bardziej rozumiała biednych ludzi zagonionych przez oprawców na skraj człowieczeństwa. Nie mogła ich ocalić. Musiała ocalić swoje dzieci, za nie była odpowiedzialna.

Powojenny okres spolaryzował wzajemne relacje. Rodziły się ambiwalentne uczucia, z jednej strony współczucie i empatia, z drugiej żal i złość z powodu zachowań konkretnych ludzi pochodzenia żydowskiego. Dawne różnice ekonomiczne, popularność na Podlasiu poglądów narodowców, obawiających się demograficznego zagrożenia, postawa wobec najeźdźcy sowieckiego, a później nowego powojennego porządku, oddalały od siebie ludzi mających kiedyś wspólne ulice i wspólnych znajomych. Po dzień dzisiejszy wracają dawne sprawy i postawy, zarówno szlachetne, jak i wstydlive. Często na wzajemnych relacjach ważą nieuzasadnione stereotypy i wyobrażenia. Ostatni film Agnieszki Holland „W ciemności” jako kolejna wypowiedź artystyczna opisuje złożoność problemu i ludzkiej psychiki, a „Pokłosie” Władysława Pasikowskiego przypomina wielopokoleniowe zaszłości i przemilczenia w relacjach polsko-żydowskich.

Wielkie bitwy rozgrywały się gdzieś dalej, ale co rusz zahaczały o dom Maziejuków z Jagodnicy. Henryk i Jan Maziejukowie w książce „Jagodnica” opowiadają o zdarzeniach, które dotyczyły rodziny po śmierci ojca.

W 1943 roku jacyś, pozał się Boże, partyzanci, a raczej bandyci, podpalili zabudowania gospodarcze w przekonaniu, że jest tam ukryta bolszewicka broń. Wśród sąsiadów byli ludzie uczynni i wspaniałomyślni, byli też podejrzliwi i nikczemni. Ktoś doniósł Niemcom, że Maziejukowej pomagają zbiegli jeńcy. Była to prawda. Jeden z uratowanych ukrywał się w lesie i pomagał w trudniejszych robotach, zjawiając się butnie i bez zaproszenia. Kiedy przyjechali Niemcy, Misza uciekł. Był zaprawiony w sztuce zapadania się pod ziemię. Oprawcy skatowali Bronisławę Maziejukową na oczach dzieci i nakazali stawić się następnego dnia w Gestapo w Białej Podlaskiej przy ulicy Prostej. Nie było odwołania. Zmasakrowaną po dwóch tygodniach przywiózł do domu stryj Stanisław Maziejuk z Terebeli. Nigdy nie opowiedziała synom, co przeżyła. Już nie wróciła do zdrowia.

Dzięki sąsiedzkiej pomocy postawiono niebawem budynek gospodarczy ze starego materiału z odległych Łomazów, który wskazały władze niemieckie. Działy się rzeczy niepojęte. Chałupa ludzi skazanych na zagładę stała się stajnią w Jagodnicy. Stajnią, stajenką ratującą z opresji wyrządzonej czyjąś podłością.



Zdrowie matki niepokoiło synów. Starali się wyręczać ją we wszystkich pracach, lecz ona marniała w oczach. Różnymi sposobami zdobywali pieniądze na leczenie.

- Mama bardzo chorowała i każdy pieniądź był przeznaczony dla niej. Zarobiliśmy sporo grosza na zbieraniu ziół. Razem z bratem Henrykiem przez cały sezon przeszukiwaliśmy pola i łąki



*Jagodnica, rok 1953. Skok do wody rzeczki Klukówki.  
W dole od lewej: Henryk Maziejuk, brat Jana.*

w poszukiwaniu ziela. Porad i wskazówek udzielała nam mama. Uczyła, co zbierać i jak. Wychodziliśmy rankiem i zrywaliśmy piołun na lichych miedzach, miętę, rdest, przetacznik, kwiaty rumianku i dziurawca. Zrywaliśmy kwiat dzikiego bzu i chabry. W lasach szukaliśmy liści brzozy, przy drogach polnych kwiatu lipy, kory wierzbowej i innych ziół. Znosiliśmy ten zielony majdan do domu i zaczynało się suszenie, też według wskazówek mamy. Uważaliśmy, żeby był przewiew, by zioła się nie zaparzyły i nie stęchły. Część mama zostawiała w domu, ale głównie odnosiliśmy do skupu do zielarza.

- Leczenie ziołami było wówczas bardzo popularne. Każda kobieta zbierała je dla własnej rodziny. Zioła były pierwszym ratunkiem w wypadku choroby. Herbatka z piołunu pomagała na bóle brzucha, w czasie wojny była pierwszym lekarstwem dla chorych na czerwonkę (dyszenterię). Na gorączkę i przeziębienie nie było nic

lepszego niż herbata z kwiatu lipy lub liści i kwiatu maliny. Dziurawcem leczono dolegliwości wątrobowe i trudno gojące się rany. Suszone czarne jagody uważano za najlepsze lekarstwo przy biegunkach i niestrawnościach. Takim sposobem stawaliśmy się zielarzami z konieczności. Czasem było tak, że zrywaliśmy ziele, nie zdając sobie sprawy z jego przydatności. Taka na przykład pokrzywa. Najchętniej zjadały ją, sparzoną z plewami, nasze wieprzki. Kiedy tylko pojawiała się maleńka i był czas wylęgów, mama siekała ją drobno z nie zależonymi ugotowanymi jajkami i w pierwszych dniach tak karmiła kurczęta. Ale pokrzywa jest lekiem, ma właściwości oczyszczające, pomaga w leczeniu anemii, ułatwia tamowanie krwotoków, jest dobra na stany reumatyczne. Wysuszone liście w postaci naparu piliśmy zimą, a osłabione chorobą włosy mama płukała w naparze z pokrzywy.

- Ziołami zajmowali się przede wszystkim znachorzy i zielarze. Najbardziej znanym w okolicy był znachor Józef Melaniuk z Cełujek koło Swór, do którego woziliśmy mamę. Kiedyś i mnie leczył ten znachor. Na czole powyżej nasady włosów wyrósł mi guz wielkości kurzego jaja. Nikt nie wiedział dlaczego i co z nim zrobić. Wtedy Antek zawiózł mnie i mamę do Cełujek. Znachor polecił robić okłady z końskiego moczu. Pilnowałem tylko, żeby mocz był świeży. Nasz koń był moją apteką. Leczenie trwało długo, ale było skuteczne, a jesienią została już tylko blizna. Odetchnęliśmy z ulgą, bo ludzie różnie o mojej chorobie mówili. Czasem myślałem, że tym razem nie wywinę się kosztusze.

- Mało kto jeździł do doktora. Ludzie nie mieli pieniędzy, a leczenie kosztowało. Także po wojnie, ponieważ rolnicy indywidualni nie byli ubezpieczeni. Chłopskie rodziny nie miały bezpłatnej opieki zdrowotnej, chociaż w latach 1945 - 1989 stworzono w Polsce rozwinięty system ochrony zdrowia, włączając prywatne praktyki lekarskie. Dostęp do opieki zdrowotnej na wsi poprawił się w 1972 r., kiedy ubezpieczenie zostało rozszerzone na rolników.

Choroba matki nakładała na chłopców dodatkowe obowiązki. Sześcioletni Janek pełnił obowiązki potrzódki, czyli pomocnika pastucha. Obraz dziecka w tej roli świetnie nakreślił Henryk Sienkiewicz w „Janku Muzykancie”. Pisarz urodził się na Podlasiu, w Woli Okrzejskiej, znał realia regionu i choć upłynęło niemal stulecie, było na wsi wypasano na podobnych zasadach. Pastwisko położone było nad Klukówką, nosiło nazwę Bagno i leżało w dolinie na północny wschód od lasu Bagonica.

- Najpierw od czasu do czasu, zastępując starszych braci Antka lub Heńka, a po śmierci matki obowiązkowo pełniłem obowiązki

potróżdki. Od połowy maja, kiedy zaczynało wypas, do połowy października wstawałem około piątej rano, pakowałem do płóciennej torby dwa jajka na twardo, kawałek zasolonej słoniny i chleba, blaszanekę kawy zbożowej i szedłem za krowim ogonem. Właściwie za dwoma, bo w gospodarstwie były zazwyczaj dwie krowy. Wieczorem razem z pastuchem zganiałem bydło do wsi, około 80 krów i cieląt. Latem nie było kłopotu, ale w czasie nauki albo opuszczałem lekcje, albo pomagałem zagnać krowy na odległe pastwisko, wracałem do domu i biegłem do Witulina do szkoły. Co to była za nauka, gdy nogi bolały i spać się chciało. Mimo to pamiętam i z sympatią wspominam moją szkołę w Witulinie, której historia sięga XIX wieku.

- Długi letni dzień na pastwisku trzeba było wypełnić. Nie zabierałem książek, czytanie nie było moją mocną stroną. Byłem natomiast mistrzem w łowieniu ryb różnymi metodami. W dołach po wydobywaniu torfu tworzyły się wodne zastoiny. Wystarczyło zamącić wodę, a ryby wypływały za powietrzem. Wtedy trzeba było zręcznie zarzucić wiklinowy kosz i szybko wyciągnąć. Najczęściej były w nim karasie, czasem lin lub szczupak. Na posiłek dla rodziny w sam raz.

- Później łowiliśmy inaczej. W czterdziestym czwartym i później, gdy przetoczył się front, znajdowaliśmy porzuconą broń, głównie granaty niemieckie i rosyjskie, i pancerny. Były wszędzie, najwięcej na starym unickim cmentarzu w Terebeli, na którego skraju doszło do starcia między Niemcami i Rosjanami. Obok cmentarza gościńcem gnaliśmy krowy na pastwisko. Starłem się tylko, żeby nikt z domowników nie wiedział, jak się zabawiam. Dopuściłem do tajemnicy Heńka, ale mama nic nie mogła wiedzieć. Nad Klukówką do spłonki przywiązywałem długi sznur. Granat przymocowany do kija wbijałem w dno rzeki i na brzegu czekałem. Gdy przepływała ławica ryb, szarpnąłem za sznurek i następował wybuch. Ryby razem z wodą wyrzucało na brzeg, wtedy wskakiwałem do wody, zbierałem pozostałe, by woda ich nie poniosła. Robiliśmy to z Heńkiem, który na brzegu zbierał ryby, bo tylko do tego się nadawał.

- Z powodzeniem łowiliśmy kłomlą na Kulkówce. Już jako dorosły próbowałem łowić kłomlą z bratankiem. Emocje były takie same, ale połów skromniejszy.

- Tak, wiem, to było kłusownictwo, ale dzięki temu nie cierpieliśmy głodu. Teraz myślę, że sposób w jaki nas, biednych ludzi traktowano, też w porządku nie był. Musieliśmy sobie radzić, najpierw z chorobą mamy, a po jej śmierci, dać radę sami sobie.

- Kłusowaliśmy nie tylko na ryby. Gdy przychodziła zima, chodziliśmy z Antkiem na zajęce i kuropatwy. Heniek się do tego nie nadawał, zresztą mieszkał później w internacie w Leśnej, bo uczył się na nauczyciela w tamtejszym liceum.

- Ptactwa i zajęcy było pod dostatkiem. Miałem niecałe dziesięć lat, ale wystarczająco dużo determinacji i sprytu. Mój sposób był prosty. Z długiego włosia z końskiego ogona robiłem przesuwa-  
jące się oczko. Końcówkę przybijałem do deski. Ustawiałem wnyk w polu, gdzie gromadziły się ptaki, które wcześniej zanęciłem plewami. Z samego rana biegłem, by wyprzedzić bezpańskie psy. Zwykle w sidłach znajdowałem kilka ptaków. Był to dla nas ratunek na przednówku. Pamiętam trudny przednówek 1948 roku. Mama prosiła, bym schwytał chociaż wronę. Niestety, to duże i silne ptaki. Zrywały moje sidła. A mama słabła z dnia na dzień.

- Kiedy wspominam tamten czas, myślę o własnych synach i wnukach. Czasem narzekają, wtedy opowiadam im o naszym dzieciństwie, jak sobie radziliśmy i jakie były nasze zabawy.

- Często graliśmy w palanta na dużym podwórku u Kawków. Gdzie tylko było więcej miejsca dla kilku osób, rozgrywaliśmy piłkiera, urządzaliśmy dwa ognie, siatkówkę, rozgrywki w piłkę nożną. Najbardziej lubiłem jazdę fajerką. Potrzebny był odpowiednio

*Rodzinna wieś Jana Maziejuka - Jagodnica - w latach 60.*



wygięty drut, który trzymał koło w pionie. Każda ścieżka się nadawała do jazdy i wyścigów. Później robiliśmy wyścigi obręczami starych rowerów. Wystarczył mocny leszczynowy kij, trochę sprytu i wyczucie równowagi. A ile było przy tym radości!

- Wstałem jak zwykle przed piątą. Musiałem wydoić i wygnać krowy na pastwisko. Heniek przeżywał porażkę po egzaminach do liceum pedagogicznego, do niczego się nie nadawał. Krzątał się w kuchni przy śniadaniu. Antek już był w polu poza domem. Robił podorywki pod Terebelą. Było chyba przed ósmą, gdy usłyszałem krzyk Heńka: Mama nie żyje! Nie rozumiałem. Płakał i przez płacz coś jeszcze mówił. Stałem przy studni, kręciółkiem czerpałem wodę. Upuściłem wiadro i przez pole pobiegłem do cioci Pauliny,



*Białka koło Radzyna Podlaskiego, rok 2012. Miejskowy pałac. W latach 50. XX wieku mieścił się w nim dom dziecka, z którym los związał w dzieciństwie Janka Maziejuka. Obecnie po remoncie okazały budynek jest własnością prywatną. Zdjęcie wykonał Tadeusz Martychewicz.*

siostry mamy. Niewiele pamiętam. Później na cmentarzu w Leśnej Podlaskiej otwarto trumnę. Mama leżała ze strużką krwi z nosa, w granatowej sukience w groszki z żółtym paskiem. Do dziś słyszę dudnienie ziemi o wieko trumny.

- Mama zmarła 19 sierpnia 1950 roku. Miała czterdzieści dwa lata, Antek siedemnaście, Heniek czternaście, ja jedenaście.

- W październiku w drodze wyjątku i na próbę Henryk został przyjęty do wymarzonego Liceum Pedagogicznego w Leśnej Podlaskiej i wkrótce zamieszkał w internacie. W domu zjawiał się rzadko. Antek pracował w polu, ja musiałem pilnować domu i inwentarza. Kiedy gotowałem kartofle dla świń, stawałem na stołku, by postawić gar, bo płyta kuchenna była dla mnie za wysoka. Gotowałem i dla nas. Musieliśmy coś jeść. Mimo to Antek coraz częściej chodził zdenerwowany, a ja na tym cierpiałem, bo dostawałem ciągi bez

Rok 1953. Bon  
mięsno-tłuszczowy  
z przydziałem mydła  
i proszku. Po raz  
drugi do tego sposobu  
reglamentacji powrócono  
w latach 80.

1-I Mięso 100	4-I Mięso 100	4-I Mięso 50	4-I Mięso 50	III-C-1 1	II-C-1 Cukier 1000	III-C-1 2	III-C-1 3	III-C-1 125
1-I Mięso 50	<b>III-C BON MIĘSNO-TŁUSZCZOWY</b> 12 m-c styczeń 1953 r. Nazwisko i imię ..... Adres .....					III-C-1 5	III-C-1 50	
1-I Mięso 50						III-C-1 6	III-C-1 25	
III-C-1 Odcinek rejestr. 1 Dni wykupu .....	III-C-1 Odcinek rejestr. 2	III-C-1 Odcinek rejestr. 3	II-C-1 MYDŁO	II-C-1 PROSZEK	III-C-1 4			

powodu. Teraz, jako dorosły wiem, że i jego sytuacja przerastała. Od czasu do czasu przychodziła wujenka Bronisława Werbińska ze Swor, trochę sprzątnęła, uprała, ugotowała i musiała wracać. Zaglądali do nas Godlewscy i Koszałkowie, wspaniali sąsiedzi, pomagali w miarę możliwości. Bieda była wszędzie, a nam czasem potrzeba było trochę serca i nadziei.

- Do domowych wydatków trzeba było doliczyć opłatę za internat Heńka, ale Antek nie miał pieniędzy. Wydawało się, że to koniec Heniowej nauki. Wtedy któryś z nauczycieli podpowiedział mu, żeby napisał list do Bieruta. Czego nie zrobi zdesperowany dzieciak! Odpowiedź przyszła, gdy już nikt się jej nie spodziewał i była konkretna. Heniek został objęty opieką Państwowego Domu Dziecka w Sitniku. Dom dziecka uregulował jego należności w internacie, dawało mu to szansę na ukończenie szkoły. Stamtąd otrzymywał też odzież, wprawdzie z wojskowego demobilu, ale miał płaszcz i buty na zimę. Bardzo się cieszył. W tym samym piśmie rozstrzygnięto też moją sprawę, o czym dowiedziałem się znacznie później. Powinienem być się zgłosić do domu dziecka w Białce koło Radzyna Podlaskiego.

Dom dziecka urządzony był we dworze Bronisławy z Woronieckich Doria-Dernałowiczowej. W czasie wojny we dworze stacjonowali Niemcy, później Rosjanie. Został zniszczony w ostatnim okresie, ale po wojnie naprędce odremontowano dom i do 1949 r. funkcjonował tu sierociniec prowadzony przez Zgromadzenie Siostry Miłosierdzia. W 1949 r. władze oświatowe PRL urządziły w nim Państwowy Dom Dziecka, funkcjonujący do dzisiaj.

- Zamiast mnie do Białki potajemnie pojechał Antek. Tam oświadczył, że do ukończenia szkoły podstawowej będę pod jego opieką, a należną mi odzież i inne przydziały osobiście będzie odbierał. Miał w tym interes. Sam w gospodarstwie nie dałby sobie rady. Byłem mu potrzebny jako robotnik. Nie wiem czy wtedy kierował

się braterskimi uczuciami. Zresztą, który z nas sięgał myślami dalej niż jutro. Walczyliśmy o przetrwanie, on też. Starał się zachować rodzinne gospodarstwo, co w tamtym czasie nie było łatwe. Wiem o tym teraz. Wtedy miałem poczucie krzywdy i żal do Antka. Sprawa wyszła na jaw, kiedy dostałem się do zawodówki w Białej Podlaskiej i zamieszkałem w internacie. Okazało się, że jestem wychowankiem domu dziecka, który będzie pokrywał moje należności. Wszystko zrozumiałem i wykrzyczałem bratu swoją krzywdę. Rozstaliśmy się w niezgodzie. Nawet na święta nie przyjechałem do domu. Wolałem być wśród rówieśników w Białce. Rozumieliśmy się, bo nikogo z nas, mieszkańców domu dziecka, los nie oszczędzał. Każde z nas nosiło swój dramat. Mój gniew wygasł długo. Czułem się oszukany i wykorzystany przez najbliższą mi po śmierci rodziców osobę. Tak, to był rok 1953.

Tymczasem Janek dni spędzał w polu z motyką kopiąc kartofle. Nie myślał o szkole. Robota goniła robotę, a jego poganiał Antek. Był smutny i rozżalony na los. Musiał nauczyć się gotować. Parę razy wujenka pokazała mu, jak zrobić najprostsze potrawy, później kucharzył sam.



*Jagodnica, rok 1953. Gry zespołowe, szczególnie piłka siatkowa była ulubionym sportem wiejskich chłopaków. Na fotografii: Drużyna LZS Jagodnica - Kazimierz Czerkies, Jan Maziejuk, Henryk Maziejuk, Zygmunt Szołocha, Edward Polak, Józef Artymiuk.*



*Jan Maziejuk w latach  
1955 - 1959.*

- Upłynęło od tamtego czasu ponad pół wieku z okładem, a do mnie przychodzą straszne sny. Słyszę, jak w oborze gra orkiestra. Kakofonia: ryczą krowy, kwiczą wieprzki, owce beczą, a ja budzę się z przerażeniem, że nie nakarmiłem żywiny. Po chwili dopiero zdaję sobie sprawę, że jestem w Słupsku, w swoim mieszkaniu. Od tamtego czasu, od roku 1958 moje związki z Podlasiem były sporadyczne lub inaczej, jak planowa gospodarka - plan trzyletni, później pięcioletni. Po prostu, ojcowizna mojego dzieciństwa miała gorzki smak. Mimo to nie wypieram się jej i jako stan społeczny podaję: Podlasiak, spod Radziwiłłów.

- Do teraz pamiętam, jak zrobić prażuchy czy pyzy, które nazywaliśmy pierdołami.

W styczniu 1951 roku Antek ożenił się z Franciszką Dymitruk z nieodległej wsi Sławacinek. Tak jak trzeba wesele odbyło się w domu panny młodej przy udziale licznych obu rodzin i sąsiadów. W chacie przy z wiejska zastawionym stole było tłoczno, goście brali w rękę mięsa, kiełbasę i chleb i pogryzali, rozmawiając na stojąco, inni bawili się na tańcach.

- Byłem wszędzie - ciekawy potraw, tańców, zwyczajów. Kiedy nadeszła pora odpoczynku, zmęczony znalazłem miejsce w łóżku obok młodych. To była moja pierwsza noc poślubna.

- Następnego dnia urządzono przenosiny. Saniami do Jagodnicy jechali młodzi prowadząc przy saniach krowę, na saniach w słomie pokwikały związane w worku dwa prosiaki, obok kufer z bielizną, pierzyną i poduchami, święty obraz, który do dziś wisi w jagodnickim domu. Za saniami młodych ciągnął cały orszak gości. Ale zabawa





*Teresa Wadowska  
z Jagodnicy, sympatia Jana  
Maziejuka w latach 60.*

w Jagodnicy nie trwała długo. Między weselnikami ze Sławacinek i naszymi doszło do zwady z błahego powodu. Jedni uciekali przed biatyką, inni próbowali sił, na szczęście poza domem. Zostaliśmy sami, a z nami Frania, dobry duch naszego domu na dalsze lata. Opierała nas, obszywała, trochę mi matkowała, choć nie była dużo starsza.

- Liczyłem, że brat zwolni mnie z gospodarskich obowiązków, ale tak się nie stało. Tyle że Frania zastąpiła mnie przy kuchni i ona gotowała prażuchy lub pyzy. Także wtedy, kiedy na dobre wyszliśmy z domu i przyjeżdżaliśmy w odwiedzinach. Po niej umiejętności kulinarne przejęła Marysia Piwniczuk, moja zamężna już bratanica. Lubimy te potrawy do dziś.

---

### ***Prażuchy według kuchni Janka***

*Ugotuj obrane ziemniaki, odlej, zostawiając nieco wody. Wsyp na ziemniaki mąkę, około szklankę, przykryj i praż na kuchni do czasu, aż mąka zmieni kolor. Teraz wszystko razem trzeba utłuc w garnku. Wybierając łyżką, wyrabiaj kluski i wkładaj na patelnię na rozgrzany olej lniany lub makowy. Usmażone z dodatkiem cebuli nakładaj na talerz i jedz, częstuj domowników i gości, popijając mlekiem lub maślaną.*

### ***Pyzy***

*Ugotowane ziemniaki utrzyj lub zmiel. Surowe ziemniaki zetrzyj na tarce, odcisnij. Połącz obie masy w proporcji 1:3, dodając łyżkę mąki żytniej i krochmal, który zebrał się na dnie odcisniętego z ziemniaków soku. Posól, popieprz ciasto. Wyrabiaj ręką. Rób placuszki, nadziewaj farszem z soczewicy i zamykaj kluski. Gotuj do wypłynięcia z wody. Na lnianym oleju podsmaż cebulę. Polewaj zasmażką pyzy na talerzu.*

### ***Farsz z soczewicy***

*Ugotuj łuskaną soczewicę. Zmiel, dodaj przyprawy i nadziewaj pyzy.*

- Czasem staję z nią przy kuchni, bo nie mogę się doczekać, kiedy będzie wyjmować je z garnka.

- Nie wydaje mi się, że byłem gnuśny czy leniwy. Kiedy oceniam swoje ówczesne pomysły, wiem, że gdybym dostał odpowiednie wsparcie, byłbym w zupełnie innym miejscu. Innym nie znaczy lepszym, bo nie narzekam na swój los. Jedno doskwiera mi bardzo. Braki w edukacji. Ale tak się ułożyło, a mimo to uzyskałem dużo.

- W Jagodnicy urządziłem sklep. Prowadziłem go od 1950 do 1952 roku. Ile wtedy miałem lat? Przemilczę, ale obliczyć łatwo. W oknie od ulicy wystawiłem produkty do sprzedaży. Papierosy, stalówki, atrament, zeszyty, naftę, landrynki. Papierosy sprzedawałem na sztuki. Lichy to był zarobek, bo kupujących niewielu. Ale do dziś moi rówieśnicy pamiętają, że w Jagodnicy był sklep - wspomina z dumą Janek.

- W 1954 roku już jako uczeń zawodówki wśród rupieci w majątku w Ciciborze znalazłem prądnicę od ciągnika Lanz Bulldog niemieckiej konstrukcji o napięciu 6 volt i wolnych obrotach. Taka zdobycz to nie byle co. Elektryfikację czas zacząć! Na piętnastometrowym drągu umieściłem prądnicę i siłownię ze śmigłem w kierunku wiatru. Od prądnicy przeciągnąłem przewody do pomieszczeń domowych. Niestety, jesienne wiatry wywróciły konstrukcję. Wtedy próbowałem wykorzystać do oświetlenia domu tak zwane szczekaczki. Nie miały stałego napięcia, dlatego żarówki migały. Ponadto zauważono na wzmacniaczu w Białej duży pobór prądu. Szukali we wsi awarii na linii przesyłowej. Kiedy Antek się w tym zorientował, zlikwidował moje podłączenia. Niemniej właśnie ja dokonałem elektryfikacji Jagodnicy. Państwową elektryfikację w naszym regionie przeprowadzono dopiero w 1956 roku.

- W Białej Podlaskiej w 1955 roku planowo kończyłem zawodówkę o profilu mechanik pojazdów samochodowych, chociaż przez okres nauki nie widziałem w szkole samochodu. Robiliśmy głównie młotki i imadła. Szkoła była dwuletnia i zamykała możliwość dalszej nauki. Żałowałem, że muszę odejść, bo podobało mi się w szkole. Lubiłem bardzo zajęcia sportowe. Grałem w szkolnej drużynie piłkarskiej jako bramkarz, byłem siatkarzem i szachistą. Robiłem wszystko, żeby powtarzać klasę. Za rok planowana była reforma, szkoły zawodowe miały być trzyletnie z możliwością dalszej nauki w technikum. Ale nauczyciele też się uparli. Dostałem świadectwo ukończenia szkoły i nakaz pracy do PKS w Kraśniku Fabrycznym. Wtedy dopiero w pełni pojąłem swoje nieuctwo.

## *Kółko czy zorka?*

---

**N**ie spieszyłem się do pracy. Tydzień byłem w Białce w domu dziecka, mimo że skreślono mnie już z ewidencji. Potem na kilka dni pojechałem do Jagodnicy. Antek liczył, że pomogę w żniwach, ale ja wymówiłem się wyjazdem do Kraśnika. Ciągle nosiłem w sobie żal. Wiem, że i jemu doskwierało braterskie nieporozumienie, ale nigdy już nie wracaliśmy do tej sprawy. Co nie znaczyło, że zapomniałem, albo że on zapomniał. Wystarczyło nam jednak mądrości, by nie pogłębiać żalów. Nie było co tłumaczyć, nasze konflikty rozgrywały się na poziomie emocji. Wtedy lekarstwem jest czas i dystans do zdarzeń. Dlatego po latach, kiedy



*Jagodnica, rok 1953. Żniwa: Antoni i Janek Maziejukowie, zdjęcie wykonał Henryk Maziejuk, student III roku dziennikarstwa.*

przyszedł czas, obaj z Henrykiem zrzekliśmy się przed notariuszem roszczeń spadkowych. Zrozumiałem, że w rodzinnej ziemi najwięcej jest Antkowego potu. Potem przez wszystkie lata przyjmował nas serdecznie, a myśmy czuli, że to wdzięczność i zadośćuczynienie wobec nas.

Wtedy zamieszkałem w Kraśniku Fabrycznym w hotelu robotniczym, urządzonego w poniemieckich barakach. Dostałem

samodzielny pokój umeblowany żelaznym łóżkiem i tak zwaną kozą, czyli piecykiem do samodzielnego ogrzewania. Odebrałem przydziałowe ubranie robocze i drewniaki.

Takim sposobem zostałem mechanikiem podwozi samochodowych, w tym ciężarowych i autobusowych, i pracowałem w trzymianowym systemie. Miałem 17 lat, ważyłem jakieś 50 kg, mniej więcej tyle ile resory, które montowałem. Zarabiałem 450 zł miesięcznie, a średniej klasy buty kosztowały 600 zł. Chodziłem więc w świętek i piątek w roboczym ubraniu. Obiady jadłem w zakładowej stołówce, śniadania i kolacje musiałem robić we własnym zakresie. Rozumiałem to po swojemu, okoliczne ogrody i sady traktując jak spiżarnię.

Pracowaliśmy pod chmurką latem i zimą. Dokuczało zimno, wilgoć, przemoczona odzież. Najtrudniej było nocą, nad ranem. Bezwiednie usypiałem pod samochodem z ręką uczeponą jakiegoś elementu. Majster co jakiś czas robił obchód i budził kopniakiem w bok. Tak czy siak pracę musiałem wykonać i wziąć za nią odpowiedzialność. Sam najeżdżałem na stanowisko naprawy, a potem sprawdzałem sprawność wozu na placu manewrowym. Może i dobrze, bo w ten sposób nauczyłem się jeździć. Mimo to po pięciu miesiącach katorgi, tak to odczuwałem, porzuciłem pracę. W grudniu 1955 roku, nic nikomu nie mówiąc, na dworcu w Kraśniku wsiadłem do pociągu do Lublina.

Zgłosiłem się do domu dziecka z zaświadczeniem z Białki, dzięki temu przez miesiąc mogłem szukać nowej pracy. Któregoś dnia przeczytałem ogłoszenie ZMP o naborze młodych do pracy na Ziemiach Odzyskanych. Poszedłem. Spotkanie odbyło się w dużej sali, było trochę ludzi, ale tylko ja zdecydowałem się na wyjazd. Nie miałem nic do stracenia. Umówiłem się z werbownikiem na dworcu następnego dnia. On miał załatwić bilety, ja swoje sprawy. 17 stycznia 1956 roku w mroźne popołudnie wsiedliśmy do pociągu z biletami do Miastka w województwie koszalińskim. Podróż dłużyła się, koła dudniły jednostajnie, w końcu obu nas zmorzył sen. Kiedy obudziliśmy się, w przedziale byliśmy sami, w dodatku bez bagażu. Przepadł mój dobytek zamknięty w niewielkiej drewnianej walizce! W Miastku wsiadłem z rękami w pustych, dziurawych kieszeniach. Mój towarzysz podróży poszedł do toalety i też przepadł. Kim naprawdę był, nie wiem.

Dworzec wydawał mi się imponujący. Czerwona cegła, duże przestrzenie. Ale miasto z jedną lichą ulicą i majakami kominów na horyzoncie nie zachwyciło mnie. Może sposób widzenia oddawał tylko nastrój tamtego styczniowego pochmurnego dnia? Idąc przed siebie trafiłem do urzędu, gdzie skierowano mnie do referatu

zatrudnienia. Tu otrzymałem pouczenie, że w mieście nie mam co liczyć na robotę z mieszkaniem. Potrzebują pracowników w pegerach i leśnictwie. Tam powinienem szukać miejsca dla siebie.

A mnie marzyła się praca w fabryce! Wyszedłem stamtąd z niczym. Noc spędziłem na dworcowej ławce przy grzejniku. Myśli kłębiły się, nie mogłem spać, byłem zły, że dałem się i wywieść, i wywieźć nie wiadomo gdzie.

- Co mam zrobić? - Trudno! Ranek mądrzejszy od nocy. Za wygrzebanie w kieszeni miedziaki kupiłem chleb i mleko. Po śniadaniu ruszyłem przed siebie. Piechotą.

- Skąd ten pomysł? - Decyzję, jak w takich razach bywa, podjął za mnie los. Gdzieś musiałem znaleźć miejsce dla siebie. Zatrzymałem się w Wołczy, na dwa dni. Tyle wytrzymałem ładując obornik. Trzeciego rzuciłem gównianą robotę i doszedłem do Kamnicy.

W miejscowym PGR przyjęto mnie entuzjastycznie. Miałem wrażenie, że od dawna na mnie czekają. Krótkie formalności, pod pachę wyprawka w postaci koca, pościeli, roboczego ubrania i instrukcja, jak trafić do miejsca zamieszkania. Przedefilowałem przez wieś zadowolony z powitania. Znalazłem się w obskurnym budynku ze stromymi schodami. Wspiąłem się na poddasze. Nabrałem powietrza i... zapukałem.

- Włazić! - usłyszałem. Kiedy wetknąłem głowę, mężczyzna dodał.

- Włóż, zimno leci.

W niewielkim pokoju kilku mężczyzn grało w karty. Pod stołem stała kuchenka elektryczna z rozżarzoną spiralą, przy której grzały się gumowe buty. Było piekielnie zimno, bo nikomu nie chciało się napalić w piecu. Całą noc szczękałem zębami i słuchałem dosadnego języka karciarzy.

Rano w biurze przydzielono mnie do pracy w zakładzie naprawczym. Zostałem ślusarzem. Starzy wyjadacze szybko ocenili moją wiedzę. Przyjmowałem z powagą polecenia starszych. Kiedy wysłali mnie do sklepu spożywczego po kompresję, poszedłem zadowolony, że obdarzono mnie zaufaniem. Uprzejma sklepowa tłumaczyła mi, że to małe sklepić i takiego towaru nie ma, ale w Miastku jest lepsze zaopatrzenie i z pewnością kupię, co mi potrzebne. Powtórzyłem majstrowi radę sklepowej. W warsztacie zapanała ogólna wesołość, a ja nie rozumiałem, z czego to panowie tak się cieszą.

Potem byłem ostrożniejszy. Wkupiłem się w towarzystwo, z grubsza poznałem robotę i już nie dałem sobie w kaszę dmuchać. Przez zimę remontowaliśmy poniemieckie gruchoty. Później z Marianem Mączkowskim jako robotnicy zakładu remontowo-

budowlanego „Ursusem” z przyczepami woziliśmy materiały budowlane ze stacji w Miastku na budowy w różnych miejscowościach. Poczułem wtedy smak ciężkiej fizycznej pracy. Nie przesadzam mówiąc smak, bo sypkie wapno przy rozładunku wagonu wdzierało się do ust, oczu, nosa. Mimo to nie narzekałem. Poznawałem ludzi i okolice, widziałem jak wszyscy ciężko pracują i skromnie żyją. Miałem pierwszych prawdziwych przyjaciół. Coraz mniej tęskniłem za rodzinnymi stronami.

Kamnica, niemiecka Kamnitz (wówczas województwo koszalińskie, powiat Miastko) jest niewielką wsią, w której jedynym zakładem pracy był PGR, a ozdobą myśliwski pałacyk z początku XX wieku. Przez lata należał do miejscowego PGR, popadając razem z nim w ruinę. Ludzie we wsi pochodzili z Bugu, z Wielkopolski, Galicji, byli też Kaszubi i autochtoni. Do połowy lat pięćdziesiątych w miejscowej szkole uczyły się dzieci polskie i niemieckie, każde w swoim języku.

Taki na przykład Bolek ożenił się z Niemką, Tadek pochodził z Galicji, Marian był z Wielkopolski, mnie uważano za Kongresowiaka. W myśl zasady każda myszka swój ogon chwali, często sprzecaliśmy się, czyje pochodzenie jest lepsze. Najbiedniejszy był Marian, bo zarzucaliśmy mu proniemieckie sympatie. Między



*Kamnica, rok 1958. Budynek miejscowego pałacu, miejsce zamieszkania i pracy Jana Maziejuka w charakterze pracownika ko, odpowiedzialnego za lokalny radiowęzeł.*

mieszkańcami dochodziło do swarów, kończących się niejednokrotnie bijatyką. Teraz myślę, że trzeba było wiele przeżyć, byśmy żyli się i ziemię odzyskane traktowali jak swój dom.

Któregoś dnia w zakładowej stołówce zagadnęła mnie przewodnicząca związków zawodowych zespołu PGR w Kamnicy. Zawsze w oficerkach i bryczesach, sprawiała wrażenie energicznej i pewnej siebie. Pamiętała mnie jako sportowca z Jagodnicy, bo jak się okazało, przyjechała z Białej Podlaskiej, gdzie była opiekunką zespołów LZS. Powierzyła mi etat kulturalno-oświatowego i prowadzenie zakładowej świetlicy.

- Czemu nie! Nie święci garnki lepią, a ja zdążyłem już spróbować chleba z niejednego pieca. Byłem młody, to była dla mnie szansa. Zamieszkałem w pałacyku, w którym urządzono radiowęzeł. Moim obowiązkiem było włączyć rano o piątej program radiowy i wyłączyć o dwudziestej drugiej. Dwa razy w tygodniu o siedemnastej nadawałem własny autorski program. Było to nie lada wyzwanie, a ja traktowałem je poważnie.

Myślę jednak, że mieszkańcy Kamnicy wyłączały wtedy głośniki. Nie miałem żadnego pojęcia o pracy dziennikarskiej, a moja dykcja, o czym ja mówię, jaka dykcja! Nikt jednak mnie nie krytykował, a niektórym się podobało. Przedstawałem życie i troski



*Kamnica, rok 1956. Przed kamnickim pałacem.  
Od lewej: Hania Fedorowicz - agronom w zespole PGR  
Kamnica, przeniesiona tu służbowo z Gromadzkiej Rady  
Narodowej w Kawczu, w środku: Jan Maziejuk - pracownik  
ko, po prawej: Zosia Jochim z Krakowa - agronom.*

*Kamnica, rok 2012.  
Ruiny pałacu,  
w którym Jan Maziejuk  
pracował i mieszkał  
w latach 50-60.*

*Fot. A. Maziejuk*

mieszkańców, takimi jakie były i tak jak wtedy można było. Ludzie słuchali, ale słyszeli i to, o czym się nie mówiło. Może świat tak urządzony, że nasze doświadczenie rzadko spotyka się z jego oficjalną wersją? Znaczą świata, świata polityki.

Marian Mączkowski w swoim „Dzienniku” zapisał pod datą 28 października 1956 roku: „Nasz Janek codziennie nadaje przez radiowęzeł komunikaty o zwiększonych dostawach zbóż, mleka, żywca. I ma się wrażenie, że nasze krowy i świnie zrozumiały powagę sytuacji. Kukurydza co prawda nie udała się, część kartofli leży jeszcze w ziemi w niektórych gospodarstwach, ale to pestka. Dyrektor zakazał o tym mówić przez radiowęzeł, bo jak powiedział, nie należy srać we własne gniazdo”.

Ponadto moim obowiązkiem było prezentować w gablocie przodowników pracy, dlatego dostałem małoobrazkową „Zorkę”. Po raz pierwszy miałem w ręku aparat fotograficzny. W drogerii w Miastku kupiłem film, założyłem go jakimś cudem, bo to wcale nie było proste. Zrobiłem kilka zdjęć i byłem ciekaw, jak mi wyszły. Żeby sprawdzić, wyjąłem negatyw. Natychmiast zrobił się żółtozielony. Nic nie zobaczyłem, żadnych fotografowanych obiektów.

- Dziwne - pomyślałem. Włożyłem film z powrotem do kasety i zaniósłem do wywołania do zakładu fotograficznego, jak poradził mi kierownik miejscowej szkoły. Kiedy fotograf, pan Prelejko, którego nazwisko ustaliłem po latach, pokazał mi wywołany film, był czarny. Popatrzył na mnie uważnie i zapytał dlaczego go naświetliłem, czy miałem jakieś powody? Opowiedziałem mu dokładnie jak robiłem zdjęcia.

Długo nie mógł dojść do siebie. Ze śmiechu.

Był dobrym fachowcem i serdecznym człowiekiem. Po raz pierwszy wysłuchałem profesjonalnego wykładu o fotografii. Dowiedziałem się jak działa aparat fotograficzny, do czego służą jego elementy. Zapisał mi na kartce zależności przesłony do czasu i czułości taśmy. W miasteczkim zakładzie fotograficznym pięćdziesiąt lat temu wyprzedziłem dzisiejsze aparaty cyfrowe. Tam urodziłem się naprawdę. Zrozumiałem, kim chcę być. Tak jest do dziś, aparat fotograficzny jest moim okiem i moim językiem. Inaczej mówić nie potrafię.

We wrześniu 1956 roku wysłano mnie na kurs dokształcający organizowany przez CRZZ w ośrodku przy ulicy Grenadierów w Warszawie, na Pradze. Przez dwa miesiące mieszkałem w stolicy. Henryk, mój brat, wówczas student dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, mieszkał w akademiku na Kajki. Spotykaliśmy się często. Oprowadzał mnie po Warszawie, a ja nie rozstawałem się



z moją „Zorką”. Był to burzliwy politycznie czas, tuż przed przejęciem władzy przez ekipę Gomułki. Nie interesowała mnie polityka, ale Henryk, z racji kierunku studiów, był zainteresowany tym, co się wokół dzieje. On, student, reprezentował już inteligencję, ja byłem robotnikiem. Przygotowywano nas, kursantów, do włączenia się w stłumienie studenckiej demonstracji. Mieliśmy dostać pałki owinięte w gazety i pomóc rozgonić manifestację. Poszedłem do akademika i powiedziałem o tym Henrykowi. Nie miałem ochoty brać udziału w zadymie. Po prostu, zrobiłem sobie wagary.

Z tego czasu zostały mi zdjęcia z bratem zrobione przy pomocy samowyzwalacza i te, które zrobił mi Henryk przed Pałacem Kultury i Nauki.

Pierwszą rzeczą jaką zrobiłem po powrocie z Warszawy było usunięcie popiersia Stalina ze stolika przy fortepianie w świetlicy. Opowiadałem chłopakom o atmosferze w akademiku i na ulicach. I o tym jak Henryk na wiecu pod Pałacem Kultury i Nauki skandował razem z innymi:



*Warszawa, rok 1956. Jan Maziejuk, pracownik ko zespołu PGR Kamnica został wysłany na dwumiesięczny kurs do Warszawy.*



*Warszawa rok 1956. Spotkanie Jana z bratem Henrykiem Maziejukiem, wówczas studentem dziennikarstwa w akademiku przy ul. Kajki. Trudna rozmowa braci o przygotowaniach robotniczych bojówek przeciw studenckim wystąpieniom.*

- Wolność Wyszyńskiemu! Kardynał do kościoła!

Słuchaliśmy radiowęzła do 22, a potem głos miała Wolna Europa - słuchana potajemnie, ale powszechnie - podawała informacje o zamieszkach na Węgrzech.

- Przecież to jego вина, że w Budapeszcie leje się krew - tłumaczył Marian.

W odwecie za Węgrów postanowiliśmy rozstrzelać Stalina. Grupą zanieśliśmy popiersie na strzelnicę za sklep Mikulskiego. Przyniosłem KBKS, który miałem na wyposażeniu sekcji strzeleckiej. Do Stalina strzelało sześciu, bo tyle mieliśmy naboju. Było nas więcej, część z obawy została w świetlicy. Zabiliśmy go, chociaż nie żył od marca 1953 roku. Zabiliśmy go w sobie, tak myślę o tamtym zdarzeniu. Sprawa zrobiła się głośna i mogła być groźna. Jednak



*Kamnica, rok 1952. Świetlica w kamnickim pałacu. Wystrój zgodny z ówczesnym standardem: po lewej - popiersie Lenina, po prawej - popiersie Stalina.*

nikt naszej egzekucji nie potępił. Może było to październikowe odpuśczenie win, a może wszyscy myśleli tak jak my?

Od połowy października żyliśmy jak w euforii. Skończyło się VIII Plenum, na którym Gomułka zyskał władzę i sympatię ludu. 21 października został I sekretarzem PZPR. Marian twierdził, że gołym okiem widać wpływ tow. Wiesława na sprawy demokratyzacji. Do świetlicy przychodzili nauczyciele, dziewczyny od agrotechniki, robotnicy. Czytali gazety, słuchali radia, nawet otwarcie mówiono o wiadomościach z Wolnej Europy.

Byliśmy na fali. 27 października w naszym pałacu w Kamnicy odbyło się otwarte zebranie partyjne. Towarzysze zadawali śmiałe pytania, na które ani nasz sekretarz, ani towarzysz z powiatu nie potrafili odpowiedzieć. Michał z brygady polowej zapytał:

- Czy to prawda, co o Staliniem mówi Wolna Europa?

- Słuchacie tego radia?! - przestraszył się sekretarz.

- Ja nie, ale ludzie słuchają i mówią. Co z tym Katyniem? Kto właściwie zamordował polskich oficerów?

Towarzysz z powiatu obiecał wyjaśnić sprawę Katynia na następnym zebraniu.

- Czy partyjny może chodzić do kościoła? - pytał Grzegorz.

- Może jak nikt nie widzi - radził Bolek.

Z tyłu sali pada kolejne pytanie.

- Czy partyjna może sypiać z bezpartyjnym?

- Absolutnie nie! Należy wyrzucić z partii - zdecydował Bolek.

Ktoś jednak się zreflektował.

- Bolek, co ty wygadujesz! Twoja Brygida też bezpartyjna i w dodatku Niemka.

- Ja mam ślub z Brygidą! - oburzył się Bolek. Jej ojciec mieszka w NRD, buduje socjalizm!

- Czyli jak? - pytał następny.

Nie było sensownej odpowiedzi.

Mimo to na adres Gomułki napływały dary od ludności, obligacje Pożyczki Narodowej, kosztowności. Załogi podejmowały zobowiązania produkcyjne.

Teraz już będzie dobrze. Wyszyński na wolności, nawet do wyborów zachęcał. Wierzyliśmy. Będzie dobrze. A może tylko trochę lepiej?



*Rok 1957, ogólnopolski obóz sportowy w Sierakowie Wielkopolskim, w którym jako instruktor ko zespołu PGR Kamnica uczestniczył Jan Maziejuk (na dole po lewej na pomoście).*

Wiele zdarzeń zaczęło się od sportu. Nie był to główny nurt mojego życia, ale zawsze był dla mnie ważny. W Kamnicy zorganizowałem drużynę siatkarzy, sekcję strzelecką i szachową. Graliśmy mecze z trzecioligowymi drużynami, z którymi spotkałem się na obozie sportowym w Sierakowie nad Wartą. Było to ogólnopolskie zgrupowanie pracowników kulturalno-oświatowych z zespołami młodzieży sportowej z pegeerów. Zostałem wybrany starostą obozu. Pamiętam piękne dziewczyny, które przychodziły na potańcówki na trawie i na nocne kąpiele w jeziorze.

Tego roku w Miastku chodziłem na kurs na prawo jazdy, a 27 stycznia 1959 roku w Słupsku, bez poprawek, zdałem egzamin. Byłem bardzo dumny z siebie. Niepotrzebnie się bałem tramwajów, które jeździły po słupskich ulicach.

- Wiem, teraz to takie oczywiste, ale w tamtym czasie było inaczej, szczególnie w mojej sytuacji. Otrzymałem prawo jazdy III kategorii, dzięki temu miałem szansę na lepsze zatrudnienie.

Był to czas, kiedy słowo pisane miało moc sprawczą, a fotografia była dowodem w sprawie. Ktoś kupił SHL-kę i zanim dojechał



*W Niemczech, rok 1959. Marysia Kubaszewska, miłość Janka z Kamnicy pisała i prosiła o przyjazd do Niemiec.*

do domu, złamały się przednie widełki motoru. Przyszedł się poskarżyć. Zrobiłem zdjęcia i wysłałem do gazety. Tygodnik „Motor” zamieścił je jako zdjęcie interwencyjne. Nikt się tego nie spodziewał, w ciągu kilku dni przyjechała do Kamnicy ekipa fabryczna SHL z Kielc! Mieli ze sobą części zamienne i sprzęt. Sprawnie im poszło, naprawili motocykl, a my uwierzyliśmy w siłę fotografii. Są tacy, którzy jeszcze pamiętają, co to honor! Zdarzenie rozumieliśmy jak optymistyczną perspektywę.

Lubiłem Kamnicę, wieś i ludzi. Widziałem, jak stają się jedną społecznością, jak cieszą się nowymi mieszkaniami. Byłem jednym z nich. Kiedy w 1958 roku przeprowadzano reorganizację PGR-ów i musiałem opuścić Kamnicę, było mi smutno.

Życie pegeerowców było wędrówką, z jednego gospodarstwa do drugiego



*Wółcza Wielka, rok 1958. Jan Maziejuk w roli „artysty” malarza.*

i nigdzie pewności, że to już na stałe. „Kamień często przetaczany mchem nie obrośnie” - powiada ludowe przysłowie. Tak było i z ludźmi. Siłą rzeczy wszystko traktowali jak tymczasowe, tym bardziej, że ciągle była niepewność, czy ta ziemia do nas należy. Poczucie tymczasowości, niepewności, braku bezpieczeństwa stawało się stałą cechą myślenia tych ludzi. Powszechny był brak troski o materialne dziedzictwo przeszłości. Budynki mieszkalne, dwory, pałace, maszyny, przedmioty codziennego użytku, czyli pamiątki historii tej ziemi albo celowo niszczone, albo lekceważono, jako wrogie i obce kulturowo. Zabrakło zainteresowania i refleksji, pieczołowitości wobec nieswojej przeszłości i nie dotyczyło to tylko pracowników PGR, choć w tej grupie społecznej ten sposób myślenia był najbardziej widoczny.

Piękna Kamnica! Piękna moją młodością i pierwszym uczuciem, które pamiętam. Marysia Kubaszewska, niewiele młodsza ode mnie, miała niemiecki rodowód, co wcale mi nie przeszkadzało. Kochała mnie czystą, pierwszą miłością i prosiła, bym wyjechał w 1957 r. z jej rodziną na Zachód. Zabrakło mi odwagi, by powiedzieć: tak! Jakiś czas przysyłała listy pisane tęsknotą i kolorowe zdjęcia.

A u nas było szaro, choć ciągle wrzało. Szły po kolei ważne daty 56, 68, 70, 76..., nadzieje i rozczarowania. Później byłem w Berlinie - na tzw. dowód - kilka razy. Widziałem z daleka mur, do którego nie można było podejść. Dopiero w 1991 r. dostałem paszport i od razu pojechałem zobaczyć, jak wygląda świat po drugiej stronie.

Tęsknota za pierwszą miłością wyblakła, a obcy świat za berlińskim murem już tak nie nęcił. W mojej pamięci Marysia jest ciągle młodą dziewczyną. I niech taką pozostanie.

\*\*\*

Trafiłem do Wołczy Wielkiej, miejscowości położonej o 4 km na południowy-zachód od Miastka. Ponowne spotkanie z Marianem Mączkowskim było dobrym znakiem i nadzieją na ciekawe

przygody. Był kierownikiem magazynu paliw w zakładzie remontowo-budowlanym, wtedy ważna funkcja, ale przywitał mnie serdecznie, z wyraźną radością. Od razu zaproponował, byśmy zamieszkali w jednym pokoju. Kiedy wracałem z objazdu okolicy ursusem wyładowanym materiałami budowlanymi, bo taką miałem pracę, oddawaliśmy się obaj pasji malowania. Marian był w pewnym sensie profesjonalnym malarzem. W młodości uczył się w szkole plastycznej w Poznaniu, którą z jakiegoś powodu porzucił. Ja byłem zupełnym amatorem. Malowaliśmy na płytach sklejkowych farbami, które załatwiał Marian. Nasze prace wisiały w stołówce, w pomieszczeniach biurowych i miały powodzenie. Jako artyści byliśmy popularni, zdobyliśmy nawet zaufanie kierownika Mieczysława Niewiadomskiego, który zatrudnił mnie

jako kierowcę służbowego samochodu „Skoda”. Po godzinach mieliśmy z Marianem czym jeździć do kina i tak po prostu, do Miastka. Cieszyliśmy się na te wyprawy, każdy z innego powodu.

Pierwszego maja, w niedzielę, mimo kiepskiej pogody, wiecem w parku rozpoczynały się państwowe uroczystości. Były przemówienia, najpierw Gomułki z głośników, później naszego sekretarza,



Fot. J. Twardowska

Jan Maziejuk, rok 1959. Rajd rowerowy dookoła Polski.

któremu wystąpienia pisał, jak powiadali ludzie, kierownik kina albo ksiądz Karnicki. Po pochodzie grałem mecz siatkówki w miejskim parku, a w kinie grali western „W samo południe”, na który wybrał się Marian. Otwarte były wszystkie knajpki i wszędzie było pod dostatkiem kiełbasy, piwa, wódki.

Ci sami ludzie maszerowali w pochodzie i tydzień czy dwa później uczestniczyli w procesji Bożego Ciała. Ot, Panu Bogu świeczka, a diabłu ogarek. Nikt się temu nie dziwił. Wprawdzie towarzysze byli oficjalnie zgorszeni, ale i oni poddawali się atmosferze święta uznanego przez państwo. Pielgrzymi szli do czterech ołtarzy, przy których ksiądz Karnicki błogosławił wiernych, ich domy i pracę. Nikt nie stał na chodniku jak na pierwszego maja i knajpki były otwarte, ale nikogo tam nie było. Zapełniły się po procesji.

Tempa nabrały nasze przygotowania do rajdu rowerowego dookoła Polski z przejazdem w strefie przygranicznej po stronie słowackiej. Już w marcu kupiliśmy rowery, plecaki i namiot. Teraz rozpoczęliśmy codzienne treningi, a kibicowali i pomagali nam wszyscy. Koledzy z warsztatu dorobili bagażniki do rowerów, podkręcali co trzeba, naoliwili. Otrzymaliśmy urlopy i we wtorek 30 czerwca docisnęliśmy pedały. Planowana trasa była dłuższa od tej z maja 1959 roku z XII Wyścigu Pokoju, mieliśmy do pokonania



Grodzisk Wielkopolski. Podczas rajdu rowerowego Jana Maziejuka i Mariana Mączkowskiego o śmiółkach z Wotczy Wielkiej pisała prasa, między innymi „Expres Wieczorny”, a sympatycy życzyli rajdowcom... „do zobaczenia w kraju”.



*Rok 1959. „Wracały z wycieczki kolejką na Łomnicę. Jarmila i Marie z Brna, piękne Słowaczki, z którymi korespondowałem kilka lat”.*



*Tatry, lipiec 1959. Dziewczęta z Brna, które Jan Maziejuk i Marian Mączyński spotkali w górach w czasie wyprawy rowerowej. Jan Maziejuk przez długi czas korespondował z Jarmilą.*

blisko 3 tysiące kilometrów. Zwiedzaliśmy miasta, rozbijaliśmy biwak na nocleg, spotykaliśmy życzliwych, ciekawych ludzi. W Poznaniu w redakcji „Expressu Poznańskiego” opowiadaliśmy o naszej podróży. Dwa dni później witano nas na trasie jak bohaterów, gazetowych oczywiście.

Jadąc do Zakopanego zatrzymaliśmy się w Poroninie. W Muzeum Lenina zachwyliła nas młodzieńca pani kustosz Krystyna, śliczna studentka polonistyki z Krakowa. Obaj ustaliliśmy to wtedy i po dzień dzisiejszy jesteśmy pewni, że gdyby Lenin znał ją zamiast Krupskiej, nie robiłby rewolucji.

- Czy pamiętam? Przewadziliśmy dziennik podróży. Notowaliśmy ciekawostki o miejscach i ludziach, prosiliśmy spotkanych o pisemne uwagi. Z dumą czytaliśmy wpisy trzydziestu dziewczyn z obozu w Tatrzańskiej Łomnicy, niektóre bardzo odważne. Spotkaliśmy je, gdy wracały z wycieczki kolejką na Łomnicę. Dziewczyny pochodziły z Pragi, Koszyc, Brna. Rozmawialiśmy, wtrącając słówka rosyjskie i niemieckie. Obiecaliśmy wrócić w przyszłym roku. Jarmila i Marie z Brna będą na nas czekały. Na pewno! Żegnaliśmy Słowację zachwyceni



urodą Tatrzańską Łomnicę, Szczyrbskiego Jeziora, Starego Smokowca. Przez przejście Łysa Polana-Jaworzyna wracaliśmy do Nowego Targu i dalej do Myślenic i Krakowa.

W Krakowie rajd zakończył się porażką. Spod Baru Obywatelskiego w pobliżu Barbakanu skradziono nam rower i namiot. Zgłosiliśmy kradzież milicji, ale usłyszeliśmy kilka uwag o żulikach z Nowej Huty i melodię „o Nowej to Hucie piosenka, o Nowej to Hucie melodia”. Oczywiście, będą ścigać, ale...

Trudno, dalej jedziemy stopem przez Warszawę. Kierowca, ważny człowiek, wysadził nas na Wiejskiej przy redakcji „Nowej Wsi”.



*Powrót do Wołczy z wyprawy rowerowej. Niestety, rower skradziono w Krakowie, trzeba było wracać „stopem”.*

Sympatyczni dziennikarze wysłuchali nas, razem z nami utyskiwali na krakowską przygodę, a my z nimi cieszyliśmy się, że radio sięgnęło do repertuaru Mazowsza po ludową piosenkę. Cały dzień nuciliśmy pod nosem „i choć padało, choć było ślisko, to się przywlokło to świniorzysko”.

Był 15 lipca 1959 roku. Pani Maria Bartnik, redaktor naczelna „Nowej Wsi” wynagrodziła nam przykrości, załatwiając hotel i bilety na wieczór do „Syreny”. Warszawa była piękna i wolna, bo Chruszczow wizytował Śląsk. Później dowiedzieliśmy się, że w Zagórzku koło Sosnowca miał miejsce

nieudany zamach. Prasa o tym nie pisała, natomiast wieść gminna, owszem, niosła się daleko.

Do Wołczy Wielkiej wróciliśmy w piątek 17 lipca przed północą. Szliśmy z Miastka pieszo. Księżycowa noc, pięknie. Doceńmy uroki miasteczkiej ziemi powtarzając: wszędzie dobrze, ale w domu... Tak, czułem, że mój dom jest tutaj.

W 1960 roku znów zmiana. Zakład w Wołczy Wielkiej zlikwidowano. Opuściliśmy też naszą kwaterę, szukając szczęścia w Miastku.

Tym razem zatrudniłem się u dekarza w prywatnej firmie. Na ulicy Szewskiej u rolnika wynająłem stancję, do spółki z majstrem,

łodzianinem. Nie ma już tej ulicy ani domu. Stoją tam bloki z wielkiej płyty z lat siedemdziesiątych. W Miastku i okolicy mieliśmy sporo roboty, dobrze nam się działo.

- Nie, nie, nowych domów nikt nie stawiał. Przekładaliśmy dachówki, naprawialiśmy dachy kryte papą. Kiedyś dostaliśmy zlecenie z Bielska Pomorskiego, z tartaku, gdzie duże hale kryte były papą. Lubiłem patrzeć jak pracuje olbrzymi trak napędzany maszyną parową, a pod kotłem palą się trociny i wszelkie odpady. Zaczęliśmy raniutko, żeby nie smażyć się na dachu w południowym

Fot. Cz. Łubaczewski



*Miastko, ul. Kaszubska,  
rok 1960. Jan Maziejuk,  
Maria Barszczewska,  
Marian Mączkowski,  
Antoni Barszczewski.*

słońcu. Przed robotą majster poszedł popoflirtować z dziewczynami, ja podgrzewałem smołę. Nie wiem jak to się stało, ale smoła wykipiała. Nagle wszystko wokół zaczęło się palić! Łunę dymu i ognia widać było w całej wsi. Oj, narobiło się! Pożar gasiły jednostki straży pożarnej z Miastka i Człuchowa. Udało się uratować maszyny. Dobrze, że skończyło się tylko sprawą przed kolegium. Majstra ukarano wysoką grzywną, mnie jako pomocnikowi się nomen omen upiekło. Spółka padła. Majster wrócił w rodzinne strony, ja zostałem w Miastku.

Przeniosłem się na ulicę Kaszubską do państwa Barczewskich. Niebawem dołączył do mnie Marian Mączkowski. Zamieszkał ze mną i pracował jako malarz pokojowy, a ja byłem kierowcą ciężarowego „Lublina” w Spółdzielni Wielobranżowej. Zajmowaliśmy pokój z kuchnią na poddaszu, gdzie urządziliśmy pracownię malarską

i przyjmowaliśmy takich koneserów, jak: Henryk Gasz - plastyk powiatowego Domu Kultury, Maria Trynkiewicz-Bojara zawodowa plastyczka, później projektantka z miasteczkiej fabryki rękawiczek. Zachęcali nas do urządzenia wystawy plastycznej. Owszem, wystawę urządziliśmy opuszczając kwaterę u państwa Barczewskich. Wychodek w podwórzu zyskał nowy wystrój zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz. Przyjemnie było posiedzieć.

Trzymaliśmy się ubiegłorocznego planu na lato. Marzenia o międzynarodowym rajdzie rowerowym dodawały nam skrzydeł.



*Miastko. Jan Maziejuk i Marian Mączkowski przy grobie Barczewskich.*

Poza tym byliśmy umówieni z Jarmilą i Marie. Z uporem załatwiliśmy formalności, pisaliśmy podania i prośby o zezwolenie na wycieczkę rowerową przez Polskę, NRD i Czechosłowację w lipcu i sierpniu 1960 roku. PTTK odesłało nas do BZTM (Biuro Zagranicznej Turystyki Młodzieży) w Warszawie. Jednocześnie skierowaliśmy prośby do ambasad o wizy. Wszystko na nic. Nie dostaliśmy ani paszportów, ani wiz, ani wsparcia. Któryś z kolegów stwierdził, że nie należymy tam, gdzie trzeba. Cały sekret.

Mimo to podjęliśmy decyzję, wyruszamy na podbój świata, gdziekolwiek świat się zaczyna. Wziąłem dwa tygodnie urlopu okolicznościowego, Marian zakończył okres próbnny w PSS. Mieliśmy adresy Marie i Jarmili i romantyczne alibi w postaci listów.

Pierwszego sierpnia wsiedliśmy do wieczornego pociągu do Zakopanego. Na Krupówkach lało jak z cebra. Cóż robić, poszliśmy



*Na kwaterze przy ulicy Kaszubskiej w domu państwa Barszczewskich  
Jan Maziejuk i Marian Mączkowski czuli się jak w rodzinie.  
Na zdjęciu: obaj na tle miasteckiej wieży ciśnień.*

do knajpy przeczekać ulewę, a tu niespodzianka. Henryk, mój rodzony brat siedzi sobie w najlepsze. Miło było pogadać, ale musieliśmy jechać dalej. Najpierw autobusem do Łysej Polany i dalej do Starego Smokowca. Z Popradu pociągiem do Bratysławy. Taki był plan. Bez paszportów, z duszą na ramieniu i tęgą miną zdecydowaliśmy jechać dalej, do Brna. Minęliśmy dwie stacje, ale spanikowaliśmy po wizycie w przedziale konduktora w obstawie wojskowego. Wysiedliśmy nocą na jakiejś stacyjce. Czekaliśmy ranka, by zorientować się w terenie. Świtem doszliśmy do granicznych zasieków, gdzie o mało nie straciłem plecaka. Trudno go było zdjąć z kolczastego drutu. W końcu znaleźliśmy jakąś wydeptaną ścieżkę. Szliśmy cały dzień, pod wieczór odetchnęliśmy. Przed nami rzeka, to chyba Morawa? Przepłyniemy i jesteśmy w Austrii! W tym momencie zostaliśmy okrążeni. Kajdanki, opaski na oczy i marsz na strażnicę. Zabrali nam odzież i obuwie. Przymusowa kąpiel i rozmowa przy pomocy tłumacza.

- Życiorys! Po co, dokąd idziemy? Skąd dolary? Każdy z nas przesłuchiwany był oddzielnie. Nie wiedziałem, co mówi Marian. Po trzech dniach gdzieś nas wiozą tatrami w konwoju strażników. Okazało się do Koszyc. Trzymali nas tam już nie wiem jak długo,

chyba dwa tygodnie. W końcu zdecydowałem się na głodówkę. Może poskutkowało, bo następnego dnia zawieźli nas do Nowego Targu i przekazali wopistom. Wylądowaliśmy na rodzinnej ziemi w więziennej celi, ku uciechu osadzonych. Rzucili nam pod nogi ręczniki. Marian wchodził pierwszy. Kiedy nadepnął pierwszy ręcznik, rozległy się brawa. Przyjęli nas jak swoich. Trzeciego dnia rano wezwano najpierw mnie, później Mariana. Oddali nam plecaki i kazali wracać do domu. Udało się.

Marie i Jarmila więcej się nie odezwały. Myślę, że nasze tłumaczenia, że idziemy za głosem miłości były sprawdzone u źródła.

Wróciliśmy do Miastka, do mansardy u Barczewskich. Kopernik ma rację, świat jest okrągły. Zawsze wrócisz do punktu wyjścia.

\*\*\*

Barczewscy mieszkali w domku jednorodzinny przy ulicy Kaszubskiej w Miastku. Pan Antoni Barczewski (1906 - 1979) pracował przed wojną jako ślusarz na Okęciu. Pani Maria (1911 - 1993) pochodziła ze wsi spod Zamościa. Pracowała jako pomoc domowa w Warszawie, gdzie poznała męża. Po powstaniu jak inni zaczęli życie od nowa. Przyjechali na zachód, najpierw w Miłocicach (onegdaj, w XVIII wieku graniczna miejscowość pomorska) objęli gospodarstwo, później przenieśli się do Miastka. Wspólnie prowadzili kiosk Ruch przy sądzie. Wiedzieli i widzieli kto, kiedy szedł w pochodzie, a kto w procesji. Była to jednak wiedza poufna i nigdy nikomu nie zaszkadzili, a wręcz przeciwnie. U nich kupowaliśmy z Marianem miesięcznik „Ameryka”, jedyny w Miastku egzemplarz, pięknie wydawany i ilustrowany. Mieliśmy wyobrażenie, jak żyje świat. Nasze peerelowskie wydawnictwa były szaro-siermiężne, a myśmy marzyli o Ameryce, choćby to było czasopismo.

Państwo Barczewscy byli bezdzietni, a mnie traktowali jak syna. Razem spędzaliśmy święta, pani Maria opierała mnie i karmiła. Nasze kontakty miały rodzinny charakter nawet wtedy, gdy się ożeniłem i przenieśliśmy z rodziną do Słupska. Teraz odwiedzam ich groby na miasteczkim cmentarzu. Barczewscy adoptowali syna siostry pani Marii. Zygmunt dorastał obdarowany miłością i dostatkiem, mimo to sprawiał wiele kłopotów. Jako dorosły dowiedział się, że nie jest naturalnym synem. Odnalazł rodzoną matkę, przeniósł się do niej do Łodzi, ale wrócił po pół roku. Co się stało, dlaczego nosił w sobie taką straszną złość, że celowo straszliwie poparzył panią Marię? Posadził ją siłą na rozżarzanej płycie kuchni i uciekł. Poparzoną i zdruzgotaną znalazł mąż. Barczewscy

nie wnieśli oskarżenia. Być może nie chcieli odśłaniać rodzinnych tajemnic. Zerwali jednak kontakty z Zygmuntem i jego rodziną i nigdy nie wracali do tej sprawy. Bardzo im współczułem. Kiedy pani Maria owdowiała, jeździłem do Miastka nawet kilka razy w tygodniu. Pracowałem wtedy w słupekich „Zbliżeniach”, miałem jakieś sprawy po drodze, ale zawsze w planie była wizyta u pani Marii. To byli wspaniali, serdeczni ludzie, tak ich zapamiętałem. W noc przed stanem wojennym wiozłem od pani Marii rąbankę na użytek własny i znajomych. Czas był przedświąteczny, myślę, że nie ja jeden jechałem z zaopatrzeniem. Na ulicach Słupska było dużo milicji, ale szczęśliwie nikt mnie nie kontrolował. Pani Maria doczekała wolności o jakiej marzyli powstańcy warszawscy w 1944 r., ale długo się nią nie cieszyła. Spoczęła na wieki obok męża na cmentarzu w Miastku.



*Miastko, rok 1960.  
Zakładowym „Lublinem” można było jechać... na mecz do Darłowa. Kierowca, Jan Maziejuk, pozuje z nogą na błotniku.*



*Miastko, rok 1960. Rajd motorowy do Nowego Targu. Skład: od lewej - Andrzej Marks, od prawej - Janusz Łaszcz i Bronia, żona Andrzeja oraz Jan Maziejuk.*

Tymczasem w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym jeździłem „Lublinem” do Koszalina po materiały i po stal do Szczecina. Do dziś pamiętam przeprawy przez drewniany most pilnowany przez wojsko. Kiedy było trzeba ciężarówką wyjeżdżałem ze sportowcami z klubu Start na mecze piłki nożnej i siatkówki, tym chętniej, że też byłem zawodnikiem klasy A. W tym samym roku nasza spółdzielnia dostała przydział na „Żuka”. Odbierałem go razem z głównym księgowym w fabryce w Lublinie, a na sylwestra, pokonując śnieżyce i mróz, przyjechaliśmy do Miastka. Teraz „Żuk” z ławkami pod plandeką służył jako samochód osobowy dla sportowców, grzybiarzy i kierownictwa.

Był to czas mojej miłości do motocrossu. Prywatnym motocyklem WFM startowałem w zawodach na torze przy ulicy Bałtyckiej w Słupsku i w Człuchowie. Fantastycznie było pokonywać



*Miastko, rok 1961.  
Jan Maziejuk, kierowca  
zakładowego „Żuka”  
wyjeżdżał z młodzieżą  
na zawody sportowe.  
Samochód musiał  
mieć odpowiedni  
tuning design, jak  
powiedzielibyśmy  
dzisiejszym językiem.*



*Miastko, rok  
1960. Mansarda  
u Barczewskich przy  
ul. Kaszubskiej.  
Od lewej: Marian  
Mączkowski - autor  
filmu i Jan Maziejuk  
- operator oraz  
widzowie - Alicja  
Dąbrowska, Leszek  
Gąsieccki jego żona.*

gliniane wertepy wypełnione wodą. Na torze poznałem Andrzeja Markusa, fana motocrossu, filmowca i spółdzielcę oraz jego żonę Bronię. Do Miastka przyjechał po powstaniu warszawskim. Był synem zegarmistrza i odziedziczył talent do precyzyjnej mechaniki. Żaden państwowy zakład, a jedynie on potrafił dorobić napęd do mojego projektora filmowego. Łączyła nas pasja filmowania. Kamera „Pentacon”, projektor, aparat fotograficzny towarzyszyły mi na co dzień. Filmowałem scenki uliczne w Miastku, zakładowe grzybobranie, uroczystości prywatne. Szesnastomilimetrowa taśma miała długość siedem i pół metra. Po naświetleniu trzeba było ją odwrócić i jeszcze raz naświetlić. Wysyłałem taśmę do wywołania i przecięcia w atelier w Warszawie. Tym sposobem powstał film długości piętnastu metrów. Seanse filmowe urządzałem w domu na Kaszubskiej. Jakaż to była frajda zobaczyć postacie w ruchu. Na pokaz takiego arcydzieła Marian zapraszał Anielkę, ja Alinę. Z pewnością filmy podobały się dziewczynom, bo później zostały naszymi żonami. Do dziś mam kilka taśm z tamtego czasu. Przygoda z filmem trwała dwa lata. Nie miałem cierpliwości czekać, a atelier w Warszawie, jedyne które przyjmowało filmy

*Miastko, rok 1960. Porządkowanie terenu przed dawną fabryką sukienniczą Ludwiga Ferdynanda Klatta. Po wojnie miesił się tu Państwowy Ośrodek Maszynowy, następnie FRiOS, dziś jest w tym miejscu „Biedronka”.*





amatorskie, miało długie terminy. Wprawdzie można już było dostać odczynniki i koreks, ale nie było urządzenia do przecinania taśmy. Trudno!

Aparat fotograficzny, który traktowałem po macoszemu, wrócił do łask i miałem go wszędzie. Pod ręką w kabinie samochodu, na rodzinnych uroczystościach, oficjalnych świętach państwowych.

Zapraszali mnie mieszkający na miasteczkiej ziemi Ukraińcy, widząc we mnie swojaka. Zjeździłem pół Polski siedząc za kółkiem kierownicy, od Szczecina do Olsztyna i zawsze coś szczególnego mogłem zobaczyć, a dokładniej mówiąc, przez oko obiektywu łatwiej było dostrzec niezwykajne w zwyczajnym. Z „Gazety Chłopskiej” w Poznaniu



*W latach osiemdziesiątych Fabryka Rękawiczek i Odzieży Skórzanej została rozbudowana, stała się jednym z największych i najbardziej znanych zakładów w Polsce.*

przyjechał dziennikarz, który pisał reportaż i potrzebował zdjęć. Ktoś mnie polecił, a zdjęcia spodobały się. Zostałem stałym korespondentem na kilka lat, do czasu likwidacji gazety. Wysyłałem zdjęcia do gazet i na konkursy. Nabierałem doświadczenia, a moje prace były rozpoznawalne.

Jednak przede wszystkim byłem kierowcą Spółdzielni Wielobranżowej w Miastku. W styczniu czy lutym 1961 roku, już nie pamiętam dokładnie, około godziny dwudziestej pierwszej prezes i główny księgowy zlecili mi pilny wyjazd do Koszalina. Obydwaj siedli na pojedyncze miejsce w kabinie. Jakoś dojechaliśmy pod ratusz. Milczałem całą drogę, chociaż ostre słowa miałem na końcu języka. Poszli załatwić „ważną sprawę”, ja siedziałem w szoferce. Godziny płynęły, mróz tężał, w końcu o czwartej nad ranem odpaliłem „Żuka” i sam wróciłem do Miastka. Rano wezwał mnie prezes i wręczył dyscyplinarne zwolnienie. Wziąłem. Byłem wściekły! Poszedłem do I sekretarza PZPR w Miastku. Kiedy wysłuchał moich wyjaśnień, kazał wracać do pracy. Gdy wchodziłem do biura, prezes i księgowy wyprowadzali się ze swoich gabinetów.

Pracowałem w Spółdzielni jeszcze kilka miesięcy, ale niektórzy wiedzieli we mnie parszywą owcę. Zwolniłem się stamtąd w 1962 roku.

*Ruiny miasteckiej  
fabryki, znanej  
jako FRiOS.*



*W tym miejscu  
po uprzątnięciu  
gruzu powstała...  
„Biedronka”.*



*Fot. K. Remelski*

W Miastku, w miejscu gdzie od 1856 roku funkcjonowała fabryka sukiennicza Ludwiga Ferdynanda Klatta, jedna z trzech działających w Miastku, powstawała wówczas wielka inwestycja, Fabryka Rękawiczek i Odzieży Skórzanej. Po wojnie urządzono tam POM, którego dach kryty karpówką przekładałem w czasach dekarskiej kariery. Wtedy odkryłem bele bawełny leżące beużytecznie w piwnicach, zapomniane i nikomu niepotrzebne. Przepadła sława Miastka słynącego sukniami. W 1945 r. maszyny sukienicze pojechały na wschód.

Teraz rozebrano wyremontowany dach budynku, dobudowując piętro, gdzie urządzono biura. Obok stanęły nowe hale produkcyjne od strony ulicy Fabrycznej. Kolejno powstawały hale magazynowe, budynek socjalny i stołówka, nowoczesne, przeszklone, przestronne. Powstawały mieszkania pracownicze i żłobek. Wszędzie zielen i kwiaty. Identyfikowałem się z fabryką. Znałem każdy kąt. Bywałem tu przecież wcześniej, gdy był tu POM i gdy pracowałem jako dekarz. Bale bawełny ciągle leżały zapomniane w zakamarkach piwnicznych.

Miastecka fabryka powstawała w ramach kompleksu Zakładów Przemysłu Skórzanego w Kępicach, gdzie dyrektorem był Zbigniew Smolarek. Kierownikiem budowy w Miastku, ściślej mówiąc przebudowy był Lucjan Polakowski, którego znałem wcześniej jako filmowca i fotografa pasjonata. Był to człowiek niezwykle odważny, przedsiębiorczy i samodzielny. Budował, kompletował załogę. Był wymagający i sprawiedliwy, zawsze miał czas, by porozmawiać z ludźmi. To były czasy, kiedy zamiast zadań produkcyjnych trzeba było wykonywać polityczne. Plany, plany, plany. Pięcioletnie, sześćoletnie, trzyletnie. Te ustalane w zjednoczeniu w Łodzi i te partyjne nieprzystające do potrzeb ludzi i rynku. A zakład w Miastku? Kto brał pod uwagę taki drobiazg! Po kilku miesiącach kopania się z koniem Lucjan Polakowski został odwołany z funkcji. Różnie o nim mówiono i wcale nie jest pewne czy prawdziwie. Wyjechał i straciliśmy kontakt. To nie był człowiek na tamte czasy. Jego miejsce, znów na kilka miesięcy, zajął działacz związkowy z Koszalina.

Przemysł skórzany na Pomorzu nie miał żadnych tradycji. Wszystko zaczynał się od początku. Potrzeba było fachowców. W styczniu czy lutym 1962 roku ze Świdnicy samochodem ciężarowym „Star” przewiozłem dobytek rodziny Karwowskich i Pękałów. Bogdan Karwowski pracował jako kierownik produkcji, a Jan Pękała pełnił obowiązki głównego technologa. Z Głuchołazów dotarł do naszej ekipy główny mechanik - Władysław Pieniążczak. Zaopatrzeniowcem był Antoni Bojara. Mnie zatrudniono najpierw jako kierowcę - później mechanika maszyn szyjących. Jednak nim fabryka ruszyła, filmowałem i fotografowałem postęp prac budowlanych. Przez lata byłem foto-kronikarzem zakładu, prócz wykonywania obowiązków etatowych. Do dziś mam kilka albumów zdjęć z tamtego czasu.

Bogdan Karwowski pełnił funkcję wiele lat. W 1976 został dyrektorem nowo powołanej Wielkiej Organizacji Gospodarczej.

Tymczasem po zmontowaniu i uruchomieniu urządzeń szykowaliśmy się do wielkiego otwarcia z udziałem władz partyjnych i administracyjnych. Mimo ostrej zimy wśród załogi atmosfera była gorąca. Wszystko gotowe. Wtedy okazało się, że rury CO zamarzyły.



*Bogdan Karwowski, dyrektor FRiOS w Miastku, piastujący funkcję od 1962 roku.*

Jechaliśmy w środku nocy po słomę do najbliższego PGR. Wyładowany „Star” ugrzązł w półtorametrowej zaspie. Łopaty, słoma pod koła! Poszło! W fabryce czekali na nas w bramie. Słoma pod rury i powolne rozgrzewanie. Wreszcie woda ruszyła. Szybkie sprzątanie, zmywanie, wietrzenie zadymionej hali, byleby zdążyć. Otwarcie planowano na wczesne popołudnie. Goście już w bramie, a ja biegam z chodniczkami. Miałem ważne zadanie, filmować i dbać, by władza stąpała po chodnikach. Kupiono tylko trzy kawałki, żeby było oszczędniej. Więc przenosiłem. Nikt się nie zorientował. I po co się było śmiać, że ktoś trawę maluje?

Uroczystości uruchomienia produkcji odbywały się również w miasteczkim Domu Kultury. Wspólnie z Adą Domin, z udziałem Lucjana Polakowskiego, opracowaliśmy dokumentację fotograficzną i filmową. Ada przygotowała komentarz, nagrywaliśmy go przez wiele godzin na taśmie magnetofonowej, aby zsynchronizować obraz i głos. W czasie projekcji Ada obsługiwała magnetofon, ja projektor. Udało się! Otrzymaliśmy brawa jak na oscarowej gali.

W tym czasie uzupełniłem wykształcenie, uzyskując tytuł technika technologa, oraz, co było jeszcze większą radością, dostałem zakładowe mieszkanie z widokiem na fabrykę.

*Rok 1962. Pracownicy miasteczkiej FRiOS przygotowują materiał reklamowy prezentujący wyroby zakładu. Operator „Kroniki Filmowej” (tyłem w środku) wykonuje zdjęcia nowych wzorów odzieży skórzanej, którą prezentuje Krystyna Gasz, sekretarka dyrektora Bogdana Karwowskiego. Nadzór sesji zdjęciowej prowadzi projektantka odzieży Maria Bojara-Trynkiewicz. Jan Maziejuk w gustownej czapce, z aparatem filmowym „Pentacon” jak zawsze gotowy do pracy.*



- Powiem szczerze, byłem dumny, że współtworzyłem miasteczką Fabrykę Rękawiczek i Odzieży Skórzanej. Produkty z Miastka rozchodziły się jak świeże... rękawiczki. Projektantka - Maria Trynkiewicz-Bojara знаła trendy mody. Płaszczki, kurtki, spódniczki i rękawiczki znane były w całym kraju. Na targach branżowych w Poznaniu wzory miasteczkiej odzieży skórzanej honorowano nagrodami.

Zakup materiałów do produkcji w tak zwanej gospodarce planowej nie był prostą sprawą. Na wszystko przydziały, każdy towar reglamentowany. Jeździliśmy od hurtowni do hurtowni po materiały jak dziś do apteki. Tyle tego jak na lekarstwo. Podstawowy surowiec, skóry, dostarczała garbarnia z Dębnicy Kaszubskiej, jedyna zajmująca się produkcją skór świńskich na odzież. Kurtki były sztywne i ciężkie, ale schodziły. Szło wszystko, rynek był spragniony. Odwrotnie niż teraz.

Zamówienia płynęły, a towar trzeba było dostarczyć do hurtowni. Z prawem jazdy kat. II znów siadłem za kółkiem ciężarówki dostosowanej do przewozu odzieży. Była to metalowa buda z zaczepami na wieszaki. Nazywaliśmy ją pieśczołiwie „suką”. Z wiadomego względu. Przez kilka lat zjechałem nią w towarzystwie konwojenta Polskę wzdłuż i wszerz. Wtedy jeszcze praca za kółkiem wydawała mi się fascynująca. Zawsze coś ciekawego - nowe trasy, ludzie, wyzwania. I zawsze z aparatem. Kilka razy odwiedziłem Jagodnicę, wzbudzając sensację wśród miejscowej dzieciarni. Niezręczne były chwile, gdy krewni i znajomi liczyli na prezent lub możliwość zakupu atrakcyjnego wyrobu, a ja musiałem odmówić. Towar był fakturowany i rozliczany przez hurtownie, dlatego nie było mowy o detalicznej sprzedaży.

Czasem zdarzało się, szczególnie zimą, że grzęźliśmy w trasie na tydzień lub dwa i wtedy w poszukiwaniu włączała się milicja. Mieliśmy w dyspozycji deficytowy towar, na który czekały hurtownie. Kiedyś spędziliśmy blisko dwa tygodnie u rodziców Antoniego Bojary, zaopatrzeniowca i konwojenta, w Przysusze. Ugrzęźliśmy w dwumetrowych zaspach przy trzydziestostopniowym mrozie. Zdesperowani rozpaliliśmy pod miską olejową nasączoną w benzynie szmatę. Nie było to rozsądne, ale okazało się skuteczne. Wyjechaliśmy. Inaczej trzeba by czekać wiosny.

Z kolei latem, w czas zbioru wiśni, czereśni, śliwek zabieraliśmy spod Nowego Sącza hurtowe ilości owoców. Miasteczka winiarnia płaciła dwa, trzy razy więcej. Produkowane tu owocowe wina musujące „Bursztyn” miały grono amatorów, toteż gdy w latach 90. winiarnia stanęła, a budynki niszczały, podnieśli raban. Daremnie. Winiarni nie ma. Każdy zakład to miejsca pracy i towar, który



wraca groszem do producenta i miasta. Zapomnieli o tym włodarze. Nawet przed wojną w tym miejscu produkowano dobre piwa. Zwykli ludzie umieli myśleć ekonomicznie, choć nad oficjalną ekonomią pieczę miała ideologia. Woziliśmy zatem owoce, na przekór dowcipowi o pustej tacze. Zarobek należał do nas. Był to jeden z fenomenów tamtych lat. Ludzie zarabiali marnie, ale narzekali raczej na brak towaru niż kasy. Zdarzyło się nawet, że przewoziłem parę koni. Zamówił je rolnik spod Przechlewa. Miały być silne, reprezentacyjne i łagodne. Rasy belgijskiej. Pochodzę ze wsi, ale targ koński był dla mnie nowością. Na końskim targu w Kielcach musiałem być ostrożny i odpowiedzialny, bo wydatek był spory. Cóż, ryzykowałem kupno i przewóz. Pamiętam tamte emocje, ale nie miałem aparatu fotograficznego. To były sceny!

Dopiero po latach nadrobiłem stratę. W 2001 udało mi się zrobić fotoreportaż z końskiego targu w Kartuzach. Konie, twarze i gesty kupujących, sprzęty rolnicze i wozy, bryczki to wszystko tworzyło niezapomnianą atmosferę. Giełdy samochodowe zastąpiły końskie targi, ale nie da się odtworzyć scen zagłądania w zęby, pod ogon, oglądania kopyt i grzyw. Ów zapach, gwar, dobijanie litkupu pozostaną już tylko wspomnieniem.

Trasę z Kielc do Przechlewa konie zniosły dobrze. Były przywiązane do zaczepów, pod nogami miały siano. Okienko było uchylone. Jechałem ostrożnie ze względu na ładunek, ale przede wszystkim z obawy przed kontrolą. Milicja miała jednak ważniejsze sprawy niż pilnowanie ruchu drogowego. Całe szczęście! Dla mnie.



*Miastko, rok 1968. Jan Maziejuk, prezes ogniska TKKFiS przy FRiOS w Miastku, organizował zajęcia rekreacyjne dla rodzin pracowników. Dzień Dziecka nad jeziorem Starżno - biegnie pan Matyjaszek. Na zdjęciu obok: zawodników dopingują między innymi: Jan Kłyszko z synem na rękę oraz Alicja Maziejuk (po prawej).*

Miastecka fabryka była dla nas nie tylko miejscem pracy. Byliśmy młodzi, pełni nadziei i planów. Nowy zakład dawał możliwości. Więzy pracownicze przekształcały się w towarzyskie i przyjacielskie. Załogę stanowiły głównie kobiety, chyba właśnie dlatego zakładowe imprezy miały rodzinny charakter. Razem z miasteczkim kołem TKKF organizowaliśmy wypadki nad morze i nad jezioro, na grzyby i na jagody. Kto dziś dałby wiarę, że w repertuarze zabaw przodowały berek i podchody. Później przy ognisku była kiełbasa na kiju i coś dla kurażu. Wtedy zaprzyjaźniłem się z Bojarami, Pieniączakami, Dominami. Byli moją rodziną, bo innej nie miałem. Atrakcją spotkań była prywatna kronika filmowa, chociaż aparat fotograficzny towarzyszył mi zawsze, kamera rzadziej.

Najpierw, w 1964 roku pod prezesurą Jana Bełca, działalność ogniska TKKF utożsamiano z działalnością klubu sportowego „Start”. Spartakiady zakładów pracy mobilizowały działaczy, jednak nie angażowały kobiecej załogi fabryki. W grudniu 1967 roku zostałem z wyboru prezesem ogniska TKKF „Obrzeże” przy FRiOS w Miastku. Prowadziliśmy głównie działalność rekreacyjną dla kobiecej załogi, oddzielając klub sportowy od pracy ogniska. Wśród zwolenników takiej koncepcji znaleźli się między innymi ówczesna sekretarz zakładowej POP Ada Domin, Helena Lipińska, Czesław Łobaczewski. Po latach podarowaliśmy Adzie Domin książkę „Miastko wczoraj i dziś”.

Dziękując, napisała w liście z 2010 roku: „Przeżyłam w tym mieście przeszło trzydzieści lat, wiele chwil radosnych

i szczęśliwych. Miałam lubianą pracę w FRiOS, a jeszcze bardziej lubianą działalność społeczną. W konkursie na najlepsze koło TKKF zdobyliśmy pierwsze miejsce w kraju. To zasługa pracy Jasia z młodzieżą i mozolnego trudu kronikarskiego Mączkowskiego i Maziejuka. Dostaliśmy piękny dyplom i nagrodę 100 tysięcy

zł (czek), które odebrałam w Warszawie w siedzibie ZG TKKF. Wiele się wtedy w Miastku działo!”

W zapomnianej już publikacji „Pierwsze lata TKKF” wydanej pod redakcją Zbigniewa Mikołajczyka w Warszawie w 1972 roku znajduje się artykuł wspólnego autorstwa Mariana Mączkowskiego i mój pt. „Od trudności do sukcesów”, za który zostaliśmy nagrodzeni rowerami czeskiej produkcji. Jakiś czas potem odbyło się w naszej fabryce wyjazdowe posiedzenie Centralnej Rady Związków Zawodowych. Nasze ognisko TKKF jako najlepsze w kraju otrzymało nagrodę w wysokości 100 tysięcy zł.

Pod koniec lat sześćdziesiątych fabryka zakupiła autobus marki „San” po generalnym remoncie. Okazało się, że tylko ja mam potrzebne uprawnienia, dlatego znowu siadałam za kółkiem. Latem

woziłam urlopowiczów do zakładowego ośrodka wypoczynkowego w Dźwirzynie i na wycieczki nad morze, jesienią na grzyby, a na co dzień pracowników do zakładu pracującego na dwie zmiany. Jak zawsze aparat miałem ze sobą. Obiektywnie i bez retuszu zapisywał moje widzenie świata.

13 grudnia 1970 roku rząd ogłosił podwyżkę cen żywności. Ceny mięsa wzrosną o średnio 17,6 proc. Stanieją wyroby przemysłowe, na przykład... lokomotywy. 17 grudnia we czwartek 1970 roku pod okna mojego mieszkania w bloku przy ulicy Piastowskiej ulicą Kowalską w Miastku wjechały czołgi. Wiedzieliśmy, że nie jest dobrze. Podwyżki przed świętami wzburzyły ludzi, ale w Miastku nikt nie planował zamieszek ni strajków. W radiu i telewizji, która rozpoczęła program po południu, tylko oficjalne wiadomości.



*Miastko, rok 1967. Ada Domin nawet do lasu zabierała piłkę.*



- Dlaczego czołgi? Żołnierze w bojowym rynsztunku? Przeciw komu?

Gąsienice czołgów i samobieżnych dział huczały wśród beznieżnych ulic. Stały pod naszym balkonem. Wyniosłem koce, strzepnąłem przez balkon, jakbym robił przedświąteczne porządki i rozwiesiłem na balustradzie. Przygotowałem aparat. Kiedy Ala zorientowała się w moich zamiarach, wojna wybuchła w domu.

- Jesteś nieodpowiedzialny! Jak ktoś zobaczy, co robisz, wyładujesz w pierdłu! Mamy małe dziecko, a ty podchodzisz na czołgi urządzasz!

Skapitulowałem. Do dziś żałuję, że nie zrobiłem zdjęć. Jeden czołg, chyba wskutek awarii, pozostał na trawniku przed domem Marksa. Poszedłem, jak wielu miastkowiec. Niektórzy przynieśli gorącą herbatę zmarzniętym żołnierzom. I jedni i drudzy byli zdezorientowani. A ja? Do dziś nie umiem sobie odpowiedzieć, dlaczego nie zrobiłem zdjęć. Nie mogło mi się w głowie pomieścić, że władza wyprowadziła czołgi przeciw ludziom. O tym, co się działo tam, gdzie dotarły w tamte tragiczne dni, czyli w Gdańsku i Gdyni, rozmawiamy do dziś. Tam gdzie nie ma racjonalnego wyjaśnienia zdarzeń, rodzi się legenda. A piosenkę o Janku Wiśniewskim znają nawet dzieci.

*Most kolejowy Słupsk - Szczecinek, lipiec 1964 rok. Zosia Królak i Alicja, ja za obiektywem aparatu,... młodzi, z planami i marzeniami...*



# Ada i Ala

**N**ajpierw poznałem Adę Domin. Ona i jej mąż Czesław, dyrektor miastecznego POM, mieszkali od późnych lat pięćdziesiątych przy ulicy Małopolskiej w Miastku. Przy ich domu było wystarczająco dużo miejsca, by urządzić boisko do siatkówki. Był czas, że



*Miszewo, rok 1962. Wesele Anieli Burglin z Marianem Mączkowskim.*



*Słupsk. Złote gody, zdjęcie rodzinne po 50. latach małżeństwa.*

graliśmy do zmroku, do upadłego. Ada była duszą spotkań prywatnych i zakładowych. Była nieco starsza od nas, miała doświadczenie i temperament.

Imponowała mi znajomość z ludźmi wykształconymi, postawionymi wysoko w lokalnej hierarchii. Czesław Domin, dyrektor miastecznego POM, cieszył się zasłużonym szacunkiem, a to z racji pełnionej funkcji, ale również ze względu na osobiste przymioty. Ada pracowała w miasteczku FRiOS i była tak zwaną prawą ręką dyrektora Polakowskiego. Korzystałem skwapliwie z każdego za-

prośbienia i chociaż były niezobowiązujące i przypadkowe, bardzo je ceniłem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że zadzierzgną się między nami więzy powinowactwa.

Na wakacje 1958 roku do Dominów na ulicę Małopolską w Miastku przyjechała tegoroczna maturzystka, dwudziestolatka z nakazem pracy w Rudzie Śląskiej, Alicja Dąbrowska, siostra Ady. Zajęła się dziećmi, starszym Markiem i maleńkim Jarkiem, synami Dominów, odpłacając się w ten sposób za gościnę. Zpracowani rodzice z wdzięcznością przyjęli pomoc wykwalifikowanej przedszkolanki. Wakacyjny czas stał się okazją do znajomości dziewczyny z serdecznymi sąsiadami Dominów, państwem Gajdzicami z tej samej ulicy. Pan Gajdzica był inspektorem oświaty w Miastku i bez trudu załatwił młodej przedszkolance pracę w miasteczkim przedszkolu nr 1. Siostry Ada i Ala były szczęśliwe. Od dawna marzyły o tym, by być blisko. W Rudzie Śląskiej w maleńkim pokoiku na strychu przedszkola została walizka Alicji z wianem z bidula. Nic tam nie było, nawet jechać nie było po co.



*Ślupsk, wrzesień  
2012. Złote Gody  
Anieli i Mariana  
Mączkowskich  
obchodzone  
w towarzystwie  
Alicji i Jana  
Maziejuków.  
Oto siła miłości  
i przyjaźni!*

W tym czasie mój współlokator z ulicy Kaszubskiej, wierny druh, wypełniający zawód malarza, odnawiał pomieszczenia przedszkola nr 1 przy ulicy Koszalińskiej w Miastku. Nie przeżyłby dnia bez figla. Na koniec dniówki na szkolnej tablicy zapisał zdanie, które odmieniło moje życie: „Alka ma kota!” Następnego dnia przedszkolanki powitały go docinkami i śmiechem. Celowała Alka, która poczuła się adresatką wyznania. Biedny Marian poskarżył się na zuchwałą dziewczynę, a ja obiecałem utrzcęć Alce nosa. Okazało się, że to siostra Ady. Widywałem ją przedtem. Świetnie grała w siatkę.

Miałem więcej niż Marian śmiałości, bo spotykałem dziewczynę w okolicznościach towarzyskich. Poza tym podobała mi się i chwyciłem dobry pretekst do bezpośredniej rozmowy. Wybaczyła Marianowi psikus, a ja w jego imieniu w dowód wdzięczności zaprosiłem ją do „kina” na film wyprodukowany w mojej z Marianem kooperacji.

Wcześniej spotykaliśmy się niby przypadkiem u wspólnych znajomych i na zakładowych imprezach. Zaproszenie na urzędowy wspólnie z Marianem i jego Anielką prywatny seans filmowy w naszej mansardzie na Kaszubskiej przyjęła z ciekawością. Butelka słodkiego wina „Lakryma” rozwiązała języki, poprawiła humory, była wystarczającym pretekstem czułości.

Tymczasem... Stało się! Znajomość Mariana z Anielką, dziewczyną z Miszewa, która uwiodła mi przyjaciela szklanką śmietany z zakwasem, prowadziła w 1962 roku prosto na ślubny kobierzec. Okazało się wtedy, że moje kontakty z Anielką zawsze zwiastowały kłopoty. Wówczas, po jej uwodzicielskim poczęstunku, dostałem



*Miszewo, rok 1962. Uroczystości ślubne Mariana Mączkowskiego i Anieli Burglin. Życzenia składają dzieci: Hanna i Roman Radomscy. Janowi Maziejukowi towarzyszyła narzeczona Alicja Dąbrowska.*

ocznej choroby, najogólniej nazywając niedyspozycję żołądkową. Jak jej czarodziejski plan skończy się tym razem?

Byłem z Alką na ślubie i weselu w zwyczajnej dla mnie podwójnej roli. Filmowałem i fotografowałem uroczystość i zabawę, a Ala była pomocnikiem. Nosiła lampę błyskową, wówczas jeszcze z dużą spaliniwą żarówką. Wesele było jak trzeba, a ja zajęty fotografią nie miałem czasu na tańce z narzeczoną. Czas dla mojej Ali znalazł młodzieniec Józek, ponoć świetny kucharz. Zrozumiałem to, widząc ich całujących się w jakimś kącie.

- Zdrajczyń! Koniec! Nie chcę cię znać!

Straciłem dziewczynę i przyjaciela. Marian wyprowadził się do własnego mieszkania, a ja zostałem sam w mieszkaniu na stryszku u Barczewskich na Kaszubskiej. Snułem się bez celu, a czas mijał bez sensu. Wierności dochowała

mi fotografia, wypełniła samotne dni. Oddałem się działalności w Miasteczkim Towarzystwie Fotograficznym z siedzibą w miasteczkim Domu Kultury współorganizując, jako sekretarz Towarzystwa, plenery i wystawy. Wtedy poznałem fantastycznych ludzi, jak ja pasjonatów aparatów fotograficznych i projektorów filmowych.



*Ślub Beaty Mączkowskiej  
z Leszkiem Arcimowiczem.*

Prezesem MTF był Dymiro Saulski, który poprowadził dla nas kurs z podstaw fotografii, przekazując wiedzę o laboratorium fotograficznym. Wszyscy byliśmy amatorami poszukującymi własnych środków wyrazu, nie marzyliśmy nawet o własnym profesjonalnym sprzęcie. Mieliśmy natomiast zapał i rozległe plany artystyczne. W gorących dyskusjach wymienialiśmy się doświadczeniami i podpatrywaliśmy techniki zdjęciowe. Nawiązałem kontakty z prasą młodzieżową. Moje zdjęcia były publikowane w „Nowej Wsi” i „Zarzewiu”, kilka razy na okładce. Jakie było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem własne czarno-białe prace w kolorach nałożonych w drukarni. Standardem była wówczas fotografia czarno-biała, czas kolorowej dopiero miał nadejść. Niemniej uważam, że dawne czarno-białe miały w sobie coś z magii i poezji.

Tymczasem nadeszło lato. Organizowaliśmy zakładowe turnieje, wyjazdy, festyny. Ada, zawsze w towarzystwie siostry, nadawała ton. Lecz ja przyglądałem się Ali, widziałem, że wodzi za mną wzrokiem. Nie byłem jej obojętny! Znów warto było rano wstać. W czasie wypraw nad morze, jezioro, na grzyby i tak po prostu do lasu świetnie się bawiliśmy. Mieliśmy o czym rozmawiać i dobrze się rozumieliśmy, oboje bezpańscy i samotni.

W miasteczkim przedszkolu nr 1 wraz z Alą Dąbrowską pracowała Danka Janczyk. Jej rodzina pochodziła z Jencykowiec pod Grodnem. W 1945 roku, jak tysiące polskich kresowych rodzin, Janczykowie opuścili swoje rodzinne strony i repatriacyjnym pociągiem wyruszyli w nieznane. Do kaszubskiej wsi Udorpie koło Bytowa dotarła cała liczna rodzina: Józef, Ryszard. Marian, Danuta i Franciszek, wszyscy urodzeni tam, na Kresach.

Danuta - rocznik 1935 - szkołę podstawową kończyła w Udorpi, później uczyła się w waleckim liceum pedagogicznym dla

wychowawczyń przedszkoli. Po maturze w 1953 roku rozpoczęła pracę zawodową w przedszkolu w Sępólnie Wielkim. Niedaleko stąd do Kamnicy, a obie miejscowości powiązane były gospodarczo jednym zespołem PGR. Dlatego jeździłem do Sępólna jako pracownik kulturalno-oświatowy, widywałem i spotykałem się z paniami przedszkolankami. Nie mnie jednak Danką Janczyk była pisana.

W Gminnej Spółdzielni w Miastku w charakterze zaopatrzeniowca pracował Czesław Ferlin - rocznik 1929 - rodem z Kłodawy koło Chojnic. Kiedy nastał czas powojennych wędrówek, liczna rodzina szukała dla siebie miejsca na ziemi miasteczkiej.



*Słupsk 1990. Ślub Joli Mączkowskiej z Jarkiem Brzóska.*

Czesław, pracownik GS rozwoził towar do sklepów, także do Sępólna Wielkiego. W tym czasie poznał Danutę i wkrótce, bo już w roku 1954, stanęli - ślubując sobie małżeńską miłość - przed urzędnikiem Urzędu Stanu Cywilnego w Bytowie. Jakież było zdziwienie i wzburzenie Czesława, gdy młoda żona odmówiła wspólnego łoża.

- Ślub cywilny to za mało, bym mogła przyjąć ciebie jak męża - oświadczyła Danuta i zamknęła za sobą drzwi sypialni.

Czesław pojechał do Miastka, a Danuta została sama, przerażona reakcją „urzędowego męża”.

Popłakiwała w poduszkę, zamartwiała się, ale duma i zasady nie pozwalały zrobić niczego więcej. Wreszcie po kilkunastu dniach Czesław przyjechał. Na przeprosiny miał dla żony kawę i czekoladę. Spotkanie przedłużyło się i skończyło ustaleniem daty ślubu kościelnego,

do którego młodzi poszli w tym samym roku.

Rok później przeprowadzili się do Miastka, gdzie na świat przyszło czworo ich dzieci, udanych i utalentowanych: Marek, Grzegorz, Adam i Elżbieta. Dzieci, jak to dzieci, szybko dorastają, a nam przybywa lat i siwych włosów.

Przyjaźń z Ferlinami przetrwała lata, a ich małżeństwo mogłoby być przykładem wzajemnej miłości i szacunku. Byliśmy gośćmi na ich złotych godach obchodzonych szumnie w 2004 roku, dzięki wkładowi i wysiłkowi organizacyjnemu ich dzieci.



*Miastko, 1961 r. Rodzina Ferlinów przy świątecznym stole z gościem - Alicją Dąbrowską.*



*Miastko, 1961 r.  
Chrzest Grzegorza  
Ferlina. Rodzicami  
chrzestnymi byli  
Alicja Dąbrowska  
i Klemens Bejnar  
z Bytowa.*



*Miastko, 1985 r.,  
8 czerwca.  
Grzegorz  
Ferlin żeni się  
z Małgorzatą  
Michalak.*



*Grzegorz Ferlin, obecnie emerytowany rzecznik słupskiej straży pożarnej z satysfakcją opowiada o pożarniczych sukcesach. Prezentuje medal Mistrza Świata w sportach pożarniczych, ozdobę niemałej kolekcji trofeów. Przez piętnaście lat był w kadrze narodowej sportów pożarniczych.*



*W lipcu 1989 roku reprezentacja Polski z udziałem Grzegorza Ferlina zdobyła Mistrzostwo Świata. Trenerem reprezentacji był pułkownik Waldemar Blasta. Na „pudle” stoją też Zbigniew Stroński i Bogdan Dębek. Grzegorz Ferlin był mistrzem Polski w konkurencji z drabinką hakową. Nie wiadomo czy na sukcesy miał wpływ fakt, że jego matką chrestną jest Alicja Dąbrowska, wraz z mężem Janem zaprzyjaźniona z rodziną Ferlinów.*

Uroczystość rozpoczęła się odnowieniem ślubu przed ołtarzem w zabytkowym kościele pod wezwaniem Św. Michała Archanioła w Starzynie. Następnie licznie zgromadzona rodzina i przyjaciele bawili się do białego rana w ośrodku wypoczynkowym „Słoneczny Stok” w Świeszynie. Co to był za ślub!

Rok później Czesław zmarł i spoczął na cmentarzu w Miastku. Danuta pozostała niepokieszona. Do końca swoich dni pogrążona była w smutku, zmagająca się z chorobami. Oboje, moja żona Alicja i ja, staraliśmy się ją wspierać i pomagać w codziennych sprawach. Danuta Ferlin zmarła w marcu 2012 roku. Została pochowana u boku męża na miasteczkim cmentarzu.

\*\*\*

W tamtych czasach święta państwowe obchodzone były szumnie i wystawnie. Pod dostatkiem było parówek, kiełbasy, czekolady, nawet kawy. Lu-

dzie przychodzili zrobić zapasy, bo takich okazji było niewiele. W Miastku na ulicy Armii Czerwonej, na miejscowym deptaku, spotkać można było wszystkich. Jedni szli w pochodzie pierwszomajowym, inni stali na chodnikach machając chorągiewkami. Dla mnie była to doskonała sesja fotograficzna. Górnolotne transparenty, niezamierzony dowcip sytuacyjny, ciekawe postacie. Nie odrywałem





*Świeszyno k. Miastka, 20 listopada 2004. Złote Gody Danuty i Czesława Ferlinów. Otrzymali Medale za Długoletnie Pożycie Małżeńskie, którymi udekorowano ich w USC w Miastku, następnie odnowili śluby małżeńskie w zabytkowym kościółku w Starznie. Na zdjęciu od lewej: Alicja Maziejuk, Danuta i Czesław Ferlinowie, ich wnuczka - Kamila i Kornel, dzieci syna Adama z Kołobrzegu.*

aparatu od oka. Po pochodzie urządziłem wystawę. Niejeden artysta pozazdrościłby mi publiczności. Ludzie „podglądali” siebie i innych śmiejąc się i dowcipkując. Czasem przychodziła chwila refleksji.

Kilka lat później, gdy ostatecznie zamieniłem kierownicę na aparat fotograficzny i z samochodu przesiadłem się na motocykl marki WFM, objeżdżałem w ciągu kilku przedpołudniowych godzin sąsiednie powiaty. W Bytowie fotografowałem mówców na trybunach honorowych, w Sławnie barwny korowód z transparentami, a w Miastku festyn z kolejkami do straganów. Po południu w powierzonej mi laboratorium w miasteczkim Domu Kultury



*Małgorzata i Grzegorz Ferlinowie świętowali w gronie rodziny i przyjaciół Srebrne Gody. Było to ostatnie takie spotkanie. 5 lipca 2011 roku Małgorzata Ferlin zmarła nagle. W miejscu złożenia Jej prochów w słupskim Kolumbarium widnieje napis: „Można odejść na zawsze, by stale być blisko”.*

wywoływałem i opracowałem materiał. Część umieszczałem w gablocie przy Armii Czerwonej. Pozostały wiozłem motorem do Koszalina do redakcji „Głosu Koszalińskiego”. Koniecznie przed 20:00, aby następnego dnia czytelnicy mogli otrzymać pierwszomajowy fotoreportaż.

W 1963 roku kierownikiem miasteckiej FRiOS został Bogdan Karwowski. Fabryka kwitła. Odwiedzali nas znani artyści, sportowcy, dygnitarze szczebli branżowych. Zakład znany był w całym kraju jako najlepszy w branży! Kilka lat później nawiedził nas nawet Edward Gierek. To była reklama! Wiedzieliśmy już wtedy czym jest tzw. pijar, choć nazywaliśmy to inaczej. Przed zakładem stała gablota „Ludzie Dobrej Roboty”. Fotografowałem zdarzenia i ludzi. Ciągłe jeszcze byłem kierowcą, ale współpracowałem z Waldkiem Perechudą, korespondentem „Głosu Koszalińskiego”, dostarczając mu serwisów zdjęciowych.

Po latach, na dożynkach powiatowych w Biesowicach 10 września 2011 roku podszedł do mnie mężczyzna.

- Pamięta mnie pan? Jestem Józef Olejniczak. Byłem organizatorem wojewódzkich dożynek w Koszalinie w 1971 roku. Też odbywały się w Biesowicach!

Patrzyłem na człowieka zaskoczony. Pamięć jak rejestrator cofała się znajomymi obrazami.

- Tak, pamiętam wykonane wtedy zdjęcie! Odnalazłem je niedawno z myślą o wykorzystaniu w publikacji „Fotografia chłopów pomorskich.”

A on dodał: - Zapamiętałem pana kolegę, Waldemara Perechudę. Napisał o naszych dożynkach tak, jak ja powiem o nim: „Jak dałeś w łapę, to napisał wape”.

Pamiętam. Waldek Perechuda tak podpisywał swoje teksty. Wtedy obaj pełniliśmy reporterską posługę. W reportaż z dożynkowej uroczystości wmontował kilka uwag o organizatorach, władzy, stanie gospodarki, polityce. Tyle, ile wówczas można było. Ludzie jednak umieli przeczytać i to, czego nie napisano. Upłynęły lata, a tamte słowa ciągle tkwiły zadrą w pamięci tego człowieka. Potęgą jest prasa! Dziennikarze mają władzę nad ludzkimi emocjami i pamięcią.

W tamtym czasie poznałem redaktora Tadeusza Martychewicza, z którym współpracowałem przygotowując fotografie do tematów z naszego powiatu. Kilka lat później spotkaliśmy się najpierw w redakcji „Zbliżeń”, następnie „Głosu Pomorza”. Góra z górą, powiadają, a dla mnie było zaszczytem, że z równymi dziennikarskimi prawami dołączyłem do zespołów redakcyjnych.

\*\*\*

W Boże Narodzenie 1963 roku poślubiłem Alicję Dąbrowską. Skromne przyjęcie przygotowali Ada i Czesław Dominowic w ich domu przy ulicy Małopolskiej w Miastku. Świadkiem naszej przysięgi małżeńskiej był Marian Mączkowski. Nie było moich krewnych. Nie czułem się upoważniony do zaproszenia braci, bo gdzie bym ich miał przyjąć.

Dominowie zaprosili krewnych Ady i Ali, panny młodej - wujka Ludwika Moszczyńskiego z żoną Zofią Kazimierą z domu Piłatowicz-Moszczyńską oraz ich córkę Iżę z mężem Karolem Piaskowskim z miejscowości Jazy pod Kołobrzegiem.

Zofia i Ludwik Moszczyńscy pobrali się w 1925 roku w Bełżcu, gdzie mieszkał starszy brat Ludwika - Aleksander Moszczyński. Wkrótce młodzi małżonkowie przenieśli się do Warszawy i zamieszkali przy ulicy Złotej. Ludwik był kierowcą sztabowym, dlatego po upadku obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku wraz z dowództwem i centralnymi władzami ruszył przez Zaolzie do Rumunii. Gdy tam dotarli hitlerowcy, jako jeńiec został wywieziony do Francji. Żona Zofia z córką Iżą zostały w Warszawie. Trudno było żyć w mieście, więc zdecydowały się na wyjazd do Aleksandra Moszczyńskiego do Bełżca. Zarabiała na życie szyjąc, a jej sława jako dobrej krawcowej rozeszła się po okolicy. Klientów



*Miastko, 1963. Jan Maziejuk poślubił Alicję Dąbrowską.*



*Dygowo, lata 60, Boże Narodzenie. Zjazd rodzinny u Izy i Karola Piaskowskich. Od lewej: córki gospodarzy - Iwona i Aldona, dalej Ada Domin, Ala Maziejuk z synem Bogdanem, Jarek Domin. Stoją od lewej: Czesław Domin, Iza Piaskowska i jej kuzynka, Karol Piaskowski, Ludwik i Zofia Moszczyńscy.*



*Dygowo, lata 70. Zofia Moszczyńska  
z synami Ady i Czesławem Dominów  
- Jarkiem i Markiem.*



*Dygowo, Boże Narodzenie  
w latach 70. Od lewej: Alicja  
Maziejuk i Iza Piaskowska.*

nie brakowało, to i zarobek był dobry. Tak doczekały końca wojny. Powrót do Warszawy był rozczarowaniem. Miasto witało ich zwałami gruzu, a po ich domu został lej po bombie. Cóż było robić? Najpierw pojechały do Belska w okolice Grójca do siostry Zofii, Heleny Piłatowicz, gdzie u cioci schroniła się osierocona Ada Dąbrowska, córka Marii (Piłatowicz) i Kazimierza Dąbrowskiego. Aleksander Moszczyński wyjechał na ziemie zachodnie, w Koszalińskie. W krótkim czasie słał list z propozycją przyjazdu.

- Zaczniemy wszystko od nowa. Łatwo o mieszkanie i pracę. Przyjeżdżają nowi ludzie, przyjeżdżajcie i wy.

Nie było na co czekać. Zofia Moszczyńska z córką Izą i siostrzenicą Adą Dąbrowską, uczennicą Liceum Ogólnokształcącego w Olsztynie, wyjechały do Dygowa w okolicy Białogardu. Tu będzie ich dom, a Ada będzie miała gdzie spędzać święta i wakacje. Znalazło się opuszczone poniemieckie mieszkanie, ale trzeba było zdobyć środki do życia. Ciocia Zofia znów rozpoczęła działalność krawiecką, zapisała się do cechu i zdobyła dyplom czeladniczy. Luźniła swoje zajęcie. Dawało zarobek i spokój.

Tymczasem Ludwik Moszczyński po latach wojennej tułaczki wrócił do Warszawy. Od znajomych dowiedział się, gdzie szukać żony i córeczki. Szczęście to było niesłychane, gdy wreszcie się spotkali. Nie chciał mieć nic wspólnego z zawodem wojskowego kierowcy. Minał przedwojenny prestiż wojskowego kierowcy, ponadto smutne wojenne doświadczenia, stan zdrowia po latach tułaczki,

wreszcie wymóg nowych czasów - to wszystko sprawiło, że szukał innego zajęcia. W nowym miejscu zamieszkania organizowała się, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, infrastruktura - zatem na nowe czasy został prezesem Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Prezesował wiele lat uruchamiając sklepy różnych branż. Ada w domu wujostwa znalazła rodzinę, a w Dygowie pierwszą pracę. W Dygowie poznała Czesława Domina, który również szanował i cenił oboje Moszczyńskich. Wkrótce młodzi pobrali się i wyjechali do Miastka. Ale o wujostwie Moszczyńskich i ich córce Izie, młodej mężatce, pamiętali jak o najbliższej rodzinie. Dlatego ich obecność na uroczystości weselnej Ali była jak najbardziej naturalna.

Ludwik Moszczyński zmarł w 1979 roku, Zofia Kazimiera w 1981. Oboje zostali pochowani na cmentarzu w Dygowie. W 1979 roku dziennikarz TV Koszalin Bogdan Żółtak przygotował reportaż o Zofii Moszczyńskiej.

Ala od dawna знаła Izę Moszczyńską i jej męża Karola Piaskowskiego z Jazów pod Kołobrzegiem, gdzie jego rodzice mieli duże gospodarstwo rolne. Kiedy chłopak odbywał służbę wojskową w jednostce lotniczej w Słupsku,



*Dygowo.  
Rok 1962.  
Iza i Karol  
Piaskowscy*



*Miastko, lata  
60. Marek  
Domin w drodze  
na szkolną  
„choinkę”.*



*Słupsk, lata 80.  
XX wieku. Od  
lewej: Magda  
i Marcin Domin,  
Robert Maziejuk  
z Leną Domin  
na rękach.*

Ala towarzyszyła Izie w wyprawach do ukochanego. Dziewczyny na bramie przepustek prosiły o wiedzenie z kuzynem Karolem. Dyżurny puszczał do dziewczyn oko, dając do zrozumienia, że wie o co chodzi i przywoływał „kuzyna”, który cieszył się opinią wzorowego żołnierza i sportowca. Znano go jako świetnego obrońcę drużyny piłkarskiej z klubu sportowego z Dygowa. Później dopiero okazało się, że i jemu nieobce były wyprawy przez dziurę w płocie do miasta na piwko.

Z domu rodzinnego wyniósł poczucie odpowiedzialności, zaradność i pracowitość. Po śmierci ojca przez jakiś czas prowadził gospodarstwo.

Iza i Karol pobrali się w kwietniu 1962 roku. W listopadzie tego roku urodziła się ich córeczka Iwona, a pięć lat później druga - Paulina.

Poznawałem rodzinę mojej żony, świetnie się wśród nich czułem. Byli serdeczni i życzliwi. Szczególnie cieszyła mnie sympatia Ady i Czesława Dominów. Tyle dla nas zrobili, zupełnie bezinteresownie! Myślę, że wiele w tym zasługi Ady. Złościła się czasem, kiedy moje spotkanie z Czesławem kończyło się po męsku i małżonek do domu wracał „przy humorze”. Jeździłem do miastka z kolegami ze „Zbliżeń”, służbowym samochodem. „Wołga” na podjeździe fabryki była nie lada wydarzeniem. sekretarka Czesława bez wahania przyjmowała polecenie: „Nie ma mnie dla nikogo”. Ada znała życie, rozumiała moją sytuację, bo sama wiele, mimo młodego wieku, przeszła. Zresztą i czasy były takie, że ludzie pragnęli życzliwości i ciepła, i rozumieli się wzajemnie. Ich synowie, wychowani w atmosferze szacunku dla rodzinnych więzów, empatii i życzliwości, nie zawiedli rodzicielskich oczekiwań.

Marek Domin ukończył studia medyczne i jest cenionym ortopedą. Wraz z żoną Bożeną z Pawłowskich wychowali troje dzieci: Magdalенę, Macieja i Lenę. Syn poszedł w ślady ojca i jest chirurgiem ortopedą. Dziewczyny również pokończyły studia. Podkreślałam to, bo zawsze miałem szacunek dla wykształcenia. To najtrwalsze wiano, jakie rodzice mogą przekazać dzieciom.

Jarek Domin ukończył studia aktorskie, poślubił Annę, urodził się im śliczny synek Antoś. Mieszkają w Warszawie, na Bielanych. Zagrał w „Tangu z aniołem”, serialach „Na Wspólnej” i „M jak miłość” oraz kilkunastu innych filmach. Znany jest przede wszystkim jako aktor dubbingowy, a tu jego filmografia obejmuje setki filmów aktorskich i kreskówek.

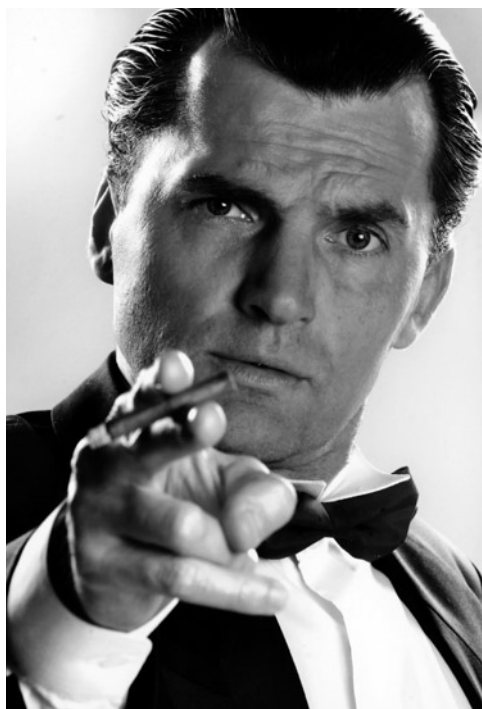
Cieszę się z ich sukcesów, cenię ich przyjaźń i zainteresowanie. Ich osiągnięcia są dowodem, że dzieci z małych miasteczek, które nie zmarnowały lat nauki, mogą wiele osiągnąć.



*Miastko, lata 60. XX wieku. Jarek Domin został aktorem scen warszawskich.*



*Miastko, lata 80. Rodzina Dominów: Ada i Czesław z synami Jarkiem i Markiem.*



*Jarosław Domin, aktor dubbingowy i telewizyjny, syn Ady i Czesława Dominów.*



*Pasieka pod Miastkiem, rok 2008. Jarek Domin z żoną Anią i synkiem Antosiem.*

W 2008 roku w Kołobrzegu w restauracji „Fregata” świętowaliśmy osiemdziesiąte urodziny Ady Domin. Niestety, Czesław od paru lat już nie żył. Przyjechali wszyscy: dzieci, wnuki, prawnuki, znajomi, przyjaciele. Prawdziwy rodzinny zjazd. W prezencie dla Jubilatki przywiozłem nakręcony w 1962 roku film z wyjazdu na grzybobranie. To była sensacja! Ada - młoda, piękna, pełna energii - mogła pokazać się prawnukom. Przecież my też byliśmy młodzi - my o tym zapominamy, a nasze wnuki i prawnuki myślą, że zawsze mieliśmy siwe włosy. Było sporo śmiechu, wspomnień i łez rozrzewnienia. Coraz mniej mamy okazji do takich spotkań, coraz częściej zostajemy na poboczu głównej drogi życia. Głos mają młodzi.

*Kołobrzeg.  
Restauracja  
„Fregata”.  
Osiemdziesiąte  
urodziny Ady  
Domin. Obecni byli  
synowie Jubilatki  
z rodzinami,  
Piaskowscy  
z Dygowa, Sawiccy  
z Kołobrzegu,  
Bojarowie z Ustronia  
Morskiego,  
Maziejukowie ze  
Słupska i rodzina  
Bożeny Domin.*



Z Alą dobrze się rozumieliśmy i pragnęliśmy bliskości. Mieliśmy po dwadzieścia pięć lat, doświadczenie sieroctwa w domu dziecka, biedy i wspólne marzenia. Tęskniliśmy za rodziną, naszą, wymarzoną. Po ślubie zamieszkaliśmy w mieszkanku u Barczewskich, a niebawem dostaliśmy kawalerkę przy ulicy Piastowskiej w Miastku. Cieszyliśmy się każdym sprzętem, a nasze mieszkanko było coraz przytulniejsze. Jednak wciąż byliśmy na dorobku i przez wiele lat potykaliśmy się o codzienne sprawy, ucząc się na własnych błędach.

Powinienem zmienić styl życia, a mnie ciągle nie było w domu. Zawód kierowcy i sportowe wyjazdy zajmowały dużo czasu, a młoda żona pragnęła dzielenia domowych obowiązków i radości. Jeździłem w świątki i piątki, wiodąc żywot cygański i cygańskie miałem szczęście, unikając szczęśliwie kolizji i nieprzewidzianych zdarzeń. Że trochę szczęściu trzeba pomóc, wiedziałem.

W latach sześćdziesiątych wybuchła moda na autostop. Zainteresowani podróżą za grosze kupowali książeczki autostopowicza



i wybierali się na wakacje okazją. Korzystali głównie młodzi. Czekali na poboczach dróg licząc na życzliwość kierowcy. Kiedy wracałem z trasy po rozwiezieniu miasteczkich wyrobów do hurtowni, chętnie zabierałem autostopowiczów. Duży, kryty samochód zapewniał wygodę, a młodzi pasażerowie nie byli wybredni. Nie narzekałem na brak chętnych. Rozliczali się kuponami z książeczki autostopowicza, wypełniali blankiety, określając ilość przejechanych kilometrów z południa Polski nad morze. Pod koniec roku zebrane kupony wysyłałem do organizatora akcji Autostop. Jednego roku zebrałem ilość kuponów kwalifikującą mnie do nagrody. Udało się! Dostałem chłodziarkę marki „Alka”. Śmiechu i radości było co niemiara. Odtąd miałem w domu dwie Alki. Jedna w kącie w kuchni chłodziła napoje, druga w sypialni grzała łożo. Cysorz to ma klawe życie! W dobie reglamentacji zakup chłodziarki w sklepie był nierealny. System bonów i talonów dawał przywileje górnikom, działaczom partyjnym, wyróżniającym się wysoką produkcją żywca rolnikom. Na Piastowskiej w Miastku tylko my mieliśmy chłodziarkę. Za autostop. W kolejnych latach nagrodzono mnie teczką skórzaną i sztucami. Dobre i to.

Nie jest łatwo być kierowcą. Na pewno łatwiej samotnemu, bez rodzinnych obowiązków. A my spodziewaliśmy się dziecka, moja obecność w domu będzie niezbędna. Ala nie miała entuzjazmu do moich nagród. Marzyła o jednej, bym był w domu jak porządny mąż, o piętnastej. Nie było wyjścia. W 1964 roku zdałem egzamin na prawo jazdy I kategorii, ale zrezygnowałem z zawodu kierowcy. Kierownik Bogdan Karwowski zrozumiał argumenty i zmienił mój angaż. Zostałem mechanikiem maszyn szyjących. Moja dotychczasowa wiedza w tej kwestii opierała się na widoku hali z pracującymi przy maszynach szwaczkami. Jednak dzięki głównemu mechanikowi, a prywatnie koledze z boiska, Władowi



*Miastko, rok 1964. Oswojona przez mechanika maszyn szyjących Jana Maziejuka kawka towarzyszy mu również w sesjach zdjęciowych.*



*Sylwestrowa prywatka. Władysław Pieniąszczak oraz Alicja i Teresa.*

Pieniączkowi szybko zgłębiłem tajemnice mechanizmów szyjących. Nie to było najtrudniejsze. Normowany czas pracy, od siódmej do piętnastej, to było wyzwanie! Na szczęście pozostałem przy obowiązkach zakładowego fotografa. Miałem do dyspozycji dobrze wyposażone atelier i sprecyzowane zadania. Wykonywałem dokumentację fotograficzną wyposażenia FRiOS w Miastku i, w ramach delegacji, podobną w Garbarni w Kępicach. Zakupiono wówczas szerokokątny obiektyw, tak zwane rybie oko, do ujęcia ogromnych urządzeń garbarskich. Z aparatem fotograficznym czułem się sobą, czas przestawał istnieć, nigdzie mi się nie spieszyło.

W tym czasie w ramach Miastckiego Towarzystwa Fotograficznego nawiązaliśmy kontakt z fotografikami z zakładów „Tesla” z Czechosłowacji. Wymienialiśmy materiał fotograficzny i wystawy. Przyszedł czas na pierwsze sukcesy. Z duszą na ramieniu zorganizowałem autorską wystawę „Kwiaty”, którą wspominają starsi miastkowie.

Dawne fotografie są dokumentem minionego czasu, wówczas jednak odczytywano je jako recenzję codzienności, bieżących spraw. Czasem wyrażały społeczny protest, zapisany na światłoczułej kliszy, do istoty którego można było dotrzeć pomijając cenzurę. Taki charakter miało zdjęcie, które przyniosło mi jednocześnie splendor i kłopoty.

Sfotografowałem mężczyznę ciągnącego na małym ręcznym wózku złom. Tło stanowiła plansza, jakich było wiele na ulicach, z hasłem „Socjalizm przyszłością narodu”. Na wystawie fotografii prasowej w Koszalinie zdjęcie wyróżniono i otrzymałem nagrodę. Następnego dnia wezwano mnie na dywanik do I sekretarza PZPR w powiecie. Rozmowa była jak w dowcipie, który warto przypomnieć.

Na zebraniu partyjnym towarzysz grzmi w przemówieniu.

- Towarzysze! Obywatele! Dwa razy dwa jest sześć!

- Bravo! Barwo! - skanduje tłum. Ktoś podnosi rękę i mówi.

- Ależ to nieprawda. Powinno być cztery! - Po zebraniu podchodzą do naszego bohatera dwaj panowie w czarnych skórzanych płaszczach. Uchylają kapelusze na powitanie.

- Pan pozwoli z nami - i odchodzą razem. Bohater znika na kilka lat.

Po kilku latach znów jesteśmy na zebraniu, gdzie sekretarz tłumaczy.

- Towarzysze! Obywatele! Dwa razy dwa jest pięć! - Hura! Bravo! - krzyczą zebrani. Nasz znajomy nie bacząc na konsekwencje oponuje.



*Miastko, ulica Koszalińska, rok 1971. Jan Maziejuk umiał zrecenzować rzeczywistość jednym fotograficznym ujęciem.*

- W imię zdrowego rozsądku, to przecież cztery.

Po zebraniu podchodzi do niego pan w dobrym garniturze, zaprasza do gabinetu i pyta.

- Czy chciałby pan, żeby wróciły czasy, kiedy dwa razy dwa było sześć?

Mnie zapytano dlaczego kwestionuję dorobek PRL. Wychodzi na to samo. Zdjęcie zdjęto z pokonkursowej wystawy.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku w miasteczkim powiatowym domu kultury podjęliśmy próbę stosowania techniki hand-kolorystyki fotografii. Idea kolorowania fotografii zrodziła się w czasach stosowania dagerotypu, od połowy lat czterdziestych XIX wieku z sprawą Szwajcara Johana Baptiste Isenninga. Odmiany tej techniki stosowane były w Anglii i Francji. W Japonii technika ręcznego kolorowania fotografii wyodrębniła się jako forma wyrafinowanej sztuki.

Współcześnie technika ręcznego kolorowania fotografii zyskuje popularność i jest sposobem przywrócenia świetności starym fotografiom, głównie portretowym i pejzażom. Czasem jest to tylko barwienie policzków, nadanie blasku spojrzeniu, ale może przybierać zasadę tworzenia portretów podobnych do tradycyjnego malarstwa. Efekt zapewniają techniki i materiały oparte na farbach olejowych i dobrym dawnym światłoczułym papierze.

W naszej pracowni eksperymentowaliśmy na monochromatycznych czarno-białych fotografiach. Nie mieliśmy dostatecznego przygotowania ani wiedzy. Stosowaliśmy farby akwarelowe rozpuszczalne w wodzie, przygotowane na paskach twardego papieru nasyconego kolorem o różnych odcieniach i odpowiadającej im na odwrócenie numeracji. Nakładaliśmy je na fotografie ręcznie miękkim pędzelkiem lub wacikiem nałożonym na zapałkę. Efekt zależał od kunsztu artystycznego i pomysłowości autora. Moja robociarska ręka nie była, niestety, dość precyzyjna, stąd i efekt, który mnie samego śmieszył. Zdjęcia były odrealnione, dziwnie, fotografie pejzażowe wyglądały prymitywnie. Poza tym stosowana przez nas metoda nie była trwała, kolory bladły pod wpływem światła słonecznego. Żadne ze zdjęć wykonanych tą techniką nie przetrwało czasu.

Mam natomiast w swoich zbiorach kilka kartek okolicznościowych i pejzaży wykonanych techniką hand-koloru - z 1925 roku - mocno już wyblakłych, ale wciąż czytelnych.

Ala, podobnie jak ja, wcześniej straciła rodziców. Aniela z Niegrzybowski i Kazimierz Dąbrowscy z dziećmi Adą, Jankiem i Alą mieszkali w wynajętym mieszkaniu przy ulicy Swarzewskiej 82 na Bielanach w Warszawie. Kazimierz Dąbrowski pracował jako mechanik samochodowy w Komunikacji Miejskiej w Warszawie. Jeździł pierwszymi warszawskimi autobusami. Przedtem przez jakiś czas wspólnie z pierwszą żoną Marią prowadził sklepik spożywczy, a po jej śmierci do drugiego małżeństwa z Anielą Niegrzybowską prócz córki Ady wniósł bankructwo sklepiku uruchomionego z pieniędzy zarobionych w Ameryce przez pierwszą żonę. Dlatego wrócił z pokorą do zawodu mechanika. Z drugiego małżeństwa urodziło się dwoje dzieci, Alicja i Jan.

O weselu Kazimierza Dąbrowskiego z piękną dwudziestoczteroletnią panną Anielą Niegrzybowską pamiętają w Kiełpinie do dziś, choć wesele odbyło się w 1935 roku.

- W marcu 2013 roku otrzymałem list od Zosi Balcerzak z Legionowa, córki Marianny Królak z domu Niegrzybowskiej, ciotecznej babci mojej Ali. Zosia opowiedziała mi w liście o rozmowie z dziewięćdziesięciodwuletnią Janiną Wyczółkowską z Łomianek,

która zapamiętała wesele Dąbrowskich i tak je opisała.

- Niegryzbowscy mieli w Kiełpinie mały domek z kuchnią i jednym pokojem. Mieszkanie zupełnie się nie nadawało na urządzenie wesela. Dlatego Jan Niegryzbowski, ojciec panny młodej, wynajął dom w Łomiankach u pana Niegodziszsa. Kiedy wyniesiono meble, weselnicy mogli bawić się w dwóch dużych izbach. Jednak na wesele nie zaproszono nikogo z Kiełpina, rodzinnej wsi panny młodej. Natomiast pan młody jechał z Warszawy z ulicy Swarzewskiej w kawalkadzie ukwieconych bryczek z orkiestrą na przodzie. W Kiełpinie do bryczki młodego wsiadła śliczna panna Aniela i orszak weselny ruszył z kopyta do kościoła w Łomiankach. Kiełpinianie z zachwytem i zazdrością obserwowali przejazd weselnego orszaku. Wielu pojechało za nimi do kościoła, po prostu z ciekawości, żeby zobaczyć, jak przystojniak z Warszawy ślubuje kiełpiniance.

- Och, jaki on był przystojny i do tego warszawiak - wspomina pani Janina. Nie wiedzieliśmy co podziwiać - pana młodego czy ukwiecone jak ogrody bryczki!

Tak, teść, którego nie poznałem, miał iście kawalerską fantazję - co z radością odkrywam po latach. Nie dziwi zatem fakt, że jego losy, jak wielu warszawskich chłopców, wpisały się w powstańczą chwałę i tragedię.

Z najstarszą córką Adą pożegnał się w pierwszym dniu powstania i już jej nie zobaczył. Nie wiedział nawet, że odbyła szkolenie wojskowe, złożyła przysięgę i jako sanitariuszka oddziału



*Kazimierz  
Dąbrowski.  
Warszawa,  
przedwojnie.*



*Aniela  
Dąbrowska,  
z domu  
Niegryzbowska.*



*Warszawa,  
rok 1940.  
Kazimierz  
Dąbrowski  
z dwuletnią  
córeczką  
Alicją.*



*Alicja Dąbrowska  
w roku 1957  
i po maturze.*

na Bielanach poszła do powstania. Kiedy został ranny w powstaniu, ukrywał się jakiś czas u rodziny. Któregoś dnia w czasie łapanki na Złotej aresztowano go i wywieziono do KL Dachau, następnie do obozu we Frankfurcie nad Menem. Został tam zamordowany i pogrzebany w zbiorowej mogile. Informację o jego śmierci z powodu gruźlicy, jak brzmiała oficjalna przyczyna, rodzina otrzymała wiele lat później.

Anieli Dąbrowska z domu Niegrybowska chorowała przez całą okupację, lecząc się w domu i w szpitalach. Na czas jej choroby dzieci odesłano do Kiełpina, do dziadków - Marianny i Jana Niegrybowskich - rodziców Anieli.

Wprawdzie gospodarstwo obłożone było, jak wszystkie, kontyngentami na rzecz okupanta, ale łatwiej było o żywność niż w Warszawie, a dzieci miały opiekę. Większym zwyczajem dziadkowie próbowali włączyć dzieci do prac w gospodarstwie, cóż to jednak była za pomoc! Jak to miejskie dzieci, nawet nie potrafiły nazbierać na miedzach zielska dla świń. Była to przez całe lato codzienna praca, podstawa utrzymania trzody, więc każdy chwast był cenny i zbierali wszyscy.

Natomiast kłopotów z nimi było sporo. Któregoś dnia cięto słomę na sieczkę. Nikt nie zauważył małej Ali, a ona włożyła pod noże garść słomy razem z palcem. Krzyk dziecka postawił wszystkich na nogi. Palec wisiał na skórze. Pierwszej pomocy udzielił niemiecki żołnierz obsługujący działko ustawione za stodołą. Był studentem medycyny. Zajął się dziewczynką i uratował palec. Wkrótce Niemcy zajęli całe gospodarstwo, a rodzinę wywieziono pod Nowy Dwór Mazowiecki. Zamieszkali w kurniku, wprawdzie bez kur, ale z pchłami, których nie można było się pozbyć.

Do Kiełpina wrócili po wyzwoleniu. Dom był doszczętnie zrujnowany. Naprawili zatem pospiesznie i prowizorycznie dach, urządzono jakoś pokój i kuchnię, byleby był kąt, choćby dla chorej Anieli, która z Warszawy przeniosła się do rodziców, by być bliżej dzieci. Była bardzo chora. Sama w mieście nie dałaby sobie rady, a wiadomość o śmierci Kazimierza ostatecznie pogrzyżyła ją w smutku. Aniela Dąbrowska zmarła 5 sierpnia 1945 roku.

Rodzinne tragedie, a było ich wiele, spletały się z nadziejami. Skończyła się wojna, nastał czas odbudowy. Pierwsze jej hasło: „Cały naród buduje swoją stolicę” powtarzali wszyscy, a oficjalny dokument „Dekret o odbudowie miasta stołecznego Warszawy”, powołujący Naczelną Radę Odbudowy pod przewodnictwem prezydenta

Bieruta przyjęto 24 maja 1945 r. Nadzieje i entuzjazm wyrażały się w nakazowym, lecz również spontanicznym udziale osób pracujących społecznie przy odgruzowywaniu, porządkowaniu, robotach budowlanych, brukarskich oraz wpłatach na utworzony w 1945 roku Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy.

Kiedy do Niegrzybowskiich w Kiełpinie przychodził sołtys z nakazem wystawienia podwozy do odgruzowania Warszawy, wysyłał także Janka Dąbrowskiego. Wybierał z gruzowiska cegły i układał na wozie. Pomagał jak mógł, także w gospodarstwie. Nauczył się kosić, obrządzać inwentarz, jednak nie widział siebie w roli gospodarza. Mimo to został u dziadków w Kiełpinie, którzy liczyli na jego pomoc w gospodarstwie. Chodził do szkoły w Łomiankach.

Zdarzyło się, że Janek przyniósł do domu zapalnik od granata znaleziony w lesie. Żelastwa więcej było niż grzybów, a jego wszystko ciekawiło. Dorośli byli zajęci w polu czy obojętni, a on, gotowy na eksperyment, włożył zapalnik do kuchennego paleniska. Z kuchni nie zostało nic, a chłopca znaleziono w kącie z postrzępionym brzuchem i poszarpanymi rękoma. Ada zawinęła go w płócienne prześcieradło, dziadek pospiesznie zaprzęgał konie i wiozł go do szpitala na Bielanach. Miał szczęście!



*Alicja Dąbrowska w Domu Dziecka w Żegiestowie w sukni do I Komunii Św. (8 czerwca 1947 rok.)*

Zostały blizny, zniekształcone dłonie i nauczka na całe życie. Coś jednak jest w ludzkim losie z przeznaczenia, które ostrzega, jak w powiedzeniu do trzech razy.

Po śmierci Anieli Dąbrowskiej najmłodszą jej córką Alicją na krótko zaopiekowała się ciotka Maria Niegrzybowska z Warszawy. Zabrała dziewczynkę ze sobą i zapisała ją do pierwszej klasy szkoły powszechnej u sióstr zakonnych w Warszawie.

Ostatecznie rodzeństwo Ala i Janek w listopadzie 1946 roku zamieszkali w domu dziecka w Żegiestowie koło Nowego Sącza. Trudno dziś powiedzieć, kto o tym zdecydował. Czasy były trudne. Utrzymanie własnych dzieci było nie lada wyzwaniem, cóż

dopiero cudzych. Może zdecydował wypadek, który uświadomił wagę odpowiedzialności.

Najstarsza Ada wyjechała w Olsztyńskie do ciotki Marii Piłatowicz, siostry jej zmarłej matki, razem z Zofią Moszczyńską - drugą ciotką, której dom w Warszawie wojna zmieniła w kupę gruzu. Mieszkała z wujostwem, uczyła się, ale wiedziała, że to nie jest jej dom rodzinny. Wdzięczna ciotce Marii za opiekę, po maturze szukała jednak czegoś dla siebie, chciała się usamodzielnic.



*Bielsko Białe. Alicja Dąbrowska, wychowanka domu dziecka z wietnamską koleżanką Ko-Ją-Dza.*

W Dygowie pod Kołobrzegiem wuj Ludwik Moszczyński odnalazł rodzinę - żonę Zofię i córkę Izę. Razem z nimi zamieszkała Ada. Ten dzielny człowiek po wojnie idąc pieszo i podróżując okazjami wrócił z Francji do Warszawy, ale zamiast domu zastał ruiny. Już teraz nie wiadomo czy przez PCK, czy od sąsiadów, czy po prostu z kartki wciśniętej w załomek ocalałej ściany dowiedział się o rodzinie, za którą powędrował do Dygowa. Ada przeniosła

się do wuja. Pracowała w biurze miejscowego geesu (GS). Wkrótce poznała Czesława Domina, za którego wyszła za mąż.

Janka i Alę z Żęgiestowa przeniesiono do domu dziecka w Sławęcicach pod Koźlem. W tym czasie, w 1952 roku, zmarł dziadek Jan Niegryzbowski, lecz dzieci nikt nie zawiadomił, a o stracie dziadka dowiedziały się jakiś czas potem. W Kiełpinie mieszkali wujowie Ali i Janka i właściwie oni zajmowali się gospodarstwem matki. Jakiś czas potem Janek, starszy kilka lat od siostry, został umieszczony w internacie zasadniczej szkoły górniczej. Nie słała mu nauka, a praktyki pod ziemią były koszmarem. Cierpiał na klaustrofobię. W końcu uciekł do Kiełpina.

Kiedy Ala ukończyła obowiązek szkolny, to znaczy cztery klasy szkoły powszechnej, przeniesiono ją do Bielska Białej, gdzie ukończyła siódmą klasę i Liceum Pedagogiczne dla Wychowawczyń Przedszkoli. Mieszkała w domu dziecka razem z zakwaterowanymi w 1955 roku dziećmi wietnamskimi. Opiekowała się, a właściwie miała obowiązek zaprzyjaźnić się z wietnamską dziewczynką. Żadna nie znała języka, więc migąły albo rysowały. Pozawerbalna sztuka



porozumiewania się była na tyle skuteczna, że razem chodziły kraść soczyste jabłka z sadu siostr zakonnych. W czerwcu 1958 roku Ala otrzymała dyplom przedszkolanki i nakaz pracy do Rudy Śląskiej. Jednocześnie przyszedł list od Ady z gratulacjami i zaproszeniem na wakacje do Miastka. Cieszyła się na spotkanie z siostrą, ale przede wszystkim odetchnęła z ulgą, że minął koszmarny strach z powodu maturalnych egzaminów. Zapracowała na udane wakacje. Spakowała się i pojechała do siostry do Miastka.



*Jesienią 1963 roku Jan Maziejuk z żoną Alicją odwiedził gospodarstwo Józefy Berglin. Mała Beata Mączkowska bez strachu przygląda się harcom podwórzowego Burka.*

W kwietniu 1962 roku otrzymała zaproszenie na ślub brata. Janek zenił się z Haliną Bęben, która przywędrowała do Kiełpina w poszukiwaniu sezonowej pracy. Gorąca jest sezonowa miłość i może trwać całe życie. Co to był za ślub! A wesele, wiejskie wesele, takiego animuszu, takich zabaw już nie ma!

Z zachwytem patrzyła na strojną kolorową kawalkadę wozów konnych i bryczek. W drodze z kościoła przodem jechała wiejska kapela. Muzyka niesła się daleko i odbijała echem, a nad młodymi unosiły się tumany kurzu z polnej wiejskiej drogi. Gościli się i tańczyli dwa dni, a potem było życie we dwoje.



*Miastko, rok 1965. Bal maturalny „zaoczników”, od lewej: Paweł Panasiuk, Jadzia Magnowska, Halina Łyszyk, mgr inż. Waszkiewicz - nauczyciel elektrotechniki i Halina Łuniew.*

Młodzi najpierw zamieszkali w Kielpinie, a po roku przenieśli się do Warszawy, najpierw do wynajętego mieszkania. W Hucie Warszawa dostali pracę. Halina została suwnicową, Janek pracował w magazynie wyrobów gotowych. Byli szczęśliwi. W 1964 roku urodził się syn Leszek. W latach siedemdziesiątych otrzymali na Bielanych upragnione spółdzielcze mieszkanie.

Później Halina została oddaną działaczką „Solidarności”. Doświadczyła wiele biedy, wierzyła, że „Solidarność” znaczy solidarność. Włączała się do strajków, chodziła z biało-czerwoną opaską na ramieniu, w przekonaniu, że od niej wiele zależy. Któregoś

*Miastko, 5 maja  
1965 roku.  
Alicja Maziejuk  
z synkiem  
Bogdanem.*



*Mały Boguś  
z rodzicami  
chrzestnymi:  
Haliną  
Dąbrowską  
i Karolem  
Piaskowskim.*



dnia poszła do siedziby komitetu strajkowego w ważnej, jej zdaniem, sprawie głodnych strajkujących. Zastała stoły zastawione konserwową szynką, pętami kiełbasy. Przebrała się miarka! Wróciła na wydział, powiedziała, co zobaczyła. Zdjęła opaskę i wróciła do domu. Skończyła się jej przygoda z panną „S”. Owszem, z nadzieją, ale bez zbytniego entuzjazmu oboje witali przemiany. Wierzyli jedynie własnej pracy. Syn dorósł i usamodzielniał się. Kiedy przyjeżdżał do domu w marynarskim mundurze, patrzyli na niego z dumą i nadzieją. Doczekali nawet wnuczki.

20 sierpnia 1989 roku Janek Dąbrowski, mąż Haliny i ich syn Leszek zginęli w wypadku samochodowym.

Stajemy często przed wyzwaniem i od nas zależy czy wyjdziemy im naprzeciw. Tak jak w wierszu Asnyka „Do młodych”. W roku 1964 roku jako dwudziestosześcioletek podjąłem trud nauki w szkolnej ławce. Zostałem uczniem trzyletniego technikum przemysłu skórzanego dla pracujących. Istniejąca dotychczas szkoła zawodowa przygotowywała pracowników, nie zaspokajała jednak aspiracji młodych i potrzeb rozwijającego się na Pomorzu przemysłu. Niebawem miała powstać fabryka obuwia „Alka” w Słupsku. W 1964 r. w szkole nr 1 w Miastku powstało trzyletnie technikum dla pracujących na podbudowie szkoły zasadniczej.

Cztery razy w tygodniu od szesnastej do dwudziestej pierwszej przez trzy kolejne lata nadrabiałem zaniedbania edukacyjne, przygotowując się do egzaminu dojrzałości. Jak zawsze obok siedział Marian Mączkowski, teraz szkolny kolega. Od lat tworzyliśmy udany tandem. Marian, znany erudyta, nadawał ton naszym domowym wypracowaniom. Wywoływały w klasie gorące dyskusje, nikt z nas nie był w ciemną bitą, toteż ścierały się racje wynikające z życiowego doświadczenia. Ja z kolei lepiej się czułem w przedmiotach ścisłych i mechanicznych. Ponadto jak wszędzie pełniłem obowiązki szkolnego fotoreportera, organizując fotogazetkę. Z pewnością dojrzewałem, dzięki dyskusjom, poznawaniu losów kolegów, dojrzewałem do ważnych decyzji. W 1968 r. we trzech: Czesław Łobaczewski, Marian Mączkowski i ja oddaliśmy partyjne legitymacje. Powodów było kilka, wśród nich wielkie, marcowe poruszenie, o którym mówili wszyscy. My mieliśmy powód dodatkowy, lokalny. Oskarżono nas o niepłacenie składek. A my wiedzieliśmy, że przehulał je skarbnik. Przebrała się miarka.

Wśród szkolnych kolegów byli ludzie niezwykli, poczytywałem sobie za zaszczyt ich przyjaźń. Poznałem Czesława Łobaczewskiego, rodowitego wilnianina, żołnierza AK, wyrokiem



*Helena Łyszyk zabawia  
Bogdana Maziejuka.*



NKWD skazanego na wywózkę do kopalni w Workucie. Jego żona Zosia, by być z mężem, wybłagała pozwolenie na dobrowolną zsyłkę. Z zesłania wrócili w 1956 roku. Słowo „wrócili” nie jest odpowiednie, oznacza przecież przybycie do opuszczonego wcześniej miejsca. Łobaczewscy przyjechali do Miastka, gdzie oboje znaleźli zatrudnienie w FRiOS. Czesław, tak jak ja, był pasjonatem fotografii. Miał aparat marki „Moskwa”, który w 2000 roku подарował mi do kolekcji. W naszej klasie był specjalistą od języka rosyjskiego, który znał lepiej niż nauczycielka i lepiej niż język ojczysty.

Władysław Pieniążczak pochodził ze Lwowa. Jak większość Polaków jego rodzina po wojnie opuściła miasto. W dniu wyjazdu NKWD aresztowało jego ojca pod zarzutem konspiracji na rzecz AK. Wywieziono go na Syberię. Do rodziny w Głuchołazach dotarł w 1956 roku, już po wydarzeniach poznańskich. Miałem zaszczyt go poznać, kiedy Władek zaprosił mnie do Głuchołazów przed planowanym przez nas wypadem do Czechosłowacji. Starszy pan Pieniążczak był wyniszczonym, schorowanym człowiekiem, któremu odebrano nie tylko wiele lat życia, ale przede wszystkim sens tego co robił. Miał poczucie przegranego losu. Nie tak chciał żyć. Osobiste życie Władka też się nie układało. Rozstał się z pierwszą żoną i wyjechał do Słupska. Spotkaliśmy się później w „Alce”, gdzie pracował w dziale mechanicznym i energetycznym. Jego drugą żonę Teresę poznaliśmy na ich ślubie. Zaraz potem wrócił do Głuchołazów ze względu na stan zdrowia rodziców. Odległość nie jest przeszkodą. Odwiedzaliśmy się, utrzymujemy kontakt listowy i telefoniczny.

Paweł Panasiuk w 1945 r. opuścił Wilno na zawsze. Pracował w miasteczkiej FRiOS jako mistrz w szwalni odzieży skórzanej. Był niezastąpiony w przygotowaniu szablonów rozkroju skóry. Mimo wieku dorównywał nam młodością ducha i przodował w nauce.

Klasową pięknością i pierwszą uczennicą była Helena Łyszk. Adorowaliśmy ją wszyscy, nawet nauczyciel matematyki. Wpatrzony w nią nie widział, co wypisujemy na tablicy.

Z rozrzewnieniem wspominam tamte lata i przyjaciół ze szkolnej ławy. Maturalne świadectwo z bardzo dobrym wynikiem otrzymałem 22 maja 1967 roku. Nie mogłem zrobić wstydu synowi, który kończył właśnie dwa latka i o wszystko pytał. O świadectwo taty też.

*Miastko, 1965. Boguś Maziejuk i Beata Mączkowska... podczas milej pogawędki.*

Bogus przeorganizował nasze życie. Ala zostawiała go w żłobku w drodze do pracy, ja odbierałem wracając z fabryki po piętnastej. Rósł i z dziecięcym wdziękiem wynagradzał trudy. Obaj byliśmy szczęśliwi, gdy zdarzył się „męski” wieczór, kiedy mogliśmy leżąc na podłodze budować klockowe miasta. Uwielbiał rodzinne wyjazdy wufemką nad morze i jezioro. Sadzałem go na baku przed sobą, żona na siodelku z tyłu i jechaliśmy. Dziś nikt nie odważyłby się tak wybierać w drogę, na szczęście.

Dla synka staraliśmy się o większe mieszkanie. W jednopokojowym życie codzienne stawało się mordęgą dla nas i dla dziecka. W 1967 roku dostaliśmy z fabryki dwupokojowe mieszkanie zakładowe. Dlatego, kiedy w 1968 oddałem partyjną legitymację, zarzucano mi, że wykorzystałem partię dla prywaty. Może tak było. Wymówki o interesowność i prywatę przeniosły się do życia rodzinnego. Ada, sekretarz POP, poczuła się osobiście zdradzona. Nie spodziewała się podwójnego kosza. Robiła wszystko, by nam pomóc, a ja okazałem się niewdzięcznikiem, Wobec niej osobiście i wobec... Partii - politycznie! W takiej sytuacji uniosłem się honorem i wniosłem wkład do Miasteckiej Spółdzielni Mieszkaniowej, której prezesował Waldek Perechuda. Wiadomo, nie piastowałyby stanowiska bez poparcia PZPR. Tak było. Znam osobę, której nie powierzono wiejskiej szkółki, bo miejscowa egzekutywa z sekretarzem nie wiadomo skąd uznała ją za nieznaną we wsi, w której się urodziła.

Obaj, chcąc nie chcąc, tkwiliśmy w systemie, on jako korespondent prasowy, ja jako dokumentalista ówczesnej rzeczywistości. Na mieszkanie mogłem liczyć w piętnastoletniej perspektywie. Może na osiemnastkę Bogdana. Waldek podsunął mi pomysł przeniesienia dokumentacji i wkładu do spółdzielni mieszkaniowej „Czyn” w Słupsku. Bezcenna rada! Po czterech latach wprowadziliśmy się do spółdzielczego mieszkania.

W sobotę, 21 lutego 1969 roku pracowałem tylko sześć godzin. Korzystaliśmy z łaskawości tracącej animusz władzy. Redakcja „Głosu Koszalińskiego” ponaglała nas telefonicznie, Waldka i mnie, do złożenia materiału z cyklu „Pionierzy”. Ze ZBoWiD-u mieliśmy nazwiska. Zdecydowaliśmy się przedstawić sylwetkę Pana Władysława Glapy, pierwszego kierownika szkoły nr 1 w Miastku. Właściwie to on w 1945 r. organizował miastecką oświatę. Razem z nim pracowali: Paweł Gajdzica, Barbara Śledzianka, Maria Gajdziczanka, Barbara Skóra i Jadwiga Winiorz. Waldek przygotował tekst, ja materiał fotograficzny. Materiał dotarł do redakcji na czas.

# W nowych butach

---

**D**ostaliśmy mieszkanie! Własne! W Słupsku! Ucałowaliśmy kłamkę i kłanialiśmy się ścianom. Przerwałem zadanie, nie dokończyłem fotograficznej roboty w kępickiej garbarni.

Pierwszego listopada 1972 roku załadowaliśmy dobytek do budy fabrycznego „Stara” i ruszyliśmy z Miastka do domu. Prawdę powiedziawszy mieszkania w bloku z wielkiej płyty. Był to jednak nasz dom. Urządzailiśmy się wytrwale i z determinacją. Każdą rzecz wystawialiśmy w kolejce albo jak się wówczas mówiło, załatwialiśmy. Najtrudniejsze lata dopiero miały nadejść. A my wiedzieliśmy już jak wygląda luksus, na naszą miarę, nic wielkiego. Docierały i do nas podawane z rąk do rąk egzemplarze „Burdy” i „Qelle”. Poszukiwaliśmy więc nowych wzorów, a powszechnie dostępne były tylko najprostsze sprzęty. Muszę powiedzieć, że nasze mieszkanko było coraz przytulniejsze. Ala dostała pracę w przedszkolu, ja w Alce. Zarządzeniem Ministra Przemysłu Lekkiego z 22 grudnia 1972 roku połączono Północne Zakłady Obuwia i Kępickie Zakłady Przemysłu Skórzanego. Powstał kombinat pod nazwą Północne Zakłady Przemysłu Skórzanego „Alka”. W skład kombinatu wchodziły zakłady w Kępicach, Dębnicy Kaszubskiej i Białogardzie z oddziałami szwalni w Lęborku i Darłowie, FRiOS w Miastku ze szwalniami w Złotowie, także w systemie pracy chałupniczej, bardzo wówczas popularnej. Tylko w „Alce” pracowało 4,5 tysiąca ludzi. Byłem jednym z nich jako mistrz w wydziale wykrojników. Kierowałem grupą dwudziestu dwóch osób wykonujących ze stalowej taśmy lub kute narzędzia do rozkroju ze skóry elementów obuwia. Pracowaliśmy na dwie zmiany, ledwo nadążając z wykonaniem zamówień do nowych wzorów. Przechodząc z miasteckiej fabryki sądziłem, że pozostanę mechanikiem urządzeń szwalniczych. Nowe wyzwanie odpowiadało moim ambicjom i starałem się sprostać mu jak najlepiej. Nie było chyba źle, skoro przez sześć lat nikt nie odszedł z mojego zespołu, a przełożeni. inż. Janusz Werbik, mój bezpośredni przełożony i główny mechanik inż. Władysław Kozłowski nie mieli zastrzeżeń do naszej pracy.

Niebawem montowano w Alce jedyny w kraju agregat „DE-SMA” produkcji RFN do wyrobu podeszew z tworzyw sztucznych Trzyosobową ekipą niemieckich montażystów i instruktorów

opiekowała się Wala Bronikowska, pełniąc funkcję tłumaczki. Niemcy poza fachową wiedzą przywieźli egzemplarze „Burdy” i „Qelle” z modnymi wzorami obuwia, a naszych kolegów w czasie instruktażu obsługi częstowali piwem kupowanym w Peweksie albo Baltonie.

Dyrektor Andrzej Gajos zgodził się, bym fotografował na terenie fabryki. W taki sposób jako fotoreporter związałem się z tygodnikiem (będącym własnością PZPS) „Konfrontacje” pod redakcją Haliny Konopkovej. W 1978 roku pismo weszło w skład Koszalińskiego Wydawnictwa Prasowego, skąd dostałem angaż. Znów



*Słupsk, rok 1979. Spotkanie redakcyjne. Od lewej: red. Ewa Czinke, red. Czesław Gomułkiewicz i zaproszeni goście.*

wchodziłem w nowe buty, tym razem na etacie fotoreportera prasowego, pozostawiając dotychczasowe zajęcie.

Redaktorem naczelnym „Konfrontacji” została Ewa Czinke, młodzianka absolwentka polonistyki UMK w Toruniu. Uczyliśmy się razem dziennikarskiego rzemiosła, w dosłownym znaczeniu pojęcia. Ewa zaczynała od robienia kanapek i parzenia kawy, za to wszyscy czuliśmy się jak w domu. Tytuł był finansowany przez PZPS „Alka”, i obowiązywało nas jedno kryterium. Rzeczywistość jest różowa, Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatnio. Mieliśmy to potwierdzać każdego dnia dziennikarską służbą. Prezentowaliśmy zatem sylwetki ludzi dobrej roboty, zachęcając innych do wysiłku i czynów produkcyjnych. Czytelnicy poszukiwali w piśmie znajomych sylwetek, licząc, że w następnym numerze będzie o nich opowieść. Być zauważonym, docenionym, kiedy rzeczywistość skwierczy, dobre i to. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, że ten socjotechniczny chwyt nie będzie działał długo.



Jedynie sport był dziedziną, gdzie fakty widać było gołym okiem. Również okiem uzbrojonym w obiektyw. Wyniki, sylwetki, treningowy wysiłek by stanąć na podium, zasługiwały na najwyższy szacunek. Natomiast tajemnicą poliszynela pozostawała sprawa sportowych etatów. Oficjalnie liderzy sportu zatrudnieni byli na fabrycznych etatach, lecz kto ich tam widział? Inaczej nie można było rozwiązać dylematu - praca zawodowa czy sukcesy sportowe? Oficjalnie w PRL-u sport miał amatorską twarz.

W redakcji „Konfrontacji” poznałem Mariana Boratyńskiego odpowiedzialnego za dział sportowy, znanego jako założyciela i trenera znakomitej drużyny piłki nożnej „Cieśliki”. Drużyna była chlubą Słupska w latach sześćdziesiątych ze względu na poziom gry, ale także na nazwisko patrona, Gerarda Cieślika. Legenda napastnika chorzowskiego „Ruchu” rozpoczęła się zdobyciem dwóch bramek w meczu z drużyną ZSRR 20 października 1957 roku na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Najsłynniejszy i najlepszy wówczas bram-



*Ustka, 14-16 czerwca 2013.  
Spotkanie MKS  
Cieśliki z patronem  
Gerardem Cieślikiem.  
Na fotografii  
Gerard Cieślik  
i Jan Maziejuk.*

karz świata - Lew Jaszyn uległ napastnikowi Niebieskich! Oszalała cała Polska. Pamiętam, jak słuchaliśmy transmisji tego meczu w świetlicy w Kamnicy. Dwa gole Cieślika dały Polakom nadzieję na wiele lat. Podczas dorocznego zjazdu Cieślików w 2007 roku otrzymałem monografię z moimi zdjęciami „Gerard Cieślik. Urodzony na boisku”. Byłem dumny, że moje fotogramy z 2005 r. znalazły się w publikacji Rafała Zaremby wydanej w 2006 roku. Na zjeździe z tego roku z udziałem Honorowego Gościa obecni byli Maciej Kobylński - prezydent Słupska i Marian Boratyński. Niestety, każdego roku ławka „Cieślików” jest krótsza, bo niebieski selekcjoner powołuje ich do swojej drużyny. Pozostali strzelają do pustej bramki, a później stawiają znicze.

W tym roku, 3 listopada (2013) Niebieski Selekcjoner powołał do siebie Gerarda Cieślika. Odszedł w biało-czerwonym dresie Wybitnego Reprezentanta Polski.

Marian Boratyński jest człowiekiem wyjątkowo aktywnym, a przyjaźń z nim oparta na rzeczowej współpracy dawała mi możliwości dokumentowania sportowych wydarzeń najwyższej rangi. Wciągu lat jego prezesury w sekcji bokserskiej KS „Czarni” obserwowałem drogę zawodników od trzeciej ligi do ogromnego sukcesu, drużynowego Mistrza Polski w 1990 roku. W barwach „Czarnych”, sponsorowanych przez „Alkę”, wystąpił wówczas Jan Dydak, a Kazimierz Adach, najpierw zawodnik „Czarnych” Słupsk w latach 1972 - 1986, od 1989 do 1990 był trenerem drużyny „Czarnych”, która prowadzona przez niego zdobyła tytuł Mistrza Polski. Ponadto w latach 1988 - 1992 Marian Boratyński pełnił funkcję pierwszego zastępcy głównego prezesa Polskiego Związku Bokserskiego, najpierw pana Stefana Adamczyka, następnie Jacka Wasilewskiego.

W barwach Słupska na ringu występowali: Ryszard Czerwiński i Dariusz Michalczewski, późniejszy mistrz świata, który wybrał sport zawodowy. Na mecze w hali „Gryfia” przychodziło kilka tysięcy ludzi.

Pamiętam również radość pierwszych sukcesów, awans do pierwszej ligi po wygranym trójmeczu w Chojnicach w 1976 roku. Euforia udzieliła się wszystkim, zawodnikom, kibicom, działaczom sportowym. Wiceprezes MZKS „Czarni” do spraw sportu Jerzy Guziński dla fety poświęcił swój kapelusz. Po wygranym pojedynku Kazimierz Adach w asyście trenera Aleksiego Antkiewicza zawiesił kapelusz na kiju. Jerzy Stodulski podpalił trofeum. Rozległy się brawa i okrzyki. Kapelusze z głów, panowie, przed nami pierwsza liga!

Sukcesy odnosiła siatkarska drużyna kobieca „Czarnych” Słupsk trenowana w latach 70. przez Zygmunta Krzyżanowskiego, autora sukcesów siatkówki w Słupsku. Przez wiele lat siatkarki „Czarnych” pod jego okiem zdobywały tytuły mistrzyń Polski i medale.

Z przyjemnością towarzyszyłem sportowcom w ich ciężkiej pracy, sukcesach i, tak też w sporcie bywa, porażkach. Sport uczy pracy, odpowiedzialności, także pokory. Fotografia sportowa w statycznym ujęciu wyraża dynamikę, wysiłek i emocje towarzyszące krótkiej chwili sukcesu. Starałem się uchwycić ów rys w wyrazie twarzy, spojrzeniu, gestach, ruchu sportowca. Jako akredytowany na indywidualne mistrzostwa Polski w boksie w słupskiej hali „Gryfia”, miałem możliwość dotarcia do zawodników. Moje fotogramy zamieszczał miesięcznik „Boks”.

Tak, to był czas wyjazdów pociągiem przyjaźni. Warunkiem było członkostwo w TPPR. Początkowo miały pewnie uroczysty ideowy charakter. Ja trafiłem do pociągu, gdy stał się atrakcją głównie handlową. Wiedzieliśmy, na co jest popyt. Jak woda szły peruki, my kupowaliśmy przede wszystkim złoto, koniak „Ararat” i kolorowe telewizory „Rubin”. Udało mi się wyjechać dwa, może trzy razy. Podróż trwała dziewięć dni z postojami w Leningradzie, Moskwie, Mińsku. Kwaterowaliśmy w hotelach niedostępnych dla miejscowych. Dzięki kontaktom handlowym mieliśmy dość rubli, by przy stakanie „Maskowskiej” prowadzić długie Polaków rozmowy. Raz zabrałem ze sobą numer młodzieżowego pisma „Razem” z odważnym aktem kobiecym. W hotelowym korytarzu wywiesiłem go, dobrze mocując klejem. Z daleka obserwowałem pełne oburzenia reakcje personelu. W końcu ktoś zerwał gorszącą publikację.

W programie każdej delegacji było zwiedzanie mauzoleum Lenina. Tym razem i ja stanąłem w trzygodzinnej kolejce, uzbrojony w legitymację prasową i aparat fotograficzny „Pentacon”. Okazało się jednak, że obowiązuje zakaz fotografowania i w ogóle wnoszenia sprzętu fotograficznego. Trudno. Poprosiłem koleżankę o jej torbę. Włożyłem rozbrojony wcześniej aparat. Osobno korpus, obiektyw, rolki filmu. Tuż przed wejściem poproszono mnie do kontroli. Już widziałem siebie wśród białych niedźwiedzi, mimo to wszedłem odważnie do pokoju, gdzie czekał kontroler i tłumacz. - Opróżnić torbę!- usłyszałem. Najpierw wypadły cztery peruki i damskie kosmetyki, później korpus aparatu odezwał się migawką, dalej wypadła reszta. Kontrolera zainteresowały peruki.

- Nie mam włosów, jak będziemy szli do teatru albo na balet, muszę jakoś wyglądać. Na każdą okazję mam inną - tłumaczyłem.

Później były pytania o aparat. Pokazałem legitymację dziennikarską. - Polscy czytelnicy są ciekawi relacji z wizyty przyjaźni - mówiłem oficjalnym tonem. Poszli do następnego pokoju. Po chwili wrócili oznajmiając, że jestem wolny. Wyprowadzono mnie służbowym wyjściem. Nie zobaczyłem Lenina, poznałem za to zaplecze mauzoleum. Do hotelu wróciłem pieszo. Nigdy więcej nie dostałem zgody na wyjazd pociągiem przyjaźni. Z tej podróży przywiozłem trochę złotej biżuterii ukrytej w rolce filmu załadowanej do aparatu. Wisiał na wierzchu. Nikt go nie sprawdzał, mimo że celnicy dobrze przetrząsnęli pociąg. Cieszyłem się, że przywiozłem sporo ciekawych zdjęć, głównie Moskwy, gdzie naprawdę było co fotografować.

Przez lata współpracowałem z wieloma tytułami prasy regionalnej, („Pobrzeże”, „Głos Słupski”), i krajowej („Perspektywy”) wykonując na zamówienie lub z własnej inicjatywy fotografie informacyjne i reportażowe. Nie byłem zatem zupełnie zielonym adeptem dziennikarskiego wtajemniczenia. Kiedy jednak redakcja zaproponowała mi roczny kurs w Warszawie, przyjąłem propozycję z wdzięcznością.

Jako dziennikarz „Konfrontacji” od października 1977 roku do czerwca 1978 zdobywałem reporterskie szlify uczestnicząc w stacjonarno-zaocznym kursie w Ośrodku Dziennikarstwa przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Co miesiąc wykonywałem zadanie domowe w postaci fotogramu na zadany temat. Zdjęcia informacyjne lub publicystyczne najprościej było zrobić podczas uroczystości państwowych. Na fotoreportaże wybierałem się na wieś. Czułem jej specyfikę i klimat, znałem ludzi, dla których byłem dobrym znajomym. Powstawały ciepłe, szczerze w gestach opowieści o ludziach prostych i pracowitych.

Wykłady odbywały się w pałacyku przy ulicy Foksal 3/5, dokąd zwykle chodziłem pieszo z hotelu ZNP nad Wisłą (Wybrzeże Kościuszkowskie). Słuchałem z ciekawością wykładów z prawa prasowego, które prowadził Bogdan Michalski. Do dziś wspominam świetne zajęcia z architektury u znakomitego Krzysztofa Jabłońskiego. O specyfice fotografii prasowej mówili uznani fotoreporterzy prezentując własne prace, jak: Krzysztof Paweła, fotoreportażysta „Perspektyw”, „ITD”, „Walki Młodych”. Wyjaśniał podstawy reportażu subiektywnego i fotografii społecznej, którą nazywano czarnym reportażem, ponieważ jej tematem była bieda, nierówność, pijaństwo, smutek. Takiego fotoreportażu społecznego nikt nie chciał w ówczesnej prasie. Tomasz Tomaszewski, specjalista portretu, twórca fotografii prasowej na konkretnych przykładach wyjaśniał techniczne aspekty dobrej fotografii. Wszyscy byli zgodni w jednej kwestii, zadaniem etatowego fotoreportera jest wykonanie zleconego przez redakcję zadania. Fotografia jest zapisem zdarzeń, które niesie czas. Od talentu fotoreportera zależy, jak owe zdarzenia zapisze przy pomocy narzędzi, jakie ma w dyspozycji.

Spotykałem się z Henrykiem Maziejukiem, moim bratem, który był już doświadczonym dziennikarzem. Dzieliłem się z nim spostrzeżeniami i wątpliwościami. Henryk potrafił sprowadzić zagadnienie do poziomu praktycznego.

- Wykonujemy zawód - mówił - odpowiedzialny jak każdy inny. Pracę trzeba wykonać rzetelnie, zgodnie z własnym sumieniem i z sercem. Zapamiętałem braterskie wskazówki. Kurs zakończyłem zdanym egzaminem praktycznym i teoretycznym.

Wiedza i doświadczenie zawodowe nie uchroniły mnie przed wątpliwościami i pewnego rodzaju niedowierzaniem, właściwym każdemu działaniu, z natury rzeczy poddanemu osądowi ogółu. Fotografia odsłania wrażliwość, demaskuje sposób widzenia autora przez sam wybór tematu i sposób jego prezentacji. Miałem jednak świadomość, że to rodzaj interakcji, sposób wpływania na postawę odbiorcy



*Słupsk, rok 2008. Marian Boratyński - prezes Towarzystwa Przyjaciół Wilna i Grodna wręcza legitymację członkowską Janowi Maziejukowi w obecności ks. prałata Jana Giriutowicza.*

Znajomość z Marianem Boratyńskim zawiodła mnie na ulicę Sienkiewicza nr 5 w Słupsku, do Towarzystwa Miłośników Wilna i Grodna. Nie są to moje strony. Rodzinna rzeczka Klukówka, w której kąpałem się skacząc w nurt z konarów nadbrzeżnych olch, stanowiła jakiś czas granicę między Rzeczpospolitą i Litwą, ale nie upoważniało mnie to do miana kresowia. Niemniej życzliwi kresowiaci przyjęli mnie w 2008 roku jako zwyczajnego członka Towarzystwa. Jeździłem z Marianem Boratyńskim do Wilna wcześniej, bo w 1989 roku. On publikował w „Zbliżeniach” „Notatnik z podróży”, w którym opisywał uroki miasta i ubolewał nad stanem starych siedemnastowiecznych budynków. Zapisywał rozmowy z pielgrzymami przed cudownym obrazem Matki Bożej Ostrobramskiej, mówiącymi głównie po polsku. Ubolewał nad sposobem widzenia stosunków polsko-litewskich przez rdzennych Litwinów, którzy w Jagielle widzieli zdrajcę, zaś w księciu Witoldzie zwycięzcę spod Grunwaldu. Moją opowieść o Wilnie zapisałem na światłoczułej kliszy. W 1990 roku w kościele św. Jacka słupszczenie obejrzeni wystawę „Jan Maziejuk. Wilno”.



*Z okazji jubileuszu przyznano Janowi Maziejukowi Złoty Medal Towarzystwa.*

Któż z nas na słupskiej ziemi nie rozumie, co to zostawić dom dzieciństwa, przyjaciół młodości i zaczynać wszystko od nowa.

Dlatego wracamy do tamtych czasów wspomnieniami, tradycją, pieśniami. Co roku kresowiacy spotykają się na biesiadach kresowych, spotkaniach opłatkowych i wielkanocnym jajeczku. Organizują wyjazdy do Mrągowa na doroczny festiwal, wycieczki do Wilna na „Kaziuki”. Towarzystwu prezesuje Marian Boratyński, kolejną



*Słupsk, 2009. Jan Maziejuk w gronie pięściarzy. Od lewej: Janusz Kaczmarek, Dariusz Michalczewski (mistrz świata wagi półciężkiej, niepokonany przez 12 lat), Kazimierz Adach (medalista olimpijski z Moskwy).*

kadencję, ciesząc się zaufaniem członków. Jestem z nimi sercem i z fotograficzną posługą, dokumentując robocze i odświętne wydarzenia. Z inicjatywy kresowiaków, na ich wniosek w 2010 roku otrzymałem Nagrodę I Stopnia Prezydenta Miasta Słupska. Wręczył mi ją osobiście prezydent Maciej Kobyliński.

W 1975 r. w wyniku reformy administracyjnej kraju powstało województwo słupskie. Jednocześnie zdecydowano o połączeniu sześciu lokalnych mutacji „Głosu Koszalińskiego”, tworząc dziennik „Głos Pomorza”, prezentujący sprawy nowo powstałego województwa. W sierpniu 1979 r. ukazał się pierwszy numer Wojewódzkiego Informatora Kulturalnego „Pobrzeże”. W tym samym roku zaczął ukazywać się słupski tygodnik społeczno-polityczny PZPR „Zbliżenia” z siedzibą redakcji przy ul. Sienkiewicza 20. Do „Zbliżeń” zostałem oddelegowany służbowo przez Koszalińskie Wydawnictwo Prasowe. W ten sposób zostałem członkiem zespołu redakcyjnego w składzie: Wiesław Wiśniewski (redaktor naczelny), Andrzej Radzik (z-ca redaktora naczelnego), Tadeusz Martychewicz (sekretarz redakcji), Leonarda Uljanicka, Elżbieta Poturaj,

Zbigniew Babiarcz-Zych, Anatol Ulman, Ewa Wypiorczyk, później (od 1983) Jolanta Nitkowska. Pierwszy numer pisma dotarł do czytelników 6 grudnia 1979 roku. Przedtem w redakcji trwały gorączkowe przygotowania do debiutu na rynku prasowym, kontrolowanym przez potężnego cenzora w postaci PZPR. Dwa próbne numery okazały się falstartem, nie zyskały bowiem akceptacji organu założycielskiego. Przygotowano trzecią edycję z zawartością numeru: Zbigniew Janiszewski: „W cieniu Jubileuszu”, Andrzej Turczyński: „Stąd mój ród”, Zbigniew Babiarcz-Zych: „Dwa zakłady, ten sam problem”, Leszek Bakuła: „Dwie drogi ku morzu”. W ostatniej chwili kolejna zmiana. Do numeru wejść: Wiesława Wiśniewskiego „Miary rozwoju”, Tadeusza Martychewicza „Powoli, ale ciągle w górę”, Eugeniusza R. Śpiewakowskiego „W obronie przyrody” oraz Anatola Ulmana „Piękne miejsce dla książek i ludzi”. Znalazło się miejsce na mój fotoreportaż „W pocie czoła!” na całą stronę. Przedstawiał robotników „Sezamoru” (Słupskie Zakłady Przemysłu Okrętowego) przy produkcji łańcuchów.

Załoga „Sezamoru” na miejskiej konferencji sprawozdawczo-wyborczej PZPR meldowała o wykonaniu rocznych zadań eksportowych. Deklarowała przystąpienie do ponadplanowej produkcji: „Tylko wytężoną pracą, rozumnym gospodarowaniem środkami i przedmiotami produkcji, wykorzystaniem wszystkich rezerw klasa robotnicza pomyślnie realizuje roczne zadania”. Wybudowany na początku lat 70. potężnymi nakładami zakład produkujący kowalnicze łańcuchy po transformacji przestał istnieć. Mimo to pozostał na trwałe w historii regionu. Na jego miejscu powstała kolejna w mieście wielkopowierzchniowa galeria handlowa „Jantar”. Dumni ze swojej pracy robotnicy dziś w większości są na bezrobociu, emeryturach lub... pracują w ochronie „Jantara”. Spotkałem jednego z nich. Oprowadzał mnie po rozległym parkingu marketu, pokazując ze łzami w oczach miejsca, gdzie stały maszyny, jego miejsce pracy.

W 49. numerze „Zbliżeń” z 12 sierpnia 1988 roku Jolanta Nitkowska jako wprowadzenie do artykułu „Ludzie z zakładu produkcji słowa” zapisała fraszkę Henryka Livor Piotrowskiego:

*Ty - słuchacz  
Ja - dziennikarz  
Wciskam kit  
a Ty go łykasz*

A jak było naprawdę? Pewnie zdarzały się i zdarzają takie sytuacje. Zespół redakcji „Zbliżeń” tworzyli doświadczeni dziennikarze, a młodzi adepci zawodu odbywali obowiązkowy sześciomiesięczny

staż zakończony egzaminem. Opiekunem mojego stażu był red. Tadeusz Martychewicz, którego znałem od kilku lat. Wypełniałem obowiązki stażysty, przygotowując cotygodniowe reportaże informacyjne do kolejnych numerów pisma.

Fotografia operuje uniwersalnym językiem. Zatrzymuje w kadrze czas, skupia się tylko na fragmencie rzeczywistości, ale posługując się własnymi możliwościami wyostrza szczególny jej rys, zgodnie z zamysłem autora. Jest sposobem opisu, formą wypowiedzi podobną innym, werbalnym, jednak poprzez skrót, jednoczesność narracji wszystkich planów jej znaczenie publicystyczne jest wyjątkowe. Dlatego istotą fotografii prasowej jest pozawerbalna informacja o wyjątkowym zasięgu i oddziaływaniu. Fotografia odwołuje się do wrażliwości widza ukształtowanej kulturą i wiedzą. To kontekst interpretacyjny, dzięki któremu możliwe jest indywidualne, osobiste odczytanie znaczeń historycznych, społecznych, artystycznych i metaforycznych.

W znanym konkursie World Press Photo 2012 pierwsze miejsce w kategorii Ludzie i Wydarzenia zdobyła fotografia Samuela Arandy, hiszpańskiego fotografa „New York Timesa”. Zrobił zwycięskie zdjęcie 15 października 2011 roku w jednym z meczetów przekształconych w polowy szpital w mieście Sana. Kobieta w czarnej burce przytula do siebie rannego mężczyznę. Ułożenie ciał obu postaci kojarzy się z Pietą. „To zdjęcie opowiada o wydarzeniach w całym regionie - Jemenie, Egipcie, Tunezji, Libii, Syrii, o wszystkim co miało miejsce podczas „arabskiej wiosny”. Jednocześnie widzimy osobistą stronę tamtych zdarzeń” - wyjaśnia członkini jury, Koyo Kouoh.<sup>12</sup> Niektórzy kontestują teatralny charakter ujęcia, co nie zmienia faktu, że zdjęcie Arandy znają wszyscy.

Poza informacją fotografia wyzwala emocje, wpływając tym samym na opinie, zachowania, postawy. Jednak tylko wówczas, gdy jest wiarygodna, szczerą, uczciwą. Dlatego odpowiedzialność fotoreportera jest nie do przecenienia. Doraźny pokłask, uleganie zamówieniom politycznym czy biznesowym, tak jak zwykle kłamstwo ma krótkie nogi, a łaska pańska na pstrym koniu... Twardy kręgosłup w znaczeniu dosłownym ze względu na trudy pracy, a przede wszystkim w znaczeniu metaforycznym powinien być atrybutem prasowego fotoreportera. Obrazy utrwalone w kadrach składają się jak matematyczna definicja zrozumiała dla odbiorcy.

Umiejętność obserwacji, spostrzegawczość, wybór tego co charakterystyczne i jednocześnie czytelne w odbiorze w połączeniu

---

12 por. <http://www.swiatobrazu.pl/world-press-photo-2012-wyniki-25781.html>  
(dostęp: 15-01-2014).



z dyskrecją zachowania pozwala fotoreporterowi dotrzeć do sedna tematu. Istotne są techniczne umiejętności - znajomość aparatu, niemal zautomatyzowane czynności i jakość obróbki laboratoryjnej materiału zdjęciowego dopełnią zadania. Drobne błędy można wyretuszować, poprawić ostrość planów, ale nie uda mu się powtórzyć ujęcia. Zgubne są próby zafałszowania rzeczywistości. Uważny czytelnik szybko odkryje próby manipulacji, a autor straci wiarygodność.

Pracowałem w „Zbliżeniach” kilka lat, wydawało mi się, że nic mnie nie zaskoczy. Jednak zdarzyły się wpadki, jakbym był zupełnym gołowąsem w zawodzie. Jeździliśmy w teren służbową „Wołgą”, publicysta i ja, przygotowując materiał zgodnie z ramówką. Małoobrazkowym „Feniksem” robiłem kolejne ujęcia. W pewnym momencie usłyszałem lekki trzask. Zbagatelizowałem zdarzenie. Pstrykałem dalej. Dopiero w laboratorium pojąłem zlekceważoną informację. Zerwała się perforacja, taśma się nie przesuwiała, a obrazy nakładały się w jednym kadrze. Nie mam materiału, a numer w przygotowaniu! Wsiadłem do prywatnej „Syrenki” i pojechałem na powtórkę. Innym razem robiłem zdjęcia, dbając, by ujęcia były niebanalne. Zadowolony z siebie chciałem przewinąć film do kasety, by załadować nowy. Wtedy zorientowałem się, że korpus jest pusty.



*Słupsk, 29.  
listopada 1979.  
Redakcja  
„Zbliżeń”,  
od lewej: red.  
naczelny Wiesław  
Wiśniewski, trzecia  
- Elżbieta Poturaj,  
dalej Tadeusz  
Martychewicz  
i Ewa Wypiorczyk.*

- O, żeż! Nie załadowałem filmu do aparatu! Od tego czasu zawsze obserwowałem korpus w czasie przesuwania taśmy negatywowej. Gdy korbka obracała się w przeciwnym kierunku, wiedziałem, że wszystko jest w porządku. Prosta metoda pozwoliła uniknąć kolejnej wpadki.

Późniejsze wpadki wynikały z gapiostwa, braku refleksu czy po prostu fascynacji zdarzeniem. Tak też bywa. Czasem emocje, stres lub po prostu względy etyczne są ważniejsze niż fotografia.

Dlatego nigdy nie fotografowałem zdarzeń drogowych, rannych czy zabitych w wypadkach. W takiej sytuacji zdjęcie zgubionego buta, fragment karoserii, poharatanego drzewa wystarczająco dużo mówi o tragedii. Kiedyś na spotkaniu autorskim spytano mnie, co bym zrobił widząc tonącego.

- Nie ma nic ważniejszego nad życie - to jedyna odpowiedź. Zdarzyło się, że stanąłem w obronie życia... zająca. Było to tak. Na grzybach w cichy wrześnieowy dzień zapatrzyłem się w polanę przede mną. Nagle na leśną łączkę z szybkością strzały spadł jastrząb. Patrzyłem zauroczony, jak zając próbuje wyrwać się ze szponów napastnika. Na nic zdał się gotowy do zdjęcia aparat. Krzycząc biegłem na ratunek. Jastrząb odleciał. Zając, pewnie pokaleczony, skrył się w zaroślach.

Innym razem, było to w 2008 roku, w czasie zawodów żeglarskich na jeziorze Gardno płynąłem łódką z pracownikiem Słowińskiego Parku Narodowego. A tu orzeł pikuje w wodę i ulatuje z ogromną rybą. Wyposażony w autofocus aparat odmówił współpracy. Oniemiałem. Na pewno nie zdarzy mi się już taka gratka. Następnego dnia sprzedałem niewdzięcznika za grosze. Kupiłem bardziej profesjonalny „Nikon” D700. Następnej wpadki bym nie przeżył.

Czasem traciłem materiał fotograficzny z nie swojej winy. „Zbliżenia” były gazetą partyjną, chociaż ja nie byłem członkiem partii. Jakoś nikt na to nie zwrócił uwagi, a ja starałem się nie manifestować nieprzynależności. W czasie strajków robotnicy nie wpuszczali nas na teren zakładu, widząc w dziennikarzach partyjnej gazety nieprzyjaciół, by nie powiedzieć dosadniej. Mój sąsiad, pan Władysław Smerczyński, robotnik „Famarolu”, poręczył za mnie na czas ceremonii stawiania krzyża w hali fabrycznej. Mszę celebrował ks. biskup pomocniczy diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej Tadeusz Werno. Wygłosił wzruszającą patriotyczną homilię. Robotnicy byli przejęci sytuacją i słowami biskupa. Właśnie włożyłem do aparatu kolejną, trzecią rolkę filmu. Dwie zapełnione miałem w kieszeni. Byłem wzruszony uroczystością i podekscytowany materiałem. Później okazało się, że kieszenie mam puste. Został tylko negatyw, który miałem w aparacie. Widocznie byli wśród uczestników ceremonii „cichociemni” na usługach SB. Kiedy po latach spotkałem dawnego przewodniczącego ślupskiej „Solidarności” Edwarda Müllera, już po tym jak komisja weryfikacyjna w 1990 roku prześwietliła dokładnie redakcję „Zbliżeń”, przypomniałem: - Widzisz, nikt z nas nie był wtyczką. Byliśmy czyści jak nowo narodzone dzieci, a wy tępiliście mnie na każdym kroku.

Cóż, takie były czasy. Nie było wiadomo, kto kim był.

Za złotówki w latach osiemdziesiątych kupiłem mój ulubiony i niezawodny aparat fotograficzny „Nikon” FM2, mały i lekki. Oprócz solidnej konstrukcji ma bodaj najkrótszy, wśród analogów bez AF czas 1/4000 s., i nie boi się różnic temperatur. Kiedyś fotografowałem nim pożar przy temperaturze poniżej



*Słupsk. Północne Zakłady Obuwia „Alka” i maszyna obliczeniowa „Odra”.  
Pracownica przygotowuje dysk do maszyny.*

dwudziestu stopni. Aparat był oblodzony, ale mechanizmy działały bez zarzutu, a zdjęcia były dobrej jakości. Służył mi do epoki cyfrówki, którą nabyłem idąc z duchem czasu, chociaż uważam, że duszę miały zdjęcia wykonane aparatem analogowym. Tak naprawdę chodzi o szczegóły techniczne, między innymi ekspozycję. Kupiłem zatem kolejny aparat, z sentymentu pozostając wiernym marce. „Nikon” D90 jest wyposażony w elektroniczne elementy. Bez trudu wykonuje każde zadanie, nawet przy kiepskim oświetleniu zewnętrznym i w trudnych warunkach. Film przesuwają się

automatycznie, wykonując zdjęcia seryjne z szybkością czterech klatek na sekundę.

W czasach mojej pracy w „Alce” zachwycaliśmy się machiną obliczeniową „Odra”, do instalacji której potrzebne były dwa pokoje. Obliczenia pojawiały się na perforowanej killkunastometrowej taśmie, jak w dalekopisach. Czytnik pokazywał rząd cyfr, a moc obliczeniową miała zbliżoną do współczesnego kalkulatora. Przypominam o tym, bo gdyby wówczas przyszło komu do głowy zainstalować w taki sposób mój aparat cyfrowy, potrzebowałby klimatyzowanego budynku, bez gwarancji, że efekt końcowy będzie porównywalny z obecnym. Podziwiam geniusz człowieka. W krótkim czasie naszego życia nastąpiły zmiany, jakich nie było przez dziesięciolecia.

Tajniki techniki zgłębialiśmy wraz z przemianami społecznymi i ekonomicznymi. Jak daleko odeszliśmy, myślę o moim pokoleniu, od sposobu życia naszych rodziców? Kiedy wspominam jagodnickie dzieciństwo, zdaje mi się, że dzieli mnie od niego epoka, a to tylko kilkaset kilometrów i kilkadziesiąt lat.

U schyłku lat siedemdziesiątych, gdy wychodził pierwszy numer „Zbliżeń”, wiedzieliśmy wszyscy, że zmiany nadejdą. Prowadziły do nich kolejne daty robotniczych buntów owiane legendami i rosnącą determinacją. Po krótkiej euforii początku „gierka” propaganda sukcesu miała się nijak do nagich haków w sklepach mięsnych, octu zapełniającego puste półki sklepów spożywczych, wszelkich reglamentacji, talonów, korupcji. Wydawało się, że redakcja „Zbliżeń” na grobli stoi, przez którą lada dzień przeleje się społeczny żywioł. Pismo było narzędziem oficjalnej władzy, ale my byliśmy wśród ludzi, znaliśmy nastroje, taką samą miarą mierzyliśmy poziom własnej frustracji, co nie znaczy, że kwestionowaliśmy z zasady dorobek PRL. Redaktor Wiesław Wiśniewski w cotygodniowym felietonie „Prostowanie gwoździ” podejmował bolące ludzi kwestie, opowiadając się po ich stronie. Komitet raz po raz żądał wyjaśnień, zmiany spojrzenia, ale pojawiał się kolejny numer i kolejne wezwanie na dywanik. Anatol Ulman czerpał z codzienności pełnymi garściami, opisując absurdy doświadczalnej rzeczywistości. Zbigniew Babiarz-Zych w numerze 9. z 1983 roku w artykule „Władza przyszła do zakładu” relacjonował spotkanie załogi „Kapeny” z władzami administracyjnymi i politycznymi miasta. Warto przypomnieć niektóre pytania zanotowane przez dziennikarza.

- „- Dlaczego kawę sprzedaje się tylko w kilku sklepach?
- Jak kupić sprzęt AGD, jeżeli pracuje się do 15?
- Jakie władza ma zdanie o ludziach, którzy zarabiają po 8 tysięcy zł?”

„Słuchając odpowiedzi, ludzie krzywili się i więcej pytań nie było” - relacjonuje dziennikarz. Pytania bez kontekstu tamtych lat są niezrozumiałe. Ale ich szczegółowy charakter świadczy o skali codziennych zmagani zwykłych ludzi.

Tak, codzienność dostarczała nie lada problemów. Malucha, jak pieszczotliwie nazywaliśmy samochód marki „Fiat” 126p, w dalszym ciągu kupić można było w systemie przedpłat albo dużo drożej z drugiej ręki. Po pralkę automatyczną niedowierzenie kazało ludziom stać w długich całonocnych kolejkach, chociaż władza zapewniała, że dla każdego starczy.

W tym czasie przygotowałem fotoreportaż o środkach transportu. Zdjęcia przedstawiały taczkę, wózek dziecięcy załadowany telewizorem i inne pojazdy, przy pomocy których ludzie radzili sobie z przewozem drobnych sprzętów. Ktoś może uznać to za konformizm, a mnie się wydawało, że poziom frustracji politycznej był wystarczająco wysoki, a poza polityką były codzienne sprawy. Podzielałam pogląd laureatki ogólnopolskiego konkursu publicystycznego im. A. Plewki - Jadwigi Kulczyk wyrażony w publikowanym w numerze 28/1983 „Zbliżeń” wspomnieniu. Gorycz, rozsądek i nadzieja, tym żyła większość Polaków. I pamięcią o Gdyni 1970. I wcześniejszą, aż do wyrwania z miejsc urodzenia. Pomorska wieś dopiero co poczuła się u siebie.

- I co, znów wszystko wywrócić i zaczynać od nowa?

\*\*\*

W połowie 1981 roku planowałem wystawę fotografii reporterskiej „Zapis życia” w Baszcie Czarownic w Słupsku. W związku z tym sporo czasu spędzałem w redakcyjnej pracowni fotograficznej, przygotowując zdjęcia formatu wystawowego. Słowo wstępne do katalogu wystawy napisał redakcyjny kolega Zbyszek Janiszewski. Zobaczył, nazwał, zapisał to, co w moich zdjęciach ważne, więcej niż ja sam, pochłonięty głównie ich stroną techniczną. Na okładce katalogu umieściliśmy wymowny fotogram. Stara kobieta dźwigająca wypchane łachmanami sznurkowe siatki zatrzymała się przed sztalugami ustawionymi na skwerku. Z niedowierzaniem patrzy na obrazy. Zapewne nie może pojąć ich sensu, tak odbiegają od prostego widzenia świata. Fotografia jest syntezą nie tylko różnic pokoleń, jak zauważył Zbyszek, wyraża potrzebę widzenia świata poprzez sztukę, przede wszystkim jednak opisuje sytuację społeczną. Ubóstwo nie ogranicza wrażliwości, potrzeby estetycznego doznania. Zdjęcie wykonałem w 1971 r. w Miastku na poplenerowej

wystawie malarskiej młodych. Zarówno wtedy, w 1981, ale również teraz jego przesłanie wydaje się aktualne, również w sposobie fotografowania. Wśród wystawionych prac znalazło się zdjęcie niemal z ostatniej chwili: Strajk. Lato 1980 roku. Dworzec PKS w Słupsku. Pusto. Tylko ławki zamykają wejście. W jedną z nich wetknięta biało-czerwona. Przecinające się linie burzą spokój. Biało-czerwona flaga i wiedza o zdarzeniu budują napięcie. Obok znalazło się zdjęcie z 1980 roku przedstawiające bramę „Kapeny” z napisem: „21 x TAK”. Widz wie, że dotyczy „Sierpniowych Porozumień”. Skąd to znamy? Tylko liczbę pomnożono, a co z obietnicą? Nie nowość, że historię piszą zwycięzcy, ale jeżeli zwycięstwo podzieliło wygranych, to czym obdarowali lud? Znamy odpowiedź.

Obok na zdjęciu dzieci pod parasolem. Pewnie dorosły. Wyjechały za pracą albo są na bezrobociu. Tylko nielicznym się powiodło. To ważne zdjęcia, dlatego weszły do albumu „Tak to widziałem” z 2008 roku.

Czesław Gomułkiewicz w „Konfrontacjach” (nr 15 (318) z 21-31 maja 1981 roku) pisał o wystawie „Zapis życia”: „Bez przesady można powiedzieć, że autor wystawy jest mistrzem w posługiwaniu się aparatem, robi to w sposób, w jaki pisarze operują piórem. Potrafi jak niewielu przykuć uwagę widza do fotografowanego obiektu, zaszokować go panoramą ujęcia lub skupić jego uwagę na fragmencie, który pozornie jest mniej ważny”.

Przytoczyłem tę opinię, ponieważ opisuje mój sposób fotograficznej narracji. Zdjęcie jest symultaniczną, dzięki stosowaniu planów, opowieścią, tylko z pozoru obiektywnym sposobem opowiadania o świecie. Wybór tematu, kadrowanie, rozłożenie planów to wszystko oddaje subiektywny obraz sytuacji, jest jej interpretacją.

We wtorek, 22 lipca 1981 roku na Placu Zwycięstwa w Słupsku odbywała się doroczna ceremonia państwowa. Młodzi zapewne nie pamiętają, że był to dzień wolny od pracy, święto uchwalenia „Manifestu Lipcowego”. Były przydługie przemówienia pełne partyjnych frazesów, była piękna pogoda, która tylko nielicznych słupszczyzan zatrzymała na placu. Delegacje zakładów pracy z wieńcami wdzięczności i pamięci po oczekiwaniu w długiej kolejce kończyły swoją powinność przed pomnikiem, a wtedy z tłumu wyszła delegacja „Solidarności” z olbrzymim wieńcem z ułożonym z kwiatów rysunkiem orła i napisem: „Wymordowanym w Katyniu”. Do ceremonii złożenia wieńca w poczcie szli między innymi Elżbieta Połec, Roman Lewiński, Roman Kurnatowski i Anna Bogucka-Skowrońska. Po raz pierwszy w dniu państwowego święta oddano hołd polskim oficerom zamordowanym przez NKWD

w 1940 roku. Byłem w pierwszym momencie zaskoczony. Nikt nie interweniował. Robiłem zdjęcia, zdając sobie sprawę z wagi sytuacji. Gotowy serwis zdjęciowy przekazałem redakcji, ale obiecałem naczelnemu zachować negatywy w absolutnej tajemnicy. Niestety, zdjęcia nie weszły do numeru (nr 30-29/1981 z 23 lipca), który otwierał okolicznościowy redakcyjny artykuł zatytułowany „Daty nadziei”.

„Pełnienie władzy musi stać się uciążliwym obowiązkiem, odpowiedzialność musi rządzących uwierać, gdyż inaczej łatwo zapominają w imię kogo i czego rządzą. To społeczeństwu musi być w rezultacie wygodnie z władzą, a nie odwrotnie” - pisał (a).

W rubryce „Z regionu”: „We wtorek odbyły się wojewódzkie uroczystości obchodów 37. rocznicy Manifestu Lipcowego” - i kilka słów o akademii w teatrze. Nic o uroczystościach na Placu Zwycięstwa. Mimo to następnego dnia dostałem zaproszenie do Komendy Miejskiej MO, gdzie poproszono mnie o negatyw zdjęcia z delegacją „Solidarności”. Wymawiałem się, że zdjęcia nieostre, nie udały się, dlatego nie poszły w „Zbliżeniach”.

- Przecież wasi ludzie byli obok i robili zdjęcia - broniłem się. Nic nie pomogło. Ciągali mnie, aż w końcu spytałem?

- Po co wam mój negatyw, skoro macie swoje? - Odpowiedź była szczerą.

- Chcemy posadzić prowokatorkę. - Zrozumiałem.

Obiecałem dostarczyć negatyw. W ciemni włożyłem klatkę negatywu pod powiększalnik i prześwietliłem. Zdjęcie było nieczytelne. Zaniósłem je ubekowi. Miał do mnie pretensje.

- Przecież mówiłem, że zdjęcie jest nieostre!

Kiedy czytam książkę Anny Boguckiej-Skowrońskiej „Raport o stanie bezprawia”, mam satysfakcję, że nie miała kłopotów z tego powodu. Negatyw przetrwał w moich zbiorach. Zdjęcie opublikowałem w albumie „Tak to widziałem”.

Od tamtych gorących zdarzeń minęły lata, ale spory nie straciły temperatury. W 2010 roku ukazały się dwie publikacje, o których warto wspomnieć ze względu na kontrowersje i oczekiwania. Są to książki Igora Hałagidy pt. „NSZZ „Solidarność” Regionu Słupskiego (1980 - 1990)”. T. 1: „Szkice do monografii,” Gdańsk 2010 oraz „NSZZ „Solidarność” Regionu Słupskiego (1980 - 1990)”. T. 2: „Dokumenty Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Służby Bezpieczeństwa”, Gdańsk 2011.

Autor, pracownik naukowy, historyk IPN z Gdańska, prof. Igor Hałagida na spotkaniu z czytelnikami i działaczami słupskiej „Solidarności” podczas prezentacji książki w Akademii Pomorskiej

mówił: „Rzeczywiście tajni współpracownicy SB od samego początku rozpracowali słupek „Solidarność” i już we wrześniu 1980 roku funkcjonowali w różnych strukturach związku. Łącznie było 23 TW, ale nie znaczy to jednak, biorąc pod uwagę specyfikę regionu, żeby była to liczba imponująca”. Jak dodał: „esbecy owszem wiedzieli sporo, ale nie wiedzieli wszystkiego”. Licząca 148 stron publikacja jest - co podkreślał jej autor - szkicem do monografii słupek „Solidarność” i w żadnym wypadku nie pretenduje do miana książki całkowicie wyczerpującej temat. W publikacji historyk zawarł relacje ówczesnych działaczy związkowych, ale również dotarł do dokumentów nie tylko „Solidarność”, a także Służby Bezpieczeństwa oraz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Słupsku.”<sup>13</sup>

Pod artykułem redaktora Piotra Mereckiego „Esbeckie piętno na historii słupek „Solidarność” (19 stycznia 2011) w „GP24.pl” internauta Monk (co może znaczyć zakonnik, mnich lub detektyw) pisze (pod datą 21 stycznia 2011) o brakach w publikacji prof. Hałagidy, prezentując własne opinie, wskazujące na powiązania konkretnych działaczy słupek „Solidarność” z SB.

Z uwagą przeczytałem jego posty, jednak ich wiarygodność powinien autor poświadczyć nazwiskiem, by nie pozostać w sferze pomówienia lub po prostu plotki.

Pozostaję zatem z wątpliwościami, dlaczego mój materiał interesował SB i czy było to zainteresowanie „zawodowe”, czy też byłem jedynie częścią misternego planu prowokacji.

„Funkcjonariusze SB stosowali kilka technik obserwacji figuranta: obserwację jawną (zwaną japońską, polegającą na demonstracyjnym manifestowaniu swojej obecności przez funkcjonariuszy), obserwację zewnętrzną, wewnętrzną, uczestniczącą, stacjonarną. W miejscach publicznych znajdowały się odkryte punkty obserwacyjne. W pomieszczeniach zakryte punkty obserwacyjne. By uniknąć zdemaskowania funkcjonariusze przebierali się w garderobę specjalną. Podczas śledzenia dokumentowano (pismem, zdjęciem, rysunkami) najdrobniejsze zachowania figuranta. By figurant (osoba pozostająca w zainteresowaniu operacyjnym SB, wobec której SB podejmowała działania operacyjne) nie dostrzegł, że jest obserwowany lub jego lokal jest przeszukiwany, funkcjonariusze SB stosowali awaryjne zaabsorbowanie figuranta. Podczas śledztwa funkcjonariusze pod fałszywą banderą składali obciążające relacje ze śledztwa. SB fotokopiowała też listy figurantów w ramach

13 <http://www.polskieradio.pl/39/284/Artykul/301476,Slupska-Solidarnosc-w-rekach-SB> (dostęp: 15-04-2014).



perlustracji korespondencji.”<sup>14</sup> - dowiaduję się poszukując informacji w Internecie.

Wśród składających wieniec przedstawiciele NSZZ „Solidarność” Regionu Słupskiego byli figuranci pozostający w kręgu zainteresowania SB, o czym świadczą dokumenty zamieszczone w publikacji Igora Hałagidy.<sup>15</sup> Być może moje zdjęcia zamierzali potraktować jako jeden ze sposobów obserwacji? Na szczęście starczyło mi wyobraźni, by nie stać się narzędziem w ich rękach.

Nie jest dobrze, jeśli dziennikarz staje się politykiem i łamy pisma wykorzystuje do lansowania własnych poglądów politycznych. Obecnie często się tak dzieje, wtedy inaczej pojmowałem swoją pracę. Dziennikarze „Zbliżen” starali się rzetelnie wypełniać zawód z myślą o czytelniku. Nie było to proste, gdy strajki jak pożar ogarniały całe regiony i kraj. W 14 numerze „Zbliżen” z 2 kwietnia 1981 roku Tadeusz Martychewicz pisał o „Kolejnym akcie dramatu” w obawie ogólnokrajowych strajków. Groźby konfrontacji nie należało bagatelizować, stąd apele o dialog i rozsądek. Ścierały się opinie oficjalnej prasy partyjnej i podziemnych powielaczowych biuletynów oraz „Tygodnika Solidarność”, którego pierwszy numer ukazał się 3 kwietnia 1981 r. w nakładzie 0,5 mln egzemplarzy.

W tym samym numerze „Zbliżen”, w którym znalazł się mój fotoreportaż z lotniczego wypadku samolotu „AN24” pod Słupskiem, Wiesław Wiśniewski pisał: „gazet oraz innych środków masowego przekazu nie należy traktować jak „Pisma Świętego” i radził by mieć własny punkt widzenia” (w Słupsku wychodził partyjny biuletyn „Punkt Widzenia”). Wszyscy uczyliśmy się demokracji.

Tymczasem wykonywaliśmy dziennikarskie powinności, jak niósł je czas.

- Pod Redzikowem rozbił się samolot! - Krzyczał w słuchawce mojego domowego telefonu Andrzej Radzik.

Była dziewiąta wieczorem. Nie pytałem o nic więcej. Po chwili byłem u niego. Wsiadliśmy do mojego malucha i pojechaliśmy na miejsce, od strony wsi Wielogłowy. Na polu dopalały się porozrzucone szczątki samolotu. Nie było pasażerów. Rannych zabrali karetki. Ocalałych, którzy w panice uciekali do lasu, zaproszono do hali odpraw, gdzie odbyły się pierwsze przesłuchania świadków. Ocalało 51 osób. Kilka z nich skorzystało z mego zaproszenia na kieliszek koniaku. Wydawało mi się, że będzie to właściwe. Inaczej pomóc nie mogłem. Zginął dyrektor słupskiej „Pomorzanek”,

14 <http://wzzw.wordpress.com/2009/12/16/sluzba-bezpieczenstwa-metody-pracy-operacyjnej/> (dostęp: 15-01-2014).

15 Igor Hałagida: „NSZZ „Solidarność” Regionu Słupskiego (1980 - 1990)”. Tom 2, Gdańsk 2011, str. 93.

jedyna ofiara śmiertelna. Jeszcze tego wieczoru przyjechał Stefan Kraszewski z CAF-u z Gdańska powiadomiony przeze mnie. Moje zdjęcia poszły razem z reportażem Andrzeja Radzika „Bardzo długa podróż” w numerze 14. „Zbliżeń” z 2 kwietnia 1981.

Fotografia jest opowieścią. Skończoną, zamkniętą w kadrze informacją o zdarzeniu. Dobre zdjęcie pozostawia jednak miejsce na indywidualny odbiór. Opowiada poprzez to, co pokazuje. Reporter dokonuje wyboru elementów fotograficznej narracji, dysponując kompozycją, planami, sposobem kadrowania. Reportaż Andrzeja Radzika i moje zdjęcia uzupełniały się, będąc same w sobie skończonymi relacjami.

Jesienią 1981 roku katastrofie gospodarczej i politycznej zapobiec miały Terenowe Grupy Operacyjne powołane spośród żołnierzy zawodowych. Do 20 listopada zbierały informacje o faktycznym stanie państwa. To oficjalna wersja. Byłem świadkiem, gdy wizytując jedną ze szkół pod Bytowem pan pułkownik podszedł do uczennicy stojącej w apelowym szyku i kazał jej zdjąć widoczny w niewielkim dekolcie medalik.

Gdy nastał stan wojenny, zamiast grup operacyjnych wprowadzono komisarzy - pełnomocników, najczęściej spośród dowódców Wojskowych Grup Operacyjnych. W Słupsku w dzisiejszej siedzibie starostwa urzędował komisarz gen. Henryk Rzepkowski, pełnomocnik WRON na województwo słupskie.

Ostatni numer tego rocznika „Zbliżeń” ukazał się 10 grudnia 1981 roku z artykułem „Świńskie koło” autorstwa Zbigniewa Janiszewskiego i moim zdjęciem przedstawiającym świński zad, który z obory za ogon wyciąga chłop w gumiakach. Nie było życzeń świątecznych. Nikt z nas nie spodziewał się takiej niedzieli 13 grudnia! W poniedziałek 14. wszystkie maszyny w redakcji przewiązane były łańcuchem i zamknięte na kłódkę. Kasę pancerną załadowano sprzętem fotograficznym, który musiałem zdać, i pieczętami. Pozostawiono mi jeden prywatny aparat, ale nie miałem sprzętu laboratoryjnego. Fotografowałem miasto zalane wezbraną Słupią. Puściły groble natury. Władza zbudowała własne przeciw społecznym nurtom. Zawieszono działanie wszystkich organizacji i stowarzyszeń, prócz KGW i OSP. Zdjęcia aresztowanych maszyn do pisania na tle prasowych tytułów obwieszczających stan wojenny nie doczekały się prasowej publikacji. Zamieściłem je w albumie „Tak to widziałem” wiele lat później.

„Zbliżenia” zamilkły. Przez blisko dwa miesiące byłem bez zajęcia. Dziennikarzom publicystom polecono odbycie spotkań w zakładach pracy. Mieli uzasadnić konieczność wprowadzenia

stanu wojennego. Wychodził jedynie „Głos Pomorza”. Zazdrościłem Irkowi Wojtkiewiczowi, który jako fotoreporter gazety mógł bez ograniczeń fotografować. Mieliśmy wspólne laboratorium, ale każdy pracował na swoim sprzęcie. Dopiero w lutym zdjęto areszt ze sprzętu „Zbliżeń”. Otrzymaliśmy zaświadczenia zezwalające na całodobowe poruszanie się po terenie województwa śląskiego. Dodatkowo otrzymałem zezwolenie na typ aparatu, którym mogłem pracować. Pierwszy numer „Zbliżeń” rocznika 1982 ukazał się 18 lutego. W artykule „Spojrzeć prawdzie w oczy” z cyklu „Z bliska i z daleka” redaktor Wiśniewski pisał: „znów się spotykamy z naszymi Czytelnikami..., stan wojenny jest okresem trudnym dla wszystkich. I nie tylko ze względu na liczne uciążliwości i ograniczenia. Jeszcze bardziej ze względów psychologicznych. Upokarzająca świadomość...” Celowo nie kończę cytowanego zdania, bo ostatnie wyrażenie dobrze opisuje, co czułem.

W naturze człowieka jest poszukiwanie odpowiedzi. Zrobiłem zdjęcie, które poszło w „Zbliżeniach”. W okolicy ogródków działkowych przy drodze nr 6 ktoś na gałęzi ponad koroną czereśni na wysokim drągu zawiesił martwą wronę, pewnie by odstraszyć szpaki. Takie zdjęcie. Niby nic. Ptak. Szkoda, że marnie skończył. Ale władza kojarzyła według prawa: uderz w stół..., więc się odezwali. Musieliśmy się tłumaczyć! Gdyby nie interwencja wysoko postawionych i myślących znajomych naczelnego, cała redakcja, a na pewno ja szukałbym zajęcia na działkach.

\*\*\*

W siedzibie STF, w piwnicznych pomieszczeniach DK „Kolejarz” zapalęcy fotografowania spotykali się nielegalnie. Śląskie Towarzystwo Fotograficzne za swego założyciela uznaje Witaliusza Mojsiejko, który od 1945 roku fotografował zniszczenia i odbudowę miasta. Mimo trudności STF organizowało wystawy, konkursy, w pewnym okresie, by przetrwać, oferowało usługi dokumentacyjne i kronikarskie. Działaliśmy społecznie, płacąc składki na potrzeby Towarzystwa. Nikt z nas nie był członkiem PZPR, natomiast wielu należało do zakładowych struktur „Solidarności” w zakładach pracy: „Sezamorze”, „Kapenie”, „Famarolu”, „Alce”. Rozmawialiśmy głównie o fotografii, sprzęcie, kolejnych wystawach. Trudno jednak było pominąć sprawy bieżące utrudniające życie wszystkim, nam w szczególności ze względu na zakazy fotografowania niemal wszystkiego. Nie było odczynników, klisz; denerwowały kolejki pod fotooptykiem od rana, gdy miał być towar.

Słupsk, dnia 3 lutego 1982 r.

D E C Y Z J A

Na podstawie § 9 pkt 1 zarządzenia Prezesa Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk z dnia 12 grudnia 1981 r. w sprawie zasad udzielania zezwoleń na rozpowszechnianie publikacji i widowisk oraz postępowanie przy użytkowaniu urządzeń i aparatów poligraficznych, aparatów wytwarzających zapisy obrazu i słowa sposobem mechanicznym, chemicznym lub innym w czasie obowiązywania stanu wojennego /M.P. Nr 30, poz. 278/,

z e z w a l a s i ę

Ob. Janowi Maziejukowi, zatrudnionemu w Redakcji Tygodnika "Zbliżenia", legitymującemu się dowodem osobistym RH 7094400 wydanym przez KPMO Miastko, na wykonywanie zdjęć fotograficznych dla potrzeb Redakcji w czasie obowiązywania stanu wojennego.

Do wykonywania zdjęć red. J. Maziejuk może używać niżej wymienionych aparatów fotograficznych:

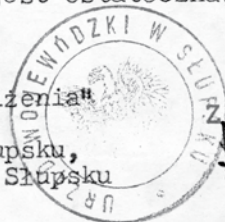
- MINOLTA Nr 1263059,
- PENTACON six 5075,
- PENTACON six 137748,
- YASHICA Mat 124 G.

Przy wykonywaniu zdjęć należy przestrzegać postanowień zarządzenia Nr 6/Or/81 Wojewody Słupskiego z dn. 13.12.1981 r. w sprawie zakazu dokonywania zdjęć fotograficznych i filmowych na obszarze województwa słupskiego w czasie obowiązywania stanu wojennego /Dz.Urz. Nr 8, poz. 21 WRN Słupsk/.

Decyzja niniejsza jest ostateczna.

Otrzymują:

- 1/Ob. Jan Maziejuk  
Redakcja Tygodnika "Zbliżenia"  
w Słupsku,
- 2/Woj. Urząd Cenzury w Słupsku,
- 3/Komenda Wojewódzka MO w Słupsku
- 4/a / a.



mgr Jan Drużkiewicz  
DYREKTOR WYDZIAŁU

# Zbliżenia

TYGODNIK SPOŁECZNO - POLITYCZNY

— Sekretariat: 68-58  
— Redaktor naczelny: 68-58  
— Z-ca red. naczelnego: 68-58  
— Sekretarz redakcji: 43-81  
— Działy: społ.-polit. 39-12  
spot.-ekon. 39-12

Adres redakcji: 76-200 SŁUPSK, Al. Sienkiewicza 20

Słupsk dn. 2.02. 19.82.

## U p o w a ż n i e n i e

Na mocy upoważnienia wynikającego z zarządzenia nr 02/81 z 13 grudnia 1981 r. wojewody śląskiego zezwalam red. Janowi Maziejukowi zatrudnionemu w Redakcji Tygodnika "Zbliżenia" na przebywanie w godzinach 23.00 - 5.00 w miejscach publicznych województwa śląskiego w czasie wykonywania obowiązków służbowych.

Koszalin, dnia 26 lutego 1982 r.

ZASWIADCZENIE nr 115/82

Zaświadcza się, że Ob. Jan Maziejuk  
legitymujący się dowodem osobistym nr RH 7094400, zamieszkały w Koszalinie, ul. *W. Gąsiora* *ko. Jadwigi* nr 11/45  
jest zatrudniony w Koszalińskim Wydawnictwie Prasowym — w Redakcji „Głosu Pomorza” w charakterze dziennikarza, kierowej, korekterki i pracuje w godzinach nocnych przy wydawaniu gazety.



Dyrektor Koszalińskiego  
Wydawnictwa Prasowego

(-) Zefiryn Szymczak

Jakoś w tym czasie obiegała kraj sensacyjna wiadomość przekazywana przez wszystkie dzienniki TV. Dzielni pogranicznicy z Ustki aresztowali duński kuter bezprawnie poławiający dorsze w polskiej strefie przybrzeżnej. Pokazywano zdjęcia wykonane przez Stefana Kraszewskiego z CAF z Gdańska. Zamieściły je na czołówkach „Trybuna Ludu” i „Żołnierz Wolności”. Sensacja! Również redakcja „Zbliżen” zakupiła zdjęcie. Ciekawość nie dawała mi spokoju. Nie mówiąc nikomu, pojechałem do Ustki. Wszedłem do portu. Przy nabrzeżu stał zacumowany aresztant. Zauważyłem Irka Wojtkiewicza. Nie zdążyłem do niego zagadnąć, pstryknął kilka razy i już go nie było. Zobaczyłem tylko tył samochodu. Natomiast przy mnie stali już mundurowi.

- Co tu robisz? Aparat proszę! Czy wiem jakie dekrety stanu wojennego naruszyłem? Na nic moje tłumaczenia, że tylko ciekawość, że nie zrobiłem żadnego zdjęcia. Zostałem zatrzymany. Rozbroili aparat „Nikon” FM2, wyjęli film.

- O, nie! - Teraz ja przystąpiłem do ataku.

- Jestem dziennikarzem partyjnej gazety! (No, wreszcie mogłem wykorzystać ten fakt i to przewrotnie, co dawało większą satysfakcję). - Pozbawiono mnie wolności i możliwości pracy bez uzasadnienia!

Nie przyjęto moich wyjaśnień.

Na nic wszystko. Zwolnili mnie dopiero po kilku godzinach, gdy wojskowy goniec przyniósł wywołany w zakładzie fotograficznym w Ustce film. Było tam kilka ujęć ze Słupska. Nikt mnie nie przeprosił.

Irek Wojtkiewicz czekał na mnie w pracowni.

- Przydupili cię? Masz nauczkę! Rób szybko i jeszcze szybciej znikaj. Widzisz, zanim uruchomili służby, mnie już nie było.

„Głos Pomorza” zamieścił jego zdjęcie na czołówce. Nasza redakcja skorzystała z serwisu CAF-u. Po prostu, nie udało mi się sforsować obiektywem dekretów stanu wojennego. Kilka lat później, 12 marca 1993 r. aresztowano duński kuter „Capricorn”, o czym lakonicznie poinformowały lokalne gazety. Od 1978 roku polska strefa przybrzeżna była naruszana ponad 270 razy. O co więc było tyle hałasu?

Ludowe Wojsko Polskie, jak brzmiała potoczna, jednocześnie propagandowa nazwa, zawsze było formacją pilnie strzegącą tajemnicy służby. Tajemnicą objęte były budynki, żołnierze, pojazdy, wszystko. Dopiero końcówka lat siedemdziesiątych przyniosła rozluźnienie. Z okazji święta lotnictwa na lotnisku w Redzikowie obywatele mogli obejrzeć lotniczy sprzęt, np. samoloty szkolno-

treningowe „Iskra”. W pokazy włączał się słupski Aeroklub, młodzi chłopcy chętnie zasiadali w kabinie szybowca. Czasem uruchomiono silnik odrzutowca, hałas i smród spalonego paliwa działały na wyobraźnię. Jednostka lotnicza z Redzikowa współpracowała z amerykańskimi lotnikami stacjonującymi w RFN. Była to chyba końcówka lat osiemdziesiątych. Z amerykańskimi lotnikami przyjechał fotoreporter w towarzystwie asystenta noszącego za nim dwa aparaty fotograficzne marki „Nikon” wyposażone w obiektyw z funkcją zum (zmiennooogniskowy), metalowy kuferek sprzętu, filmów, slajdów. Trzaskali zdjęcia z szybkością 11 klatek na sekundę. Czułem się przy nim jak ubogi krewny. Miałem wprawdzie aparat tej samej marki („Nikon” 90) ze standardowym obiektywem. Obowiązywała mnie norma jednego filmu, czyli mogłem wykonać 6 zdjęć, bez gwarancji jakości. Jeżeli przekroczę limit, zapłacę z własnej kieszeni. Facet zepsuł mi święto.

Później „wojskowa” przygoda zdarzyła mi się w 1997, ale wtedy stanęli w mojej obronie koledzy dziennikarze, głównie Marcin Barnowski z „Głosu Pomorza”.

W okolicy jednostki wojskowej w Redzikowie, gdzie sfotografowałem kilku chłopaków, według mnie poborowych, pojawili się natychmiast wartownicy. Zrobił się raban, wezwali żandarmerię i policję. Zostałem zatrzymany. Koledzy z „Głosu” konsekwentnie nie odpuszczali. MON pismem płk Sawickiego przeprosiło mnie, deklarując wolę współpracy z mediami. Ale to już były inne czasy.

Nie podejmuję się wyjaśnienia zjawiska, które obrosło trzydziestoletnim jubileuszem, nadzieją i rodzajem niepamięci. 12 marca, w piątek drugiego tygodnia wielkiego postu 1982 roku na krzyżu misyjnym przy kościele NMP Królowej Różańca Świętego w Słupsku pojawił się wyciek z wyglądu przypominający krew. Wokół rósł tłum ciekawych, ekstatycznie rozmodlonych, wpatrzonych z nadzieją i uwielbieniem w stróżkę brunatnego płynu spływającego z krzyża. Nikt nie określił jego charakteru. Księża milczeli zajęci posługą pokuty i zdezorientowani tak jak wierni. W obiektywie widziałem twarze i gesty ludzi. To ich wiara w cud i nadzieja na odmianę decydowały o randze zdarzenia. Naczelnicy zdecydował o publikacji fotoreportażu („Zbliżenia” nr 6/82 z 25 marca). Potem jak zawsze musiał się tłumaczyć, tym razem z klerikalnej propagandy. W tym czasie temat podjęły krajowe tytuły prasowe, radio i TV.

- Cud w Słupsku! - powtarzali ludzie. Wyniki badań laboratoryjnych nie były jednoznaczne, przeprowadzono je w kilku miejscach. W którymś stwierdzono obecność elementów przypominających

erytro- i leukocyty. Wierni uwierzyli w cud. W czasie stanu wojennego krwawiący krzyż uznano za znak umęczenia Polski. Dzisiaj tamto wydarzenie nie wzbudza takich emocji. Krzyż przeniesiono do przedsionka kościoła. Przemineła atmosfera sensacji, a krzyż otoczony jest wciąż należną każdemu najważniejszemu znakowi chrześcijaństwa. Wtedy potrzebny był jako wyraz szczególnej Bożej opieki wobec niewiadomej stanu wojennego.

Kiedy 14 marca 2012 r. o 18:15, gdy na stronie portalu internetowego „Wirtualnej Polski” pojawiła się wzmianka o jubileuszu tamtego zdarzenia, ktoś napisał: „W 1982 roku latem usłyszałam o tym przypadku i postanowiłam pojechać z moim 4-letnim synkiem, który miał przepuklinę wielkości jego pięści po operacji. Lekarz powiedział, że przepuklina może się jeszcze powiększyć. Ja z mężem modliłam się pod tym krzyżem, a nasz synek biegał koło krzyża, na koniec pocałował go. Dostaliśmy od proboszcza tamtej parafii obrazek z tą ciecżą. Wróciliśmy do domu. Mieszkamy 300 km od Słupska. Po kilku dniach w czasie kąpienia synka zauważyłam, że nie ma śladu po przepuklinie. Dziś syn ma 34 lata.”

Były też komentarze o zaścianku, ciemnocie, ale nie warto ich przytaczać. Nic ciekawego.

31 grudnia 1982 roku stan wojenny został zawieszony. Zachowano szczególne regulacje prawne, w tym art. 282 „Kto podejmuje działania w celu wywołania niepokoju lub rozruchów...” Dawał władzy absolutną przewagę. Wprawdzie zwolniono 1,5 tysiąca internowanych, ale w więzieniach pozostało drugie tyle. Formalne zniesienie stanu wojennego nastąpiło 22 lipca 1983 roku.

Pomnik Powstańców Warszawskich odsłonięto w Słupsku 15 września 1945 r. z inicjatywy ponad tysiąca warszawiaków zamieszkałych w mieście. Bezpośrednim impulsem stało się rozstrzelanie przez Niemców w dniu 7 marca 1945 roku dwudziestu dwóch Polaków, głównie byłych powstańców i dwóch Rosjan. Wtedy zawiązała się szesnastoosobowa grupa inicjatywna z Edwardem Ładą-Cybulskim jako przewodniczącym budowy. Pomnik wrastał w historię i tradycję miasta.

Nie, nie był hołubiony przez władze, ale mieszkańcy o nim pamiętali. Spontanicznie każdego roku w rocznicę Powstania o godzinie 17 spotykali się na skwerze przy pomniku. Tak było i teraz, 1 sierpnia 1983 roku.

Oczywiście że tam byłem! Z powodów osobistych i zawodowych. Mój teść, powstaniec, zginął w Dachau, szwagierka była sanitariuszką na Bielanach. Byłem też z powodów zawodowych. Nie wyobrażałem sobie, by jakieś zdarzenie z życia miasta umknęło



mojemu obiektywowi. Musiałem tam być. Spontaniczna, niemal rodzinna manifestacja dobiegała końca. Złożono kwiaty, ludzie się rozchodzili. Z zawodowej zasady wychodzę ostatni, dlatego byłem jeszcze na skwerze. Wtedy od strony ulicy Szarych Szeregów w kierunku pomnika kierowało się uformowane czoło pochodu.

Stefan Korejwo i Janusz Łądzin nieśli wieniec. Za nimi Henryk Grządzielski z synkiem i kimś jeszcze nieśli transparent z napisem „Famarol”, wykonanym liternictwem takim jak nielegalna „Solidarność”. Dalej młodzież, ludzie z dziećmi na rękę, starsi. Kiedy złożyli wieniec, Henryk Grządzielski z synkiem i Stefan Korejwo stanęli z transparentem przy pomniku. Zabrzmiały słowa hymnu, wszyscy unieśli prawą rękę z dłonią ułożoną w znak zwycięstwa. Malec także. Było coś niesamowicie podniosłego w postawie pięciolatka i, co tu mówić, wśród wszystkich uczestników zdarzenia. Robiłem zdjęcia bez przeszkód. Natychmiast w redakcyjnym laboratorium wywołałem film i zrobiłem odbitki. Negatyw ukryłem w szafce redaktora Martychewicza. Serwis przekazałem naczelnemu, informując, że nic więcej nie mam, a negatyw zniszczyłem.

Chłopie, zachowaj to w tajemnicy - poradził mi Wiesław. Nie przypuszczaliśmy, by zdjęcia mogły pójść w naszym tygodniku. Jak to się stało, że znów zaproszono mnie do KM MO i wypytano o negatyw? Oświadczyłem stanowczo: - negatyw zniszczyłem, zawsze tak robię. Nie wiem czy uwierzyli.

Czytam na stronie 223 publikacji z 2011 roku Igora Hałagidy „NSZZ „Solidarność” Regionu Słupskiego (1980 - 1990)”, tom 2: „Dokumenty Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Służby Bezpieczeństwa”: „O godz. 17.00 w kościele Mariackim odprawiona została msza zamówiona przez kilku pracowników Fabryki Maszyn Rolniczych „Agromet - Famarol” w Słupsku w intencji powstańców Warszawy. Po mszy około 60 osób zebrało się przed kościołem, pomaszerowało na pl. Powstańców pod pomnik Powstańców Warszawy. Ww. grupa w czasie przemarszu rozwinęła transparent z napisem „Famarol”, a pod pomnikiem złożyła dwa wieńce, na których stwierdzono dwie szarfy. Na białej szarfy widniał czerwony napis „Solidarność Słupska”, a na biało-czerwonej czarny napis „Solidarność Region Słupski”. Szarfy te usunięto i zabezpieczono. Wśród obecnych rozpoznano M[iroslawa] Pająka (...), Stefana Korejwę (...), Henryka Grządzielskiego (...).” Notatka datowana: 1984 sierpień 3. <sup>16</sup>

16 Igor Hałagida: „NSZZ „Solidarność” Regionu Słupskiego (1980 - 1990)”. Tom 2: „Dokumenty Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Służby Bezpieczeństwa”, Gdańsk 2011, s. 223.

W 1897 r. kwiaty pod pomnikiem złożyli Jolanta Joachimiak i Janusz Łądzin, fotografował Edward Müller. Wszyscy zostali aresztowani. Müllerowi zarekwirowano aparat fotograficzny. Píše o tym Anna Bogucka Skowrońska w „Raporcie o stanie bezprawia”.<sup>17</sup>

Upłynęły lata. Historycy IPN mozolnie odsłaniają prawdę o wydarzeniach i ludziach. Wiele dokumentów zniszczono, ale te, które ocalały dają obraz i skalę infiltracji solidarnościowych struktur.

Jesienią 1984 roku w sklepach, zakładach pracy pojawiały się ekipy Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej, zwane popularnie „Irchą”, zazwyczaj w trzyosobowym składzie: działacze partyjni w towarzystwie milicjanta. Miały być lekarstwem na sklepowe baraki, spekulację, korupcję i wszystkie nieszczęścia. Owszem, budziły strach, ale przede wszystkim stały się przedmiotem kpiny i szyderstwa. Wybrałem się z nimi w teren, by sprawdzić, jak działają. Z próżnego i Salomon nie należy, taka konkluzja wynikała z ich działań. Najchętniej pilnowali przestrzegania czasu sprzedaży alkoholu. A prawda była taka, że jeśli ktoś nie kupił gorzały w sklepie przed 13., znalazł ją na melinie. Być może jeździli w teren po zaopatrzenie podobnie jak my, bo mięso najłatwiej było kupić bezpośrednio u rolnika. Był to złoty czas produkcji rolnej - tanie kredyty i zbyt na każdy towar. „Ircha” oficjalnie działała do 1989 roku, choć jej zmierzch nastąpił dużo wcześniej.

Jak wtedy żyliśmy? Każda odpowiedź będzie fałszywa, bo uproszczenia deformują historię. W kalendarium Anny Boguckiej-Skowrońskiej „Raport o stanie bezprawia” znajduję zapis: „Rok 1985 rozpoczął się pod znakiem procesu zabójców ks. Jerzego Popiełuszki (...). 8 marca 1985 r. Sprawa Jurka Olszewskiego w Koszalinie (...) sygn. I.C.143/85.”<sup>18</sup>

Kolejne daty i kolejne informacje o procesach. Anna Bogucka-Skowrońska jest prawnikiem. To jest jej historia pisana procesami politycznymi. Jestem fotografikiem, byłem fotoreporterem, moja historia pisana jest fotografią. Opowiadałem swoje widzenie zdarzeń i ludzi językiem fotograficznego obrazu. Poznawałem historię mieszkańców Pomorza przez ich zdjęcia zgromadzone w rodzinnych albumach lub porzucone na strychu jako nierozpoznane. Moje archiwum fotograficzne trzeba było opracować i spożytkować. W 1985 roku przy wsparciu Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pobrzeże”, Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej,

17 Anna Bogucka-Skowrońska: „Raport o stanie bezprawia”, Wydawnictwo „LenART”, 2005, s. 93.

18 ibidem, s. 76.

Koszalińskiego Wydawnictwa Prasowego, Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL i redakcji „Zbliżeń” urządziliśmy w Bibliotece przy ul. Braci Gierymskich wystawę fotograficzną „Mieszkańców Pomorza portret zwyczajny”. Wstęp do katalogu wystawy napisał niezastąpiony Wiesław Wiśniewski:

„Mamy zatem w tych kilku dziesiątkach zdjęć zgromadzoną niejako syntezę ostatniego stulecia tego regionu, potraktowaną jako człowieczy los. Dzięki posłużeniu się przez autora (...) reprodukcją, mamy wgląd w dzieje dość odległe, sięgające początków wieku”.

Na stronie tytułowej para starszków siedzących wiejskim zwyczajem na ławeczce przed domem z wyraźnym szachulcowym rysunkiem. To typowy dla Pomorza typ budownictwa. Obok pies, codzienne sprzęty. Zwyczajne życie. Teraz jeszcze wyraźniej widzę, jak potrzebna była ta wystawa jako głos w dyskusji o przemianach. Losy Kaszubów, kresowiaków, całej społecznej mozaiki Pomorza budujących regionalną świadomość i tożsamość ciągle poddawane były próbie. Wystawa była wyrazem szacunku dla mieszkańców Pomorza, portretem ich codzienności i wyrazem nadziei. Na tylnej okładce katalogu znalazło się zdjęcie niemowlęcia uniesionego w górę ramionami matki. Malec jak ptak - frunie. Przed nim przyszłość.

„W 42. roku Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, roku X Zjazdu PZPR...” - napisano w akcie erekcyjnym pod budowę Szpitala Wojewódzkiego w Słupsku. Akt podpisali przedstawiciele władz centralnych - Andrzej Wasielewski i Władysław Gwiazda, władze wojewódzkie i wielu mieszkańców Słupska. Piękna uroczystość, piękne wrześniowe popołudnie dziewiętnastego dnia miesiąca.

W numerze 39/1986 „Zbliżeń” z 25 września 1986 roku opublikowano mój fotoreportaż. Pielęgniarki sprzedają cegielki, mierzą ciśnienie, władza brata się z ludem. Wszyscy wzdychają: „obyśmy zdrowi byli”. Wydawało się, że pójdzie jak z płatka, ale hasło tego dnia okazało się prorocstwem. Obyśmy zdrowi byli, bo szpital powstanie, bagatela, za 25 lat! Tak, budowa trwała ponad 25 lat. Zmienił się ustrój, ci, którzy podpisywali akt erekcyjny, odeszli w polityczny niebyt. Słupsk w wyniku kolejnej reformy administracyjnej stracił rangę miasta wojewódzkiego na rzecz województwa pomorskiego z siedzibą w Gdańsku.

31 grudnia 1989 roku Jerzy Kuzyniak, ostatni wojewoda słupski, własnoręcznie zdjął tabliczkę informacyjną z drzwi swojego gabinetu. Ktoś może powiedzieć, że wobec takich zdarzeń nikt nie miał głowy do budowy rozpoczętej w komunie. Może i tak było.

Wobec swarów politycznych, zmian administracyjnych, reorganizacji inne zadania wydawały się mniej ważne - tak odbierali to ludzie. Budowa ślimaczyła się. Wojewódzki Szpital Specjalistyczny im. Janusza Korczaka w Słupsku przyjął pacjentów dopiero w 2011 roku. Srebrne gody! Jako znak nowych czasów na fecie otwarcia cieniem się kładzie upadłość warszawskiej spółki „Grupa J3”, zmuszonej do ogłoszenia upadłości. Podwykonawcy domagają się zapłaty, postępowanie toczy się przed sądem. Z pewnością długo będą trwały procesy. Signum temporis.

\*\*\*

Na początku 2012 roku przez media przemknęła sensacyjna wiadomość o odnalezieniu akwareli „Chopin” Mieczysława Kościelniaka. Portret Chopina wykonany techniką akwareli w obozie koncentracyjnym? Jest w tej historii kilka motywów niezwykłych, takich jak: fascynacja obozowych oprawców muzyką i malarstwem. Czy możliwa jest jednoczesna wrażliwość na sztukę i pogarda dla człowieka? Akwarela z sygnaturą „1943 MK” znajdowała się w sali prób obozu Auschwitz-Birkenau. Sądono, że została zniszczona w czasie wyzwania obozu. Tymczasem portret Chopina, akwarelę Mieczysława Kościelniaka, więźnia numer obozowy 15261 w swoich zbiorach posiadał profesor hematologii z UJ Aleksander Skotnicki. Autor był więźniem obozu od 1941 roku, gdzie się poznał i zaprzyjaźnił z Maksymilianem Kolbe.

Oświęcimskie prace Mieczysława Kościelniaka znał cały niemal świat. Z obozu przemycane były transportem z pralni. Po wojnie były dokumentem cierpienia i prawa człowieka do godności. Prace Kościelniaka z okresu oświęcimskiego mają wartość dokumentu zbrodni, ale również, jak pisał grafik: „Dzieła sztuki - malarstwa, rzeźby, muzyki czy też wspaniałej literatury nie da się opowiedzieć”. W Muzeum Oświęcimskim znajduje się około 60 jego prac tworzących stałą wystawę. Czym dla ludzi talentu była sztuka? „Jakże cudownym azylem może być sztuka” - pisał malarz po latach w katalogu do słupskiej wystawy.

Przygotowałem fotogramy prac Mieczysława Kościelniaka do wystawy malarstwa i grafiki „Dni Morza” w Słupsku, w czerwcu 1987 roku. Tekst napisał dziennikarz „Zbliżen” Zbigniew Janiszewski.

Miałem zaszczyt znać Mieczysława Kościelniaka, który od roku 1979 mieszkał i tworzył w Ustce i Słupsku. W latach 60. wykonał ilustracje do Iliady i Odysei. „Mój świat leży nad Morzem

Śródziemnym, mój świat to starożytna Grecja, Rzym, Egipt, Mezopotamia... Mój świat to klasyka” - mówił o sobie. Z inicjatywy Jarosława Iwaszkiewicza, Mieczysław Kościelniak został członkiem Stowarzyszenia Kultury Europejskiej z legitymacją z polskim numerem 39. Wystawiał za granicą, między innymi w Japonii. Przygotowałem fotografie jego prac do katalogu wystawy. Kiedy zobaczyłem gotowe wydawnictwo, byłem zachwycony sztuką edytorską. Moje fotografie opracowane programami komputerowymi na doskonałym papierze były lepsze niż oryginały.

Współpraca z artystą przerodziła się w zażyłość o charakterze rodzinnym. Spotykaliśmy się, rozmawialiśmy o wszystkim. W bieżące sprawy rzadko włączał zamknięte obozowe wspomnienia natomiast katalog jego prac jest ciągle otwarty. Otrzymałem od Mieczysława Kościelniaka kilka grafik. Dwie podarowałem synowi Bogdanowi, gdy otrzymał pierwsze mieszkanie. Są dla nas cenną pamiątką przyjaźni.

Mieczysław Kościelniak zmarł w 1993 roku. Wspólnie z jego żoną



*Mieczysław Kościelniak przy pracy nad grafiką (rok 1985) oraz Ustka, rok 2010. Odświeżenie obelisku i tablicy pamiątkowej poświęconej Mieczysławowi Kościelniakowi. Po prawej: Jan Olech - burmistrz miasta, po lewej Adam Brzóska, przewodniczący Rady Miasta.*

Fot. L. Kreft



*Archangielsk, sierpień 1988 roku. Jan Maziejuk w towarzystwie Mariana Kandziaka w czasie przepływu statkiem po Dwinie. W składzie delegacji była również Lucyna Głusik. Cała delegacja została sfotografowana przed pomnikiem Łomonosowa w Archangielsku. Plonem podróży Jana Maziejuka do Archangielska była zorganizowana w Młodzieżowym Centrum Kultury w Słupsku wystawa fotograficzna „Jan Maziejuk i jego Archangielsk”.*

czyniliśmy starania o uhonorowanie artysty płytą pamiątkową lub pomnikiem. Bez rezultatu. Dopiero w 2010 roku z udziałem żony malarza odsłonięto w Ustce skromny obelisk poświęcony artyście.

Byłem fotoreporterem. Nie zmierzałem prostą drogą do zawodu, ale obowiązki wypełniałem poważnie. Wydarzenia w regionie, sprawy ludzi, ciekawe bieżące tematy były w kręgu moich zawodowych zainteresowań. Jak wszyscy odczuwałem niedostatki w zaopatrzeniu, z uwagą i niepokojem przyglądałem się zdarzeniom. Był to jednak czas dla fotoreportera wyjątkowy. Uchwycić „na gorącym uczynku” historię, wielkie przemiany. Zobaczyć ich magię i zwyczajność poprzez codzienne sprawy. Powiem szczerze, nie mogłem usiedzieć w domu, choć synowie i żona mnie potrzebowali. Czułem się jak myśliwy, gdy wychodziłem obwieszony aparatami „polować” na temat.

Słupsk, brytyjskie miasto Carlisle i niemiecki Flensburg jako pierwsze w Europie w dniu 28 czerwca 1988 roku w Flensburgu

podpisały umowę „Trójporozumienia” owocującą po dzień dzisiejszy współpracą gospodarczą, wymianą turystyczną i kulturalną. Dziwił i zastanawiał niektórych fakt współpracy europejskich miast ze Słupskiem, będącym wówczas ciągle za żelazną kurtyną.

Widoczny znak liberalizacji władzy i akceptacji nieuchronnych zmian? Pewnie tak. Dla miast partnerskich współpraca była formą projekcji samorządności i demokracji. Uczyliśmy się i poznawali wzajemnie. Dziś jesteśmy we wspólnej Europie.

Rok później, 29 czerwca 1989 roku, władze Słupska podpisały partnerską umowę z radzieckim (okres pierestrojki Gorbaczowa) Archangielskiem. W 1988 roku forpocztą oficjalnej wizyty była trzyosobowa delegacja w składzie: Leokadia Głusik - dziennikarka biuletynu partyjnego „Punkt Widzenia” jako tłumacz, Marian Kandziak, jako przewodniczący delegacji i moja skromna osoba fotoreportera. Przedsięwzięcie nie było zupełnie pionierskie, dwa lata wcześniej bowiem umowę partnerską podpisały władze województwa

słupskiego z obwodem archangielskim, a w 1988 roku młodzież wyjechała na wakacje w ramach wymiany. Obwód archangielski jest większy od obszaru Polski, a liczy tylko milion sześćset tysięcy mieszkańców, z tego ponad jedna trzecia żyje w mieście Archangielsk. Miasto chlubiło się kliniką okulistyczną kierowaną przez profesora Witalija Biedilo, światowej sławy okulistę. Pisał o nim „Głos Pomorza” w numerze z 26 września 1988 r. Natomiast do stoczni remontowej w Archangielsku zawijały jednostki budowane w Gdańsku. Staraniem się sfotografować prawdziwe miasto - architekturę, ludzi i ich pracę oraz problemy. Kiedy chciałem zrobić panoramę miasta nocą, okazało się, że nie jest to proste. Archangielsk nocą pogrążał się w ciemnościach, nie oświetlano miasta, ale dla potrzeb fotoreportażu Archangielsk rozbłysnął wszystkimi światłami. Konrad Remelski żartował później, że oświetliłem Archangielsk. W zasadzie na tym kończyły się żarty, bo kiedy pytaliśmy o łagry i obozy, miejsca przymusowej pracy i zsyłek Polaków w czasach Stalina, zapadało milczenie. Nikt nic o tym nie wiedział.

- Takich miejsc w naszym obwodzie nie było - odpowiadali rozmówcy.



*Pamiątka z Archangielska. Medal wręczony w 1988 roku podczas pobytu z delegacją ze Słupska.*



*Słupsk, Młodzieżowe Centrum Kultury, 10 kwietnia 1988 roku. Wystawa fotograficzna z udziałem delegacji z Archangielska. Na pierwszym planie sekretarz komitetu obwodowego KPZR, Władysław Jankowicz-Bohowkin.*



Zebrane i wybrane fotografie formatu 40x50 i 30x40 złożyły się na wystawę „Jan Maziejuk i jego Archangielsk” prezentowaną w Słupsku i Sławnie, odnotowaną przez lokalne pisma radzieckie, między innymi „Prawdę Północy” nr 222/1988.

Słupska wystawa została zaprezentowana we wrześniu 1988 roku. Patronat objęły tygodnik „Zbliżenia”, STF, KW PZPR, i SSK „Pobrzeże”. Wstęp do katalogu wystawy napisała Leokadia Głusik. Pokazaliśmy dawną, zanikającą drewnianą zabudowę miasta obok nowoczesnych wieżowców, pejzaże plaż i przystani portowych nad Dwiną, surowy klimat i dawną kulturę materialną (drewniane naczynia, hafty, makaty). Obok nowoczesnych ulic w centrum, chodniki i ulice z bali drewnianych na peryferiach. Wystawa dawała obraz miasta żyjącego, zmieniającego się, dynamicznego.

Wizyta stała się początkiem współpracy klubu fotograficznego budowlanych „Spłochi” (zorza polarna) z Archangielska ze słupskim STF, którego byłem wówczas prezesem. Pierwszą indywidualną wystawą na przełomie roku 1988/1989 w Archangielsku miał słupski fotografik, członek STF, Czesław Cekała. Jego prace wysłailiśmy pocztą, a autor mógł poznać recenzje prasowe. Natomiast w czerwcu 1989 r. fotograficy z Archangielska wystawili w Słupsku swoje prace. Informację o wystawie zamieścił między innymi „Głos Pomorza” 133/89.

Jubileusz dwudziestopięciolecia Słupskiego Towarzystwa Fotograficznego przypadł na czas mojej prezesury - w roku 1988. Od początku, czyli 1963 roku STF realizowało zasadę wiązania fotografii z „miejscem pracy ludzi, tłumem ulicy”, by pokazać urodę życia, opisać nasz czas uniwersalnym językiem fotograficznego obrazu.

Nie pamiętam dokładnie, kiedy ponownie pojechałem do Archangielska, dlatego sięgam do starych zapisów, fotografii, wycinków gazet, pokwitowań. Same tworzą barwną opowieść i przywracają pamięć. Na zdjęciu w planie amerykańskim stoję z dziennikarzem Wiktorem Nasonkinem i jego córeczką. Byliśmy kolegami z pracy, ponieważ zostałem zatrudniony w archangielskiej gazecie „Prawda Siewiera” i otrzymałem wynagrodzenie w kwocie 60 rubli, na co mam pokwitowanie.

Był lipiec 1990 roku. Archangielsk świętował Dni Kultury Słupska. Pojechałem zaproszony do składu zespołu „Arabeska”, Słupskiej Grupy Baletowej pod kierownictwem artystycznym Mieczysławy Kętrzyńskiej od 1968 roku. Wcześniej towarzyszyłem zespołowi w wielu podróżach, przygotowując fotoreportaże

z artystycznych przedsięwzięć. Poza „Arabeską” w Archangielsku prezentowała się grupa teatralna „Stop” z teatru „Rondo” w Słupsku. Uliczny spektakl wzbudził olbrzymie zainteresowanie i sympatię. Na placu przy licznej widowni występowały na przemian polskie grupy artystyczne i miejscowe zespoły taneczne, zgrane i wycwiczone jak wojsko.

Dobrze pamiętam rozmowy o Wałęsie, przez nich nie do pojęcia - robotniku - który organizował strajki pod hasłem „Solidarność”. Dla mieszkańców dalekiego Archangielska były to zdarzenia wstrząsające. Oficjalne wiadomości były skąpe, a „Solidarność” przedstawiano jak zarazę, przed którą należy się bronić. W poufnych rozmowach pytano nas szeptem o fakty, o prawdę zdarzeń. Opowiadaliśmy półgłosem.

Do gazety „Prawda Siewiera”, do pracy szedłem w obstawie opiekuna z NKWD i tłumacza. Tylko ukradkiem mogliśmy rozmawiać szczerze, a i tak odnosiłem wrażenie, że mój rozmówca obawia się podsłuchu.

Natomiast część towarzyska wizyty była niezwykle okazała. Na statku rzeczonym na Dwinie przygotowano wystawne zakrapiane przyjęcie. Dziewczyny z „Arabeski” przyciągały uwagę miejscowych kawalerów. Tak mi się wydawało, chociaż pewny nie jestem. Bez skrępowania podchodzili do naszych obficie zastawionych stołów głównie po trunki. Taki obyczaj. Nie protestowaliśmy, a organizator był pewnie przekonany, że jesteśmy zadowoleni, skoro to co było do wypicia, zostało wypite.

Po pewnym czasie dostałem z Archangielska zamówienie na materiał zdjęciowy, co zachęciło mnie do wyjazdu do Berlina. W 1991 r. dostałem paszport i pojechałem. Ciekawiło mnie miasto po drugiej stronie muru, którego fragmenty pozostawiono jako memento dla przyszłych pokoleń. Fotografowałem resztki muru i Polaków swobodnie robiących zakupy w mieście. „Prawda Siewiera” zamieściła mój materiał jako korespondencję własną. Czytelnicy Dalekiej Północy poznawali prawdę o murze, o strzałach do biegnących na drugą stronę.

Odchorowuję każdy wyjazd na Zachód. Kiedy wracam z Niemiec, Szwecji, Danii, myślę o straconych szansach dwóch pokoleń budujących socjalizm, jestem pewien że i bez tego dokonalibyśmy elektryfikacji i rewolucji edukacyjnej. To, co budowano z nadzieją na lepszą przyszłość dzieci, w latach tak zwanej transformacji sprzedano za grosze: majątek fabryk i PGR-ów, za byle jakie pieniądze. Co się stało z marzeniami robotników? Z obietnicami? Czy takiej przemiany pragnęli?



*Słupsk, lata 80. Prace Stanisława Berbeki, nieżyjącego już rzeźbiarza o lwowskich korzeniach, przedstawiają Jana Maziejuka. Artysta utrwał fotografika, a fascynacja była wzajemna. Jan Maziejuk bardzo cenił prace Stanisława Berbeki i bywał w domu rzeźbiarza, który z czasem zmienił się w miniaturowe muzeum jego prac.*

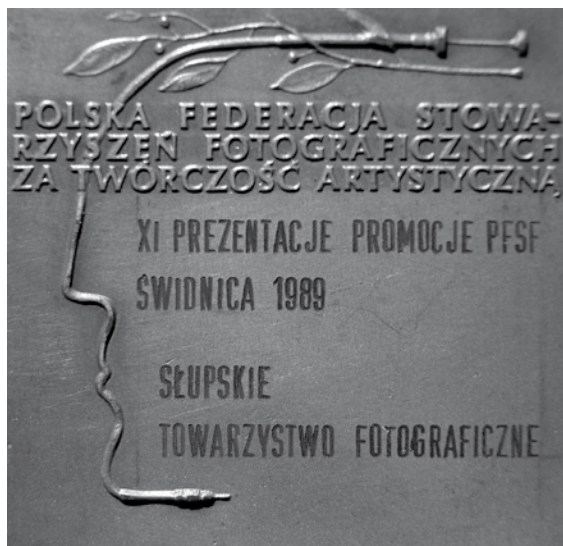
\*\*\*

Przed wyborami 4 czerwca 1989 roku Słupsk obwieszony był plakatami, a na wiece przychodziły tłumy. Będziemy głosować na Jan Króla z Warszawy i Edwarda Müllera. Senatorem niech będzie Henryk Grządzielski. Przed drugą turą wyborów obok siebie na podium na Placu Zwycięstwa w Słupsku siedzieli Władysław Frasyński i Zbigniew Romaszewski, Gabriela Cwojdzńska i Antoni Tokarczuk. Obok słupscy reprezentanci. Wszyscy w zgodzie, te same idee i hasła. Prawdziwa siła w jedności. Tłum niósł transparent „Żeby Polska była Polską”. Bezapelacyjne zwycięstwo wyborcze! Anna Bogucka-Skowrońska - 68,2 proc. głosów, Henryk Grządzielski - 41,31 proc. Wtedy wielkie nadzieje, a dziś ciągle wyzwanie! Co się stało z dawnymi przyjaciółmi?

Zmiany polityczne wszystkim dodawały skrzydeł. Powtarzaliśmy za Wojciechem Młynarskim refren popularnej piosenki, laureatki XXV KFPP w Opolu z 1988 roku:

*Bo jeżeli ciut się chce  
Drobiazgów parę się uchowa  
Kultura, sztuka, wolność słowa, dlatego  
Róbmy swoje,  
może to coś da? Kto wie?*

Posłuchaliśmy rady. Rok później, w dniach 20-22 października 1989 roku w Świdnicy z okazji jubileuszu stu pięćdziesięciolecia fotografii odbyły się VII Ogólnopolskie Dni Fotografii połączone z wystawą prac klubów i towarzystw fotograficznych z całego kra-



Świdnica, rok 1989. Jan Maziejuk jako prezes STF w Słupsku odebrał brązowy medal za twórczość artystyczną środowiska.

ju. Prezentowały się czterdzieści cztery kluby i stowarzyszenia wystawiając swój dorobek fotograficzny. Zdobyliśmy brązowy medal i nagrodę pieniężną w wysokości 500 tysięcy zł. Dziś kwota brzmi oszałamiająco, wówczas nie przyprawiała o zawrót głowy, ale dawała satysfakcję naszemu Towarzystwu. Dla porządku dodajmy, złoty laur przypadł Gdańskowi, srebro - Wrocławowi.

Świętowanie jubileuszu połączyliśmy z wystawą fotograficzną w klubie „Empik” w Słupsku w kwietniu i maju. Przyjęliśmy zasadę przeglądu twórczości dwunastu fotografików. Na wystawę złożyło się 78 fotogramów, czyli mniej niż połowa zgłoszonych do konkursu. Wiesław Wiśniewski pisał w „Głosie Pomorza” (5/90): „Trzy duże wystawy fotograficzne równocześnie - tego jeszcze w Słupsku nie było: pokonkursowa wystawa „Dziecko wiejskie” (...), wystawa prac Jana Maziejuka „Zbliżenia wśród ludzi” (...) oraz „Przegląd twórczości STF '89” (...) - 150 lat istnienia fotografii - zjawiska, które rewolucjonizuje świat sztuki, nauki i techniki i ciągle jest najbardziej dynamicznym nośnikiem informacji”.



Słupsk, rok 1989. Medal pamiątkowy „150 lat fotografii”.

Obok wystawy fotograficznej w „Empiku” urządziliśmy również wystawę upamiętniającą historię fotografowania. W MCK wspólnie ze Zbyszkciem Bieleckim przygotowaliśmy wystawę sprzętu fotograficznego. „Zgromadzone na wystawie stare aparaty fotograficzne nie stanowią reprezentacji całości wynalazków w tej dziedzinie ani nie są pełnym przeglądem historii, lecz można znaleźć wśród nich prawdziwe rarytasy” - pisał dziennikarz „Głosu



*Słupsk, rok 1989. Tygodnik „Zbliżenia” świętuje dziesięciolecie. Uroczyste spotkanie zespołu redakcyjnego. Od lewej: Jan Maziejuk, Tadeusz Martychewicz; siedzą: Krystyna Kilanowicz, Jolanta Nitkowska, Wiesław Wiśniewski (redaktor naczelny); w drugim rzędzie stoją: Jerzy Szych, Zbigniew Babiarcz-Zych, Elżbieta Poturaj, Andrzej Radzik (z-ca redaktora naczelnego), Wojciech Budzyński.*

Pomorza” (nr 246/89). Świętowaliśmy też nasze redakcyjne jubileusze, jak zawsze z czytelnikami.

Jan Wanago z Wrześnicy (1935 - 2013), ludowy poeta i satyryk, jednocześnie stały czytelnik naszego tygodnika uczcił kilkoma fraszkami pięćsetny numer (36/1989).

*Na romantyzm mrówki  
Na lenistwo bat  
Na podłgę teściową  
Ponoć żmii jad  
Na kaca klina  
Na miłość dziewczyna  
Na smutek pocieszenia  
A co radzę na nudy?  
Nic - tylko „Zbliżenia”*

Czterdziesty dziewiąty numer „Zbliżeń” z 1989 roku miał charakter jubileuszowy. Pismo świętowało dziesięciolecie. Wśród wypowiedzi dziennikarzy z redakcyjnego zespołu nie było entuzjazmu. Wiedzieliśmy, że zmiana jest nieuchronna.

W 1990 r. rozpoczęła się likwidacja Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch”, której właścicielem był KC PZPR. „Zbliżenia” poszły do likwidacji. Byłem zwolennikiem założenia spółki dziennikarskiej i przejęcia tytułu. Wydawało się, że się uda. W ostatniej chwili Waldek Pakulski zmienił zdanie. Tytuł



*Zespół Zbliżeń widziany okiem karykaturzystki Małgorzaty Józwiak, która odpowiadała za opracowanie graficzne tygodnika.*

trafił do red. Zbigniewa Janiszewskiego i prywatnego przedsiębiorcy Mieczysława Włodyki. Cóż, trzeba było szukać nowej roboty.

Pokoje na pierwszym piętrze, gdzie mieściła się redakcja „Zbliżeń” wydzierżawił nowy właściciel. Wymieniał meble, okna, drzwi. Drzwi wejściowe wyniesiono do piwnicy. Derma, którą były obite, szkoda by się zmarnowała, może się przydać, więc zacząłem ją zrywać. Wtedy okazało się, że naszpikowana jest „pluskwami”. W taki sposób znalazłem wyjaśnienie, skąd bezpieczeństwa wie więcej niż ja sam o moich rozmowach w redakcji. Derma ze „Zbliżeń” dożywa dni w Witkowie, chroniąc przed zimnem sięn wiejskiego domu mojego syna, Roberta.

# Męski wiek, nowe szpalty

Z protekcji Jarosława Duchnowicza, ówczesnego redaktora naczelnego „Zbliżeń”, zatrudniłem się w Wojewódzkim Domu Kultury jako instruktor fotografii. W tym czasie powstało pismo „Goniec Pomorski”, gdzie zaproponowano mi ćwierć etatu. Dobrze i to. Nawet nie pytałem o zgodę dyrektora WDK.

Nie traciłem kontaktu z dziennikarzami „Zbliżeń”. Więzi zawodowe w mieście wielkości Słupska trudno zgubić, środowisko dziennikarskie nie jest duże. Z Jołą Nikowską robiłem wiele reportaży w „Zbliżeniach”, dlatego utrzymywaliśmy kontakt. Któregoś dnia powiedziała mi, że jest w posiadaniu 25 fotografii z obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen. Przyniósł je Janusz Siedmiogrodzki, informując, że przeleżały gdzieś za belką starego domu w Sąborzu pod Słupskiem. Jola zajęła się wyjaśnieniem tajemnicy zdjęć, ja przygotowaniem reprodukcji na wystawę.

Żeby zrozumieć zawiłą historię trzeba zacząć od końca. Matka Janusza Siedmiogrodzkiego, Aniela Siedmiogrodzka pochodziła z Kresów. Po wojnie zamieszkała na Pomorzu. Jej brat Janusz Moździerz, lekarz wojskowy VI Pułku Lotniczego w Śmiłowie, prawdopodobnie brał udział w bitwie o Arnhem, a po wojnie pozostał w Anglii. W 1985 roku Aniela Siedmiogrodzka przywiozła ze spotkania z bratem pamiątki, wśród nich pieczołowicie przechowane zdjęcia. Jej syn Janusz Siedmiogrodzki przekazał je dziennikarce „Zbliżeń”. Przedstawiały jeden dzień, 15 kwietnia 1945 roku, dzień wyzwolenia w obozie koncentracyjnym dla kobiet w Bergen-Belsen. Z innych źródeł wiemy, że obóz wyzwolili Brytyjczycy, którym towarzyszyli



Jan Maziejuk w karykaturze  
Tadeusza Czapiewskiego.

fotoreporterzy z jednostki „Film and Photographik Umt”. Pierwszym reporterem, który wszedł do obozu z żołnierzami był George Rodger. Czy zdjęcia przyniesione przez Janusza Siedmiogrodzkiego były przez niego wykonane, nie wiem. Wszystko na to wskazuje. George Rodger wymieniany jest jako pierwszy fotoreporter, który tamtego dnia, 15 kwietnia 1945 roku wykonał filmy i zdjęcia, wykorzystane później w procesie zbrodniarzy z KL Bergen-Belsen koło Hanoweru. W czasie, kiedy organizowaliśmy wystawę, nikomu nie marzył się Internet. Dziś w necie oglądam zdjęcia Georga Rodgera i odnajduję również te, które przyniósł Janusz Siedmiogrodzki. Nasza historia miała własne, słupskie wątki.

Przygotowałam format zdjęć 40x50. Wystawę zorganizowaliśmy w teatrze „Rondo” w Słupsku. Wśród zwiedzających była znana słupska lekarka Zofia Lewenstam z domu Sadowska. Rozpoznała siebie na zdjęciu z obozu w Bergen-Belsen. Wojna przerwała jej studia medyczne w Poznaniu. Razem z mężem Kazimierzem Lewenstamem poślubionym 1 lipca 1944 roku poszła do Powstania Warszawskiego. Po jego upadku była więźniarką obozów w Pruszkowie, Rawensbrück, Flossenbürg, Buchenwald i Bergen-Belsen, gdzie cudem doczekała końca wojny. Nigdy nie wracała do koszmaru tamtych lat.

Do Słupska trafiła niejako za karę, dokładniej mówiąc za nieopatrne słowa męża o Rokossowskim. Do dziś anegdota opowiadana o feralnej wypowiedzi męża rozświetla ponury obraz tamtych lat, a Słupsk okazał się miejscem przychylnym dla jej rodziny. Po latach Zofia Lewenstam została Honorową Obywatelką Słupska.

Na wystawie w teatrze „Rondo” w Słupsku Zofia Lewenstam po raz pierwszy widziała zdjęcia tamtego miejsca i dnia. Nie dała się namówić na wspomnienia.

Wśród więźniarek na fotogramach w teatrze „Rondo” rozpoznała się jeszcze jedna słupszczanka, pani Barbara Dobrowolska. W księdze pamiątkowej napisała: „Po 45 latach odżyły wspomnienia z pobytu w obozie. Mimo to jestem wdzięczna, że przypomniano gehennę więźniów obozu w Bergen-Belsen. Barbara Dobrowolska - b. więźniarka tego obozu.”

Aniela Siedmiogrodzka w „Księdze Pamiątkowej” słupskiej wystawy lakonicznie napisała: „Serdeczne podziękowania dla Organizatorów. Aniela Siedmiogrodzka”.

Jeszcze jedna informacja tłumacząca powściągliwość osób, które były świadkami historii. Również fotoreporter George Rodger nie wracał do traumatycznych przeżyć 15 kwietnia 1945 roku. To, co zobaczył, zdecydowało, że nigdy już nie był korespondentem wojennym. Po wojnie fotografował życie i krajobrazy Afryki.





*Kwiecień 1990. Wystawa fotograficzna „Świadectwo oskarżenia” w Teatrze „Rondo” w Słupsku. Od lewej: Zofia Lewenstam i Barbara Dobrowolska, więźniarki KL Bergen-Belsen. Na zdjęciu prezentowanym na wystawie Zofia Lewenstam rozpoznała siebie wśród grupy więźniarek.*

Jolanta Nitkowska nie zdołała wyjaśnić, jaka była prawdziwa historia fotografii, które do niej dotarły.

Niewielka była moja zasługa, ale czułem, że zapis pamięci przez przygotowanie fotogramów do wystawy jest ważny dla wszystkich bohaterów skomplikowanej historii, zarówno osobistej jak i tej wielkiej, odczytywanej w wymiarze memento.

\*\*\*

Czułem się bardziej amatorem niż zawodowcem, taka zresztą była moja droga do zawodu. Bardziej z życzliwości dla ludzi, ciekawości świata, niż z profesjonalnego spojrzenia powstawały moje

prace. Jest jednak imperatyw, przed którym nie potrafię się bronić. Po prostu muszę fotografować, inaczej nie potrafię.

Praca w Wojewódzkim Domu Kultury zaowocowała wieloma pięknymi znajomościami z twórcami - amatorami, zwłaszcza malarzami. Za zaszczyt poczytuję sobie znajomość i współpracę ze Stefanem Morawskim. Mieszkał w Słupsku od 1958 roku, znali go wszyscy: amatorzy i profesjonalni artyści malarze, tytułując w potocznych rozmowach Dziadkiem. A on był skromnym człowiekiem. Najpierw w firmie PSS dekorował wystawy, później jako instruktor powiatowego domu kultury założył Klub Plastyka Amatora. Zupełnie nie zabiegał o zaszczyty, a mimo to stał się autentycznym animatorem życia kulturalnego i odkrywcą plastycznych talentów. Kiedy powstał WDK, zwiększył się zakres jego obowiązków i możliwości. Właśnie wtedy poznałem go bliżej. Nasze zawodowe fascynacje rozwijały się we współpracy. Fotografowałem jego prace do katalogów wystaw i wyznaję szczerze - Stefan był wymagającym zleceniodawcą. Niczego nie zostawiał przypadkowi. Każdy szczegół fotografii, światło, ujęcie, były przemyślane, i pilnował, bym przygotował fotogramy prac zgodnie z jego wizją. Ceniłem jego uwagi, ponieważ wprowadzały do moich fotografii malarskie spojrzenie. Dlatego wystawy zbiorowe i indywidualne Stefana Morawskiego cieszyły się niekłamany aplauzem. Poza tym pasjonował się muzyką i instrumentami, szczególnie skrzypcami, które kolekcjonował i naprawiał ze znanstwem lutnika. Ale prawdziwą jego dumą i miłością była córka Anna, utalentowana pianistka. Przeżył bardzo jej tragiczną przedwczesną śmierć przed występem na Festiwalu Pianistyki Polskiej w Słupsku. Szczerze i rzewnie oplakiwał jej odejście. Próbowaliśmy pocieszać go w rozpacz, nadaremnie. Nieobce mi cierpienie, przeżyłem jako dziecko śmierć rodziców, ale śmierć dziecka jest wbrew naturalnym prawom. Rozumiałem go i współczułem. On próbował rozpacz zamknąć w przejmujących wierszach.

Stefan Morawski zmarł w 2000 roku. Miasto uhonorowało go, nazywając jego imieniem rondo u zbiegu ulic Obrońców Wybrzeża i Lotha.

Byłem szczęśliwy, gdy po przemianach politycznych znalazłem zatrudnienie w koszalińskiej redakcji „Głosu Pomorza”, którego redaktorem naczelnym został słupszczanin Wiesław Wiśniewski, natomiast znany mi ze „Zbliżeń” Tadeusz Martychewicz był sekretarzem redakcji. Oddział słupski „Głosu Pomorza” mieścił się przy ulicy Sienkiewicza, a kierował nim redaktor Zbigniew Majrowski, którego pamiętam jako rzeczowego zleceniodawcę. Wiedziałem,

czego ode mnie oczekuje, dlatego mogłem sprostać jego wymaganiom. Zależało mu na kontaktach z czytelnikami w terenie, a mnie ten rodzaj pracy odpowiadał. Bezpośrednia współpraca łączyła mnie z Ireneuszem Wojtkiewiczem, ale on sam wykonywał fotografie do swoich tekstów.

Prywatny zagraniczny właściciel gazety z własnymi oczekiwaniami i wymaganiami zastąpił dawną cenzurę. Gazeta codzienna z mutacjami dla oddziałów w Bytowie, Miastku i Lęborku w profilu nie miała miejsca na fotoreportaż. Mimo to ze względu na rozległy teren pracy mieliśmy dużo. Do zadań Konrada Remelskiego należała „posługa” dziennikarska na terenie powiatów miastecckiego i człuchowskiego oraz w gminach Debrzno i Biały Bór. Andrzej Radajewski, którego dość często odwiedzałem, pracował w Lęborku. Nie były to wizyty kurtuazyjne, miałem do załatwienia interes, czyli konspiracyjną współpracę pod pseudonimem „Poleszczuk” lub „Podlasiak” z „Dziennikiem Bałtyckim” w Gdańsku. Krzysztof Sławski, zadziorny i niepokorny, związał się z „Ziemią Bytowską”.

Dziennik, a taką gazetą był „Głos Pomorza”, opierał się na tekstach informacyjnych, poszukiwanych przez czytelników jako rodzaj dodatku do porannej kawy. Dziś prasę codzienną wypiera Internet i internetowe wydania gazet. Wtedy było inaczej. Każdy dzień, ba, godzina niosły nowe zdarzenia w różnych dziedzinach codziennego życia. Sukces był zależny od umiejętności wyboru tematu w odpowiednim czasie.

Nie, nie było wtedy telefonów komórkowych, Internetu. Na podłączenie telefonu stacjonarnego do mojego mieszkania w Słupsku czekałem piętnaście lat. Czasem dostawałem wiadomość z sekretariatu redakcji, ale podstawą była operatywność i zaufani informatorzy z różnych środowisk. Od tego zależała trafność i aktualność informacji fotograficznej w gazecie.

Redaktor Majrowski zapoczątkował nowatorski rodzaj kontaktów z czytelnikami. Raz lub dwa razy w miesiącu wyjeżdżaliśmy redakcją do gmin. W programie wyjazdu zawsze był mecz piłki nożnej między miejscową drużyną powołaną przez władzę gminną, a dziennikarzami, wśród których gwiazdą futbolu był Krzysztof Niekrasz, wychowanek „Cieślików”, dziennikarz sportowy. On i Zbigniew Majrowski świetną grą w ataku decydowali o wyniku meczu. Na nich nie było silnych! Ponadto w skład drużyny wchodził Zbyszek Babiarz jako bramkarz, Marcin Barnowski w obronie, Konrad Remelski i Krzysztof Sławski na pozycjach pomocników. Mecze odbywały się na boisku na wolnym powietrzu, rzadziej na hali sportowej, bo takich było niewiele. Przyznaję, kiedy obecnie

ogłądał mecze dziennikarzy z politykami, prześmiewczo zwane harataniami gały, uśmiecham się nucąc piosenkę Maryli Rodowicz: „Ale to już było...”

Wieczorem redaktorzy spotykali się z czytelnikami, a ich uwagi, żale, informacje tworzyły nielukrowany obraz rzeczywistości. To była kopalnia tematów, niekiedy dziennikarskich interwencji.

Spotkanie kończyło się występem miejscowego zespołu artystycznego, niekiedy z udziałem towarzyszącej dziennikarzom słupskiej popularnej wokalistki.

Moją rolą było wykonanie fotograficznej dokumentacji w formie wystawy, jako pamiątki i prezentu od redakcji dla gminy.

Zbyszka Bieleckiego znałem od dawna, to znaczy od lat siedemdziesiątych, gdy pracował w szkole nr 14 w Słupsku jako nauczyciel muzyki. Nauczycielska posada nie była jego wymarzonym zajęciem, dlatego poszukiwał nowych wyzwań i zadań, i tak jest do dziś. Wtedy zorganizował własny zespół muzyczny, jeździł samochodem zachodniej marki i pasjonował się fotografią. Właściwie ta jego pasja decydowała o naszej współpracy związanej w szkolnej ławie mojego syna Bogdana, ucznia słupskiej „czternastki”, której dyrektorem był Stefan Dąbrowski. Szkolne zebrania komitetu rodzicielskiego i wywiadówki były okazją do rozmów i poznania się. Niebawem szkolna pracownia fotograficzna urządzona z pomieszczeń sanitariatu była miejscem spotkań szkolnego kółka fotograficznego, które społecznie prowadziłem jako wzorowy rodzic, a nam służyła jako laboratorium fotograficzne. Spędziliśmy tu sporo czasu, pięknych twórczych chwil, przygotowując zdjęcia dla zespołu „Arabeski”. Często towarzyszył nam Jerzy Patan z Koszalina, fotoreporter „Głosu Koszalińskiego”. W klasie Zbyszka, gdzie stało pianino, urządzaliśmy muzyczne wieczorki, po których nasze żony miały uzasadnione pretensje. Lubiłem, gdy Zbyszek jako gość uczestniczył w plenerach fotograficznych organizowanych przez Słupskie Towarzystwo Fotograficzne na Kaszubach, a potem razem świętowaliśmy jubileusz STF-u. Zbyszek, znawca i kolekcjoner aparatów fotograficznych, przygotował wystawę sprzętu. Interesowały go nowinki techniczne w dziedzinie fotografii, dlatego miał świetny sprzęt. Gdzie mnie do niego! Jego zdjęcia zamieszczał bydgoski „Kurier”, a ja współpracowałem z dwutygodnikiem budowlanym „Profile”. Redaktor naczelny pisma dwukrotnie był u mnie w Słupsku z propozycją pracy w Bydgoszczy. Pozostałem w Słupsku, a mimo to zawodowa współpraca ze Zbyszkiem wygasła, nasze drogi rozeszły się, gdy podjąłem współpracę z „Konfrontacjami”, a później pracowałem w „Zbliżeniach”.



*Kobylnica. Znany fotoreporter Zbyszek Bielecki podczas dożynek gminnych zainteresował się dyniami.*

Spotkaliśmy się ponownie w redakcji „Głosu Pomorza” w roku 1991 i znów fotografia była tematem naszych rozmów. Pracowaliśmy razem kilka lat.

Tymczasem Bogdan, nasz pierworodny, bez problemów ukończył szkołę podstawową. W ciągu lat nauki dostarczał mi solidnego alibi do bywania w słupeckiej „czternastce”. Myślę, że moje zaangażowanie w sprawę szkoły wynikało bardziej z koleżeńskich zażyłości z innymi rodzicami i grupą nauczycieli, i nie miało wpływu na „karierę” Bogdana. Był samodzielny nad wiek i pewnie miałby mi za złe, gdybym go protegował.

Bogdan kocha muzykę od zawsze i ciągle widziałem go ze słuchawkami na uszach.

Gdy skończył piętnaście lat, wybrał się sam do Jagodnicy. Pociągiem przyjechał do Białej Podlaskiej nocą, a na dworcu nikt na niego nie czekał. Ruszył pieszo w ośmiokilometrową trasę. Nad ranem dotarł do gospodarstwa wujostwa, ale nie chciał budzić domowników. W stodole zastał wóz wymoszczony słomą i przykryty płachtą. Wymarzone miejsce dla zmęczonego piechura z obolałymi nogami. Usnął kamiennym snem.



*Dziecięca pasja Bogdana: muzyka.*

Rankiem Frania pobiegła do stodoły po karmę dla bydła. Zaniepokojona zauważyła wystające spod płachty na wozie męskie nogi.

- Pewnie jakiś pijaczyna nie mógł dowlec się do domu! - pomyślała oburzona. Ostrożnie i ukradkiem zbliżyła się do wozu.

- Mam cię, ladaco!- jednym szarpnięciem ściągnęła płachtę. Śpiący zerwał się natychmiast.

- Boże! - Boguś, Boguś ze Słupska! - Skąd się tu wziąłeś? - Zaczęły się powitania, wyjaśnienia, śmiechy. Zaraz potem pretensje: Dlaczego bez uprzedzenia? Kto cię puścił samego?

- A ja próbowałem dzwonić, ale telefon jagodnickiego sołtysa był chyba zepsuty. Kiedy powzięliśmy decyzję wyjazdu Bogdana, na list było za późno. Nie mogłem go odwieźć, bo lada dzień spodziewaliśmy się drugiego dziecka. Nie mogłem też zostawić Ali samej. A Bogdan marzył o samodzielnej wyprawie, uspokajał nas i obiecywał rozważę. Wiedzieliśmy - był samodzielny. Od lat towarzyszył nam w podróżach. Wiedziałem, jak się zachowuje, na co go stać. Byłem pewien, że da sobie radę. Pojechał w pierwszą samodzielną podróż!

Robert urodził się 29 lipca 1979 roku. Pod koniec sierpnia pojechałem do Jagodnicy po syna. Wiedział już, że w domu czeka na niego brat. Podróż maluchem była okazją do omówienia rodzinnych spraw. Dla piętnastolatka pojawienie się maleńkiego braciszka było wielkim przeżyciem. Dopytywał się, jak małe wygląda.

- Podobny do ciebie, jak byłeś malutki. Sam zobaczysz, na zdjęciach z tamtego okresu jesteś taki, jak on teraz. Mimo to Bogdan ciągle wracał do pytań o brata.

W Warszawie zatrzymaliśmy się u Henryka i Hali. Elżbieta, ich córka, oczko w głowie rodziców, była młodsza od Bogdana o dwa lata. Wiadomość o narodzinach Roberta ucieszyła krewnych.

- Nazwisko Maziejuków przetrwa - cieszył się Henryk. Ela z wyrzutem patrzyła na rodziców i z zazdrością na Bogdana. Robert, chociaż maleńki i nieświadom zamieszania, jakiego narobił, spokojnie tulił się do mamy.

Ala miała czterdzieści lat w chwili narodzin drugiego syna. Dziecko było zdrowe, miało apetyt, ale mama nie miała dostatecznej ilości pokarmu. Rozwiązaniem była butelka z mlekiem, na które potrzebne były re-

cepty. Załatwiliśmy je u znajomych, a ja biegałem od apteki do apteki, by małemu nie zabrakło mleczka. Malec rósł szybko, jeszcze szybciej miął czas wypełniony rodzicielskimi obowiązkami. Ala musiała wracać do pracy, a dla Roberta znaleźliśmy żłobek przy ulicy Jaracza. Moim obowiązkiem było odwieźć rano synka



*Bracia Maziejukowie: Bogdan i młodszy o 15 lat Robert.*

do żłobka. Nie trwało to długo. Dziecko chorowało, a na widok budynku żłobkowego płakało wniebogłoso. Trzeba było szukać innego rozwiązania.

W naszym bloku, trzy klatki dalej, mieszkała pani Wanda Kamińska. Robert polubił ją jak babcie, a pani Wanda zajęła się nim jak własnym dzieckiem. Wypadało nieco drożej, ale i chłopiec, i my byliśmy spokojni. Dobrze się rozwijał, przestał chorować. Lata przedszkolne i podstawówkę, tak jak Bogdan, „czternastkę”, „zaliczył” bez problemu. Tymczasem starszy brat został uczniem technikum mechanicznego. Niestety, nie sprostał wymaganiom i trzeba było załatwić szkołę zawodową. Trudno. Będzie mechanikiem z wykształceniem zawodowym. To przecież nie



*Rok 1961. Zdjęcie ślubne Henryka Maziejuka i Haliny Mierczyńskiej.*



*Warszawa, 6 maja rok 2000. Ślub Elżbiety Maziejuk, córki Henryka, z Ireneuszem Łuczewskim.*

koniec świata! Zrobi maturę, jak do niej dorośnie.

Otrzymałem wszystkie redakcyjne zlecenia związane z obsługą fotoreporterską świąt i wydarzeń religijnych. Na takie relacje zawsze w gazecie było miejsce, a fotoreportaże z uroczystości religijnych interesowały czytelników, którzy zazwyczaj byli uczestnikami tych wydarzeń.

Do Niezabyszewa na Pojezierzu Bytowskim, przyjechał biskup diecezji pelplińskiej Jan Bernard Szłaga (1940 - 2012). Był pierwszym biskupem diecezji pelplińskiej utworzonej z części dekanatów z diecezji chełmińskiej, archidiecezji gnieźnieńskiej i diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej. W dniu 25 marca 1992 roku papież Jana Pawła II w bulli „Totus Tuus Poloniae Populus” powołał nową diecezję, a pierwszy biskup pelpliński po ingresie w 1992 roku przybył na kaszubską wieś, by wmurować kamień z Jerozolimy w ściany świątyni pod wezwaniem św. Mikołaja Biskupa. Niezabyszewo, stara kaszubska wieś, słynie z jednego z najpiękniejszych kościołów murowanych w stylu neoromańskim z granitowych kamieni i cegły. Najwcześniejszą część świątyni wzniesiono w latach 1854 - 1857, w miejscu dawnej szachulcowej budowli, zniszczonej pożarem. W 1911 r. dobudowano drugą zakrystię, zaś w latach trzydziestych XX wieku rozbudowano nawę i wykonano wieżę.

Kościół w czasie uroczystości z udziałem biskupa Jana Bernarda Szłagi wypełniony był wiernymi do granic możliwości. Nie bardzo wiedziałem, jak się poruszać w tłumie. Biskup dostrzegł moje zakłopotanie, zapytał, jak



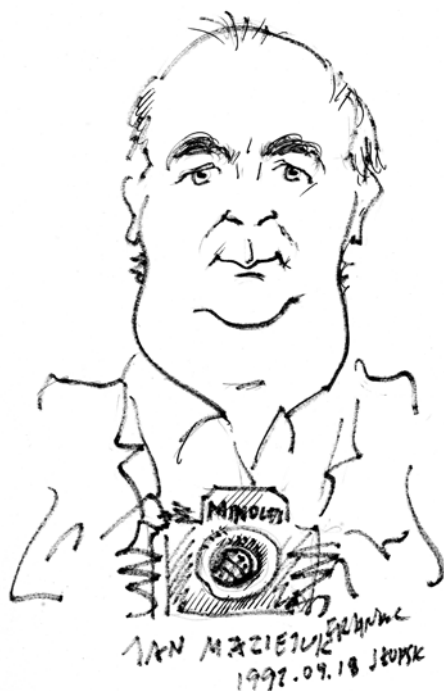
ma się ustawić, by moment wbudowania jerozolimskiego kamienia jak najlepiej zapisać na zdjęciu.

Głośnym „Bóg zapłać” podziękowałem za uprzejmość i zrozumienie. Później kilka razy miałem przyjemność spotkać księdza biskupa Jana Szlagę. Pamiętał mnie i zawsze witał podaniem ręki.

Zupełnie inną sytuację przeżyłem w Bytowie. Przed wyruszeniem pielgrzymki biegaczy na Jasną Górę mszę celebrował ks. Piotr Krupa, biskup pomocniczy pelpliński w latach 1992 - 2011. Zależało mi, by sfotografować moment udzielenia pielgrzymom - biegaczom biskupiego błogosławieństwa. Stałem dość blisko, kiedy biskup wygłaszał homilię. W pewnym momencie zwrócił się do mnie, mówiąc, że jestem niekulturalny i mu przeszkadzam. Wiem jak się zachować w kościele, nie robiłem zdjęć, a ze względu na pochmurną pogodę próbowałem ustawić światło i przygotować aparat na moment błogosławieństwa. Po słowach biskupa wyszedłem. Nie zrobiłem zdjęcia i już nigdy, gdy wiedziałem, że biskup Krupa będzie na uroczystości religijnej, nie podejmowałem się wykonania zdjęć.

Pamiętam przecież dobrze lata osiemdziesiąte, gdy podczas mszy w hali „Famarolu”, kiedy biskup Krupa, pełniący wówczas posługę biskupa pomocniczego diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, święcił sztandar i krzyż stojący do dziś w hali produkcyjnej, robiłem, fotografując, sporo zamieszania, a nikomu to nie przeszkadzało. Po tamtej mszy miałem okazję zamienić z biskupem Krupą kilka zdań w słupekiej siedzibie „Solidarności”. Rozmawialiśmy o walorach smakowych wiejskiego masła, przysmaku biskupa Krupy. Wydawał się wyrozumiałym, sympatycznym człowiekiem. Może czasy były bardziej „solidarne”?

Najmilej wspominam spotkania z Janem Giriatowiczem - księdzem prałatem, proboszczem parafii św. Jacka w Słupsku, organizatorem mszy za Ojczyznę w trudnych czasach, obecnie honorowym obywatelem miasta. Jesteśmy z tego samego rocznika, stąd może podobne pokoleniowe doświadczenia ułatwiające



*Karykatura Jana Maziejewskiego z 1992 roku wykonana przez Tadeusza Czaplńskiego, założyciela Państwowego Teatru Lalki „Tęcza” w Słupsku.*

porozumienie. Poza tym ks. Gariatowicz urodzony w powiecie brasławskim w dawnym województwie wileńskim jest człowiekiem otwartym i życzliwym dla wszystkich. Nawet w jego gestach, melodii wypowiedzi obecny jest ów kresowy akcent akceptacji świata takim, jaki jest. Nie peszy go aparat, a na zdjęciach jest naturalny i ujmujący.

Fot. A. Wróblewski



*Słupsk, rok 2011. Przedszkolaki idą witać wiosnę. Przy takim wydarzeniu obecny musiał być fotoreporter, czyli Jan Maziejuk.*

W pracy fotoreportera często korzystałem z informacji komendanta wojewódzkiego Państwowej Straży Pożarnej w Słupsku, od 1999 roku funkcję pełnił Zdzisław Sołowin, członek Krajowej Sekcji Pożarnictwa NSZZ „Solidarność”. Oficjalne tytuły przeszły do historii, przypominam je dla porządku, bo pan Sołowin ciągle jest aktywny i pełni ważne funkcje zawodowe i społeczne, obecnie poza państwową formacją straży pożarnej.

Informacje o zdarzeniach, jakie otrzymywałem ze straży pożarnej, wyganiały mnie z domu nawet w nocy. Nie, one nie były planowane, miłe, bezpieczne, to nie ćwiczenia czy strażackie zawody, tym razem nie o tym. Pożary, wypadki komunikacyjne, desperaci na wysokich kominach, czyli codzienność strażaka była dzięki tym informacjom i moim udziałem. Nie ukrywam, prasa codzienna żywiła się i żywi takimi newsami, ale staraliśmy się je podać bez epatowania okrucieństwem, chociaż informacje same w sobie zawierały tę skazę.

Czułem się czasem jak ów dawny dziad niosący ludziom wieści o tym, co zdarzyło się gdzieś, czego byłem świadkiem i co fotografią starałem się opowiedzieć i zinterpretować. Moja wiedza o nieszczęściu była niekiedy przerażająca - widziałem poszarpane ciała, zwęglone zwłoki, ale fotografią tylko sugerowałem rozmiar nieszczęścia. Intuicyjnie stosowałem się do zasady, którą niedawno opisał młody medjoznawca z Instytutu Dziennikarstwa.

„Ludzie mają emocje, patrząc na coś, nie są neutralni, ale potrzebują informacji czy to dobre, czy złe; czy mają się z tym zgadzać, czy nie. Im bardziej coś oddalone od codziennego doświadczenia, tym częściej stosuje się analogię, do rodziny, domu itp. bliskiego świata, żeby uciec od abstrakcji. Im mniej czytelnicy wiedzą o świecie, tym bardziej potrzebują interpretacji. Suche fakty bez osadzenia na osi dobro - zło nie mają żadnego znaczenia.”<sup>19</sup>

Jak pochodnia płonąła w Reblinie pegeerowska obora pełna bydła. Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie, pędząc drewnianymi belkami, sianem, słomą. Strażacy nie byli w stanie wejść do środka, by uwolnić bydło. Płonęło żywcem. Ryk, niemal jak krzyk rozpacz, smród płonących zwłok, rozdzierały serce. Kiedy ogień ugaszono z zewnątrz, zwęglone szczątki zwierząt



*Reblino koło Słupska. Po pożarze obory..*

<sup>19</sup> Jacek Wasilewski: „Język tabloidów - jego źródła i mechanizmy”, [www.rjp.pan.pl](http://www.rjp.pan.pl) (dostęp: 15-01-2014).



*Lębork, rok 1985. Jan Maziejuk  
uhonorowany medalem pamiątkowym  
„700 lat Lęborka”.*

ułożono na ziemi jak na pośmiertnej odprawie.

Ten obraz noszę w pamięci do dziś.

Lubiłem wyprawy do Łeby, gdzie w stajni, wśród koni, spotkać można było Wiesława Baniaka, z wykształcenia nauczyciela historii. Pasja hippiczna wypełniała mu życie, a dla mnie była kopalnią tematów. Czyż jest coś wdzięczniejszego jako obiekt fotograficzny niż koń? Musiałem jedynie pamiętać, by zapewnić odpowiednio krótki czas otwarcia migawki przy robieniu zdjęć w ruchu. Obecnie byłoby prościej, współczesny aparat cyfrowy automatycznie dobiera przysłonę zapewniającą poprawną ekspozycję zdjęcia. Czas

naświetlania zależy głównie od prędkości poruszającego się obiektu, w wypadku galopującego konia to od 1/500 do 1/1000 sekundy.

Miałem zatem ciekawy materiał dla rodzimej redakcji, czyli „Głosu Pomorza” i mojej konspiracyjnej działalności w „Dzienniku Bałtyckim”. Rajdy końskie Wiesława Baniaka były wówczas zupełną nowością, oryginalną ofertą spędzania czasu nad morzem, dlatego wspominam je z sentymentem.

Wiesław Baniak prowadzi dotychczas Łebski Klub Jeździecki, spełnia się jako nauczyciel, animator „Partnerstwa dla Pokoju” w formie polsko - niemieckich spotkań „Rodzin Kolpinga”, czyli zorganizowanych wspólnot rodzin katolickich.

Otrzymałem wiadomość, że na plaży zachodniej w Uście wczasowicze znaleźli niewybuch w postaci miny. Kiedy dojechałem na miejsce, zobaczyłem znalezisko ułożone na plaży, wokół dzielnych strażaków, którzy wynieśli je z wody, i gromadkę gapiów. Obrazek wydawał się rewelacyjny na żywo, ale nie mogłem zrobić takiego zdjęcia. Nawet dobrze skomponowane, byłoby statyczne, z wyprzedzającą akcją puentą, jednym słowem, plajta murowana. Obraz ograniczony ramami kadru może okazać się mało czytelny w odbiorze. Proste przycięcie rzeczywistości liniami kadru nie gwarantuje bowiem dobrej kompozycji, tym bardziej efektu narracyjnego fotografii. Musiałem zaaranżować sytuację, aby odsłaniać przed czytelnikami te elementy, które przeniosą zamierzone treści edukacyjne i ostrzegawcze wynikające ze zdarzenia. W regionie Pomorza często znajdowano niewybuchy, ostrożność wobec tych znalezisk jest konieczna, ponieważ zdarzały się przypadki okaleczeń, a nawet śmierci.

Poprosiłem strażaków, by zacząć wszystko od początku. Mina nie była groźna, nie miała zapalnika. Z powrotem znalazła się w wodzie i teraz, klatka po klatce, fotografowałem elementy strażackiej akcji, planami i kompozycją rejestrując moją światłoczułą narrację. Zdjęcia z akcji strażaków na usteckiej plaży znalazły się na czołówce pierwszej strony „Głosu Pomorza”.

W tym czasie odwiedziłem Bornholm, duńską wyspę na południowo-zachodnim Bałtyku, obecnie atrakcyjną turystycznie dla świetnych tras rowerowych, o jakich możemy jeszcze pomarzyć. Dwieście trzydzieści pięć kilometrów dobrze przygotowanych asfaltowych bądź szutrowych nawierzchni z dobrą informacją ściągają rzesze turystów. Kiedy nasze dawne torowiska i rozjeżdżone ciągnikami śródpolne bezdroża uzyskają status kwalifikowanych tras rowerowych, a oferta turystyczna pasa nadmorskiego zachęci cyklistów do wakacji nad polskim Bałtykiem?

W 90. numerze „Głosu Pomorza” z 15 kwietnia 1992 roku (cena 900 zł) Andrzej Gurba w artykule pod ironicznym tytułem „Na razie jeżdżą dostojnicy” pisał o formalnych podstawach współpracy. 20 marca 1992 roku wojewoda słupski Wiesław Rembieliński i Carsten Gjessing oraz Marek Tomaszewski z Bornholmskiej Rady Gospodarczej podpisali list intencyjny w sprawie odnowienia kontaktów zainicjowanych w grudniu 1989 roku. Współpraca z Duńczykami obejmowała turystykę, ochronę środowiska, rolnictwo, rybołówstwo, budownictwo. Najpierw była wizyta wojewody, później wyjeżdżali dziennikarze, pracownicy ośrodków doradztwa rolniczego, rolnicy, nauczyciele, biznesmeni. Rzeczywista współpraca gospodarcza ze względu na niewielkie kompetencje Izby Przemysłowo-Handlowej początkowo nie rozwijała się imponująco. Konieczne było powołanie adekwatnych wobec partnera instytucji.

Nocną podróż promem ze Świnoujścia w towarzystwie fotoreportera „Głosu Koszalińskiego” Kazimierza Ratajczyka oraz dwóch innych dziennikarzy traktowałem jak wyróżnienie, mimo że burzowa aura bardzo nam dokuczała. Inaczej urządzony zachodni świat skłaniał do refleksji o konsekwencjach układu jałtańskiego. Smutne myśli o straconych latach i naiwnej wierze w socjalistyczny dobrobyt towarzyszyły mi do końca podróży. Tylko śledzie podawane na różne sposoby do wszystkich niemal posiłków przypominały o wspólnocie bałtyckiego bogactwa.

Kilka lat później w towarzystwie Bartka Arsyńskiego, fotoreportera „Głosu Słupskiego”, wyjechałem do Szwecji. Dopłynęliśmy promem do Kronobergu. Obywatele Unii Europejskiej swobodnie opuszczali prom, a ja po raz pierwszy odczułem, że jestem Europejczykiem



*Delegacja dziennikarzy i fotoreporterów ziemi słupskiej na promie płynącym do Szwecji: Od prawej: Zbyszek Hein z Bytowa, Konrad Remelski z Miastka (trzeci), Jan Maziejuk i Bartosz Arszyński.*

drugiej kategorii. Zostaliśmy skierowani do innego wyjścia i poddani celnej kontroli. Sprawnie to poszło. Następnie klimatyzowanym minibusem zawieziono nas do hotelu. Wszędzie czyściutko, estetycznie, ekologicznie - wełniane dywany, zasłony z bawełny, porcelanowe i szklane naczynia, byłem oczarowany. W pokoju lodówka dobrze zaopatrzona, samoobsługowa recepcja, dyskretny personel - jakże to wszystko różniło się od naszej rzeczywistości. Tylko za barek trzeba było zapłacić, jeśli ktoś na pokusy nie był odporny.

Wprawdzie neutralność podczas wojny światowej uchroniła Szwecję od zniszczeń i kosztów wojennych oraz przyczyniła się do stabilizacji gospodarki, ale rzeczywisty sukces przyniosły liczne reformy socjalne. Na lata 50 - 70 przypadł czas tworzenia państwa opiekuńczego w związku z szybkim rozwojem gospodarczym.

Poczułem dotkliwie ukłucie niesprawiedliwości dziejowej. Okazuje się, że można budować dobrobyt bez ideologii. Nam pozostała nadzieja i kolorowe katalogi.

Kilka dni później do Słupska na Dni Kronobergu przyjechała stodwudziestoosobowa grupa szwedzkich samorządowców,



*Kronenberg - Szwecja, rok 1998. W miejscowym muzeum w czasie dziennikarskiej wizyty ze Słupska. Ale żeby zaraz takie rogi?*

biznesmenów, ludzi nauki i kultury. Odbyły się seminaria na temat polsko-szwedzkich stosunków handlowych po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Na zakończenie wizyty w bytowskim hotelu OSiR odbyła się wystawa prac fotograficznych Bartosza Arszynskiego i moich, wykonanych w czasie pobytu w Kronobergu. Przypadła Szwedom do gustu, bo czemu by nie!

Gdy w 1991 roku likwidowano oddziały PAP w mniejszych miastach, do „Głosu Pomorza” dołączył Jerzy Dąbrowa-Januszewski, najpierw redagując dodatek miejski „Przegląd Słupski”, a potem - od 1997 roku do 2002 roku - utworzony przez siebie „Głos Kaszëb”. Natomiast od końca 1998 roku przez krótki czas obok „Głosu Pomorza” ukazywał się cotygodniowy szesnastostronicowy dodatek miejski „Oko” redagowany przez Ireneusza Wojtkiewicza.

Współpraca łączyła mnie ze słupską redakcją „Gazety Wyborczej” i jej szefem Markiem Zagalewskim. Wspominam go jako miłego człowieka. Jego późniejsze zawodowe doświadczenia mogą stanowić ilustrację zmian dokonujących się na rynku mediów po transformacji.

# Czas porządków

**W** listopadzie 1998 roku pożegnałem się z redakcją „Głosu Pomorza” i zostałem emerytem. Podczas spotkania pożegnalnego naczelny zapewniał mi współpracę, ale trwała trzy miesiące i z przyczyn naturalnych wygasła.

- Co zrobić z archiwum? - to był najpoważniejszy problem. Gromadzone przez lata negatywy i zdjęcia, miałem ich kilka tysięcy sztuk, czekały na bezpieczną przystań. Zdawałem sobie sprawę z ich dokumentarnej wartości. Musiałem je gdzieś umieścić! Redakcja dziennika nie była nimi zainteresowana. Początkowo w redakcyjnych szafach w

jednym z dwóch pokoi ulokowałem nikomu już niepotrzebny dorobek mojego zawodowego życia. Nowi fotoreporterzy: Sławek Żabicki i Rafał Szamocki zagospodarowali się w mojej pracowni fotograficznej. Były to ostatnie chwile formuły pracy fotoreporterskiej z dostępem do laboratorium. Nadchodziła epoka cyfryzacji, a dokumenty fotograficzne przechowywane będą na innych nośnikach. Moja epoka mijała bezpowrotnie, a może tylko została wyprzedzona przez megapiksele, by powrócić jako równoprawny partner z duszą i wyobraźnią? To się jeszcze okaże!

Tymczasem moją głowę zaprzętały praktyczne sprawy. Redakcja „Głosu Pomorza” przenosiła się do nowej siedziby na ulicę Henryka Pobożnego. Nowe redakcyjne pokoje zostały skomputeryzowane, a la-

laboratorium fotograficzne zastąpiły programy graficzne, tak jakie jak „Photoshop”, dziś powszechnie używane.

Musiałem opróżnić stare pomieszczenia i szafy w redakcji przy ulicy Sienkiewicza. Spaliłem w kotłowni część pozytywów



*Jagodnica, lata 60. XX wieku. Dzieci Franciszki i Antoniego Maziejuków: Marysia i Zbyszek ze stryjem Jankiem.*





*Jagodnica. Rodzinne braterskie spotkanie po latach, od prawej: Jan, Antoni, Henryk Maziejukowie. Siedzą ich żony: Alicja, Franciszka i Halina.*

fotograficznych, czego nie mogę odżalować po dzień dzisiejszy. Kilka kartonów z negatywami umieściłem we własnej piwnicy, wy prowadzając stamtąd żonine konfitury. Gryzoniom było to w zasadzie obojętne. Zasmakowały w żelatynie z zatopionymi w niej jodkami srebra na kliszy. W krótkim czasie zszatkowały część moich zbiorów na sieczkę, ku radości Ali, a mojej rozpacz. Uprzątnąłem piwnicę, zabierając do domu to, co ocalało. Przez połowę 2004 roku porządkowałem moje archiwum. Segregowałem negatywy według tematów, z nadzieją na przyszłe publikacje. Wyodrębniłem wieś miasteczką i Miastko, w którym mieszkałem i pracowałem ponad czternaście lat. Oddzielne rozdziały stanowiły fotografie dzieci, propaganda PRL-u, narodziny „Solidarności”, Słupsk w okresie rozkwitu lat siedemdziesiątych. Negatywy, które dotyczyły sportu, podarowałem - dziennikarzowi i działaczowi sportowemu Marianowi

*Jagodnica, 27 lipca  
2008 roku. Przed  
domem rodzinnym  
po kapitalnym  
remontie spotkanie  
rodzin Maziejuków,  
Piwniczuków  
i Dudków.*



Boratyńskiemu, inne przekazałem jako dar do Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, gdzie spotkała mnie miła niespodzianka, ale o tym za chwilę.

Od zawsze szczególnym sentymentem darzyłem tę część moich zbiorów, która dotyczyła rodzinnych stron. Miałem nadzieję, że na przełomie wieków uda mi się zorganizować w Jagodnicy wystawę fotograficzną poświęconą historii Podlasia. Henryk, mój brat zaproponował opracowanie i wydanie książki „Jagodnica. Ludzie, architektura, historia, wydarzenia.” Miałem świadomość, że pomysł zrodził się zbyt późno. Niektóre dokumenty zaginęły bezpowrotnie, świadectwa ludzi odeszły wraz z nimi. Pozostały moje fotografie i dociekliwość, pracowitość i dziennikarskie doświadczenie mojego brata. Przez dwa lata gromadziliśmy i opracowywaliśmy materiały. Heniek miał kłopoty ze zdrowiem i bałem się, czy uda się nam skończyć książkę. Halina, bratowa, skarżyła się w rozmowach telefonicznych, że Henio pracuje ponad siły. W końcu w 2003 roku otrzymałem cały materiał i mogłem zainicjować prace wydawnicze. Książkę dedykowaliśmy „Pamięci tych, którzy odeszli stąd na zawsze”. Wydaliśmy ją za własne środki w nakładzie 250 egzemplarzy. W 2004 roku w lipcu w Jagodnicy zorganizowaliśmy jej promocję. Radość mieszkańców, naszych krewnych, dawnych sąsiadów i ich spadkobierców była ogromna. Wiem, że przechowują ją jak rodzinny dokument, bo takim jest w istocie, opowiadając losy

*Warszawa, 1998 rok. Henryk Maziejuk  
przy maszynie do pisania.*



mieszkańców Jagodnicy i naszego regionu Podlasia. Jest pierwszą i jedyną publikacją tego typu o podlaskiej wsi Jagodnica i okolicy.

Natomiast dokumenty fotograficzne przekazane do muzeum pani Marzena Mazur, etnograf i kustosz Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, wykorzystała jako materiał, proponując mi w 2004 roku udział w projekcie „Rzeczywistość kulturowa Środkowej Frankonii i Pomorza”, celem którego było przygotowanie wystawy muzealnej na podstawie fotografii z lat 60. XX wieku Otto Becka i Jana Maziejuka.

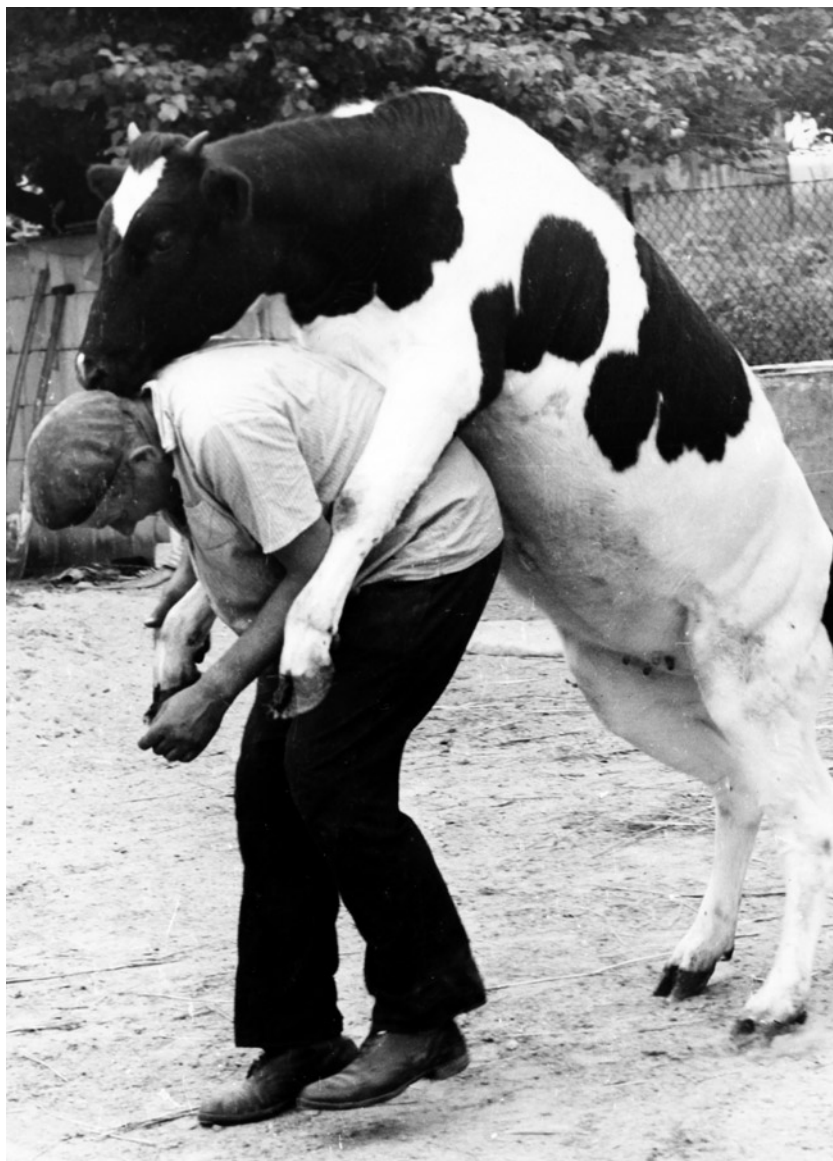
Stałem przed poważnym zadaniem, ale przyjąłem je z radością. Znow mógłem pracować, moje dni nabrały tempa i barwy. Nie znałem Otto Becka (rocznik 1912) z frankońskiej wsi Mainstocnheim i nigdy go nie spotkałem. Natomiast jego fotografie o wymiarze 50x60 cm. przygotowane na podstawie kolorowych slajdów zrobiły na mnie wrażenie. Były doskonałe, choć dotyczyły odległego czasu. Ponadto ich autor był zarazem kronikarzem rodzinnych stron, dlatego fotografie były dobrze opisane.

Inaczej było z moimi zdjęciami. W latach sześćdziesiątych fotografia była moim hobby, nie zawodem - to po pierwsze, ponadto nie miałem wówczas pojęcia o fotografii kolorowej i możliwościach, z jakich korzystał mój niemiecki kolega, nauczyciel przedmiotów zawodowych.

Wybrałem na wystawę dwieście klitek z lat 1956 - 1972, z okresu mojego pobytu na ziemi miasteczkiej. Pracowałem wówczas na czarno-białych negatywach, tzw. „fotomunach”. Dla celów wystawy wykonałem czterdzieści trzy fotogramy w formacie 40x50 cm. Pamiętałem miejsca, sytuacje, spotkania ludźmi; i właśnie wspomnienia były podstawą opisu fotografii.

Kiedy zdjęcia znalazły się obok siebie, nie czułem zawstydzenia, wręcz przeciwnie. Dotyczyły tych samych tematów, jak byśmy się umówili. Wystawa prezentowała 103 fotogramy, w tym czterdzieści trzy dotyczyły wsi pomorskiej, pozostałe obrazowały życie Frankonii. Wszystkie przedstawiały życie codzienne ludzi na wsi frankońskiej i pomorskiej. Odległe od siebie regiony, różne pod względem tradycji, historii, klimatu, okazały się bliskie sobie ludzkim wysiłkiem, emocjami, drobnymi sprawami codzienności. Fotografie dokumentujące gospodarskie czynności, zestawione obok siebie, wydawały się umówionymi tematami, a przecież dzielił je czas, odległość, język, osoba fotografa. Moje czarno-białe prace miały walor poetyckości, bliższe były okresowi, którego dotyczyły. Byłem z nich zadowolony i trochę zdziwiony, że dałem sobie radę. Wystawa trwała od września do października 2005 roku i cieszyła się dużym zainteresowaniem.

Partnerska umowa zawarta w 2000 roku między województwem pomorskim a okręgiem Środkowej Frankonii realizowana była w formie wystaw, degustacji przysmaków frankońskiej kuchni, prezentacji muzycznych w Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach oraz w Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. W ramach tak pojmowanej współpracy wystawa „Rzeczywistość kulturowa Środkowej Frankonii i Pomorza. Fotografie z lat 60-tych XX wieku Otto Becka i Jana Maziejuka” w dniach 19-23 września 2006 roku została zaprezentowana w Sali Obywatelskiej ratusza w pięcioletnim



*Jagodnica. Na ojcowiznie został najstarszy brat, Antoni Maziejuk, rolnik, a hodowane w gospodarstwie jałoweczki miały dziwne pomysły (rok 1973).*



*Heideck (Mittelfranken) 22 września 2006. „Rzeczywistość kulturowa Środkowej Frankonii i Pomorza. Fotografie z lat 60-tych XX wieku Otto Becka i Jana Maziejuka”. Przygotowanie i otwarcie wystawy. Ze strony polskiej: Katarzyna Maciejewska, Dorota Cicholewska i Magdalena Lesiecka.*

miasteczku Heideck w Środkowej Frankonii (Mittelfranken). Wyjechałem w towarzystwie pracowników muzeum: Doroty Cicholewskiej, Magdaleny Lesieckiej, Katarzyny Maciejewskiej i Bogusława Wełnickiego, aby wystawę przygotować i ją zaprezentować. Pracowaliśmy sumiennie z godzinną przerwą między trzynastą a czternastą na lunch. Po pracy zwiedzaliśmy znajdujące się obok muzeum regionalne oraz urokliwe miasteczko i okolice. Raniutko wymykałem się z hotelu i buszowałem po okolicy z aparatem fotograficznym. Inne tam krajobrazy, teren pofałdowany, lesisty, rankiem spowity we mgle uwodził mnie i oko fotograficznego obiektywu. Wśród tego krajobrazu zachwycały zadbane domy, jasne uliczki, wszędzie widać gospodarską rękę, porządek niemal do bólu.

Dwudziestego drugiego września o godzinie siedemnastej wystawa została otwarta przez prezydenta Mittelfranken Hansa Angerera - w obecności gości ze Słupska, miejscowych parlamentarzystów i przedstawicieli administracji. Prezydent Hans Angerer zwracał się do gości, mówiąc: „Cieszę się bardzo, że możemy otworzyć dzisiaj tu, w Heideck, tę porównawczą wystawę jako wkład do wymiany kulturalnej. Dzieli nas odległość prawie tysiąca kilometrów, a łączy podobieństwo wiejskiego życia. Chciałem

podziękować panu Maziejukowi. Pańskie pełne wyrazu fotografie pokazują bliskość ze zdarzeniami i w wspaniały sposób dokumentują życie tej epoki.”

Poproszono mnie o zabranie głosu. Podzieliłem się spostrzeżeniem, że prezentowana na wystawie epoka bezpowrotnie przeszła do historii. Wydawało mi się, że mówiłem nie na temat, a brawa dostałem przez grzeczność.

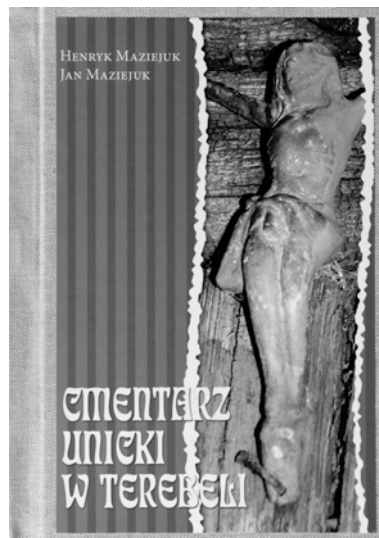
Były podziękowania dla pani Doroty Ciecholewskiej jako historyka i kierownika archiwum za wszystkie wspólne projekty.

Obserwując zwiedzających odnosiłem wrażenie, że moje białoczarne zdjęcia budziły zainteresowanie. Jeszcze raz utwierdziłem się w przekonaniu, że nie sprzęt i technika decydują o wartości dokumentarnej i artystycznej fotografii, a umiejętność dostrzeżenia tego, co typowe i charakterystyczne w tym, co jednostkowe i niepowtarzalne. Nie jestem pewien czy wiedziałem o tym wtedy, gdy robiłem zdjęcia prezentowane na wystawie. Ale czy nie jest tak, że wnioski i uogólnienia przychodzą później, z wiekiem i doświadczeniem?

W tym samym czasie rozmawiałem z bratem Henrykiem o kolejnej publikacji dotyczącej naszych rodzinnych stron. Weszliśmy w tę problematykę przygotowując „Jagodnicę”, mieliśmy trochę materiałów i świadomość, że to ostatnie chwile, by utrwalić mijający czas naszych rodziców i własnej młodości. Unicki cmentarz w Terebeli pamiętałem dobrze z czterdziestego czwartego i późniejszych lat jako miejsce wojennych potyczek. Później znajdowałem tam pozostawione i zapomniane granaty niemieckie i rosyjskie, i pancerfausty. Cóż więcej wtedy mogło mnie interesować?

Wakacje 2004 roku wraz z żoną i chłopcami spędziłem goszcząc u rodziny w Jagodnicy, ale pierwszym celem mojego przyjazdu w rodzinne strony był unicki cmentarz w Terebeli, gdzie spędzałem dużo czasu, przygotowując fotograficzną dokumentację starego cmentarza.

Przeminęły czasy unickiej wspólnoty Podlasian, zmurszały stare krzyże, trawą porosły mogiły. Zginęłaby pamięć, jak giną jej



*Okładki publikacji  
Henryka i Jana Maziejuków.*



**NAGRODA im. JĘDRZEJA CIERNIAKA**  
za podjęte  
i z uporem realizowane inicjatywy społeczno-kulturalne

**Dla**  
**Kol. Jana**  
**MAZIEJUKA**

Zarząd Krajowy Związku Młodzieży Wiejskiej składa serdeczne podziękowanie za wkład wniesiony w rozwój działalności kulturalnej na rzecz środowiska wiejskiego. Życzymy wielu dalszych sukcesów w pracy społecznej oraz satysfakcji w życiu osobistym.



Przewodniczący  
Zarządu Krajowego  
Związku Młodzieży Wiejskiej

Leszek Leśniak

Warszawa, luty 1986 r.

*Zarząd Krajowy Związku Młodzieży Wiejskiej przyznał Janowi Maziejukowi nagrodę im. Jędrzeja Cierniaka.*

materialne ślady. Arkadiusz Maziejuk, syn Zofii i Zygmunta, zatroszczył się o miejsce wiecznego spoczynku przodków. Na terenie cmentarza postawił dębowy krzyż i kamienną kapliczkę z figurką Matki Bożej Fatimskiej. W dedykacji wspominał pobyt Jana Pawła II na Podlasiu w czerwcu 1999 roku. Teren cmentarza został ogrodzony. Przejeżdżający obok cmentarza asfaltową drogą łatwo rozpoznają charakter miejsca i szukać będą kaplicy czy kościoła, nadaremnie. Nam też się wydawało, że być tu powinna. Z zapisu wizytacyjnego diecezji we Włodzimierzu Wołyńskim z 1726 roku wynika, że była, a jej szkic w 1778 roku sporządził geometra Leonard Targoński. Mieliśmy z Henrykiem nie lada zagadkę do rozwiązania. Wyniki prac badawczych, poszukiwań zamieściliśmy w przygotowanej publikacji.

Tymczasem Marysia i Broniek Piwniczukowie, czyli bratanica z mężem dziwili się moim wycieczkom do Terebeli, ale kiedy wyjaśniłem im ich powód, starali się pomóc, wskazując sąsiadów pamiętających dawne czasy. Rozmawiałem z nimi robiąc notatki i szkice starego cmentarza. Szczególnie



wiele opowiedział mi Kazimierz Michalczyk, pamiętający historię cmentarza i ludzi, którzy tam zostali pochowani. Mieszkał w tym czasie w Białej Podlaskiej, ale raz w tygodniu przyjeżdżał do Terebeli na wspólną modlitwę różańcową.

Z wdzięcznością wspominam pomoc okazaną nam przez ks. Czesława Maziejuka z Białej Podlaskiej oraz Józefa Maziejuka, (rocznik 1921), który opowiadał nam o potajemnym, z obawy przed prawosławnym popem, pochówku zmarłych unitów. Często nie oznaczano grobu stosowną tabliczką z obawy przed szykanami wobec rodziny.

Z ciekawością słuchałem, jak bałbocze po chachłacku, opowiadając przygodę chłopca z Cicibora, który usnął w kopie siana. Batuszka tak tłumaczył zdarzenie oburzonej gospodyni: „Nie budi jeha, może bat’ko wyhnal jeha z doma, to gde on pude?“, i dodał na zakończenie: „Kab’ chwaroba s nemi! Toż ni Boh, ni czort jei ne znajet!”

Zapomniany to język, który nigdy nie miał odmiany pisanej, a był przemieszaniem języka polskiego z białoruskim, rusińskim, ukraińskim. Umierają języki, strzępy opowieści pokazują świat, którego już nie ma, a w etnograficznych zapisach został tylko ślad przeszłości regionu pogranicza kultur.

Czasem tylko, jakby od niechcenia, zapoznany poeta przypomniał, że język ten był pierwszym w słowie naszych przodków.

### *Gwara chachłacka*

*Dzieciństwa nigdy się nie zapomina  
I pradziadowie i moi dziadkowie  
Rośli w rosyjskiej i chachłackiej mowie  
Bliską Białoruś jest mi Ukraina  
Człowiek po latach swoich krewnych ceni:  
Mieli odwagę w tych czasach pogromu  
Gdy inni z wiarą żyli po kryjomu  
Do źródeł przyznać się i do korzeni  
Dawniej koła mnie śpiewna czastuszka  
Siennik słomiany jasiek w nogach łóżka  
Pierzyna która apteki łak mieści  
Gęśmi pachniała mi miękka poducha  
Rostem w naturze słowiańskiego ducha  
Gdzie nadbużańskie snuto opowieści<sup>20</sup>*

20 Sławomir Rudnicki: „Gwara chachłacka”,  
[w:] <http://www.akcentpismo.pl/pliki/nr1.09/rudnicki.html> (dostęp: 20-01-2014).

Nie zapomnieliśmy, że z naszych stron, z niedalekiego Drelowa pochodzi Franciszek Jerzy Stefaniuk, poseł na sejm Rzeczypospolitej, działacz ludowy i poeta, autor „Unitów drelowskich Drogi Krzyżowej”, poświęconej męczeńskiej śmierci trzynastu unitów z Drelowa.

Henryk opracował zebrany materiał. Uzupełniał moje notatki poszukując dokumentów i opracowań w bibliotekach warszawskich. W 2005 r. razem powtórnie pojechaliśmy do Jagodnicy i Terebeli, wykorzystując gościnność Marysi. Henryk chciał dopytać o szczegóły, porównać zebrany materiał z relacjami mieszkańców. Spóźniliśmy się. Pan Kazimierz zmarł, a my po raz kolejny uświadomiliśmy sobie, jak trzeba się spieszyć, by ocalić pamięć. Pozostało nam zapalić znicz i złożyć na jego grobie kwiaty.

Opracowany materiał publikacji liczącej osiemdziesiąt stron Henryk przesłał do mnie, bym zajął się technicznymi szczegółami wydania. Książka sfinansowana z naszych osobistych środków ukazała się drukiem w 2006 roku. Nakład (100 egzemplarzy) wysłałem niemal w całości do księgarni w Białej Podlaskiej, gdzie rozeszła się w ciągu kilku dni. Niestety, nie było nas stać na dodruk. Niemniej zadbałem o jej dostępność w Bałtyckiej Bibliotece Cyfrowej, gdzie

„Cmentarz unicki w Terebeli”, podobnie jak „Jagodnica” zostały zdigitalizowane. O naszej publikacji pisali Zbigniew Talewski w „Moim Mieście” (nr 11(79) z 1 czerwca 2006 roku i „Naji Gòchë”, dr Zdzisław Stankiewicz w „Powiecie Słupskim,” doceniając wartość publikacji jako dokumentu o historii unickiego Podlasia.

\*\*\*

W 2005 roku dostałem zlecenie z gminy Ustka na przygotowanie materiału zdjęciowego do albumowego wydawnictwa jubileuszowego. Gmina, powołana jako jednostka administracyjna 1 lipca 1976 roku, świętowała trzydziestolecie istnienia. Tomasz Wszółkowski, od początku jej istnienia najpierw naczelnik, później wójt gminy,

pragnął udokumentować osiągnięcia własne i mieszkańców sołectw rozłożonych na wschód i zachód od Ustki, z którym przez jakiś czas tworzyły jedną jednostkę administracyjną. Album miał



*Okładka albumu o gminie Ustka ze zdjęciami Jana Maziejuka.*

przedstawiać stan aktualny oraz dokumentować fotografiami zmiany od czasu powołania urzędu. Gmina dysponowała własnymi fotografiami dokumentarnymi, które dotyczyły wydarzeń opisanych w kalendarium. Album zamykała plejada fotogramów pracowników gminy i przesłanie wójta Tomasza Wszółkowskiego. Liczący osiemdziesiąt stron album w sztywnej oprawie został zaprezentowany w czerwcu 2006 roku podczas uroczystej sesji rady gminy Ustka.

Równocześnie robiłem zdjęcia do wydawnictwa „Słupsk. Nastroje i klimaty.” Zajęcie sprawiło mi wiele satysfakcji. Czułem się słupszczaninem, mieszkałem w mieście ponad trzydzieści lat i jako fotoreporter prasy tygodniowej i codziennej dokumentowałem jego piękne i trudniejsze okresy. Czułem miasto, jego każdy kąt. Dlatego przez dwa lata codziennie czekałem na chwile, kiedy aura, stan przyrody i moje osobiste odczucia będzie można zapisać najlepiej przy pomocy aparatu fotograficznego. Zamek Książąt Pomorskich, mury staromiejskie, Nową Bramę, place, ulice i uliczki, mieszkańców i ich miejsca pracy - wszystko rozbiły się w słońcu.

Przypomniałem sobie wiersz Wacława Pomorskiego, mojego rówieśnika, pod tytułem „Ojczyzna”:

*Kiedy przychodziłem na świat  
Jeszcze o niej nie myślałem  
Nie wiedziałem że jest we mnie tak obecna  
Tak rozparta na wszystkie strony świata  
Dziś bez niej byłbym jak bez matki  
Bezdomnym dzieckiem - w pół rozdartym żaglem*

Czułem tak właśnie. Praca nad albumem była moim zapisem serdecznych obrazów. Nie liczyłem czasu, fotografią dziękowałem miastu, które stało się moim domem. Kiedy w Muzeum Pomorza Środkowego odbywał się mój benefis „50 lat przygody z fotografią - Tak to widziałem”, album, wydany przez Wydawnictwo „LenART” we wrześniu 2007 roku, był jej dopełnieniem.

Przygotowałem negatywy, a na ich podstawie dwieście pięćdziesiąt fotogramów. Każdy niósł odrębną opowieść, godną indywidualnej publikacji. Wypełniły trzy muzealne sale. Obok, w kilku dużych gablotach, prezentowaliśmy osiemdziesiąt obiektów sprzętu fotograficznego z mojej kolekcji, między innymi: aparat z 1920 roku na płyty szklane, ośmiomilimetrowe kamery filmowe, francuski projektor filmowy na japońskiej licencji z 1932 roku. Wystawione obiekty opowiadały historię równoległą technik fotografowania,

pokazując zmiany sprzętu, od prostych skrzynkowych aparatów fotograficznych do współczesnych cyfrowek „Nikona”. Oszczędny wobec pierwotnego zamysłu, dwudziestostronicowy katalog wystawy z czternastoma fotogramami zatytułowany „Fotografia Jana Maziejuka, czyli sztuka ocalenia” z tekstem Wiesława Wiśniewskiego opracowała Janina Cydzik-Brzezińska. Komentarz do fotografii napisał Tadeusz Martychewicz. Nie byłem sam, a sukces był wypadkową talentów i pracowitości wszystkich zaangażowanych w ten projekt.

Na uroczystość otwarcia wystawy, na godzinę 12:00 w dniu 7 września 2007 roku do Sali Rycerskiej MPŚ, zaprosiłem brata Henryka Maziejuka z Warszawy z rodziną. Z Dygowa przyjechali Iza i Karol Piaskowscy. Nie zabrakło przyjaciół i kolegów z redakcji „Zbliżeń” i „Głosu Pomorza”. Byli przedstawiciele władzy samorządowej: Ryszard Stus, Ryszard Kwiatkowski, Marian Mazur. Kapela „Zgoda” grała i śpiewała kaszubskie przeboje.

Cieszyłem się bardzo z możliwości połączenia sympatii rodzinnych i zawodowych. Jestem w tym wieku, kiedy potrzeba syntezy, oddzielenia plew od ziarna, wybrania i docenienia tego, co życiu nadaje sens. Zawsze najwyższą wartością była praca, ale tak samo ceniłem więzy rodzinne i przyjacielskie.



*Ślupsk. Wystawa jubileuszowa. Przed wystawowym zdjęciem Robert Maziejuk, który na zdjęciu siedzi w torbie i Bogdan Maziejuk, który kiedyś dźwigał brata z mamą.*



Iza i Karol Piaskowscy należą do grona bliskich przyjaciół rodziny. Oboje byli na naszym, moim i Ali, weselu w 1963 roku, znają się nasze dzieci, z którymi w latach ich dzieciństwa wyprawialiśmy się do lasu dokarmiać zwierzynę. Pasja ekologiczna Izy była na tyle inspirująca, że zapuszczaliśmy się razem z nią w leśne ostępy, a ja czekałem na możliwość wykonania ciekawej fotografii. Niektóre były publikowane w prasie razem z informacją o działaniach przyrodniczych podopiecznych pani od przyrody. Iza była dumna, że konkursy przyrodnicze wygrywają jej uczniowie.

Teraz przyjechali na moją wystawę. Nie mogłem przemilczeć faktu, że oboje mają udział w moich sukcesach. Jeździłem do nich do Dygowa, by nabrać sił i od nowa uwierzyć, że warto gonić za marzeniami, nawet jeśli mają tylko postać dobrej fotografii. Witałem ich serdecznie, jak najbliższe osoby.

Ich córki dorosły i opuściły rodzinny dom. Iwona zamieszka w Kołobrzegu z mężem Jerzym Sawickim. Paulina, ich córka, wnuczka Izy i Karola, po studiach w Krakowie, wpada czasem ze Szczecina do domu - ku radości rodziców, ale najbardziej dumni są z niej dziadkowie. Tymczasem Paulina jest singielką, ale dziadkowie mają nadzieję doczekać się wesela wnuczki.



*Rodzinne zdjęcie w sali wystawowej. Czasem trudno oddzielić życie prywatne od zawodowego, gdy świętuje się 50 lat przygody z... fotografią. Są z nami Karol i Iza Piaskowscy z Dygowa, brat Henryk Maziuejuk z żoną Haliną, synowie, żona i wnukowie oraz dostojny gość, ks. prałat Jan Giriatowicz.*



*Iza Piaskowska z Dygowa zwiedza wystawę „50 lat przygody z fotografią” w MPŚ w Słupsku.*

Aldona, młodsza córka Piaskowskich poślubiła Grzegorza Bajera, specjalistę chłodnictwa po Politechnice Koszalińskiej, i zamieszkała z mężem w Ustroniu Morskim. Pracuje jako instruktor kulturalno-oświatowy w sanatorium dla niewidomych. Ich dwudziestopięcioletni syn Piotr mieszka we Wrocławiu. Tymczasem w stanie kawalerskim, ale to stan przejściowy.

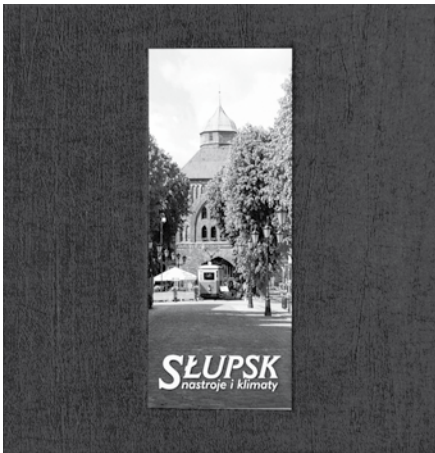
Teraz razem świętowaliśmy „50 lat przygody z fotografią” - to długi czas, niemal całe życie zawodowe, wśród przyjaciół i rodziny. Inaczej nie można, bo człowiek nie maszyna. Dlatego nie wyobrażałem sobie benefisu bez najbliższych.

Prasa lokalna drukowała okolicznościowe artykuły i recenzje. Wszystkie odnotowały fakt pięćdziesięciolecia mojej pracy fotoreporterskiej, co było miłe, jednak istotniejsze było to, że zwracano uwagę na charakter fotograficznego zapisu, przy pomocy którego opowiadałem historię miasta sto pięćdziesięcioma sześcioma zdjęciami z różnych okresów. Wystawa czynna była dwa miesiące, do siódmego października 2007 roku i odwiedziło ją dwa tysiące siedemset sześćdziesiąt osób (dane na podstawie ilości sprzedanych biletów).

Natomiast album „Słupsk. Nastroje i klimaty” towarzyszący wystawie jako wydawnictwo zwarte szybko zniknął z księgarskich półek, powędrował „pod strzechy”, uzupełniając domowe i biblioteczne zbiory regionalistów. Obecnie ma wartość dokumentu, jest zapisem konkretnego czasu w historii miasta. Tekst do wydawnictwa pióra dziennikarki Jolanty Węglarz-Nitkowskiej był rzeczowym wprowadzeniem do materiału fotograficznego. Maciej Kobyliński, prezydent Słupska, honorowy patron albumu, we wstępie napisał, przywołując strofy Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego:

*„Ech, muzyka, muzyka, muzyka  
Spod smyka zielony kurz  
Lecą gwiazdy zielone spod smyka  
Damy karo, bukiety róż.*

To skojarzenie muzyki z obrazami malowanymi światłem obiektywu. Słupsk dla fotoreportera to przede wszystkim rytmy zieleni w otoczeniu budowli zamkowych, to symbioza natury i historii. Od ponad pięćdziesięciu lat ten znakomity fotografik z myślą o przyszłych pokoleniach pracowicie zatrzymuje czas, a przede wszystkim jego klimat. Wiele z tych prac ma dzisiaj bezcenną wartość historyczną, pokazując tym samym ulotność tego, co wydawało się trwałe.”



Okladka albumu „Słupsk. Nastroje i klimaty.” ze zdjęciami Jana Maziejuka.

Zastanawiam się nad minionym czasem, drogą jaką przeszedłem indywidualnie, i jaką przeszliśmy wszyscy na słupskiej ziemi, by w nią wrosnąć, poczuć jej rytm, muzykę. Ile było w moim losie przypadku, a ile świadomej determinacji we wpisywaniu się w historię miasta codzienną fotoreporterską robotą. Wokół mnie byli koledzy dziennikarze, razem byliśmy wśród ludzi, wspólnie opisywaliśmy codzienność miasta. Siła i czar fotografii okazały się medium trwalszym i bardziej nośnym niż słowo.

„Zdjęcia dokumentowały wizyty pierwszych sekretarzy, premierów na ziemi słupskiej, migawki z Festiwalu Pianistyki Polskiej oraz codzienne życie mieszkańców. To dziejopis, ale w formie fotografii, naszego życia tu, w Słupsku i na Pomorzu, w ciągu



ostatnich pięćdziesięciu lat”. - cytował Mieczysława Jaroszewicza, dyrektora Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, dziennikarz z „Gościa Koszalińsko-Kołobrzeskiego” (nr 37, 16/09/2007).

Natomiast „Głos Pomorza” (nr 202 z 19/09/2007) piórem Michała Kowalskiego zachęcał słupszczan: „To chyba najciekawsza wystawa tego roku - powinien obejrzeć ją każdy mieszkaniec Słupska”.

Ogłoszono mnie bohaterem, „legendą pomorskiej fotografii”, a ja przecież nie zamierzałem nigdzie odchodzić ni też spocząć na laurach. Życzliwe słowa były zachętą do pracy, dodawały mi skrzydeł. Tyle miałem planów i pomysłów! Prawdziwe życie zaczyna się na emeryturze!

Nie, na pewno nie dostałem zawrotu głowy, raczej zdałem sobie sprawę, że wymagania przede mną coraz większe.

W tym czasie z inicjatywy Zbigniewa Babiara-Zycha powstał plan albumu pod tym samym tytułem - „Tak to widziałem”, który został wydany w 2008 roku ze środków Starostwa Powiatowego w Słupsku.

Redaktor naczelny „Mojego Miasta”, Andrzej Obecny, recenzując album „Tak to widziałem” w swoim piśmie słusznie zwrócił uwagę na dodatkowe jego walory.



*Witkowo, wrzesień 2007. Maziejukowie: (od lewej) Agnieszka z Hubertem, Halina z Norbertem, Henryk, Jan, Robert z Pawłem.*

„Wstęp do albumu „Tak to widziałem” napisał Wiesław Wiśniewski. Kto nie wie, to informuję: nestor słupskich dziennikarzy. A jak pisze? Sięgnijcie po album, to się przekonacie. Co przedstawiają nam zgromadzone w tym albumie zdjęcia, wybrane spośród tysięcy innych wykonanych przez tego autora? Przede wszystkim aurę społeczną



Okładka albumu Jana Maziejuka „Tak to widziałem”.

minionych kilkudziesięciu lat oraz ludzi, którzy tę aurę - z jednej strony tworzyli - ale z drugiej sami się zmieniali pod jej wpływem. Uważny obserwator dostrzeże tu m.in. twarze ludzi, którzy incydentalnie wypłynęli z cienia, aby na chwilę zaistnieć podczas jakiejś podniosłej uroczystości, w której wyznaczono im jakąś niewielką rolę, ale także sylwetki licznych wytrawnych „działaczy”, którzy okazali się niezniszczalni mimo diametralnych zmian w polityce,

gospodarce i życiu społecznym naszego kraju i regionu - raz widać ich na trybunie lokalnego zjazdu PZPR, a za jakiś czas w innej sytuacji. Ale zawsze na pierwszym planie.”<sup>21</sup>

Pojawienie się nowego albumu odnotowały wszystkie periodyki regionu. Recenzje podnosiły różne wątki, od technicznych walorów fotografii, analizy języka fotograficznego obrazu przez omówienie konkretnych zdarzeń i refleksje dotyczące przemian historycznych i postaw ludzi.

Leszek Kreft w artykule „Maziejuka szkiełko i oko” napisał: „Janek patrzy przez szkiełko obiektywu okiem mądrego człowieka. Na pastucha krów, dygnitarzy partyjnych, dzieci w pegeerze, szare kolejki po wszystko, robotników przy pracy, polityków na plakatach, psa przy budzie z antena satelitarną.”

Moje fotogramy były tworzywem, ale nad znaczeniem i ostatecznym kształtem publikacji pracowało wiele osób, dlatego, świadomy wkładu pracy wielu, nie dałem się zwieść poklaskowi. Po prostu, cieszyłem się, że zbierane przez lata negatywy, które w pewnym momencie uznano by za nieprzydatne, zyskały rangę historycznego i artystycznego dokumentu.

Od mojej z Henrykiem wizyty w Jagodnicy i Terebeli w 2008 roku czas płynął w przyspieszonym tempie. Henio uległ

21 Andrzej Obecny: „Tak to widziałem...”, [w:] (<http://www.mojemiasto.slupsk.pl/index.php?id=2899>).

moim telefonicznym namowom do zbierania materiałów, do kolejnej książki. Od tamtego czasu obu nas pochłonęła praca.

- Henio całe dni siedzi przy maszynie do pisania, jak dzięki wystukuje literki. Nie dba wcale o siebie - skarżyła się Halka Maziejukowa, moja bratowa.

A on uznał, że to ostatni moment na spisanie autobiograficznych wspomnień. Pracował nad pierwszym tomem „Urodzony w czepku?” Tytuł zaczerpnięty z rodzinnej legendy o narodzinach Henia, powtarzany w naszej wsi przez Mariannę Wróbel, miejscową „babkę”, opisywał dobrze Heniowe wiejskie, sieroce dzieciństwo i lata nauki. Czy pomógł mu ów magiczny czepak? Raczej wszedł w dziennikarski świat dzięki uporowi i pracowitości, i zawsze pa-



Fot. A. Maziejuk

*Leśna Podlaska, lipiec 2008. Przy grobie rodziców Bronisławy i Franciszka Maziejuków spotkali się bracia Henryk i Jan oraz wnukowie Jana - Norbert i Paweł.*

miętał o chłopskich korzeniach. Pozostał Podlasiakiem z Jagodnicy. Kiedy odwiedzał rodzinne strony, jak wiejski pies musiał na własnych nogach obejść śródpolne ścieżki. W lipcu 2008 roku w drodze do kościoła odwiedziliśmy grób rodziców na cmentarzu w Leśnej Podlaskiej.

- Czy znalazłoby się i dla mnie miejsce w grobie rodziców?  
- zapytał.

O czym on mówi - pomyślałem, a Ala i nasi wnukowie Paweł i Norbert nawet nie usłyszeli jego słów. Chciałem chłopcom pokazać rodzinną wieś, przedstawić ich rodzinie, by wiedzieli, skąd wywodzi się nasz ród Maziejuków o zawołaniu Krekodaj. Najstarsza historia rodzinna zawsze pisana jest na cmentarnych nagrobkach, nic zatem dziwnego, że odwiedzaliśmy cmentarze.

Na cmentarzu w Leśnej Podlaskiej pochowani są nasi dziadkowie Zofia i Andrzej Ceniukowie i ich wnuczka, a nasza najstarsza siostra Lodzia. Ich mogiły porosła trawa. Po śmierci rodziców nie miał kto o nie zadbać, a kiedy Antek przejął gospodarstwo, sprawy doczesne były ważniejsze. W końcu przyszedł czas, że i on, Antoni Maziejuk (1932 - 1993) w wieku sześćdziesięciu jeden lat spoczął w leśnopodlaskiej ziemi, a za nim podążyła jego żona Franciszka (1930 - 2005), przeżywszy lat siedemdziesiąt pięć.

Przed rokiem 1905 Maziejukowie wyznania unickiego chowani byli na cmentarzach w Sworach i Terebeli. Chciałem, by wiedzieli o tym nasi wnukowie. Słuchali naszych wspomnień i opowiadań. Wspominaliśmy z Henrykiem, jak Antek zawsze czekał na przyjazd brata po wozach przez Rosję i Mongolię. Smakował przywiezione trunki, słuchał opowieści o podróży jak bajkę i żałował, że sam nigdy nie wyjechał za granicę. A Henio dzielił się z nim wrażeniami jak chlebem. Tylko w ten sposób mógł wyrazić bratu wdzięczność za możliwość opuszczenia gospodarstwa. Antek, przymuszony starszeństwem, nie mógł opuścić gospodarstwa.

- Byłem - żartował - za granicą, za Bugiem, po drugiej stronie na białoruskim zarośniętym chaszczami brzegu, na rybach. Kryłem się, by nikt mnie nie widział, co nie było trudne - mówił bez satysfakcji.

Nie ruszał się z Jagodnicy, uwiązany w gospodarstwie różnymi zajęciami. Mimo to był ciekaw świata i nowinek technicznych, które wprowadzał w swoim gospodarstwie.

Odwiedził mnie i Alę w Miastku. Zachwyił go polodowcowy krajobraz Kaszub, szczególnie okolice Borowego Młyna - jeziora i lasy, pofałdowane połacie pól aż po horyzont.

- Jak można uprawiać i zbierać plony na takich pagórkach? Jak wjechać traktorem i maszynami?

Pojechaliśmy do Piaszczyzna, wsi na trasie Miastko - Bytów, która przed 1939 rokiem była wsią niemiecką. Niedaleko za wsią Znakowo do 1 września 1939 roku przebiegała polsko- niemiecka granica, a stąd o rzut beretem było do Brzeźna Szlacheckiego, serca

Gochów. Antek z radością „przekraczał” dawne granice, dziękując Bogu, że może to robić bez niczyjej zgody i bez strachu.

Kilka lat później Antek odwiedził nas w Słupsku. Nad morzem zastanawiał się nad wyprawą na Bornholm i do Skandynawii, a w Trójmieście filozoficznie stwierdził, że nie miał pojęcia o tym, że i poza Jagodnicą są w Polsce piękne miejsca. Dlatego jakiś czas później, zimą, zdecydował się przyjechać do nas z Franią, która nigdy wcześniej nie odbyła tak dalekiej podróży. Odwiedziliśmy razem Ustkę, uśpioną po sezonie, jednak piękną spokojem nad morzem. Tylko łabędzie i mewy wadziły się o jakieś rozrzucone resztki. Kiedy byliśmy w czasie sztormu, Frania podziwiała potęgę fal przelewających się przez falochrony. Antek natomiast bardziej interesował się połowami wędkarzy nad Słupią. Rozmarzył się, by powalczyć z trocią. Na tym się skończyło, bo nadszedł czas powrotu. Gospodarstwo czeka!

Natomiast Frania przyjechała latem z wnuczkami - Sylwią i Lilką. Tym razem nie mogła się nadziwić roznegliżowanemu tłumowi wczasowiczów na usteckiej plaży.

- Tyle roboty w polu, a tu nikt się nie spieszy! Czy tylko rolnicy i ich dzieci skazani są na pracę przy żniwach?

- Oj, Franiu - świat się zmienił, nawet tego nie zauważyłaś. Nawet wasze dzieci i wnuki żyją inaczej niż wy. Popatrz, jak twoje



*Słowiński Park Narodowy. Rodzina Jana Maziejuka z Jagodnicy w czasie wycieczki. Od prawej: Franciszka Maziejuk i Alicja Maziejuk, wnuczki Franciszki - Sylwia Piwniczuk i Lila Maziejuk.*



*Słowiński Park Narodowy. Henryk Maziejuk z żoną Haliną.*

wnuczki cieszą się zabawą z falami. Czy pomyślałaś dawniej, że będziesz mogła z nimi siedzieć na plaży?

Nie ma wśród nas ani Antka, ani Frani. Pozostali w naszych wspomnieniach. Na ich mogiłach postawiliśmy światełka. Paweł i Norbert będą pamiętać podróż do Leśnej Podlaskiej i odwiedziny grobów bliskich.

Nie ma wśród żywych Zosi Maziejukowej z Terebeli, żony Zygmunta, która cieszyła się każdym naszym przyjazdem do Jagodnicy i póty prosiła, byśmy ją odwiedzili, póki nie wymogła obietnicy. Teraz mogliśmy odwiedzić ją tu, gdzie nazwisko Maziejuków na nagrobnych krzyżach pojawia się tak często.

Trzy lata wcześniej na naszą prośbę Broniek Piwniczuk, zięć i spadkobierca najstarszego brata Antoniego, przeniósł osobiście, w plastikowej torbie, szczątki naszego ojca do grobu matki. Staliśmy przy nowym wspólnym nagrobku. Powróciły nieostre wspomnienia o śmierci ojca w 1941 roku, pospiesznym pochówku bez udziału rodziny. Przenosiny do grobu matki też nie miały należytej oprawy. Broniek zadbał wprawdzie, respektując nasze zlecenie, o nowy nagrobek z tablicą: „Tu spoczywają Franciszek i Bronisława Maziejuk”, ale dawny żal powrócił.

Wydawało mi się, że wzruszenie, myśl o kruchości losu, zdaniu się na bliskich, wywołała smutne refleksje Henryka. Mimo to



*Jagodnica. Ślub Marysi, córki Antoniego i Franciszki Maziejuków z Bronisławem Piwniczukiem. Marysia Maziejuk, absolwentka technikum włókienniczego, pracowała najpierw w Zakładach Przemysłu Włókienniczego w Białej Podlaskiej, następnie z mężem wyjechała na górniczy Śląsk, ale wrócili, gdy gospodarstwo potrzebowało ich rąk do pracy. Dziś są emerytami.*



*Sylwia Piwniczuk, córka Marysi i Bronka będzie pierwszą w historii Jagodnicy utytułowaną absolwentką Politechniki Warszawskiej.*



*Rakowiska, lipiec 2008. Rodzinne spotkanie. Od lewej: Grzegorz Jasiński, Aneta Dudek, Paweł Maziejuk, Jan Maziejuk, Marysia Piwniczuk z córką Sylwią, Franek Dudek i Emilka.*

gdzieś podświadomie i ja czułem, że w tych jego słowach jest jakiś rodzaj tęsknoty i pożegnania.

Wróciliśmy do Jagodnicy. Marysia i Broniek Piwniczukowie - spadkobiercy rodzinnego gospodarstwa gościli nas po królewsku, prosząc byśmy czuli się jak w domu. Teraz, kiedy spisuję wspomnienia, są już na emeryturze, a gospodarzami są ich dzieci - czwarte pokolenie.

Sylwia, ich córka po studiach na Politechnice Warszawskiej, na pewno nie wróci do Jagodnicy. Wybierze miasto albo zagranicę, a naszą rodzinną wieś porośnie trawa, jak stare cmentarze - wyobraźnia podsuwała czarne scenariusze. Tymczasem cieszyliśmy się rodzinnym spotkaniem i spacerami po okolicy.

Spotkaliśmy Urszulę Dudek z domu Maziejukównę i Zbyszka Maziejuka, dzieci Antoniego. Rozmów, wspomnień, zapewnień o wzajemnych odwiedzinach nie skąpiliśmy sobie.

Zbyszek Maziejuk poślubił Halinę Buczydło z Dobrynki. Oboje po studiach, on już na nauczycielskiej emeryturze, a jego żona Halina, pracownica ZUS niebawem również nabędzie prawa emerytalne. Ich jedyna córka skończyła anglistykę w Łodzi, wyszła za mąż za Grzegorza Gadulę i obdarowała rodziców wnuczką.

Urszula, druga córka Antoniego, skończyła technikum rolnicze w Leśnej Podlaskiej i miała przejąć po ojcach gospodarstwo.

Najpierw jednak znalazła po sąsiedzku, za płotem męża. Franek Dudek był przystojny i pracowity, więc nie szukała daleko. Wybudowali sposobem gospodarczym dom w Rakowiskach i tam mieszkają. Urszula pracuje w przedszkolu w Białej Podlaskiej, a Franek,



*Lila Godala z domu  
Maziejuk z córką  
Laurą w Łodzi.*

stolarz z zawodu jest pracownikiem Lasów Państwowych w Białej Podlaskiej. Ich obie córki ukończyły studia. Aneta, magister pielęgniarstwa wyszła za mąż za Grzegorza Jasińskiego, licencjonowanego ratownika medycznego. Aneta pracowała najpierw jako instrumentariuszka w Szpitalu Klinicznym Uniwersytetu Medycznego przy Banacha. Była w zespole transplantacyjnym, z którym była również w Słupsku do pobrania narządów. Obecnie pracuje w szpitalu w Piasecznie. Mieszkają w Karczewie. Franek Dudek, tatarz bywa u nich często, bo to podłogi trzeba położyć, to meble poprawić, jak to w domu. Cieszy się, że jest potrzebny i ma kontakt z dziećmi.

Druga córka Urszuli i Franka - Emilka po studiach ekonomicznych na SGGW w Warszawie szuka pracy i męża.

Urszula z Frankiem i ich córki odwiedzali nas w Słupsku. Któregoś roku dziewczęta Aneta i Emilka same przyjechały do wujostwa, co ja mówię, przyjechały nad morze, a zatrzymały się u nas. Dlatego do domu wracały wieczorem, z dnia na dzień bardziej opalone i szczęśliwe.

W Worgulach odwiedziliśmy Stasię Bielecką, kuzynkę „po kądzieli”, córkę Bronisławy Werbińskiej ze Swór - wujenki, która po śmierci mamy przychodziła nam sierotom pomóc w prowadzeniu



domu. Stasia przyjęła nas po staropolsku, a my wspominaliśmy dobroć jej mamy. Rodzinne wspomnienia zdominowały spotkanie, na przemian ogarniał nas smutek i radość. Codzienne drobne sprawy płaczą się, tworząc barwną opowieść. Każde z nas inaczej pamiętało miniony czas, dlatego słuchaliśmy wspomnień sercem. Henio, częsty gość na Podlasiu, odwiedzał Stasię chętnie i z radością, także dlatego, że lubiły się z Halką i zawsze miały ważne sprawy do omówienia. Stasia młodo została wdową, wiele lat przeżyła samotnie. To było nasze ostatnie spotkanie. Zmarła trzynastego lutego 2013 roku.

Tylko Henio był dziwnie powściągliwy. Chłopskie dziedzictwo naznaczyło całe jego życie. Jak kiedyś pisał, że fornalskie znamię przodków wyróżniało nas przez lata pośród wiejskiej społecz-



*Worgule na Podlasiu, rok 2008. Dom Stasi Bieleckiej z Ceniuków ze Swór. Henryk i Jan Maziejuk z żoną i wnukami w czasie ostatniej wizyty.*

ności, tak jego dziennikarstwo związane było z chłopskim etosem, czego szerokie środowisko świata dziennikarskiego Warszawy nie do końca rozumiało. Nie dbał o to. Starał się służyć wsi, szczególnie podlaskiej, z którą nigdy nie stracił kontaktu. Najpierw, w latach sześćdziesiątych pracował w olsztyńskim oddziale „Gazety Chłopskiej”. Do Warszawy, do redakcji „Zarzewia” przeniósł się w roku 1968, później pracował w „Perspektywach”, współtworzył

tygodnik „Razem”, a jako emeryt współpracował „Zielonym Sztandarem”. Przez jakiś czas był rzecznikiem prasowym Banku

Gospodarki Żywnościowej w Warszawie. Był również jurorem konkursów dziennikarskich.

Napisał setki artykułów prasowych, reportaży, kilka książek, jak: „Kto mnie wychowuje”, „Zawiść”, „Pokusa”, a już jako emeryt opowiadał o rodzinnej Jagodnicy, Cmentarzu unickim w Terebeli, przyjmując mnie, swego brata, jako współautora monograficzno-wspomnieniowych publikacji.

Teraz pracował nad książkami, w których dokonywał obrachunku z własnym życiem. Prosił mnie, bym przejrzał rodzinne archiwum i przygotował scany fotografii. Uwagi wymienialiśmy telefonicznie lub listownie.



*Irenka i Michał Łyczewscy, wnuczeta Henryka i Haliny Maziejuków.*

*Kochani! Wreszcie piszę te słowa przy otwartym oknie balkonowym, gdyż ciepło, a nawet gorąco.(...) Jak utrzyma się ładna pogoda, zechcę - sam albo z Halką - wyskoczyć na kilka dni do Jagodnicy. Przyznam szczerze, że ciągnie mnie tam, tęsknie za Podlasiem. Za Jagodnicą, która zesłała całkowicie na psy..*

*Wrócę do spraw związanych z książką. Zrobiłem już korektę i egzemplarz z poprawkami odsyłam. Jest w nim, niestety, sporo poprawek, wynikłych - jak sadzę - z pośpiechu. To się zdarza. Jednak, patrząc generalnie, jestem zadowolony - nawet bardzo - ze sposobu łamania tekstu i zamieszczania ilustracji. Także z czcionek i formatu książki. Jeżeli zamieszczone zdjęcia wyjdą tak, jak w tej odbitce, będzie rewelacja.*

*A sama książka? Sądzę, ale nieskromnie, że powinna się podobać. Nie tyle może osobom nieznanym nam, ale krewnym, znajomym. Dużo w niej - obok smutku i posępnych refleksji - informacji, jakie gdzie indziej trudno zdobyć. W tym też owiane tajemnicą, takie, o których mało kto wie, jak śmierć „Miszki” czy też pożar witułińskiego pałacu. Uważam, że nie będziemy mieć czego się wstydzić. Takie było to nasze, niestety, życie. Niech wiedzą inni, ile trzeba było wykazać trudu, żeby nie zginąć.*

*I uwaga w sprawie okładki: Rozumiem i doceniam koncepcję nawiązującą do starego zdjęcia, dla nas bardzo cennego, ale w realizacji nie wypada ono dobrze. Po pierwsze przytłacza owo zdjęcie, które jest przecież zrobione na tle kory starego pnia wierzby znad Klukówki. Po drugie, czyni zdjęcie mniej czytelnym, niż jest ono w rzeczywistości, a do tego - jak widzisz - rysuje je liniami, szatkując bez*

uzasadnienia. Tymczasem chodzi, jak sądzę, o to, by zdjęcia nie przytłaczać, a wybijać tak - by uwagę przyciągały nie tylko białe plamy, ale też szczegóły, tkwiące w twarzach i spodenkach, układzie rąk itd. Zdjęcie samo w sobie jest nie najlepsze, ale tylko takie mamy, toteż chciałoby się maksymalnie je wykorzystać. Stąd dobry pomysł, też o tym myślałem, żeby trafiło na okładkę. A właściwie na obie okładki. Dobrze też będzie, jeśli ukaże się w sepii. Jestem, Janku, głęboko przekonany, że zadbasz, żeby było dobrze.

Nie są to typowe wspomnienia, ale specjalnie zdecydowałem się na tę formę zapisków, bogato ilustrowanych, ponieważ książka zawiera wiele wątków, na utrwaleniu których mi zależało. Inaczej byłoby trudno zawrzeć wiadomości dotyczące rodziny ze strony Halki, tragiczne i barwne, bogato ilustrowane. A gdybym się nie zdecydował na ich utrwalenie, przepadłyby bez wieści, co byłoby już stratą. Wprawdzie Halka zapowiadała, że spisze historię swojej rodziny, ale kiedy miałyby to nastąpić. Tylko w ten sposób można było odwołać się do krewniaków rodem ze Swór czy też naszych jagodnickich korzeni i krewniaków.

W drugim tomie wspomnień - znowu odwołam się do tych elementów, których nie mogłem zamieścić w pierwszym. Będą to m.in. losy rodu Juszcuków, terebelskich Maziejuków, być może inne. Na to przyjdzie czas.

Przesyłam Ci, Janku, do obróbki zdjęcia, jakie otrzymałem od Waldka Maziejuka z Bieszczad. Tam jest m.in. ślubne zdjęcie stryja i stryjenki, także Mani i Władka. Wydaje mi się, iż są interesujące. Zabiegam jeszcze o fotografie Stacha Maziejuka i cioci Janiny z Terebeli. Myślę, że coś zdobędę. Poza tym już mam zdjęcia Misiejuków i Juszcuków z Jagodnicy. Teraz będzie rzeczą najważniejszą napisać drugą część. Za dużo materiału jak na potrzeby takiej książki, ale muszę jakoś z tego wybrnąć. Postaram się też sięgnąć do dalszych listów Antka, tak samo zredagowanych kursywą, bo wzbogaci to książkę i doda jej wiarygodności. Muszę śpieszyć się z pisaniem, bo lata uciekają, a jak ja tego nie napiszę, to kto mnie zastąpi?

Dziękuję serdecznie za współpracę. (...)

Warszawa 14.05.07.  
Wasz Henryk (odręcznie)

Łączyłem pomoc bratu z przygotowaniem materiału do albumu „Słupsk. nastroje i klimaty”, który ukazał się w Wydawnictwie „LenART” w 2007 roku. Naprawdę byłem zapracowany. Załatwiałem sprawy książki Henia, zadbałem o skład komputerowy, który wykonał Artur Wróblewski ze Słupska. Na mojej głowie pozostawała również sprawa druku. Książka „Urodzony w czepku?”, licząca sto osiemdziesiąt dziewięć stron, ukazała się z informacją o miejscu wydania, Jagodnica 2007 i miejscu druku - w Słupsku. Niestety, jakość druku pozostawiła wiele do życzenia. Słabej jakości papier gubił siłę wyrazu fotografii, a na nich Henrykowi zależało

najbardziej.

A on pracował już nad drugim tomem wspomnień „Słowa jak skiby”, wystukiwał pospiesznie kolejne partie tekstu. Jednak wydanie książki opóźniało się z różnych względów. Różniły się nasze opinie dotyczące składu, ze względu na ilość błędów konieczna była korekta. Rozmowy telefoniczne były szczerze i konkretne, ale spraw do omówienia było dużo.

- Henryk jest w coraz gorszej formie, nie może tak intensywnie pracować, miej litość - prosiła Halka.

- Janku, najlepiej byłoby, gdybyś na kilka dni przyjechał do Warszawy. Pogadamy, omówimy szczegóły - zapraszał Henio.

Nie pojechałem. Tyle bieżących spraw miałem na miejscu. Wystawa, album („Tak to widziałem”, wydany jesienią 2008 roku) wernisaż - mnóstwo zobowiązań. Potem następne publikacje.

Rozmawialiśmy 24 listopada 2009 roku wieczorem, około dziewiątej. Przekazałem dobrą wiadomość.

- Książka jest w drukarni w Słupsku. Powinna być gotowa w pierwszym kwartale 2010 roku! Ale co ty, Heniu, w niej napisałeś? Co mają znaczyć te słowa?

„Ta, którą kończę, pozostanie chyba już ostatnią. A więc, choć tak niewiele pozostawiam po sobie, mogę poczuwać się do satysfakcji. I rozmyślać mogę spokojnie o tym, co było i przeminęło, a przede wszystkim - być bliżej wnucząt, ich trosk oraz radości. Tak mało, a jednocześnie tak dużo? A co dalej? Jak długo potrwa to „dalej”? O tym wie na pewno jeden Bóg.”

- Przecież obiecałeś spisać moje wspomnienia. Gromadzę dokumentację fotograficzną. Jak będzie?

- Zobaczymy. Jak Bóg pozwoli i zdrowie - krótko odpowiedział.

Przed siódmą rano zadzwonił telefon. Halina zawiadamiła: Henryk zmarł o trzeciej nad ranem. Przeżył siedemdziesiąt cztery lata.

Trzeciego grudnia na warszawskim Cmentarzu Północnym pożegnaliśmy naszego Brata w obecności przybyłej z Podlasia i różnych części kraju rodziny. Ostatnią drogą szli z nim przyjaciele i znajomi z różnych okresów pracy zawodowej i kręgów działalności społecznej. W nabożeństwie żałobnym w kościele św. Ignacego uczestniczyły poczty sztandarowe PSL. Nad mogiłą żegnali Go Stanisław Ozonek, sędziwy prezes Ogólnopolskiego Związku Batalionów Chłopskich i Ryszard Miazek. Żegnający podkreślali, że był skromnym, koleżeńskim człowiekiem, umiał słuchać, szczególnie najbiedniejszych i umiał spierać się z troską o ich sprawy.



*Warszawa. Wólka Węglowa. Uroczystości pogrzebowe Henryka Maziejuka.*

Powiewały zielone sztandary, przyjaciele zaśpiewali ludowe pieśni. Marysia Piwniczuk przywiozła ziemię z Jagodnicy, którą Halina z córką Elżbietą wsypały do rodzinnego grobowca.

Smutek nie opuszczał nas długo, a ja ciągle sobie wyrzucam, że nie pojechałem, gdy mnie prosił. Tyle spraw chciałem z nim

omówić. Tak, prawdziwe są słowa ks. Jana Twardowskiego:

*Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą  
zostaną po nich buty i telefon głuchy  
tylko co nieważne jak krowa się wlecze  
najważniejsze tak prędkie że nagle się staje  
potem cisza normalna więc całkiem nieznośna  
jak czystość urodzona najprościej z rozpacz  
kiedy myślimy o kimś zostając bez niego  
Nie bądź pewny że czas masz bo pewność niepewna*

Powtarzamy te słowa, pierwszy wers najczęściej, ale czy naprawdę umiemy odłożyć sprawę własną, by spotkać się z bliskimi?

„Słowa jak skiby” wyszły spod prasy w 2010 roku. Trzysta trzydzieści sześć stron, dwieście czterdzieści pięć zdjęć na kredowym papierze. Edytorsko dużo lepsza niż poprzednia, pierwsza część. Hala pojechała z nową książką do Henia na cmentarz. Nie zdążył jej zobaczyć. Pozostała jako cenna pamiątka. Obie części zostały zdigitalizowane i są dostępne w zasobach Bałtyckiej Biblioteki Cyfrowej.

\*\*\*

Od 28 lipca do 4 sierpnia 2007 roku odbywały się w Słupsku XIII Światowe Igrzyska Polonijne. Nic w tym dziwnego. Miasto znane jest z gościnności, a w okresie letnim ma bezsporny atut - nadmorskie atrakcje wynikające z położenia. W ramach przygotowań do światowej imprezy sportowej ogłoszono przetarg na obsługę prasową. Wygrała redakcja „Mojego Miasta”, proponując okolicznościowy tytuł „Słupski Kurier Igrzysk Polonijnych”. W skład zespołu redakcyjnego weszli: Andrzej Obecny jako redaktor naczelny oraz Iwona Poźniak, Jarosław Sikora, Katarzyna Kwiatek i Jan Maziejuk.

Otwarcie XIII Światowych Igrzysk Polonijnych odbyło się w sobotę 28 lipca na Placu Zwycięstwa przed słupskim Ratuszem. Dwadzieścia osiem reprezentacji sportowych stanęło do zawodów w dwudziestu dwóch konkurencjach. Tymczasem trwała uroczystość otwarcia. Sportowcy prezentowali się znakomicie - zgrabne sylwetki, radosne uśmiechy, pewność wygranej. Powodzenia i szlachetnej sportowej rywalizacji życzyli im marszałek senatu RP Bogdan Borusewicz, reprezentujący kancelarię Prezydenta prof. Michał Klebierz, minister sportu i turystyki Elżbieta Jakubiak, prezes stowarzyszenia „Wspólnota Polska” Andrzej Stelmachowski, prezes

# XIII Światowe Igrzyska Polonijne otwarte

Słupsk zwany niegdyś „Paryżem Północy” gości na swojej ziemi ponad 1000 sportowców Polonii z całego świata. Z całą pewnością XIII Światowe Igrzyska Polonijne to największa impreza sportowa w historii miasta. Będzie to czas radości i sportowej rywalizacji.

W sobotę 28 lipca na Placu Zwycięstwa przed słupskim Ratuszem odbyła się uroczysta ceremonia otwarcia XIII Światowych Igrzysk Polonijnych. Przybyli na nią reprezentacje drużyn polonijnych z 28 krajów całego świata. Sportowcy wystartują w 22 konkurencjach, które rozegrane zostaną na obiektach sportowych Słupska i w Ustce.

w wierszu krajach, stanowi jeden z priorytetów mojej polityki”  
 W imieniu wszystkich uczestników Igrzysk ślubowanie olimpijskie złożyli: **Grzegorz Batogła** - sędzia Polskiego Związku Lekkiej Atletyki i **Edward Szmurło** - sportowiec. Meldunek o gotowości organizatorów do rozpoczęcia imprezy złożył Prezydentowi Słupska - Przewodniczący Kom-

Białorusi klucze do mieszkania ofiarowanego im przez miasto.  
 Liczyliśmy, inauguracyjna Igrzysk Polonijnych była wspaniałym widowiskiem taneczno-muzycznym. Dla zgromadzonych **chodzonego zatańczyli Arabeski** - grupa taneczna, która od 40 lat tańcem rozstawiła Słupsk w kraju i poza jego granicami. Swoje chętnie radzkie umiejętności zapre-

V. Widownia podziwiała również fragment przedstawienia „Moce Świętojańskie, przygotowanego przez słupski Teatr Rondo do muzyki **Tadeusza Woźniaka**. Na kilka chwil placem zawładną ogromny smok i wielkie teatralne kukły. Finałem tego przedstawienia było zapalenie znicza olimpijskiego, którego dokonała **Irena Ablawska** z Białorusi. Wyglądało

w Polsce została nominowana do amerykańskiej nagrody muzycznej Grammy. Towarzyszył jej na scenie największy polonijny chór na świecie, składający się z 220 chórzystów. Chór zaśpiewał hymn Polonii i Mazurka Dąbrowskiego.  
 Pod koniec uroczystości wystąpiła gwiazda wieczoru - **Ryszard Rynkowski**, któremu towa-

**Motto**  
*Do sukcesu nie ma żadnej windy. Trzeba dojść po schodach.*  
 autor: anonim



„Słupski Kurier Igrzysk Polonijnych” relacjonował XIII Światowe Igrzyska rozgrywane na obiektach sportowych Słupska i Ustki.

PKOl Piotr Nurowski oraz prezydent Słupska Maciej Kobyliński, przewodniczący Komitetu Organizacyjnego Ryszard Kwiatkowski i przewodniczący rady miejskiej Zbigniew Konwiński. Nastrój wieczoru był naturalną oprawą niezwykle barwnego widowiska światła.

Obsługa dziennikarska trwała sześć dni, ale pracowaliśmy niemal całą dobę. Byliśmy wszędzie, gdzie działo się coś ważnego i ciekawego. Codziennie o dwudziestej zbierał się zespół redakcyjny z gotowym serwisem zdjęciowym i tekstowym odpowiednim do makiety ośmiostronicowej gazety. Gotowy materiał drogą elektroniczną był przesyłany do drukarni do Gdańska, a rano wracał jako „Słupski Kurier Igrzysk Polonijnych” i był do dyspozycji na obiektach sportowych.

Dziś to tylko historia zapisana w okazjonalnej gazetce, ale dla uczestników tamtych zdarzeń to opowieść o ich przygodzie w Słupsku, gościnnym mieście XIII Światowych Igrzysk Polonijnych.

Współpraca Słupska z miastami partnerskimi realizuje się przez wspólne projekty kulturalne bądź gościnne uczestnictwo w sąsiedzkich inicjatywach. W lecie 2008 roku siedemdziesięcioosobowa delegacja powiatu słupskiego wzięła udział w organizowanej



po raz drugi przez Fundację powiatu Herzogtum Lauenburg imprezie kulturalnej „Lato kulturalne nad Kanałem Łaba-Lubeka”.

Kanał Łaba-Lubeka wybudowano w XIV wieku jako drogę wodną do transportu soli z Lauenburg/Elbe do Lubeki. Jest znany jako Dawna Trasa Solna (Alte Salzstrasse). Został przebudowany w XIX wieku i do dziś służy do transportu drobnych ładunków, a przede wszystkim jako droga turystyki wodnej i sportowej. Wzdłuż Kanału rozłożone są ścieżki spacerowe i trasy rowerowe. Tym razem

teren nad Kanałem był w naszej, jako gości, dyspozycji.

W Ratzeburgu, siedzibie władz powiatu Herzogtum Lauenburg, w czasie otwarcia „Lata Kulturalnego nad Kanałem” wystąpili: chór z Ustki, sygnaliści z Warcina i „Arabeska”. Dziewczyny z zespołu zatańczyły ogniste tance, prezentując urodę i wdzięk tanecznych ewolucji. Publiczność oszalała z zachwytu, a kiedy dziewczyny tanecznym krokiem weszły w tłum, radość eksplodowała.



*„Arabeska” w tańcach, w czasie „Lata kulturalnego nad Kanałem Łaba-Lubeka” w Ratzeburgu.*



Nie wiedziałem, gdzie kierować obiektyw, co fotografować - roześmiane twarze publiczności czy tancerki. Dawno nie widziałem tak żywiołowego odbioru polskiej kultury.

Poemat historyczny „Bogusław X” Czesława Kuriaty wydany po raz pierwszy w 1980 roku w Poznaniu pozostałby zapewne zapomniany, gdyby nie splot kilku okoliczności.

Książę Bogusław X (1454 - 1523), syn Zofii, mąż Anny Jagiellonki, zwany później Wielkim dla zasług położonych w umacnianiu niezależności Pomorza, powrócił jako bohater poematu oraz postać upamiętniona pomnikiem w Słupsku.

„Księstwo Pomorskie, rządzone przez Bogusława X, było dla mnie niesamowitym fenomenem - powiedział poeta (Czesław Kuriata). - W jaki sposób małe Księstwo, znajdujące się między dwiema potęgami, czyli Królestwem Polskim i Cesarstwem Niemieckim, mogło utrzymać swą niezależność? Zwłaszcza, gdy w jego terytorium klinem wciskała się Brandenburgia, okrutny i straszliwie agresywny sąsiad? Tylko dzięki Bogusławowi X było to możliwe! Interesowały mnie również związki księcia z Polską, a poprzez małżeństwo z Anną Jagiellonką te kontakty wywarły znaczny wpływ na prowadzoną przez niego politykę”.<sup>22</sup>

Ponadto sprawa miała taki oto lokalny przebieg. W roku 1515 książę Bogusław X nadał herby szlacheckie rycerzom, znanym jako: Jutrzenka, Zmuda, Młotek (Mlotka), Rek, Pancek, Chamier oraz wsi Trzebiatkowa, z której wywodzą swój ród Trzebiatowscy.

Po czterystu dziewięćdziesięciu pięciu latach, 28 stycznia 2010 roku w słupskim Ratuszu z inicjatywy kaszubskiej fundacji „Naji Gòchë” i jej prezesa Zbigniewa Talewskiego, przy prasowym poparciu „Mojego Miasta” z redaktorem naczelnym Andrzejem Obecny, przy zaangażowaniu rodziny Trzebiatowskich, odbyło się inauguracyjne posiedzenie Komitetu Budowy Pomnika Bogusława X w Słupsku. Komitet stanowili: Maciej Kobyliński - prezydent Słupska - jako przewodniczący, Zbigniew Talewski - prezes Fundacji „Naji Gòchë” - z-ca przewodniczącego, Edmund Zmuda-Trzebiatowski - prezes spółki „Jantar” w Słupsku, Rodziny Trzebiatowskich, Jan Maziejuk - dziennikarz, fotoreporter, członek kapituły Fundacji „Naji Gòchë”, przewodniczący komisji rewizyjnej Fundacji, oraz trzydzieści innych osób.

Na jednym z pierwszych posiedzeń Komitet Budowy przyjął projekt pomnika autorstwa artysty rzeźbiarza Roberta Sobocińskiego z Poznania. Główną sprawą Komitetu było pozyskanie

22 Czesław Kuriata: „Bogusław X”,  
[w:] (<http://www.ulicki.pomorz Zachodnie.pl/recenzje/artykuly/art59.html>).

środków finansowych, ponieważ radni miasta odmówili wsparcia finansowego z miejskiej kasy. Apelowano zatem o datki od osób fizycznych i prawnych. Udało się! W sierpniu 2008 roku pomnik był wykonany, środki finansowe zapewnione. Czekamy na transport i montaż.

W tym czasie Zdzisław Zmuda-Trzebiatowski podczas spotkania Komitetu Budowy Pomnika Bogusława X w Słupsku zaproponował, by ponownie wydać poemat Kuriaty. Autor miał gotową, poszerzoną o wątek Zofii - matki księcia - wersję poematu. Na okładce książki z inicjatywy Danuty Sroki z Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marii Dąbrowskiej w Słupsku zamieszczono fotografię słupskiego pomnika księcia Bogusława. Promocja książki odbyła się w listopadzie 2011 roku.

Tymczasem kończyły się przygotowania do montażu pomnika pomorskiego księcia. Na dziedzińcu Zamku Książąt Pomorskich w Słupsku Jan Maziejuk, czyli ja oraz pracownik firmy „Morze” w Słupsku wbiliśmy ostrza łopat pod fundament pomnika. Poszło jak z płatką. Fundament był gotowy w ciągu trzech dni.

7 września 2010 roku książę Bogusław X po blisko pięciuset latach stanął na dziedzińcu zamkowym. Jego powrotowi towarzyszyli słupszczanie i przyjezdni. Uroczystość odsłonięcia pomnika miała miejsce w czasie jubileuszu 750-lecia Słupska. Odbyło się to przy pięknej pogodzie, co odczytywano jako wróżbę pomyślności dla księcia Bogusława X i mieszkańców szacownego grodu nad Słupią. A gdyby stał się cud? Gdyby zszedł z pomnika i został wśród nas czy stworzyłby własny program dla Słupska jako gospodarczego centrum regionu?



*Słupsk, rok 2010.  
Wykop pod fundament  
pomnika Bogusława X.  
Pierwszą łopatę wbili  
w ziemię Jan Maziejuk  
(od lewej) i pracownik  
firmy „Morze”.*

\*\*\*

Od dawna nosiłem się z myślą przygotowania albumu fotograficznego obejmującego cały wiek XX, którego bohaterem byłoby dziecko. Wcześniej w prasie lokalnej, ale także w ogólnopolskiej („Nowa Wieś”) publikowano moje fotografie z dziecięcymi bohaterami. Poza tym inspirowałem się wydanym w 1979 roku przez Krajową Agencję Wydawniczą albumem „Dziecko w malarstwie polskim”, przedstawiającym portrety dzieci, sceny rodzajowe z ich udziałem - od „Portretu” Tomasza Zamoyskiego, nieznanego malarza, do obrazów współczesnych, na przykład Marii Urban-Mieszkowskiej „Kołysanka” z 1973 roku. Zbierałem zdjęcia wśród znajomych, kupowałem na jarmarkach staroci, penetrowałem stoiska podczas corocznego Jarmarku Gryfitów w Słupsku. Moje plany znał brat Henryk, który podobnie jak ja w Słupsku, odwiedzał warszawskie pchle targi. Zebrane zdjęcia reprodukowałem, wykonując odbitki formatu 18x24. Miałem ich sporo, były powodem mojej dumy i zmartwienia. Nie mogłem wszystkich pomieścić w albumie, trzeba było dokonać selekcji, wyboru, najlepiej według jakiegoś dodatkowego klucza.



*Okładka albumu „Dziecko w fotografii Jana Maziejuka”.*

W tym czasie odwiedziła nas szwagierka Ada Domin. Pokazałem jej zbiory, zwierając się z kłopotu. Razem przeglądaliśmy zdjęcia.

- Niemożliwe!- krzyknęła. - Janek, skąd masz to zdjęcie?- pytała zdumiona.

Zdjęcie przedstawiało dwoje dzieci - dziewięcioletniego chłopca i kilkuletnią dziewczynkę w ludowym stroju. Opowiedziałem jej o zakupach zdjęć przeze mnie i Henryka. To pochodziło z warszawskich zakupów Henryka.

- Dzieciństwo mojego ojca, Kazimierza Dąbrowskiego i dziewczynki w krakowskim serdaczku - jego siostry, czyli mojej cioci Ireny, zakupione na pchlim targu? - dziwiła się ze smutkiem Ada.

- Taka sama fotografia była w naszym rodzinnym albumie w domu przy ulicy Swarzewskiej 82 na Bielanach w Warszawie. Została zrobiona w 1911 lub 1912 roku w zakładzie fotograficznym w Warszawie. Widziałam ją po raz ostatni w 1944 roku, kiedy szłam do powstania. Ciocia Irena nie żyła od 1931 roku, zmarła podczas



*Warszawa, rok 1911 lub 1912.  
Rodzeństwo Irena (6 lat) i i Kazimierz  
(9 lat) Dąbrowscy. Zdjęcie zakupione  
na pchlim targu w Warszawie  
przez Henryka Maziejuka.*

porodu, a historię taty pewnie nieraz opowiadała ci Ala - mówiła Ada.

Nigdy nie poznałem teścia. Ala, moja żona, opowiadała mi, jak przepadł w 1944 roku jako powstaniec schwytyany na ulicy Żłotej, a rodzina miała jedynie niepotwierdzoną wiadomość, że był w Dachau. Dopiero w 1985 roku przyszła z Czerwonego Krzyża oficjalna informacja, że Kazimierz Dąbrowski zmarł na gruźlicę w obozie w Dachau.

- Rozpoznaję ich, bo w cudem ocalałych zbiorach rodzinnych mam zdjęcie całej rodziny, zrobione prawdopodobnie w tym samym dniu i tym samym zakładzie fotograficznym - opowiadała dalej Ada.

- Kazimierz, nasz przyszły tato, jest w tym samym gimnazjalnym mundurku, a Irena w krakowskim stroju - mówiła Ada. Zdjęcie przedstawia całą rodzinę



*Warszawa, rok 1911. Rodzinne zdjęcie siostr Ady Domin i Alicji Maziejuk.  
Od lewej: Kazimierz Dąbrowski (w przyszłości ojciec Ady i Alicji), jego matka  
Eleonora Dąbrowska, młodsza siostra Irena Dąbrowska, ojciec Jan Dąbrowski  
oraz dzidek i babcia Dąbrowscy. Takie zdjęcie Ada Domin zabrała ze sobą,  
idąc do Powstania. To zakupił Henryk Maziejuk na pchlim targu w Warszawie.*

Dąbrowskich - Jana i Eleonorę Dąbrowskich z dziećmi: Kazimierzem, Jerzym, Ireną i Genowefą. Dziś żadna z tych osób nie żyje.

Dziadek - wedle ówczesnej mody pod wąsem - był palaczem w fabryce Lilpopa, znanego producenta wagonów tramwajowych i kolejowych - z dumą wspominała moja szwagierka.

Opowieść Ady rozjaśniała rodzinne zagadki, ciekawe i bliskie sercu, tym bardziej, że tak mało wiedzieliśmy o swoich rodzinach rozbitych wojną i sieroctwem.

Dlaczego i dla kogo wykonano te fotografie - zastanawialiśmy się razem. Na pewno była jakaś szczególna okazja, ale możemy się tylko jej domyślać. W tamtych czasach wizyta u fotografa nie była przypadkowa, a zdjęcia wykonywano w bardzo szczególnych sytuacjach. Miały zupełnie inną wartość niż współczesne fotki pstrykane od niechcenia i wszędzie. Umówiliśmy się z Adą na rychłe ponowne spotkanie. Może uda się coś wyjaśnić.

Kiedy na początku sierpnia 2008 wracaliśmy z wnucami i Henrykiem z Jagodnicy, zatrzymaliśmy się w Warszawie. Ala odwiedziła grób brata Janka i jego syna Leszka, spoczywających na Powązkach. Tragiczny wypadek samochodowy, w którym obaj zginęli jest jak rodzinne memento. Dorota Dąbrowska, wdowa po Leszku, mieszka w Leoncinie. Dorotę i ich córeczkę Monikę gościliśmy nieraz w Słupsku. Więzy rodzinne wzmocniła szczerą przyjaźń. Kiedy Monika podrosła, Dorota wyszła ponownie za mąż za Henryka Murawskiego. Przyszły na świat ich dzieci - Emilka i Paweł, a nasze przyjacielskie kontakty pozostają niewzruszone. Cieszymy się ich sukcesami, razem się smucimy, gdy przychodzi gorszy czas.

Podróż nasza była jak peregrynacja po rodzinnych miejscach pamięci. W Kiełpinie na cmentarzu parafialnym odwiedziliśmy



*Rowy, lipiec 2004. Rodzinna wizyta: od lewej: Dorota i Henryk Murawscy z małą Emilką. Z przodu Monika Dąbrowska i Alicja Maziejuk.*

*Kiełpin, rok 2008.  
Przy grobie Anieli  
Dąbrowskiej  
i symbolicznym  
grobie Kazimierza  
Dąbrowskiego spotkali  
się: prawnuk Norbert  
Maziejuk, Halina  
Dąbrowska oraz  
córka Alicja Maziejuk  
z mężem Janem.*



grób Anieli z Niegryzbowskich Dąbrowskiej, matki mojej żony, zmarłej w 1945 roku. Na nagrobku na zlecenie Ali umieszczono tablicę upamiętniającą ojca, Kazimierza Dąbrowskiego, zamordowanego w Dachau w 1944 roku.

Ala nie pamięta rodziców. Zna ich z opowiadań cioci Marysi Królak z domu Niegryzbowskiej, która mieszka w Łomiankach oraz wspomnień przyrodniej siostry Ady. I tym razem opowiadaniem, wspomnieniom nie było końca, a nasi wnukowie słuchali z przejęciem rodzinnej historii. Do Słupska wróciliśmy zmęczeni, ale szczęśliwi.



*Łomianki, lipiec 2005 roku. Maria Królak obchodzi  
90. urodziny w towarzystwie krewnej Alicji Maziejuk  
i jej wnuka Huberta oraz Haliny Dąbrowskiej,  
wdowy po Janie Dąbrowskim, bracie Alicji.*

Dlatego ilekroć Ada u nas gości, rodzinne sprawy zajmują siostrom długie godziny. Jakby opowiadania Ady mogły Ali przywrócić utracone dzieciństwo i wzmocnić rodzinną legendę. Myliłby się ten, kto uznałby ją za nieistotną w budowaniu poczucia własnej wartości. Ala o tym wie i historię rodziny opowiada wnukom.

Na Boże Narodzenie 2012 roku zamiast świątecznej kartki dostaliśmy od Ady życzenia zapisane wierszem:

*Zbliżają się święta, najpiękniejsze ze świąt,  
bo przy Bożym drzewku spotykają się rodziny  
z odległych nieraz stron.  
Przywożą z sobą uczucia,  
w nich życzenia, dary,  
które jak choinkowe bombki  
pojedynczo lub łącząc w pary  
zawieszają na drzewku.  
Płynie od nich radość  
na wspólne świętowanie,  
a uczucie miłości i szczęścia  
wypełnia cały dom.  
Biorą tę atmosferę w serca  
ci, co tu przybyli,  
aby po powrocie w wolnej chwili  
przeżywać to uczucie  
i radość tamtych dni  
jeszcze raz odtworzyć w pamięci.*

Pod wierszykiem Ada zamieściła dopisek, w którym tłumaczy się z braku kartki. Była chora, w dalszym ciągu nie czuje się dobrze. Dla nas jej pamięć i życzliwość jest najlepszym prezentem. Dziękujemy, Ado, za wzruszające słowa, wracaj do zdrowia.

Stare zdjęcia mają niepowtarzalny urok. Same w sobie niosą przedziwne historie, a prezentowany na nich dawny świat wydaje się pełen niezwykłych opowieści. Przedstawiane sytuacje są przemyślane, odpowiednio zaaranżowane, nic nie jest dziełem przypadku. Dlatego sugerowana na nich anegdota jest jak dobrze skonstruowana nowelka z wyraźnym punktem kulminacyjnym i puentą.

W domowych zbiorach mam ponad osiemdziesiąt archiwalnych zdjęć, z których najstarsze z 1901 roku przedstawia ośmioletniego szkraba Teofila Ciemińskiego z Torunia. Cenna jest kolekcja zdjęć dzieci z Polesia - pastuszków - z napisem: „Pan Bóg stworzył Polesie rozległe i pastwiska bagienne, na których pastuszkowie było wypasają”. Szczytę się fotografią ręcznie malowaną i datowaną 9.03.1909 przedstawiającą Helenę Guzowacy z córką Stefanią. Te fotografie to moje skarby, przecież każdy po swojemu rozumie pojęcie skarb.

Na aukcji internetowej pani inż. dr arch. Elżbieta Szalewska zakupiła do własnej kolekcji kilka oryginalnych ręcznie malowanych pocztówek z 1915 roku z widokami wsi podlaskich. Pozwoliła mi zrobić z nich reprodukcje, w taki sposób i ja wzbogaciłem swoje

zbiory. Chaty kryte strzechą, plecione opłotki, a na pierwszym pla-  
nie gromadka dzieci w płóciennych ubiorach. Zdjęcie pochodzi  
prawdopodobnie z 1915 roku, kiedy Podlasie było zajęte przez  
Niemców. Przymuszczalnie autorem fotografii był niemiecki oficer,  
wskazuje na to jakość zdjęcia i materiał fotograficzny.



*Miastko, 1964. Od lewej: Maryla Rękas, Alicja Maziejuk,  
Halina Dąbrowska, Czesław i Ada Dominowie.*



*Miastko. Odwiedziny Janka,  
Haliny i Leszka Dąbrowskich.*



*Miastko, 1963. NOT zorganizował Bal Karnawałowy. Ada Domin i Stanisław Łysiak.*

Natomiast z czasów pomieszkiwania u państwa Barczew-  
skich w Miastku miałem zreprodukowane wówczas fotografie An-  
toniego Barczewskiego w towarzystwie jego ojca, oficera sprzed



I wojny światowej w rosyjskim mundurze. Nie pytałem o okoliczności i miejsce wykonania zdjęcia, zauroczony obrazem z przeszłości, obiecując sobie rozmowę za jakiś czas. Młodość! Młodość, wydaje się jej, że na wszystko ma czas, o wszystko zdąży zapytać. Spozstrzeża niebawem, że nastąpił koniec świata, bo odeszli ci, którzy byli jak granitowe jego podpory. Nic nie wiem, nie zdążyłem zapytać o przeszłość, zbyt mocno pochłonięty teraźniejszością.

W latach osiemdziesiątych dzięki uprzejmości długoletniej znajomej, Joanny Gil-Ślebody, obejrzałem album podarowany jej w Poznaniu, kiedy studiowała leśnictwo, przez Tadeusza Więclawskiego, który w okresie międzywojennym na Polesiu budował drogi i jako fotoamator robił zdjęcia miejscowym, szczególnie dzieciakom. Czytałem z tych fotograficznych zapisków losy biednych ludzi, którzy w okresie wojny przeżyli koszmar zsyłek na Sybir, a po wojnie musieli opuścić rodzinne tereny, bo taka była wola zwycięskich mocarstw Europy.

Szczególną wagę mają zdjęcia - dokumenty. Fotografia, na której widać dwoje dzieci z główkami wychylonymi przez maleńkie okienko bydlęcego wagonu, dokumentuje akcję wywózki polskich rodzin spod Grodna 13 czerwca 1940 roku, czyli w czasie tak zwanej czwartej deportacji.

Kolejna przedstawia zimowy pejzaż z trójką dzieciaków w polu zajętych jedzeniem czegoś, co udało się wygrzebać spod śniegu. Głód w rodzinach kołchoźników był powszechny, a ta fotografia pochodzi z 1940 roku.

Fotografie nie weszły do albumu „Dziecko” ze względu na trudności z ustaleniem praw autorskich. Podobnie rzecz się miała w przypadku ponad osiemdziesięciu innych fotografii. Dura lex sed lex. Amen.

Stare fotografie spełniły jednak ważne zadanie. Kontakty z panią Joanną, rozmowy o ich losach, a przede wszystkim o lasach przedstawionych na nich bohaterów były ożywym impulsem naszej znajomości.

Joanna Gil-Śleboda jest niestrudzoną popularyzatorką twórczości Anny ze Zmudów-Trzebiatowskich Łajmingowej, pisarki dokumentującej w prozie wspomnieniowej losy kaszubskich rodzin przed i po wojnie światowej.

„Obok siebie, w tym samym domu, mieszkały kaszubska rodzina katolików - Polaków Trzebiatowskich i ewangelików - Niemców Heringów: przed domem wiecznie krzatali się nasi sąsiedzi, Heringowie, Niemcy, z którymi mieszkaliśmy w jednym domu. Między sobą mówili gwarą niemiecką, a z nami po kaszubsku. Bardzo

dobrze po kaszubsku mówił Hering, który pochodził z Gochów. Byli to ludzie już starsi. Zajmowali północne skrzydło domu, my południowe.” - pisze Anna Łajming w pierwszej części pamiętnikarskiej trylogii zatytułowanej „Dzieciństwo”.

Wszystko zaczęło się wówczas, gdy pani Joanna w 1981 roku zorganizowała spośród mieszkańców wsi Zapceń w gminie Lipnica grupę teatralną „Bëleco” i przygotowała widowisko teatralne na podstawie „Koniczyny czterolistnej” Anny Łajming. Co roku w repertuarze grupy pojawiała się nowa inscenizacja na podstawie twórczości pisarki, w tym „Gdzie jest Balbina?” W 1986 roku grupa „Bëleco” pokazała w Słupsku premierowe przedstawienie „Szczęście w domu”. W tym samym roku specjalnie dla nich Anna Łajming napisała z przeznaczeniem na scenę „Spotkanie na Półmacku”. Zażyłość autorki z artystami amatorami była tak wielka, że pisarka zaprosiła ich do własnego domu.

Natomiast - „Do gościnnego domu państwa Wiery i Juliana Łuszkiewiczów w Słupsku przyjeżdżam (przynaję, niezbyt często), żeby spotkać się z moją ukochaną pisarką - panią Anną Łajming. Znamy się już wiele, wiele lat, od czasu, kiedy działał w Zapceni teatru Bëleco, który w swoim repertuarze miał głównie utwory pani Anny. Teatru już nie ma moja przyjaźń z pisarką, w lipcu obchodzącą 99. urodziny, przetrwała.” - pisała pani Joanna Gil-Śleboda, dziennikarka „Pomeranii” w wywiadzie drukowanym w numerze pisma 4-5 z 2003 roku.

W 1992 roku Joanna Gil-Śleboda została redaktorem naczelnym „Gazety Bytowskiej”. O życiowych i zawodowych związkach z Kaszubami i opowiada w „Pomeranii” w wspomnieniu „Poznanie Kaszub trwa” („Pomerania nr 10/1992”). Nasza współpraca miała zawodowy charakter, dostarczałem pani Joannie serwis zdjęciowy zarówno z jej działalności teatralnej, jak i dziennikarskiej. Pamiętałem o jej teatrze, nie ostatnim, bo później powstawały nowe - dziecięce i młodzieżowe grupy teatralne - tam, gdzie ze względów zawodowych mieszkała. Ten pierwszy pozostał jednak najważniejszy.

„29 listopada w Zapceni spotkali się dawni i obecni aktorzy zespołu teatralnego „Bëleco”. Dzięki zapiskom kronikarskim dowiedzieli się, że pierwszy występ miał miejsce 14 lutego 1981 roku. W spotkaniu udział wzięła Joanna Gil-Śleboda, która 27 lat temu założyła grupę. Przedstawiła film „Elementarz, czyli jak przed laty dziateczki na Pomorzu uczone” oraz film przedstawiający sztukę „Szczęście” Anny Łajming, którą zespół wystawił... kilkadziesiąt lat temu w MDK w Bytowie. Obecnie zespołem kieruje Irena Lew-

Kiedrowska z Zapcenia.” - donosił „Głos Lipnicki” nr 11 z listopada 2008 roku.

Na ulicy Anny Łajming w Słupsku (od 2005 roku) pędzą jak zwykle samochody, przechodnie odwiedzają nowe siedziby banków i luksusowe butik, i prawie nikt nie pamięta, że ulica przez wiele lat nosiła imię „9 Marca”. Natomiast Joanna Gil-Śleboda, inżynier leśnictwa z zawodu, pasjami i energią potrafiłaby obdzielić wielu. Myślę o niezwyklej przyjaźni obu pań, o ich wspólnym zauroczeniu kaszubskim życiem, kulturą, która odzyskuje należne jej miejsce, myślę o tym, ilekroć idę ulicą Anny Łajming w Słupsku.

Przemierzałem pomorskie wsie i miasteczka z aparatem fotograficznym, jak nałogowiec - nie umiałem patrzeć inaczej niż przez obiektyw. Tylko ten sposób widzenia wydawał mi się sensowny, jeśli powstawał jego fotograficzny zapis.

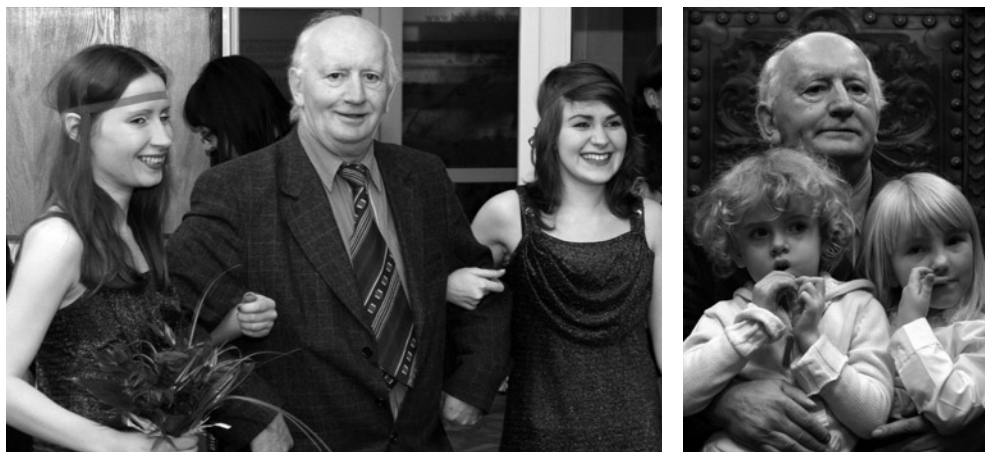
W losach wiejskich dzieci widziałem własne wczesne sieroctwo, wojenne krzywdy, pracę ponad siły, powojenną tułaczkę, stracone szanse. Los biednych dzieci wszędzie i zawsze jest taki sam, na Podlasiu i w pegeerach na zachodzie. Dlatego dzieci zawsze były w kręgu moich fotograficznych zainteresowań. Dystans czasu wyznaczały nowe zabawy, jakich kiedyś nie znaliśmy, bo - na przykład - nie było pistoletów na wodę.

Nadzieje na lepszy los okazały się płonne, a czas peerelu nie sprzyjał okrzepnięciu i rozwojowi samodzielności. Pegeerowskie deputaty na mleko, ziemniaki, opał zapewniały podstawowe potrzeby. Powszechne hasło „czy się stoi, czy się leży dwa tysiące się należy” wyznaczało sposób trwania na państwowym garnuszku. Kiedy nadeszła transformacja, za zgodą pracowników, którym obiecano odprawy i „kuroniówki”, pegeery zlikwidowano. Pieniądze rozeszły się szybko. Starsi dostali zasiłki przedemerytalne, emerytury, mieli możliwość dotowanego wykupu zajmowanych mieszkań. Młodzi pozostali bez szans na pracę, mieszkanie, rozwój. Popegeerowskie wsie wymierają, pustoszeją. Jaki los czeka wiejskie dzieci?

Również takie okoliczności uwzględniałem, zbierając materiały do albumu „Dziecko”. Publikacja powstawała pod patronatem Starostwa Powiatowego w Słupsku. W skład zespołu redakcyjnego weszli: Wiesław Wiśniewski, który opatrzył publikację tekstem, Tadeusz Martchewicz oraz redaktor albumu Zbigniew Babiarsz-Zych. Komentarze do zdjęć przygotowali Jolanta Węglarz-Nitkowska i Zbigniew Babiarsz-Zych. Wydawcą stutrzydziestoczyt stronicej publikacji zawierającej sto czterdzieści osiem fotogramów, spiętej twardą oprawą było Wydawnictwo „Unigraf” należące do Józefa Kloski. Album był w sprzedaży w 2010 roku.

Autorski benefis zorganizowała Miejska Biblioteka im. Marii Dąbrowskiej w Słupsku kierowana przez panią Teresę Gawlik, przy osobistym wkładzie pani Danuty Sroki, kierowniczką Działu Informacji i Promocji.

Byłem zaskoczony i wzruszony przygotowaną fetą. Dwie prześliczne dziewczyny zaprowadziły mnie do miejsca, gdzie stał



Fot. S. Żabicki

*Słupsk, rok 2010. Miejska Biblioteka Publiczna im. Marii Dąbrowskiej we współpracy ze Starostwem Powiatowym w Słupsku zorganizowała promocję albumu „Dziecko w fotografii Jana Maziejuka”. Organizacja imprezy i sposób uhonorowania autora albumu bardzo go wzruszyły.*

królewski hotel, wypożyczony na tę okazję z muzeum. Gdyby miał zapadnię, na pewno bym ją uruchomił, tak czułem się zakłopotany. Jedynie dzieci, które siadły na moich kolanach, dodawały mi odwagi. Między ich główkami widziałem pełną gości salę. Redaktorzy wszystkich lokalnych gazet, fotoreporterzy, wydawca Jozef Kloska, fanki z Anglii i Francji, koledzy ze Słupskiego Towarzystwa Fotograficznego w siwych czuprynach.

- Boże! jak ja to przeżyję?- tylko tę myśl miałem w głowie. Za oknem listopadowy chłód, a na sali wypełnionej do ostatniego miejsca - gorąca atmosfera. Jest redaktor Zbigniew Babiarez-Zych. Powoli opadały emocje, docierały do mnie rozmowy; uśmiechy, zdjęcia z albumu z rzutnika na dużym ekranie tworzyły przyjazną atmosferę. Konrad Remelski wspominał wspólne reporterskie przygody. Zbyszek Majrowski i Wiesław Wiśniewski opowiadali o latach wspólnej pracy. Jeszcze raz uświadomiłem sobie, co wielokroć podkreślałem, moje sukcesy należą do całego środowiska dziennikarskiego naszego regionu. Byłem dumny, że byłem, jestem wśród nich, cieszyłem się ich przyjaźnią. Artyści z kabaretu DKD uświetnili nasze spotkanie, a dali z siebie wszystko, gdy się dowiedzieli, że jestem Podlasiakiem.

W spotkaniu wziął udział prezydent Słupska Maciej Kobyliński. Miał dla mnie wyjątkowy prezent- medal pamiątkowy wybitny z okazji 700- i 745-lecia lokacji i relokacji miasta. Medal przyznaje kapituła, która, jak oznajmił pan prezydent, nie miała wątpliwości przy mojej kandydaturze.

Mam już swoje lata i doświadczenie spotkań autorskich, ale to przeżycie było wyjątkowe. Otrzymałem wiele gestów sympatii i przyjaźni. Pozostanę dłużnikiem szukającym sposobu wdzięczności.

Otrzymałem wyrazy sympatii od osób prywatnych. Ze wzruszeniem czytałem list od pani Ireny Żydyk z Żelkowa w gminie Głowczyce.



*Plakat promujący album „Dziecko w fotografii Jana Maziejuka”.*



*Medal pamiątkowy Jubileuszu Miasta Słupska przyznany Janowi Maziejukowi.*

Żelkowo 12.12.2010 r.

Szanowny Panie Janie,

Ne wiem czy uda mi się przelać na papier  
moje myśli, które ogarnęły mnie po obejrzeniu  
Pana Albumu „Dziecko”

Oglądając przepiękne, naturalne pozy dzieci,  
odkryłam swoje dzieciństwo na wsi, z dala od zgiełku,  
huku, hałasu i zgiełku pracy. Jakże bliskie są  
mi Janie fotografie i te kochane dzieciaki.

Sledząc fotografie - n  
życie dzieci lat 60-70  
ale zarazem bardzo  
„Dzieci” cieszyły się  
porzuconym kołem,  
było na  
dziś!



100/14  
1.10.10  
9.  
11/75  
100

Szanowny Panie Janie,

Nie wiem czy uda mi się przelać na  
papier moje myśli, które ogarnęły mnie  
po obejrzeniu Pana albumu „Dziecko”.  
Oglądając przepiękne, naturalne pozy  
dzieci, odkryłam swoje dzieciństwo na  
wsi, z dala od zgiełku, huku, hałasu i w  
ciszy. Jakże bliskie są mi Pana Fotografie  
i te kochane dzieciaki.

Śledząc fotografie - myślę - jak mą-  
dre było Życie dzieci lat 60-70, chociaż było ono i trudne, ale zarazem bardzo  
szczęśliwe, beztroskie, radosne. Dzieci cieszyły się wszystkim - znalezionym paty-  
kiem, porzuconym kołem, kromką chleba z masłem i co było najważniejsze, to, że  
szanowały rodziców, dziadków i siebie. Dzieci pracowały, a niekiedy i bardzo ciężko.  
Praca często kształtowała ich charakter, rozwijała fizycznie i umysłowo, gdyż przez  
pracę i człowiek zdobywa najwięcej. Urodziłam się, wychowałam i pracowałam na  
wsi. Ceniłam to i cenię obecnie.(...)

Dziecko zawsze działało na mnie i nadal działa jak najsmaczniejszy kąsek -  
rarytas, jak słońce, które nas rozpala, jak pachnący kwiat.(...)

Jeszcze raz b.b. dziękuję i życzę długich lat życia i niech Pana Fotografie będą  
najlepszą historią owego świata, życia i ludzi.

Z poważaniem Irena Żydyk

Miły list, a Państwo Irena i Michał Żydykowie byli wiernymi  
czytelnikami książek wydawanych z moim udziałem.

\*\*\*

W województwie pomorskim jest ich ponad dwieście trzydzie-  
ści<sup>23</sup>. W powiecie słupskim wymienia się ponad sto trzydzieści, al-  
bum „Pałace i dwory ziemi słupskiej” przedstawia 47 obiektów, łącz-  
nie z najcenniejszym - Zamkiem Księżąt Pomorskich w Słupsku.  
Fotografowałam je przy różnych okazjach, ale dla potrzeb wydaw-  
nictwa w ciągu czterech ostatnich słonecznych październikowych  
dni 2011 roku przejechałam ponad siedemset kilometrów, by sfo-  
tografować aktualny stan wybranych do albumu obiektów. Miałem  
też zdjęcia wykonane wcześniej, gdy ich stan nie był najgorszy.

23 Marek W. Kozak: „Dwory, pałace i zamki - kosztowne pamiątki czy zasób w rozwoju”,  
[w:] Studia Regionalne i Lokalne nr 2(32)/2008).

Ich powojenny los najczęściej związany był z państwowymi gospodarstwami rolnymi, kiedy władza przejmowała „ziemie odzyskane”, by zapewnić byt i dach repatriantom i przesiedleńcom skierowanym tu wyrokiem kształtujących historię mocarstw. Mieściły się w nich biura, szkoły, mieszkania prywatne, rzadziej placówki kultury. Przemiany ustrojowe lat 80. i 90. po raz kolejny odbiły się na ich losie.

W województwie śląskim wojewoda (1991 - 1993) Wiesław Rembieniński przygotował obiekty do prywatyzacji. Otrzymałem wówczas zlecenie na wykonanie zdjęć pałaców i dworów na terenie ówczesnego województwa śląskiego do wydawnictwa reklamowo-folderowego. Niestety, pomysł sprzedaży nie powiódł się. Udało się sprzedać niemal za bezcen kilka obiektów. W kilku przypadkach okazało się, że nowi właściciele przeliczyli siły. Pałac w Wytownie jako własność prywatna popada w ruinę, pięknie posadowiony w starym parku pałac w Objeździe od 1993 roku czeka na remont. Inne obiekty pozostawione same sobie zmieniły się w gruzowiska. Dlatego nowe wydawnictwo „Pałace i dwory ziemi śląskiej” wydane wspólnie przez Starostwo Śląskie i Towarzystwo Opieki nad Zabytkami Oddział w Śląsku było ważne z wielu względów. Przetrawianie zabytkowych obiektów, wymagających remontów, środków finansowych na bieżące utrzymanie wcale nie jest proste. Mimo to w powszechnym myśleniu o ekskluzywnych pamiątkach przeszłości przeważa nowe spojrzenie. Nie traktujemy ich niechętnie czy wręcz wrogo jako dóbr upamiętniających inną niż piastowską i polską kulturę. Polityczna stabilizacja, obecność w Unii Europejskiej tworzą nową perspektywę i możliwości. Takie opinie przeważały po ukazaniu albumu „Pałace i dwory ziemi śląskiej”.

Czy moja społeczna praca polegająca na zapisaniu na fotografiach piękna ocalałych zabytków dawnej kultury materialnej Pomorza przyczyni się do ich ocalenia? Czy album pozostanie tylko pamiątką, świadectwem ich istnienia? Może tytuł powinien brzmieć „Jesień zabytków?”.

Nowe czasy, gdzie wszystko mierzy się efektem ekonomicznym, nie wróżą optymistycznie. Zgadza się, bym nie miał racji. Pomyłkę przyjąłbym z satysfakcją.



Okladka albumu „Pałace i dwory ziemi śląskiej”  
ze zdjęciami Jana Maziejuka.

W 2010 roku Konradowi Remelskiemu przekazałem ponad dwa tysiące negatywów (6x6) fotografii wykonanych w Miastku w latach 1960 - 1970. Mieszkałem wówczas i pracowałem w tym dziesięcioletnim miasteczku nad Studnicą na Pojezierzu Bytowskim. Fotografiałem w sposób zupełnie amatorski, traktując ją jak pasjonujące hobby. Utrwalałem na światłoczułej kliszy obrazy codzienności - wydarzenia, ludzi, sytuacje, architekturę, krajobrazy. Zachowało się blisko dwieście sześćdziesiąt zdjęć.



*Okładka albumu  
„Miastko wczoraj i dziś”.*

W kwietniu 2012 roku Centrum Informacji Turystycznej zorganizowało wystawę w nowej siedzibie - w Bramie Kaszubskiego Pierścienia (Program organizacji i rozwoju turystyki - Brama Miastko jest miejscem o istotnym znaczeniu i możliwościach rozwojowych jako węzeł komunikacyjny na skrzyżowaniu dróg krajowych 20 i 21, główna droga w kierunku Bytowa - centrum Kaszubskiego Pierścienia).

Organizatorom kulturalnego przedsięwzięcia bardzo zależało na mojej obecności, ponieważ na wystawie prezentowano przekazane przeze mnie fotografie, ja natomiast czułem się wzruszony. Miło będzie odbyć sentymentalną podróż do Miastka, spotkać dawnych znajomych i wspominać.

Zastałem salę wypełnioną do ostatniego miejsca, wśród gości było wielu moich znajomych. Jaka miła niespodzianka! Towarzyszyło mi odkrycie niby oczywiste, ale zaskakujące - jak się wszyscy zmienili! Pewnie ja też! Głowy posiwiały, przybyło zmarszczek, ale spojrzenia pozostały jasne i szczerze. Powracały wspomnienia wspomagane fotografiami odbitymi na dużym ekranie. Wystawa była elementem promocji wydawnictwa albumowego „Miastko wczoraj i dziś”, w którym zamieszczono sto osiem moich fotografii wybranych przez Konrada Remelskiego. Obok siebie znalazły się dawne czarno-białe zdjęcia i kolorowe, przedstawiające te same miejsca z dzisiejszej perspektywy.

„Album „Miastko wczoraj i dziś” jest opowieścią zapisaną na światłoczułej kliszy fotograficznej, która wymagała „obrobienia” w atelier przy pomocy powiększalnika i odczynników chemicznych. Jakość fotografii zależała nie tylko od artystycznego widzenia rzeczywistości: kompozycji kadru, ujęcia, planów, wreszcie anegdoty



wynikającej z obrazu. Końcowy efekt wymagał pracy laboratoryjnej, gdzie można było dokonać niewielkiej korekty ostrości i nasycenia barwą. Dawne zdjęcia były na ogół czarno-białe, ale w tym tkwiła ich poetycka siła. Wyzwały wyobraźnię odbiorcy niedopowiedzeniem, zachęcały do odnajdowania barw. Jest takich fotografii w albumie „Miastko wczoraj i dziś” wiele, z lat sześćdziesiątych i późniejszych. Stanowią o wartości anegdotycznej podróży w przeszłość, kiedy rzeczy proste, wspólna praca i zabawa miały wartość” - pisała Czesława Długoszek, recenzentka wydawnictwa dla „Powiatu Słupskiego”.

Fotografie opatrzone komentarzami Konrada Remelskiego, w których przedstawiał osoby, ich losy, miejsca, zmiany ich funkcji - zyskały własną historię. W ten sposób publikacja promująca miasto zyskała walor osobisty. Najnowsza historia Miastka została opowiedziana losami jej mieszkańców.

Wspomnieniom nie było końca. Opowiadałem pytany przez młodych o przygodach z fotografią. Ludzie rozpoznawali się na zdjęciach, podchodzili do mnie, wspominając szczegóły.

- Panie Janku, o, ten chłopczyk na nocniku w przedszkolu numer jeden - tam pracowała pana żona - prawda? - ten chłopczyk, wie pan, to mój syn. Został marynarzem. Pływa jako kapitan jednostek morskich, opłynął już chyba cały glob, pod różnymi banderami.

- Ta dziewczynka - panie Janku - jaka ładna nawet na nocniku, to moja żona - trochę wydorosłała - żartuje mój rozmówca.

Miastecka młodzież przygotowała program artystyczny. Przeplatały się obrazy z fotografii, rozmowy, wiersze, piosenki i wspomnienia - do późnej nocy.

Do domu wracałem starym, ale niezawodnym mechanicznym rumakiem, czyli staruszka skodą. Miałem o czym myśleć po drodze.

\*\*\*

Od kilku tygodni wspólnie z panią Danutą Sroką z Miejskiej Biblioteki im. Marii Dąbrowskiej w Słupsku przygotowujemy album „Fotografia chłopów pomorskich”.

Od dawna, właściwie od lat 1983 - 1984, było moim marzeniem wydać album autorski o wsi. Zaczęło się od konkursu fotograficznego „Nowej Wsi”. W 1983 roku, 22 maja, redakcja „Nowej Wsi”, ilustrowanego magazynu młodzieży wiejskiej we współpracy z pismem „Fotografia” oraz Polskim Towarzystwem Historycznym i Związkiem Polskich Artystów Fotografików ogłosiła ogólnopolski konkurs pod nazwą „Fotografia polskiej wsi do roku 1944”. Jednocześnie apelowała do wszystkich związanych sercem z polską wsią

o nadsyłanie zdjęć. Zakres tematyczny był bardzo szeroki. Na konkurs wpłynęło sześć tysięcy zdjęć. Raz w miesiącu „Nowa Wieś” publikowała rozkładówkę z nadesłanymi zdjęciami. Wśród publikowanych były i moje reprodukcje wykonane na podstawie rodzinnych archiwaliów mieszkańców pomorskich wsi przesiedlonych tu z Kresów i innych regionów Polski bądź kaszubskich chłopów.

Od lat fotografowałem wieś i jej mieszkańców w różnych sytuacjach codziennych i odświętnych z racji wykonywania zawodu fotoreportera „Zbliżeń”. Byłem również sympatykiem i uczestnikiem uroczystości organizowanych przez Związek Młodzieży Wiejskiej. W 1982 roku z Człuchowa do Słupska przeprowadził się Stanisław Kądziela, który do 1989 roku był wiceprzewodniczącym Zarządu Wojewódzkiego ZMW i wiceprezesem ZW PSL. Byłem zapraszany do obsługi fotoreporterskiej uroczystości związkowych, imprez organizowanych wspólnie z mieszkańcami wsi. W czasie spotkań z młodzieżą i seniorami promowałem idee konkursu „Nowej Wsi” i zachęcałem do wysyłania zdjęć.

Kiedy byłem przejazdem w Lęborku, zawsze rezerwowałem sobie czas na spotkanie z Janem Andrzejem Guzkiem (1939 - 2012), nauczycielem - polonistą, poetą. Pochodził ze Lwowa, a w rodzinnym archiwum miał fotografie chłopów z niegdysiejszej Galicji, dawnego zaboru austriackiego. Uległ moim namowom, wysłał na konkurs kolekcję zdjęć dziadka. Otrzymał za nie specjalną nagrodę.

Byłem w stałym listownym kontakcie z Marią Bijak, kierownikiem Działu Łączności z Czytelnikami. Dwa lata później w 1985 roku w Narodowej Galerii Sztuki „Zachęta” odbyła się pokonkursowa wystawa, której kuratorkami były panie Aleksandra Garlicka i Maria Bijak. Wystawie towarzyszył numer specjalny „Nowej Wsi”. Artykuły omawiające wystawę weszły do wydanego w 1993 roku albumu „Fotografie chłopów polskich” pod redakcją Aleksandry Garlickiej i Marii Bijak.

W pracy magisterskiej „Rodzinna fotografia chłopstwa. Antropologiczne spojrzenie na chłopską fotografię polską i francuską od końca XIX wieku do lat 30. XX wieku” (UW i Sorbona) z sierpnia 2011 roku, jej autorka, Urszula Sławiec cytuje wypowiedź Wiesława Myśliwskiego:

„Dałoby się tę kolekcję fotografii porównać do starych chłopskich cmentarzy. (...) W planie wielkości rangi ta kolekcja jest dla mnie takim wielkim cmentarzem chłopskiej kultury”<sup>24</sup>.

24 Urszula Sławiec: „Rodzinna fotografia chłopstwa. Antropologiczne spojrzenie na chłopską fotografię polską i francuską od końca XIX wieku do lat 30. XX wieku”, [w:] (<http://pl.scribd.com/doc/87207616/22/Fotografie-konkursowe-Opis-powstawania-zbioru-i-dyskusja-woko-niego>).

12 lipca 1985 roku o godzinie 12:00 byłem w warszawskiej „Zachęcie”, korzystając z zaproszenia na otwarcie wystawy. Otrzymałem nagrodę w wysokości 3 tysięcy zł za promocję konkursu. Nigdy nie zapomnę tamtych wrażeń. Wystawa była imponująca. Kilkanaście zdjęć formatu 1x2 m oświetlonych punktowo stanowiło kontrapunkty kolejnych ekspozycji. Portrety, sylwetki ożywały w wyobraźni. Kolejne wystawy i prezentacje fotografii zawsze porównywałem do tamtej, jak do wzorca.

Po dwóch tygodniach, przy okazji służbowego wyjazdu do Warszawy, poszedłem znów do „Zachęty”. Opadły pierwsze emocje, nie było wernisażowego gwaru. Mogłem obejrzyć wystawę, zdjęcia opowiadały historię osób i rodzin, a ja odnajdowałem świat własnego dzieciństwa w odświeżonym wydaniu. Zrozumiałem wówczas, że fotografia poza opisem odchodzącego świata chłopskiej kultury opowiada losy konkretnych osób, bliskich mi przez doświadczenie wiejskiego życia. Między światem przedstawionym na fotografii, a rzeczywistością dawną i współczesną trwa ciągły dialog. Bliskie życiu zdjęcia, utrwały ważne chwile rodzinne, jednostkowe, zbiorowe, a okazały się trwalsze niż pamięć. Teraz mają wartość materialnego dokumentu istnienia.

„Wystawa Fotografia chłopów polskich otwarta w lipcu 1985 roku w warszawskiej Zachęcie, uświadomiła wagę i zasięg zjawiska. (...) Swoistość tego zjawiska może być określona dopiero po zbadaniu funkcji fotografii, wydobyciu aspektu nie tylko ikonologicznego, ale w pierwszym rzędzie semiotycznego. Poznanie wielości tych funkcji, określenie ich podstawowych typów, może dopiero stanowić przesłankę mówienia o fotografii chłopskiej jako względnie jednorodnym zjawisku kulturowym, którego istotę można uchwycić przez odniesienie do zjawisk w kulturze chłopskiej analogicznych, zjawisk tej samej skali.” - pisał Roch Sulima, antropolog kultury, recenzując wystawę.

Zawodowa współpraca z Marią Bijak przerodziła się w koleżeńską zażyłość, wreszcie w przyjaźń z rodziną mojego brata Henryka. Pani Maria pracowała w Zarządzie Głównym ZMW w Komisji Rady Dziewcząt. W tym czasie Halina Maziejukowa, żona

Ministerstwo Kultury i Sztuki  
Redakcje „Nowa Wieś” i „Fotografia”  
Związek Polskich Artystów Fotografików  
Centralne Biuro Wystaw Artystycznych  
Polskie Towarzystwo Historyczne

uprzejmie zapraszają  
na otwarcie wystawy

## *Fotografia chłopów polskich* (do 1944 r.)

Zdjęcia z archiwów rodzinnych, nadesłane na konkurs „NOWEJ WSI” i „FOTOGRAFII”

12 lipca 1985 r. o godz. 12-ej  
Warszawa, Zachęta  
Plac Małachowskiego 3

Rodzina Wawrzyniaków ze wsi Naramice w Sieradzkim, 1935 r. Zdjęcie wykonane przez wędrownego fotografa. Nadesłała Leokadia Wawrzyniak. II nagroda.

Drukarnia „KOBIS” Legionowo, ul. Batorego 18

*Zaproszenie na otwarcie wystawy „Fotografia  
chłopów polskich (do 1944 r.)”.*



*Słupsk. Podczas promocji albumu „Fotografia chłopów pomorskich”. Na dołnym zdjęciu, od prawej: Aniela i Marian Mączkowscy, Halina Priadko z domu Łyszyk, Jan i Alicja Maziejukowie.*

Henryka, pełniła funkcję przewodniczącej Rady Dziewcząt województwa olsztyńskiego. Obie panie znały się i ceniły. Przyjaźń przetrwała lata. Spokalełem Marię Bijak raz czy dwa, ale jej los zawsze mnie interesował. Halina wiedziała o mojej dla niej sympatii, dlatego w prywatnych rozmowach pojawiał się i ten wątek. Teraz to już tylko opieka Halki nad grobem Marii Bijak, ale proszę zawsze o lampkę ze światłem dla Niej ode mnie.

Od czasu wystawy w „Zachęcie” nosiłem się z zamiarem publikacji albumowej „Rolnik polski”. Przez lata gromadziłem fotografie. Dlatego kiedy w 2011 roku pani Danuta Sroka, córka pomorskiej chłopskiej rodziny, wystąpiła z inicjatywą przygotowania „Fotografii chłopów pomorskich” i zaprosiła mnie do współpracy, byłem dumny i szczęśliwy. Oboje rozumieliśmy potrzebę opisaną fotografią odchodzącego na naszych oczach chłopskiego świata. Integracja z UE, zmiany ekonomiczne i kulturowe tworzą nowy obraz wsi. To ostatni moment, by utrwalić obrazy, ocalić dawne fotografie.

Przez dwa lata sztab profesjonalistów - etnografów, fotografików, publicystów przeglądał tysiąc fotografii, z których wybrano 365, w tym 132 z moich zasobów, wśród

których 41 pochodziło z okresu mojej pracy z „Zbliżeniach”. Ponadto do publikacji włączono fotografie przekazane przez mieszkańców regionu. Publikacja wydana przy wsparciu finansowym Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Starostwa Powiatowego w Słupsku oraz Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie była również spełnieniem moich osobistych pragnień.

Promocja albumu „Fotografia chłopów pomorskich” odbyła się 6 grudnia 2012 roku w samo południe w stylowych wnętrzach gościńca „Młyn Słupski”. Olbrzymia sala wypełniła się gośćmi, wśród których spotkałem Helenę Łyszyk, koleżankę z wieczorówki z Miastka. Po mężu nosi nazwisko Priadka, mieszka obecnie w Koszalinie. Spotkanie po czterdziestu trzech latach! A ona - chociaż jest już babcią - jak dawniej urodziwa. Marian Mączkowski z żoną Anielą i córkami Beatą z mężem Leszkiem oraz starszą Jolą - swoją obecnością sprawili mi wielką radość. Oczywiście nie zabrakło moich najbliższych - Aliny i syna Roberta. W takim gronie można było powspominać dawne lata.

O roli albumu napisała do mnie list nieoceniona Irena Żydyskowska. Jej wrażenia będą dobrym świadectwem odczuć wielu.

*Żelkowo, 8.12.102.*

*Panie Janie! Minęło kilka dni od uroczystej promocji albumu „Fotografie chłopów pomorskich”, a ja nadal jestem pod ogromnym jego wrażeniem. Niemal codziennie przeglądam stronicę po stronicy i myślami wracam do dawnych lat przeżytych wśród takiej scenerii, jaką ukazują fotografie.(...) Wróciły wspomnienia z dzieciństwa na wsi. Wrócił obraz mych dziadków i rodziców. Zobaczyłam, jakby to byli żywi ludzie, którzy mnie otaczali. Zdałam sobie sprawę, jak wielcy byli ci ludzie. (...) Nie narzekali, że im ciężko, nie mieli na to czasu. Przecie byli u siebie. Często też rozważali - czy będziemy tu długo, czy znów nas nie przegonią i będziemy musieli opuścić domy? (...)*

*Bardzo ujęła mnie wypowiedź Pana Zbigniewa Babiarza-Zycha. Były to ważne, wielkie słowa o chłopie. Nigdy i nigdzie nie słyszałam tak ciepłych słów pod adresem naszego pomorskiego chłopca. Dziękuję mu za to.(...)*

*Panie Janie! Dziękuję Panu jeszcze raz. Jest Pan prawdziwym „skarbem” utrwalając swym cudownym aparatem wszystko, co nas otacza, a przede wszystkim człowieka i jego otoczenie. Pana Fotografie to prawdziwa, żywa historia. Śledzę Pana prace i cieszę się, że jest człowiek, który rozumie drugiego człowieka. (...)*

*Zbliżają się święta Bożego Narodzenia i Nowy, już 2013 rok. Z tej okazji życzymy Panu i całej Rodzinie zdrowia, radości. (...)*

*Z szacunkiem  
Irena i Michał Żydyskowie*

Dorosły nam dzieci. Cieszyłem się obecnością Roberta na promocyjnej uroczystości. Żałowałem, że nie było Bogdana, ale on zawsze chodzi własnymi ścieżkami. Może jest w tym nieco naszej winy? Kiedy pojawił się Robert, zbyt szybko uwierzyliśmy w dojrzałość Bogdana. Piętnaście lat różnicy - wydawał się przy maluchu taki dorosły! Nie wyszło mu z technikum, nie bardzo wiem dlaczego. Przecież był zdolny i bystry. Po szkole zawodowej pracował



*Słupsk. Bogdan  
Maziejuk i jego  
żona Tatiana oraz  
goście weselni.*

w słupskiej „Kapenie” jako mechanik, później obowiązkowa służba wojskowa i powrót na dawne stanowisko pracy.

W tym czasie młodzi pracownicy „Kapeny” zawiązali spółdzielnię mieszkaniową i rozpoczęli budowę domków jednorodzinnych. Bogdan był jednym z nich. Wierzyłem: teraz mu się uda! A on po dwóch latach, gdy wystarczyło wykończyć dom, sprzedał go za psie pieniądze. W ramach zadośćuczynienia sobie i nam zapisał się do szkoły średniej. Po trzech latach otrzymał świadectwo maturalne i został policjantem. W 1996 roku jego żoną została Tatiana. Mieszkają w Reblinku w dwurodzinnym domu, w którym druga, niezamieszkała część niszczeje bez lokatorów. Popegeerowskie mieszkanie poddali kapitalnemu remontowi, ładnie urządzili dom i ogród. Są bezdzietni. Obecnie Bogdan jako czterdziestoparoletni emeryt ma wyższe świadczenie niż ja po czterdziestu pięciu latach pracy. Ma czas na muzykę, kolekcjonuje dobry sprzęt odtwarzający. Po prostu - żyje jak policjant na emeryturze.

Różnica wieku między chłopcami miała wpływ na braterskie więzy. Robert, podobnie jak starszy brat, absolwent słupskiej

„czternastki”, kończył klasy o profilu sportowym i grał od najmłodszych lat w drużynie szczypiorniaka, jak potocznie nazywano piłkę ręczną. Stał na bramce w Mistrzostwach Polski Młodzików w 1992 roku w Krakowie, a słupska drużyna zajęła czwarte miejsce. Rok później w Poznaniu byli na szóstym miejscu.

W tym samym czasie grał również jako bramkarz w drużynie piłki nożnej, kontynuując rodzinną tradycję. Obserwując go na boisku, wspominałem czasy, gdy sam, zapominając o Bożym świecie, oddawałem się pasji sportowej.

Robert miał dobre warunki fizyczne do uprawiania sportu, talent, zacięcie i spryt sportowy. Docenili to jego szkolni trenerzy - Wiesław Kozuchowski i Stanisław Stasiuk. Młodym sportowcem szczypiornistą zainteresował się nawet Daniel Waszkiewicz z pierwszoligowego zespołu „Wybrzeże” Gdańsk oraz drugoligowy



*Słupsk. Robert Maziejuk zorganizował studio radiowe w domu.*

zespół „Gwardia” Koszalin. Po turnieju młodzików Robert został powołany do reprezentacji krajowej.

Byliśmy dumni z syna i jednocześnie drżeliśmy ze strachu, że opuści dom, zwabiony mirażami sportowej sławy. Tym bardziej, że wyniki na świadectwie szkoły podstawowej okazały się niewystarczające do zdobycia miejsca w technikum o profilu elektryczno-elektronicznym. Dlatego Robert został uczniem szkoły zawodowej o profilu mechanik. Wytrzymał niespełna dwa lata i... w drugiej

Poznań 1993.  
Drużyna SP 14  
ze Słupska wraz  
z trenerem na  
Mistrzostwach Polski  
Młodzików w Piłce  
Ręcznej. Zawodnikiem  
drużyny na pozycji  
bramkarza był Robert  
Maziejuk (pierwszy  
rząd, trzeci od lewej).



klasie, po półroczu został skreślony z listy uczniów za wagary, mimo że codziennie odwoziłem go do szkoły.

W tym czasie rozwijał pasję radiowca, do czego przyczyniłem się kupując mu radio sibi najnowszej generacji. W piwnicy urządził swoje radiowe królestwo. Zbudował głośniki dużej mocy, które dudniły w całym bloku, a w 1990 roku zbudował radiostację i nadał jej imię „Bruklin”. Jego radio emitowało informacje z podwórka, muzykę oraz koncert życzeń. Pewnego dnia w odbiorniku radiowym w samochodzie usłyszałem jego głos: przesyłał nam życzenia.



Słupsk, listopad 2002. Agnieszka  
i Robert Maziejukowie.



Słupsk, maj 1999. Robert Maziejuk  
z pierwszodnym synem Pawłem.



Elektronika radiowa była pasją Roberta. Przypominał w tym moje fascynacje z jagodnickiego dzieciństwa. Podobnie jak ja kiedyś w Jagodnicy stawiałem maszty, on na balkonie przy bloku postawił siedemnastometrowy maszt z centrum nadawczo-odbiorczym. Jesienią, gdy wiał wiatr, maszt wibrował i brzęczał. A on był szczęśliwy, bo udało mu się nawiązać łączność z tankowcami na wodach przybrzeżnych Australii lub USA. Potwierdzenie sesji łącznościowej odbywało się na specjalnych kartach, które przechowuje do dziś.

Sąsiedzi nie byli pobłażliwi dla jego pasji. Nie obyło się bez skarg i donosów, w końcu doszło do sprawy sądowej. Trzeba było usunąć maszt anteny z balkonu. Ale sprytny chłopak znalazł sposób. Na miejscu zbiorczej anteny telewizyjnej - postawił swoją antenę na krótkim, dwumetrowym maszcie. Mimo to, po kolejnej skardze sąsiadów, zwinąłem jego



*Witkowo, rok 2000. Robert Maziejuk z synem Pawłem sadzi dwa dęby. Jest dom, syni i dąb.*



*Przy okazji wspomniano pierwsze urodziny Pawła i sadzenie dębczaka. Drzewo urosło i syn niemal dorósł. Jak ten czas leci...*



*Wnuczęta Alicji i Jana Maziejuków: Julia, Hubert, Norbert i Paweł.*

majdan z piwnicy i zmieniłem zamki. Koniec. Szlus! Bierzemy się do roboty.

W tym czasie prezes klubu sportowego z Gdańska zaproponował przejście Roberta do jednej z drużyn piłki ręcznej. Obiecał: klub pokryje koszty pobytu Roberta w Gdańsku. Zgodziliśmy się. Nie było wyjścia. Przez dwa lata stał na bramce - najpierw w drużynie juniorów, później w pierwszoligowej drużynie seniorów. Miał dobrą prasę i opiekę klubu. I warunek: nauka w technikum przetwórstwa spożywczego w Oruni. Ale to było ponad jego możliwości, na naukę miał uczulenie. Dlatego musiał wrócić do domu. Wkrótce otrzymał podobną szansę z „Gwardii” Koszalin. Przygoda trwała pół roku.

Wrócił do domu wypalony, zrezygnowany. Pracował jakiś czas jako elektryk i ochroniarz. Wkrótce poznał Agnieszkę, dziewczynę z sąsiedztwa. Pobrali się w 2002 roku. Przez krótki czas mieszkaliśmy razem w naszym trzydziestosześcioletnim mieszkaniu. Dlatego uruchomiłem wszystkie możliwości i w spółdzielni „Nad Śluzami” załatwiłem im podobne do naszego mieszkanie. Na próżno! Oni wybrali wieś.

Znaleźli w Witkowie w gminie Smółdzino niewielkie dwu-hektarowe gospodarstwo i tam postanowili urządzić sobie życie. Agnieszka mogła zająć się hodowlą ukochanych koni i hippiką, a Robert przez jakiś czas pracował w Irlandii i Norwegii. Rodzina się powiększała. W gospodarstwie pojawiły się dwa psy, dwa koty i dzieci: czworo!

Najstarszy, czternastoletni Paweł, szybko zyskał braci - trzy lata młodszego Norberta, a dwa lata później urodził się Hubert. Stawkę zamyka maleńka, siedmioletnia Julia. Jest młodszą od najmłodszego z braci o osiem lat. Mama będzie miała pociechę - w przyszłości, tymczasem przybyło sporo nowych obowiązków, jak to z małżeństwem. Nie powiem, my, dziadkowie, cieszymy się wnukami i z dumą śledzimy ich sukcesy. Cieszymy się, że Robert i Agnieszka odnaleźli swoje miejsce na ziemi. Robert ze swoimi umiejętnościami zyskał sławę miejscowej „złotej raczki”, a Agnieszka zdobyła zaufanie mieszkańców Witkowa, skoro powierzyli jej urząd sołtysa, ważny we wsi od wieków.

Dzieci mają wszystko, co potrzebne - miłość i opiekę rodziców, wygodny dom, w którym zawsze ktoś na nich czeka, podwórko do zabawy i zwierzęta, przy których uczą się odpowiedzialności.

Paweł uczy się w nieodległym Smółdzinie, pięknej wsi gminnej, siedzibie dyrekcji Słowińskiego Parku Narodowego. Jako szóstoklasista wraz ze szklaną drużyną lekkoatletyczną zakwalifikował się do finału „Sportowych Czwartków”. Wyjazd do Warszawy i występ sportowy na obiektach Akademii



*Niepogłędzie, jezioro Głębokie, lipiec 2011.*

*Spływ kajakowy im. Jana Pawła II.*

*Na fotografii (od lewej): Halina Maziejuk  
z wnuczką Ireną Łuczewską i Alicją Maziejuk.*



*Miastko, rok 1960. Od lewej: Czesław Domin, Jurek i Stefan Prochoccy z Gliwic, Alicja Dąbrowska, i dzieci - od prawej Jarek Domin.*



*Słupsk, lipiec 2013. Jerzy Prochocki z Niemiec w odwiedzinach u Maziejuków po 43 latach.*

Wychowania Fizycznego był świetną przygodą. Zapracował na nią treningami w rzutach piłka palantową. Ćwiczył na rozległych polach wokół domu, stosując zamiast piłeczki... polne kamienie.

Norbert, podobnie jak wiele lat temu dziadek, później ojciec, w uczniowskim klubie sportowym stoi między słupkami jako bramkarz. To początek jego sportowej kariery, życzymy mu sukcesów, ale tymczasem niech to będzie mądra i służąca zdrowiu zabawa.

Kiedy wracam pamięcią do swoich dziecięcych lat, myślę ile trzeba było zawziętości i sprytu, rozważgi i szczęścia, by nie ulec złudnym pokusom. Sieroce dzieciństwo, praca ponad siły, doświadczenie domu dziecka - to było wiano, w które wyposażył mnie los. Z tego musiałem zbudować przyszłość. Więc budowałem mozolnie i z uporem, korzystając z życzliwości ludzi, których spotykałem. Pamiętam wszystkich - pana Stanisława Urbaniaka, rocznik 1920, z Kujaw, dyrektora PGR w Kamnicy, który przyjmował mnie do pracy. Tam poznałem Mariana Mączkowskiego, z którym przyjaźnię się całe życie. Serdecznie wspominam Mieczysława Niewiadomskiego z Miastka. Służbową „Skodą” przejechałem z nim setki kilometrów. Pamiętam z dziesięcioletniej współpracy Lucjana Polańskiego i Bogdana Karwowskiego z miasteczkiej FRiOS. Wspierał

moją działalność sportowo-rekreacyjną dla pracowników fabryki. Pod jego dyrekcją czuliśmy się odpowiedzialni za miasteczką fabrykę i nawzajem za siebie. Rekreacyjne wyjazdy nad jezioro w dzisiejszej rzeczywistości nosiłyby miano spotkań integracyjnych.

Potem były słupek lata: nowe wyzwania, doświadczenia, nowi ludzie. Wspominam z przyjaźnią dyrektora „Alki”, Andrzeja Gajosa, głównego mechanika mgr inż. Władysława Kozłowskiego oraz mgr inż. Jana Werbika. W słupek „Konfrontacjach” stawiałem pierwsze kroki w fotoreporterskiej robocie. Rozpocząła się możliwość łączenia pasji i zawodu. Moim guru w dziennikarskim świecie Pomorza Środkowego i przewodnikiem merytorycznym zawodowej fotoreporterskiej działalności był i jest Wiesław Wiśniewski, wieloletni redaktor naczelny „Zbliżeń” i „Głosu Pomorza”. Dla nas wszystkich był to zwariowany czas, owe burzliwe lata przemian i wielkich inspiracji.

Zawsze cieszyłem się przyjaźnią Zbigniewa Babiara-Zycha. Przez dziesięć lat pracowaliśmy razem w „Zbliżeniach”, a od dwunastu lat dzięki niemu mam zaszczyt uczestniczyć w przygotowaniach kolejnych numerów świetnego pisma „Powiat Słupek”. Wokół Zbyszka i z jego inicjatywy przy Starostwie Powiatowym w Słupsku działa grupa wiejskich poetów „Wtorkowe Spotkania Literackie”. Ich publikacje w formie tomików poetyckich subsydiowane są ze stypendiów starosty słupek, a ponadto wydawana jest antologia poezji przedstawiająca dorobek wszystkich twórców. W tym roku wydana została jedenasta antologia pod tytułem „Zagraj skrzypczku (melodię spod lipy)”. Jestem dumny z uczestnictwa w pracach grupy i możliwości obsługi fotoreporterskiej. Moje zdjęcia zarówno w „Powiecie Słupek”, jak i w kolejnych antologiach są dla mnie świadectwem znaczenia fotografii w każdym wydawnictwie.

Przyjaciół dziennikarzy spotykam niemal na co dzień. Doświadczam ich serdeczności i życzliwości. Wciąż czuję się fotoreporterem i nie zamierzam, póki zdrowie, zamknąć się w domowych czterech ścianach. Nie umiałbym spędzać beczynn timeru, mam jeszcze tyle spraw do załatwienia.

Zakończenia nie będzie. Jeszcze timer.



*Okładka albumu o gminie Kobylnica ze zdjęciami Jana Maziejuka.*



*Trzy pokolenia Maziejuków..*



# We wspomnieniach przyjaciół

NAGA MISS  
I INNE PRZYPADKI

**M**am nadzieję, że Ala - żona Jasia wybaczy mi wyznanie, które zamieszczę na początku. Otóż, wydaje mi się czasami, że Jasiu... to członek mojej rodziny, gdyż nasza zażyłość trwa od kilku dziesiątków lat, znamy się jak łyse konie, a w razie biedy stoimy blisko siebie, przynosząc jak nie pomoc - to chociaż pociechę...



Nie pamiętam już, czy najpierw pracowaliśmy razem w Wojewódzkim Domu Kultury w Słupsku, czy w redakcji tygodnika „Zbliżenia”, ale z całą pewnością w gazecie zaczęła się nasza wieloletnia przyjaźń. Na początku lat 80., nasz ówczesny szef - red. Wiesław Wiśniewski, wyznaczył nam obojgu zadanie „podboju Kaszub”. Zainteresowanie tą grupą etniczną było bardzo duże, a wiedza mieszkańców regionu dość skromna. Na łamach tygodnika ukazywało się bardzo wiele interesujących tekstów dotyczących przeszłości Pomorza, z bestsellerem tamtego czasu, wieloodcinkową „Historią płonącego Pogranicza”.

Jasiu Maziejuk i ja mieliśmy się zajmować przybliżaniem Kaszub czytelnikom „Zbliżeń”. Raz, a czasami dwa razy w tygodniu ruszaliśmy w teren, w miarę upływu czasu coraz bardziej zagłębiając się w kaszubskie wioski i rodziny. Zналиśmy Kaszuby jak własną kieszeń. Przekazywano nas sobie z rąk do rąk, a „kaszubski” dorobek gazety stawał się coraz zasobniejszy. Zajmowaliśmy się kaszubskimi zwyczajami, kuchnią, lokalnymi wierzeniami, historią rodów, kulturą, a nawet zabobonami. To był fantastyczny czas poznawania wielu wspaniałych ludzi, którzy po dziś dzień są z nami zaprzyjaźnieni. Pamiętam smak świeżo pieczonego chleba podanego w Borowym Młynie podczas tzw. darcia pierza i smak niezrównanej gęsiej okrasy z Konarzyn spróbowanej podczas jakiejś imprezy. Zdarzało się nam błędzić w lesie, zdarzyło nam się zsunąć samochodem do jeziora, ale najczęściej wracaliśmy z rękami pełnymi ciekawych opowieści i nowinek. Ja zawsze skupiałam się na jakimś reportażu, ale



Jasiu nie lubił, gdy po zebraniu materiału już siedziałam zadowolona z założonymi rękami. Natychmiast wynajdywał mi mnóstwo drobnych informacji, które trzeba było zanotować. Ciekawostki wynajdywał jak spod ziemi i zawsze były dobrze zilustrowane.

Dość szorstki w obyciu, miał niezwykle celne uwagi i oceny. Bardzo często jego opinie pozwalały zachować właściwy dystans do wielu konfliktowych sytuacji. I czy to się komu podobało czy nie - zawsze mówił, co myśli. Na przykłady książki by nie wystarczyło, ale ja przywołam tylko jeden, za to dość zabawny. Wysłano nas pewnego lata na wybory Miss Natura, jakich corocznie dokonywano na plaży naturystów w Rowach. Dookoła same golasy, tylko my oboje - „tekstylni” w przyczepionych do majtek tabliczkami „prasa”. Podczas wyborów na plaży pojawił się oddział wojska, któremu kazano się rozebrać do naga.

W wielkim kręgu, gdzie prezentowano kandydatki do tytułu Miss Natura, śliczne dziewczyny przechadzały się w te i wewte, a biedne żołnierzyki nie potrafiły ukryć emocji, które z powodu braku gaci stały się nader widoczne. Dowódca, gdy się zorientował, że wojsko prezentuje się co najmniej nieregulaminowo, cały oddział wysłał do kąpielni w zimnym morzu. W drodze powrotnej pan Janek zagadnął mnie złośliwie: - ale się pani na nagusów napatrzyła! A ja równie złośliwie odpowiedziałam:- a pan się ich nafotografował!

W gazecie ukazało się jedno małe zdjęcie z piękną nagą miss i niewielki, prezentujący ją podpis.

O odbyliśmy razem setki wypraw. Opublikowaliśmy razem duże ilości najrozmaitszych tekstów. Jasiu Maziejuk jest autorem prawie wszystkich zdjęć znajdujących się w moich książkach o Pomorzu. Żaden fotografik nie ma takiej jak on intuicji i takiego specyficznego zmysłu kompozycyjnego. Niewielu czytelników wie o tym, że w wielkim przewodniku po Polsce przygotowanym przez wydawnictwo „Demart” dla zmotoryzowanych turystów pn. „Polska Niezwykła. Pomorze”, oglądają region naszymi oczami. Jeszcze mniej osób wie o tym, że byliśmy w latach 90. współpracownikami największego amerykańskiego dziennika polonijnego. Popularyzowaliśmy dość skutecznie Pomorze w nowojorskim „Nowym Dzienniku”, który bardzo rzetelnie traktował nasze publikacje.

Po trzydziestu latach przyjaźni możemy sobie oboje powiedzieć, że jest nam dobrze w tym tandemie i oby Pan Bóg nadal obdarzał nas zdrowiem, a wtedy jeszcze niejedno przedsięwzięcie razem zrealizujemy.

*Jolanta Nitkowska-Węglarz  
(Prezes Oddziału ZLP w Słupsku)*

## Z PANEM JANKIEM NASZE PO TERENIE WĘDRÓWKI

**P**ana Jana Maziejuka poznałem w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia na jednym z zebrań redakcyjnych. - Przyjadę do pana w środę - rzucił barczysty mężczyzna z nieodłączną torbą reporterską na ramieniu i aparatem fotograficznym na szyi. - Po co? - zapytałem wówczas sam siebie, bo przecież od lat pisałem artykuły i sam wykonywałem reporterskie zdjęcia. - Stracę tylko część wierszówki - skonstatowałem i dopiero później przekonałem się, w jak dużym byłem błędzie. Pal sześć wierszówkę! Ale za to jakie powstawały teksty, a jakie zdjęcia! Okazało się, że w wielu sytuacjach bez pana Janka ani rusz! Przez lata całe tworzyliśmy zgraną parę (zawodową, oczywiście!). Szybko zobaczyłem, że obecność pana Janka w terenie jest mi niezbędna, bo był on i moim szefem, i pomysłodawcą artykułów, i kolegą, a czasami ochroniarzem, a przede wszystkim doskonale ilustrował moje teksty.



*Red. Konrad Remelski,  
wieloletni współpracownik  
i przyjaciel Jana Maziejuka.*

### Podpisywacz i ilustrator

Generalnie muszę powiedzieć, że na początku naszej wspólnej pracy każdy z nas miał inną wizję na temat, kto komu jest w terenie potrzebny. Ja po prostu uważałem pana Janka jako ilustratora moich tekstów, a on traktował mnie, nie zawsze oczywiście, jako podpisywacza swoich zdjęć. Pamiętam jego słynne: - Podpisz mi zdjęcia! I rzucał na biurko dziesiątki fotografii. Muszę się przyznać, że czasami niektóre podpisy sprawiały mi więcej trudności niż napisanie długiego tekstu.

Kiedy porównuję teraz pracę reportera w terenie bez pana Janka, to wiem, jakie bez niego kiepskie zdjęcia robiłem, bo dajmy na to rozmowę po pożarze na wsi, gdzie diabeł mówi dobranoc. Ja rozmawiam z ludźmi, a pan Janek tymczasem moim rozmówcom wykonuje dziesiątki zdjęć. Oni zaaferowani rozmową ze mną, nie zwracają na niego uwagi i przez to powstają bardzo naturalne zdjęcia. Ludzie na nich gestykują, łapią się za głowę, przewracają oczami, a nawet pokazują „Kozakiewicza gesty”. A jak może wyglądać

zbieranie materiału do takiego samego tekstu, ale bez pana Janka? Kończę rozmowę i mówię: - No, to proszę stanąć na tle tej spalonej stodoły! A oni na to: - Gdzie tam panie, nigdzie nie staniemy! Mówią, że nie i koniec! Kiedy wreszcie udaje mi się ich uprosić, postawę mają jakby byli u fotografa zrobić zdjęcie do paszportu. Stają jakby kij połknęli. Po prostu - zamieścić takie zdjęcie w gazecie - to wstyd!

Ręce, ręce!

Pan Janek w ogóle bardzo dużą wagę przykładał do postaci w ruchu, do gestykulacji, do ruchu rąk. Nigdy nie robił tzw. kadłubków, czyli zdjęć z obciętymi rękoma, ramionami, czy uciętymi głowami. Nawet zdjęcie chóru, czy zespołu śpiewaczego musiało pokazywać, że artyści ci śpiewają, a nie tylko stoją. Pamiętam kiedyś zabawną sytuację. Pan Janek gdzieś w terenie robi zdjęcie chórowi i prosi dyrygenta: - Zaśpiewajcie coś! A chór na to: - Ale co? - Wszystko jedno - wzrusza ramionami pan Janek. No i wtedy zaczynają się problemy, a my mamy niewiele minut, bo nasz fotoreporter ma za chwilę pociąg do Słupska. Chór zastanawia się, rzuca różne tytuły, próbuje. W końcu zaczyna: - Zasiali... A pan Janek - cyk! Drugi raz poprawił i mówi: - Dzięki, jesteście wolni! A chór pyta zdziwiony: - To juuuz?

Kiedyś powstało bardzo ciekawe zdjęcie. Rozmawiałem z Hansem Ulrichem Kuchenbackerem, szefem Ziomkostwa Miastecckiego. Pan Janek tymczasem czyhał na jego gesty i ruchy. W pewnym momencie Kuchenbacker podniósł ręce do góry, bo chciał pokazać jak ogromny był jakiś obiekt. W tym czasie pan Janek zrobił pstryk i w gazecie ukazała się postać szefa ziomkostwa z rękoma, tak jakby pan Janek rozkazał mu: - Hande hoh!

Bo ci za to zdjęcie dom spalę!

Kiedyś mieliśmy tajne spotkanie ze słynnym piéścjarzem Andrzejem Gołotą. Tajne, bo Gołota przyjechał z Pershingiem, szefem mafii pruszkowskiej. Krył się z tą znajomością, więc dlatego spotkaliśmy się na zapleczu jednego ze słupskich lokali. Wywiad z Gołotą, zdjęcia, uśmiechy, autografy. Na koniec Gołocie podsunęto piłkę do podpisania. Pan Janek wysłał potem kilka zdjęć z Gołotą do redakcji w Koszalinie. Zdjęcie miało iść na pierwszą stronę. Po kilku godzinach dzwoni do mnie zdenerwowany właściciel lokalu, który gościł Gołotę i Pershinga. - Które zdjęcie z Gołotą daliście? - pyta przerażony. - Pershing zagroził mi, że jak jego wizerunek znajdzie

się w gazecie, to spali mi lokal i chałupę! Dzwonię więc do redakcji. Pytam, ot tak sobie, jak gdyby nigdy nic, które zdjęcie pana Janka „pójdzie”. - Oczywiście nie to z piłką, bo Gołota jest przecież pięściarzem, a nie piłkarzem. - Ufff - odetchnąłem z ulgą, zdając sobie sprawę z tego, że kiedy wyjawię prawdę, kto jest na zdjęciu z piłką, to redaktor na pewno da to z Pershingiem.

Jak wyglądały nasze wyprawy w teren?

Pan Janek wstawał sobie w Słupsku, jak prawdziwy ranny ptaszek, tuż po czwartej i po piątej jechał do Słosinka pod Miastko, gdzie mieszkałem. Tam około szóstej czterdzieści już czatowałem przy oknie, by wyprzedzić pana Janka dzwonek do drzwi, by nie



*Alfred Miodowicz udziela wywiadu Konradowi Remelskiemu.*



*Widzino, lata 90. XX wieku. Spotkanie młodzieży z ekoszkoły z Markiem Kotańskim.*

obudził wszystkich domowników. Zdążyłem, nie zadzwonił, ale i tak innych pobudził, głośno wypowiadając sakramentalne słowa: - Remelski, do roboty! Potem - ja po kawce, a gość ze Słupska po herbatce, ruszaliśmy do... garażu po samochód, no i w teren! W teren, który szybko pokochaliśmy i żeby teraz nikogo nie urazić, za swoje ukochane gminy uważaliśmy: Koczałę, Konarzyny, Przechlewo, Czarne, Lipnicę, Człuchów, Trzebielino, Debrzno, Rzeczenicę, no i oczywiście, miasta - Miastko i Człuchów. Często jechaliśmy po prostu w ciemno, czasami z kimś tam umówieni, ale stosowaliśmy zasadę, że tematy leżą na ulicy. My je tylko podnosiliśmy. Ale też, przyznaję, mieliśmy swoich informatorów - wójtów, burmistrzów, dyrektorów, prezesów, no i zwykłych ludzi, spotykanych na drodze.

Z przyjemnością wspominam dziś nasze całodzienne wyprawy do gminy, w której przedstawialiśmy dzień z życia gminy i mieszkańców. Potem pokłósiem takiej wyprawy była cała strona w gazecie, gdzie przedstawialiśmy problemy życia mieszkańców, pozytywy i negatywy też oczywiście w działalności lokalnej władzy. Rozmawialiśmy z ciekawymi ludźmi, m.in. z Markiem Kotańskim, Alfredem Miodowiczem (kto go dziś pamięta?), braliśmy udział w cyklicznych imprezach „Z Głosem Pomorza w gminie” oraz w setce rekreacyjnych imprez na orientację. Realizowaliśmy cykl - „Władza prywatnie”, odwiedziliśmy tak ciekawe miejscowości jak: Warszawa, Holandia, Klasztor, Katarzynki, Bydgoszcz - wszystkie na Kaszubach, oczywiście. Rozmawialiśmy z cudotwórcami, pustelnikami, Carem Mikołajem (tak się nazywa jeden

Fot. K. Remelski



*Miastko, lipiec 2001 roku. Jan Maziejuk w towarzystwie burmistrza Jana Ponulaka oraz przewodniczącego MRN w gondoli balonu przed lotem nad miastem.*

z mieszkańców Białego Boru), z pensjonariuszami Eko-Szkoły w Wandzinie, z więźniami Zakładu Karnego w Czarnem, a nawet kilka razy lecieliśmy balonem. Pan Janek ze swym aparatem, a ja z długopisem obsłużyliśmy setki imprez - festynów, dożynek, zawodów i tzw. oficjałek.

W naszym pisaniu i fotografowaniu trzymaliśmy się zasady lekarskiej - „Primum non nocere”, stąd też nigdy nie robiliśmy materiałów tendencyjnych. Pan Janek często oburzał się, widząc w innych gazetach na przykład zdjęcia z festynów przedstawiające butelkę po wódce znalezionej w krzakach, bo zdawał sobie sprawę z tego, że taka flaszka może się znaleźć wszędzie. Nigdy też nie robił zdjęć ofiarom wypadków. Uważał za odrażające epatowanie czytelników



*Paweł Friese z Przechlewa był działaczem Ludowego Klubu Sportowego „Brda” Przechlewo i Koła Łowieckiego „Głuszc”. Obie pasje - piłkę nożną i łowiectwo dzielił z Pawłem Janasem, selekcjonerem reprezentacji narodowej w latach 2002 - 2006. Pawła Friese odwiedzałem z red. Konradem Remelskim, by zasięgnąć wieści gminnych. Paweł Friese zmarł podczas polowania 21 sierpnia 2012 roku.*

takimi widokami. Natomiast lubiał zatrzymywać w kadrze to, co się działo w terenie. Uwielbiał robić zdjęcia dzieciom i zwykłym ludziom, szczególnie reprezentującym ginące zawody. Kiedyś w trakcie wizyty w jednej ze szkół rzucił mi: - Czy w związku z zimą robimy te wpięprzające dzieciaki? - Jakież? - zdumiałem się. - Noo, dożywianie na stołówce - poprawił się pan Janek.

### Przez lasy, pola i... gnojowicę

W trakcie naszych wypraw w teren robiliśmy mnóstwo tematów. Kiedyś padł rekord - około trzydzieści „kawalków” w ciągu jednego dnia. I to nie były zdjęcia tylko z podpisami. - Docieraliśmy wszędzie - przez las, błoto, śnieg. Pan Janek lubił jeździć tam, „gdzie zawracają ptaki, widząc że to już koniec świata” - jak mawiała jedna z bohaterek naszych reportaży. Dwa razy w miesiącu jeździliśmy aż do Debrzna. Burmistrz trochę się dziwił, że aż prawie sto pięćdziesiąt kilometrów pokonujemy tylko po to, żeby zdobyć jakiś materiał z małego miasteczka. Po latach zdradziłem mu, że w Debrznie w tamtych czasach było najtańsze mięso, a w Człuchowie świeżutki chlebek z prywatnej piekarni. Pocichę z nas mieli zatem nie tylko czytelnicy, ale i nasze żony, bo zawsze robiliśmy zakupy na cały tydzień.

Kiedyś w okolicach Koczwały pan Janek zauważył na polu pracującą wielką maszynę duńską. Na nasze nieszczęście rozpyłała gnojowicę. Kiedy tam podbiegliśmy, całe buty mieliśmy w tym niezbyt pachnącym nawozie. A kiedy dojechaliliśmy do Przechlewa, trochę stroniliśmy od ludzi, bo odór był trudny do opisania.

W czasie naszych wypraw raz byliśmy przyjmowani jak prawdziwi goście słowami na przykład: - O, telewizja przyjechała! Innym razem z wrogością. Nieraz byliśmy też w niezłych opałach. Na przykład kiedyś zajechaliśmy do obozu rumuńskich Cyganów. Obozowisko było dość duże, pan Janek zabrał się za zdjęcia, a ja za rozmowę. - Za jedno zdjęcie - sto złotych! - usłyszeliśmy po chwili. Pan Janek potraktował to jako żart. Tymczasem Cyganie zaczęli być coraz bardziej agresywni. Zaczęliśmy się wycofywać, a oni wzięli się za poszturchywanie nas, łapanie za kurtki, za plucie.

Kiedy rzuciliśmy się do ucieczki, zaczęli w nas rzucać kamieniami, zgniłą żywnością i czym popadnie. Tylko dzięki temu, że w porę wskoczyliśmy do auta, a samochód stał w kierunku wyjazdu z obozowiska, udało nam się uciec. Wróciliśmy jak zbite psy. Mieliśmy niekłamaną satysfakcję, kiedy po kilku tygodniach dowiedzieliśmy się, że Cyganie spakowali swój obóz i wyjechali w inne miejsce. A dokładnie mówiąc - zostali wyrzuceni stamtąd przez miejscową ludność.

Tego Maziejuka to znam!

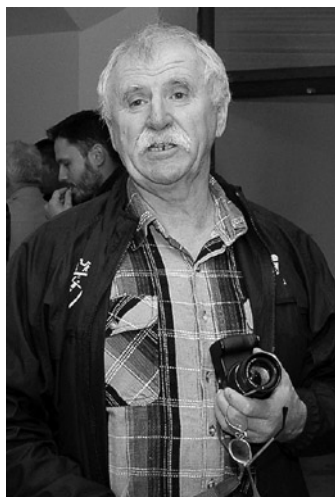
Kiedys zachciało się nam wejść na nieczynne lotnisko w Łęki. Wkroczyliśmy przez otwartą bramę, przeszliśmy kilkaset metrów i... zatrzymał nas wartownik z karabinem gotowym do strzału. Zaprowadził na wartownię, wskazał dowódcy straży i oznajmił, wskazując na mnie: - Tego Maziejuka to znam, a tego drugiego (pokazując na pana Janka), to nie bardzo.

Pan Janek w swej pracy miał i ma, oczywiście, prawdziwe wycucie w odnajdywaniu dziennikarskich tematów. Kiedy w czasie jazdy po terenie ja myślałem o niebieskich migdałach, on obserwował, co się dzieje. Do końca życia zapamiętam te jego zwroty typu: - Zatrzymaj się pan! Hamowałem wtedy i już biegliśmy do naszego rozmówcy.

Pan Janek jest człowiekiem niezwykle skromnym, małomównym wręcz. Ale okazuje się, że nie zawsze. Rok temu pojechałem z nim do Koczały na jego spotkanie autorskie. Miał mówić o swojej książce „Tak to wiedziałem” i o naszych wspólnych wyprawach w teren. Pomyślałem - za godzinę będę już w domu. No i znowu nie miałem racji! Pan Janek mówił o fotografii, fotografowaniu i o swej pasji godzinę, dwie i tak aż do wieczora. Nikt jednak nie wyszedł z sali, bo takie to było ciekawe.

I jeszcze jedno. Kiedyś Zbyszek Bielecki, wówczas również fotoreporter „Głosu” zapytał mnie: - Tyle ze sobą współpracujecie i nie jesteście na ty? - No jakoś, nie - odpowiedziałem. Po latach, kiedy przyjechałem do Słupska, pan Janek zaprosił mnie do siebie. Jego żona wyjechała do rodziny, więc zorganizował nam prawdziwie kawalerskie przyjęcie. Po paru kieliszkach czegoś gorzkiego przeszliśmy na ty. Następnego dnia wszystko wróciło do stanu sprzed spotkania. Przez gardło nie mogło mi przejść mówienie do mojego partnera na ty, bo przecież cały świat mówił: - Panie Janku, a po drugie - pan Janek to pan Janek i niech tak pozostanie!...

*Konrad Remelski*



## JANA MAZIEJUKA... ŚLADY NIE TYLKO NA GOCHACH

**N**asze drogi, tj. Janka Maziejuka i moja spotkały się pod koniec lat 70. XX wieku. Do Słupska przybyłem z południa Kaszub, gdzie w Chojnicach do czasu osiągnięcia 10 lat spędziłem dzieciństwo, a przede wszystkim z Czerska, w którym moi rodzice osiedlili się na ojcowiznie.

Jan Maziejuk nie jest z urodzenia Kaszubą, ale przez lata zamieszkania na pomorskiej ziemi nabył wszystkie cechy, które wyróżniają członków tej nacji, mianowicie: upór i solidność. Jan właśnie tymi cechami wyróżnia się w życiu, pracy zawodowej i społecznej. Zwłaszcza w pracy zawodowej miał i nadal ma siłę i upór dochodzić do celu w każdych podjętych przez siebie działaniach, w których idei i realizacji kieruje się niczym Stolem czytelnymi prospołecznymi zasadami. Stąd, gdy już raz czegoś się podejmie, nie zraża się tym, że może być za trudno, za straszno i że może nie warto... Słowem cechuje go wiarygodność, a także swoisty tylko jemu instynkt wyborów, zwłaszcza miejsca „bycia” i czasu, bez względu na godzinę i oddalenie miejsca, w którym tworzy się mała... duża historia, a on wie, że musi ją utrwalić i zatrzymać na przysłowiowej fotograficznej kliszy.

A kim jest on dla mnie osobiście...? otóż na pewno przyjaciele, a przede wszystkim pomocnym współtowarzyszem w działaniach społecznych na rzecz realizowanych przeze mnie idei regionalnej kultury i historii. Wszystkie te działania są dzięki zaangażowaniu Janka Maziejuka udokumentowane i zatrzymane dla pamięci pokoleń na kliszach jego aparatu.

Nie tylko to, bowiem był także czas, kiedy nasza współpraca objęła dokumentowanie istniejących jeszcze form kultury materialnej oraz ludzi. W tym względzie zaangażowanie red. Janka Maziejuka było nieocenione. Był inicjatorem i głównym realizatorem rozlicznych plenerów fotograficznych i wypraw, jak mówił, „na Kaszuby”. Towarzyszył w tych wyprawach takim tuzom naszego słupskiego dziennikarstwa, jak: Jerzemu Januszewskiemu-Dąbrowie, Jolancie Nitkowskiej czy Konradowi Remelskiemu.

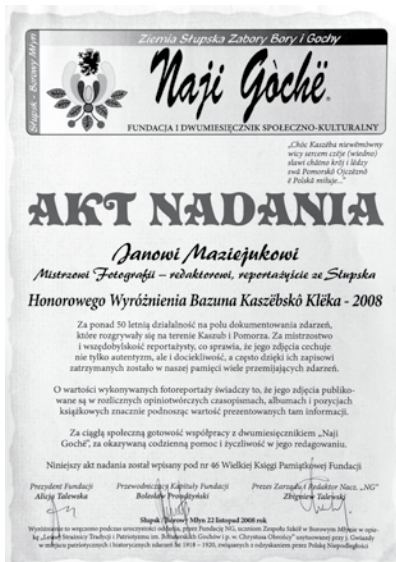
Ich artykuły ze zdjęciami Jana Maziejuka są nieocenioną skarbnicą wiedzy o regionie.

Z początkiem nowego wieku zaczął ukazywać się magazyn społeczno-regionalny „Naji Gòchë”, którego główną podporą stał się jako fotoreporter Jan Maziejuk, a od 2003 roku, kiedy powstała



Fundacja „Naji Gòchë” (OPP) i kiedy podjął się pełnić społecznie funkcję wiceprzewodniczącego Komisji Rewizyjnej, rozpoczął się nowy etap naszej przyjaźni.

W ramach działań Fundacji realizuje on, poza dokumentowaniem zdarzeń inicjowanych przez nasze Stowarzyszenie, także inne zadania. Na przykład: uczestniczył w pracach Honorowego Komitetu Budowy Pomnika Bogusława X Wielkiego, księcia Pomorza, Kaszub i Wendów, w uroczystościach odsłonięcia Strażnic Patriotyzmu



*Borowy Młyn, rok 2008. Jan Maziejuk został uhonorowany przez Fundację Naji Gòchë statuetką Bazuna - Kaszëbskò Klëka. Akt Nadania potwierdza ów fakt.*

i Pamięci im. mjr Rysia Józefa Gierszewskiego w Dywanie i Bohaterskich Gochów pw. Chrystusa Króla w Borowym Młynie, a także w mszach ekumenicznych w intencji pamięci Gryfitów w Słupsku. Jest także uczestnikiem i dokumentalistą kolejnych edycji Zjazdów Kaszubów i Dni Jedności Kaszubskiej oraz organizowanych przez Fundację spotkań na Gochach publicystów i animatorów kultury kaszubsko-pomorskiej. Za te działania Fundacja nadała Janowi Maziejukowi wyróżnienie „Bazuny” w kategorii „Kaszubska Kleka”.

Dziękując Jankowi za wszystko: za przyjaźń, wspólne działania, powtórzę za poetą:

*Są ludzie, którzy przekazują światło dalej.*

*Są ludzie, którzy wszystko przemieniają w zmierzch...*

On bezsprzecznie należy do tych pierwszych.

*Zbigniew Talewski*

## GDZIE JEST JANEK?

**W**ielokrotnie w przeszłości przyszło mi publicznie wygłaszać opinię, że Jan Maziejuk jest dobrym fotoreporterem czy wręcz fotografikiem, a jego zdjęcia w większości przypadków korzystnie wyróżniają się na tle całego materiału fotograficznego z jakim się na co dzień spotykamy.

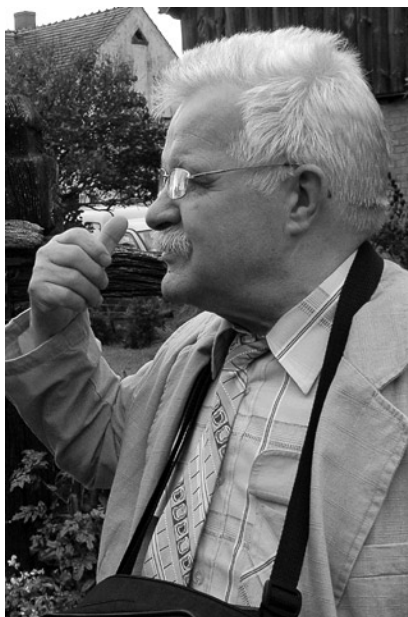
Jak odróżnić dobre zdjęcia od niedobrych, nadzwyczajne od zwykłych, obrazy fotograficzne od okazjonalnych fotek?

Można to zrobić w dwojaki sposób: odwołać się do kanonu kryteriów obowiązujących w sztuce graficznej, czy ogólniej - w sztukach plastycznych i starać się ustalić czy oceniana fotografia ją spełnia czy nie; albo odwołać się do osobistego wrażenia, jakie w nas ona wywołuje.

W przypadku zdjęć reporterskich, ich kwalifikacja wedle pierwszej metody nie ma sensu, bowiem czytelnik gazety lub czasopisma nie ma ani możliwości, zwłaszcza - czasu, ani ochoty na przeprowadzanie takich analiz. Toteż redaktor kwalifikujący zdjęcia reportera do druku, kieruje się właśnie głównie wrażeniem, oczywiście o ile ma rozwiniętą własną wrażliwość estetyczną.

Na jednym z okazjonalnych spotkań związanych z ukazaniem się kolejnego monograficznego albumu zdjęć Jana Maziejuka, gospodarz spotkania - człowiek nie tylko wykształcony ale niewątpliwie światły wyznał w formie żartu, ale szczerze: - Nie bardzo rozumiem na czym polega różnica - kiedy ja robię zdjęcia jakiegoś obiektu lub wydarzenia to są fotografie pamiątkowe, a kiedy Maziejuk, to mówią zaraz: dzieła fotograficzne.

Odrzuciwszy żartobliwą formę tego wyznania dotykamy istoty rzeczy: z reguły nie zdajemy sobie sprawy z tego, co powoduje, że jedne, pozornie niczym nie wyróżniające się zdjęcia przykuwają naszą uwagę, a podobne prace innych autorów - już nie. Nieustanne analizowanie tego zagadnienia byłoby potwornie nudne. Ale od czasu do czasu warto się nad tym zastanowić.



Rozwój fotograficznego talentu Janka miałem możliwość, a przez długi okres - wręcz zawodowy obowiązek - śledzić i oceniać. Bo talent Janek miał niewątpliwie zawsze - i był on widoczny od początku jego fotoreporterskich prób. Aż przyszedł taki czas, kiedy ten talent w pełni dojrzał. Był to okres pierwszych kilku lat pracy na etacie fotoreportera w „Zbliżeniach”. Od tamtej pory Janek jest profesjonalistą.

Nim jednak przejdę do wspomnień z tamtego, jakże ważnego dla nas obydwu okresu, pozwolę sobie na osobiste wyznanie, które ilustruje podstawy mojej wysokiej oceny jego zdolności. Dwa razy w życiu pomyślałem sobie: jak to źle, że nie mogą skorzystać z jego fotoreporterskiej pomocy.

Pierwszy raz - w sierpniu 1980 roku. W Słupsku jak w całym wówczas kraju, w większości dużych zakładów trwały strajki. Idąc codziennie ulicą Stefana Batorego po samochód do mojego garażu w kompleksie przytulonym do muru otaczającego słupską „Kapeńkę”, mijałem jedną z dwóch ówczesnych głównych bram tego zakładu. W tamtym czasie, od wielu dni zamkniętą na głucho bramę z obydwu stron otaczała gromada ludzi. Od wewnątrz, poprzez zawieszane na niej kwiaty i różnej wielkości kartony z hasłami i komunikatami widoczne były twarze i zaciśnięte na prętach ręce strajkujących, zaś od strony ulicy Batorego - ich krewni i koledzy; kobiety, dzieci... oraz przypadkowi przechodnie: uważni czytelnicy owych komunikatów. Cisza, powaga, szeptem przekazywane informacje w obydwie strony.

Symboliczny obraz tamtych wydarzeń.

I oto kolejnego dnia, kiedy skręcam w ulicę Stefana Batorego, uderza mnie odmienny widok: widzę w perspektywie ulicy szeroko otwartą bramę „Kapeńki” i opuszczającą ją ciągle rosnącą gromadę ludzi.

Koniec strajku!

Szli w stronę ulicy 3 Maja, wtedy jeszcze - Nadmorskiej, pojedynczo i grupkami, szli powoli z podniesionymi głowami, nie patrząc na coraz liczniejszych mieszkańców osiedla, gromadzących się na obydwu chodnikach. W ich sylwetkach, w twarzach, w patrzących ponad głowami gapiów oczach, było coś absolutnie nowego, coś, z czym się nigdy wcześniej nie spotkałem.

Pierwsza myśl jaka mi przyszła do głowy to natrętne pytanie: - Gdzie jest Janek? Dlaczego nie mieliśmy w redakcji sygnału, że strajk się kończy? Byłby tu na pewno. Przecież tego niezwykłego obrazu nikt nigdy nie będzie w stanie odtworzyć. Ba, nikt oprócz Janka nie jest w stanie uchwycić i zarejestrować owego niezwykłego

klimatu tamtej sytuacji, tak jak on by to zrobił... Bo żeby to umieć zrobić trzeba mieć to „coś”, to niewidoczne „trzecie oko”.

Inny przypadek boleśnie odczuwanej absencji Janka w mojej pracy dziennikarskiej miał miejsce wiele lat później. Pracowałem wtedy w szczecińskiej TVP. Robiłem materiał o ostatnich Słowińcach - a ściślej o pustce, jaka pozostała po ich wyjeździe do Niemiec. Ostatniego z nich, Hermana Koetza, jego rodzinę oraz jej historię znałem osobiście, więc temat traktowałem bardzo skrupulatnie i emocjonalnie.

Ostatnie sceny kręcimy na cmentarzu w Klukach. Właściwie kończymy. Kamera już nie pracuje, a ja spisuję do notesu kolejne nazwiska z nagrobków. I oto dzieje się coś niezwykłego, coś jak we śnie lub w bajce, nisko nad cmentarzem przelatuje klucz dzikich gęsi z tym charakterystycznym krzykiem i świstem ciężko pracujących skrzydeł. Nadleciały od pobliskiego jeziora Łebsko i kierują się na południowy zachód. Dokładnie w ślad za ostatnimi Słowińcami. Niemal krzyczę do kamerzysty: - Kamera! Szybko! Weź je z żabiej perspektywy zza nagrobków!

Mój kamerzysta powoli wstaje z kamienia, włącza kamerę i przystępuje do balansowania barwy światła. Nim skończył - z klucza dzikich gęsi na niebie zrobiła się czarna, nierównomiernie postrzępiona kreska. Widząc moje, delikatnie mówiąc - wzburzenie, mój kamerzysta zaczął mnie pocieszać: - Nic straconego, szefie, jak wracając zjedziemy w dolinę Łeby to tam tych gęsi jest do oporu.

I znowu myśl: - Gdyby tu na jego miejscu był ze mną Janek! Mielibyśmy coś zupełnie niezwykłego i niepowtarzalnego, a przy tym - absolutnie autentycznego.

Na prasowe zdjęcia Janka od czasu do czasu trafiałem jeszcze przed przyjazdem do Słupska i objęciem kierownictwa tutejszej redakcji „Głosu Pomorza”. Janek startował do swego przyszłego zawodu z pozycji „wolnego strzelca” i słupska redakcja „GP” nie tylko zamieszczała je obok prac naszego ówczesnego zawodowego fotoreportera Andrzeja Maślankiewicza na mutowanej stronie przeznaczonej dla powiatu słupskiego, ale trafiały również na strony ogólne. Już tamte pierwociny sygnalizowały, że mamy do czynienia z autorem nietuzinkowym. Toteż kiedy w momencie powołania województwa słupskiego, przyszło mi przejąć słupską redakcję z zadaniem przebudowania jej i dostosowania do potrzeb nowego regionu administracyjnego, liczyłem na pełniejsze wykorzystanie zdjęć zdolnego współpracownika.

Na miejscu okazało się, że Słupsk jest prawdziwym przysłowio-  
wym „zagłębiem” dobrych fotografów, że mieszka tu i fotografuje

kilkudziesięciu zawodowców (rzemieślników) i amatorów. Wydawało się więc, iż zapewnienie „obsady” fotoreporterskiej w redakcji na miarę jej nowych potrzeb nie nastreczy żadnych kłopotów. Ale w praktyce rzeczywistość okazała się bardziej złożona. Fotoreporter tym się różni od fotografa, że pierwszy rejestruje na kliszy wskazane przez zamawiającego lub wybrane przez samego siebie obiekty, a fotoreporter uprawia dziennikarstwo przy pomocy kamery. To znaczy - pokazuje rzeczywistość i jednocześnie ją interpretuje, ocenia i zmusza do wyciągania wniosków. A do tego potrzebne są odpowiednie kwalifikacje oparte na specyficznym talencie oraz nabytych umiejętnościach.

Janek w tym czasie stawiał pierwsze kroki reporterskie w zakładowym czasopiśmie śląskich zakładach obuwniczych - „Alka” pod nazwą „Obuwnik” a następnie - „Konfrontacje”. Jego współpraca z „Głosem Pomorza” dawała mi szansę uczenia go zawodowego dziennikarstwa. Ale prawdziwe dziennikarstwo prasowe Janek zaczął opanowywać dopiero w tygodniku „Zbliżenia”.

Ambitne miasto Śląsk od lat starało się uzyskać od władz centralnych w Warszawie zgodę i środki (a taka była wtedy wymagana) na wydawanie własnego czasopisma regionalnego. Pod koniec lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, możliwość taką uzyskały wszystkie miasta nowo utworzonych województw. W Śląsku misję tworzenia takiego pisma, jak się wtedy mówiło - „na surowym korzeniu”, czyli od zera - władze wojewódzkie zleciły mnie. Tworząc obsadę dziennikarską postanowiłem włączyć do zespołu Janka Maziejuka, gdyż jak mi się wydawało (potem okazało się, że całkiem słusznie) był on najlepszym kandydatem na obsadzenie działu fotoreporterskiego. Był już dobrym fotografem i miał w tej dziedzinie kilka osiągnięć. Teraz przyszła pora aby nauczyć go dziennikarstwa.

Już w średniowieczu cechy rzemieślnicze i kupieckie gildie uznawały, że najlepszą formą nauki zawodu jest nauka „przy warsztacie”. Janek swoje studia dziennikarskie odbył w zespole „Zbliżeń”.

A był to zespół ludzi wyjątkowych. Kilkanaście osób, przeważnie młodych traktowało swoją robotę nie jak zwykłą pracę, ale jak prawdziwą misję. I to zapewne sprawiło, że już po kilku latach w ogólnopolskim plebiscycie regionalnych środowisk dziennikarskich uznane zostało za najlepszy tygodnik regionalny w kraju, czego wyrazem było przyznanie mu specjalnego godła o nazwie „Wigierski Laur z Bursztynami”. Kapituła tej honorowej nagrody w uzasadnieniu swej decyzji wymieniła, że na tak wysoką ocenę



Fot. Z. Bielecki

*Redakcyjne spotkanie po latach. Od lewej: Tadeusz Martychewicz, Iwona Jaworska, Krystyna Kilanowicz, Jan Maziejuk. Stoi Basia Łangowska.*

„Zbliżeń” zasłużyła m. in. dobra fotoreporterska ilustracja tygodnika. Dla Jana Maziejuka oznaczało to, że w swojej nowej profesji zdał egzamin mistrzowski.

Wracając do użytego tu przeze mnie określenia „misja”, wienien jestem rzeczą całą nieco rozwinąć. Otóż kto pamięta tamten czas wie, że był to okres niezwykle burzliwego, żeby nie używać nieco wyświechtanego określenia - dynamicznego rozwoju Słupska. Można dyskutować co do trafności kierunków tego rozwoju, jakości wykonania poszczególnych zamierzeń itd. Ale liczby mówią same za siebie: Słupsk z miasta liczącego 65 tys. mieszkańców kiedy był stolicą powiatu, w ciągu niepełnego dziesięciolecia w nowej roli stał się regionalną metropolią liczącą ponad 100 tys. mieszkańców. A ponieważ dla wszystkich dorosłych trzeba było stworzyć możliwości pracy, komunikacji, infrastruktury komunalnej, a młodzieży - dostęp do oświaty i możliwości obycia z kulturą - trzeba było budować, tworzyć, organizować, itd., itd. Podobnie zresztą, choć w nieco mniejszej skali było w innych miastach regionu.

A więc był to, jak widać, bardzo rozległy warsztat dla pracy dziennikarskiej, w której dokumentacja fotoreporterska odgrywała bardzo ważną rolę. I tej roli Janek musiał się nauczyć i jak pokazała



Fot. Z. Bielecki

*Słupsk. Tadeusz Martychewicz, Anna Raczyńska, Jan Maziejuk i Wiesław Wiśniewski, niegdysiejsi dziennikarze „Zbliżeń” w czasie spotkania po latach.*

przyszłość - opanował ją doskonale. Tysiące, ba, dziesiątki tysięcy jego zdjęć jest najlepszym tego dowodem.

Nie było to bynajmniej zadanie łatwe, lekkie i przyjemne jak by się na pozór wydawało. Tym co stanowiło przysłowiową łyżkę dziegciu była kontrowersja na tle sposobu uprawiania dziennikarstwa, która już u zarania tygodnika zatruwała życie zespołu dziennikarskiego. Zespół od początku przyjął zasadę, że chętnie będzie pokazywał w gazecie ów dynamiczny rozwój miasta i regionu, ale poprzez prezentowanie na swych łamach ludzi, których ciężka praca i osobiste wyrzeczenia są tego rozwoju źródłem. Władza zaś nieustannie domagała się łamów na własne portrety, na fotografie z uroczystych akademii oraz różnych politycznych konwentykli, które miały dokumentować jej aktywność oraz kierowniczą rolę. Panicznie bała się wszelkiej, choćby najstaranniej udokumentowanej krytyki. (Prawdę mówiąc, mimo całkowitej zmiany warunków społeczno-politycznych po roku 1989, pod tym względem nic się nie zmieniło, a jeżeli nawet tu i ówdzie coś się zmieniło - to na gorsze.)

W nieustających sporach, jakie trzeba było w imieniu zespołu - jako jego szef - prowadzić z towarzyszami z różnych instancji na

temat tego, co powinno wypełniać łamy tygodnika musiałem uciekać się do argumentu:

- Jeżeli czytelnicy nie znajdą w gazecie treści i zdjęć poświęconych ich problemom i ukazujących ich pracę a jedynie obrazki z życia władzy - nie będą jej kupować. Jeżeli towarzysze gotowi są każdorazowo wykupić cały nakład, to odchodzimy od przyjętych przez nas zasad...

Czasem to pomagało, ale nie na długo...

Z upływem lat konflikt z władzą zaszedł tak daleko, że losy pisma zostały zagrożone. W stanie wojennym wydawanie „Zbliżeń” zostało zawieszono, podobnie jak wielu innych pism. Tyle, że nasz tygodnik, co łatwo sprawdzić - czekał na odwieszenie o kilka miesięcy dłużej niż inne czasopisma. Jak się później dowiedziałem, mimo uznania jakim cieszyliśmy się w środowiskach dziennikarskich i wydawniczych, miejscowe władze partyjne kilkakrotnie podkreślały, że nie są zainteresowana przywróceniem do życia tego tygodnika. Bez niego żyło im się spokojniej i wygodniej.

Wkrótce zresztą Janek udowodnił, że z ich punktu widzenia miały trochę racji. Któregoś dnia przyniósł do redakcji duże, bardzo wyraźne zdjęcie znalezione na działkach stracha na ptaki w postaci osadzonej na tyczce martwej wrony. Zamieszczone na łamach „Zbliżeń” w specjalnej rubryce zdjęcie martwego ptaszyska z dwuznacznym komentarzem - skojarzyło się nie tylko władzy, ale i większości czytelników z WRON (Wojskową Radą Ocalenia Narodowego), autorką i wykonawczynią stanu wojennego.

Po kilku podobnych incydentach, a zwłaszcza po moim felietonie pt. „Gruba skóra Jerzego U.”, w którym, jak się wydaje, udało mi się udowodnić, że ówczesny rzecznik rządu, Jerzy Urban jest szkodnikiem społecznym - zmuszony zostałem do rezygnacji z funkcji naczelnego redaktora - i tak przestałem kierować tym zespołem... Liczne interwencje obronne środowiska dziennikarskiego, w tym specjalna uchwała Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dziennikarzy PRL, domagająca się anulowania tej decyzji - nic nie pomogły.

Janek robił to co musiał, a więc i fotki z różnych plenarnych posiedzeń oraz portrety zasłużonych działaczy były nie do uniknięcia. Ale był szczęśliwy kiedy docierał do zwykłych ludzi, różnych interesujących zespołów ludzkich, pasjonatów, a nawet - dziwaków i oryginałów. W ten sposób stworzył bogatą galerię autentycznych portretów słupszczan i mieszkańców ówczesnego regionu słupskiego.



Prowadzona przez niego ilustrowana kronika regionu pt. „Fotobliźnienia” stanowi jak dotąd najpełniejszą, w miarę obiektywną dokumentację.

Jak już wspomniałem, Janek uczył się podstaw zawodu dziennikarskiego od kolegów z zespołu - jego prace były co najmniej raz w tygodniu gruntownie, zespołowo, bez taryfy ulgowej oceniane (ta zasada dotyczyła wszystkich bez wyjątku dziennikarzy łącznie z członkami kierownictwa), ale też sam dawał z siebie innym sporo. Ileż to ciekawych reportaży powstało dzięki temu, że ich autorzy zainspirowani zostali niezwykłymi zdjęciami, które Janek przynosił na zebrania zespołu. Anna Raczyńska, Zbigniew Babiarz-Zych, Jolanta Nitkowska-Węglarz - przede wszystkim, ale także i inni wiedzieli, że Janek ma „nosa” do ludzi i obiektów, których losy godne są ich piór.

Myślę, że na zakończenie winien jeszcze jestem pewne wyjaśnienie w sprawie dorabiania przez niektóre osoby dziennikarzom tamtych „Zbliżeń” z lat osiemdziesiątych „gąb” dziennikarzy reżimowych. To prawda, że nie byliśmy, jak to się wtedy mówiło - ideowymi dysydentami. W sytuacji nieprawdopodobnych uwikłań dużej liczby śląskich działaczy „Solidarności” w usługi na rzecz Służby Bezpieczeństwa (zainteresowanych odsyłam do niedawno wydanych na ten temat prac Igora Hałagidy z gdańskiego Oddziału IPN) zbliżenie do tego środowiska groziło co najmniej kompromitacją. Toteż od czasu prowokacji, której ofiarą padł pierwszy przewodniczący śląskiego MKZ „S”, Stanisław Duda, zespół nasz w większości odnosił się do tego towarzystwa z rezerwą. Ale samą „Solidarność” nasz tygodnik traktował z należnym jej szacunkiem: nigdy nie była przedmiotem naszych ataków, otwieraliśmy przed jej działaczami nasze łamy, jako jedyna gazeta w tym regionie zapewniliśmy im możliwość swobodnej wypowiedzi (patrz głośny artykuł pt. „O co walczy śląska „Solidarność” z roku 1980 bogato ilustrowany zdjęciami Jana Maziejuka).

Jan Maziejuk jest autorem największego zbioru zdjęć prasowych, dokumentujących historię, działalność oraz ukazujących ludzi tego związku w działaniu. Jest dla mnie absolutnie niezrozumiałym paradoksem, że po roku 1989 nikt w Śląsku nie podjął próby wydania kompletnego albumu z tym historycznym dziś materiałem zdjęciowym. Jest jeszcze czas naprawić ten błąd.

*Wiesław Wiśniewski  
Śląsk, 2012 rok.*

## BIBLIOGRAFIA

1. Bogucka-Skowrońska Anna: „Raport o stanie bezprawia”, Słupsk 2005.
2. Barchacz Władysław: „Fotoamator reporter”, Wydawnictwo Naukowo-Techniczne, Warszawa 1987.
3. „Dzieje ziemi miasteckiej”. Praca zbiorowa pod redakcją Hieronima Rybickiego, Wydawnictwo Poznańskie 1971.
4. „Dzieje Słupska”. Praca zbiorowa. Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział Słupsk, Słupsk 1986.
5. Grządzielski Henryk: „I stało się”, Słupsk 2006.
6. Hałagida Igor: „NSZZ „Solidarność” Regionu Słupskiego (1980 - 1990). Tom 1: Szkice do monografii”, Gdańsk 2010.
7. Hałagida Igor: „NSZZ „Solidarność” Regionu Słupskiego (1980 - 1990) Tom 2: Dokumenty Komitetu Wojewódzkiego PZPR i Służby Bezpieczeństwa”, Gdańsk 2011.
8. Jadcak Stanisław: „Biała Podlaska. Dzieje miasta i jego zabytki”, Lublin 1993.
9. Król Jan: „Pułapki polskiej demokracji”, Warszawa 2001.
10. Łach Stanisław: „Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” w regionie Słupsk w latach 1980 - 1983”, Słupsk 2005.
11. Lemański Jarosław, Kwasek Jan: „Pamiętki z Rummelsburga. Miastko od czasów dawnych do 1945 roku”, Miastko 2012.
12. Lindmajer Józef, Machura Teresa, Szultka Zbigniew: „Dzieje Ustki”. Polskie Towarzystwo Historyczne, Słupsk 1985.
13. Łajming Anna: „Dzieciństwo”, Pomerania, 1997.
14. Maziejuk Henryk, Maziejuk Jan: „Jagodnica. Ludzie. Architektura. Historia. Wydarzenia”. Jagodnica 2004.
15. Maziejuk Henryk, Maziejuk Jan: „Cmentarz unicki w Terebeli”. Jagodnica 2006.
16. Maziejuk Henryk: „Urodzony w czepku? Tom 1”. Jagodnica 2007.
17. Maziejuk Henryk: „Słowa jak skiby. Tom 2”. Jagodnica 2010.
18. Obecny Andrzej: „Bogusław X Wielki (1454 - 1523) Książę Pomorza, Kaszub i Wendów”. Słupsk 2010.
19. „Pejzaże wiejskie”. Reportaże. Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1979.
20. „Pierwsze lata TKKF”. Praca zbiorowa pod redakcją Zbigniewa Mikołajczyka. Wydawnictwo Sport i Turystyka, Warszawa 1972.
21. Północne Zakłady Przemysłu Skórzanego „Alka”, Praca zbiorowa: Wiesław Bona, Marian Fijołek, Antoni Kustosz, Słupsk 1984.
22. „Pro Memoria Anna Łajming (1904 - 2003)”, Zebrał i opracował: Józef Borzyszkowski, Gdańsk 2004.
23. Sontag Susan: „O fotografii”, Kraków 2009.
24. Stankiewicz Zdzisław: „Zamiast recenzji”. „Nie tylko o Terebeli” [w:] Henryk Maziejuk, Jan Maziejuk: „Cmentarz unicki w Terebeli”. Jagodnica 2006.

25. Szymański Andrzej: „Sport. Słupsk 1945 - 1996”. Miejskie Towarzystwo Przyjaciół Sportu, Słupsk 1996.
26. Turowska Zofia: „Nasierowska: Fotobiografia”, Piaseczno 2009.
27. „Wiejskie pejzaże: reportaże i...”. Wyboru dokonali Wiesław i Zofia Szmaj, Wydawnictwo Poznańskie 1975.
28. Wypych Marian: „Z biegiem czterech rzek”. Turystyczna Biblioteka „Zbliżeń”, Słupsk 1976.
29. Zaremba Rafał: „Gerard Cieślak. Urodzony na boisku”. Wydanie Specjalne 2007.
30. „Ziemia lęborska”. Praca zbiorowa pod redakcją Artura Dobiela, Lębork 1986.
31. „Zbliżenia”. Numery czasopisma z lat 1979 - 1990. Zbiory Miejskiej Biblioteki Publicznej w Słupsku.

### KATALOGI WYSTAW:

1. Katalog: „I Krajowa Wystawa Fotografii Artystycznej”, Koszalin 1968.
2. Katalog: „Niedziela”. II Fotograficzny Konkurs, Warszawa 1975.
3. Katalog: „Zabytki, pomniki Miejsc Pamięci Narodowej woj. słupskiego w fotografii”, Słupsk 1979.
4. Katalog: „Oblicze Słupska w Obiektywie Jana Maziejuka”. Słupskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Słupsk 1985.
5. Katalog: „Mieszkańców Pomorza Portret Zwyczajny”, Słupsk 1985.
6. Katalog: „Dni Morza. Wystawa Malarstwa Mieczysława Kościelniaka”, Słupsk 1987.
7. Katalog: „Opus '87. IV Międzynarodowe Biennale Fotografii Artystycznej”. Kamień Pomorski 1987.
8. Katalog: „Zapis życia”. Fotografia reporterska. Jan Maziejuk, Słupsk, 1981.
9. Katalog: „Jan Maziejuk i jego Archangielsk”, Słupsk 1988.
10. Katalog: „25 lat STF 1963 - 1988”, Słupsk 1988.
11. Katalog: Wystawa Pokonkursowa Ogólnopolska „Dziecko”, Słupsk 1989.
12. Katalog: „Przeгляд Twórczości STF '89”, Słupsk 1989.
13. Katalog: „Kapliczki i Krzyże Przydrożne”, Świdnica 1989.
14. Katalog: „Świdnica”. Polska Federacja Stowarzyszeń Fotograficznych, Świdnica 1989.
15. Katalog: „Świadectwo oskarżenia”, Słupsk 1990.
16. Katalog: „Gdańskie Press Foto”, Gdańsk 2003.
17. Katalog: III Ogólnopolskie Biennale Fotografii „Kochać Człowieka”, Oświęcim 2003.
18. Katalog: „Ogólnopolska Wystawa Twórczości Marynistycznej”, Ustka 2005.
19. Katalog: „Ogólnopolska Wystawa Twórczości Marynistycznej”, Ustka 2005.
20. Katalog: „Rzeczywistość Kulturowa Środkowej Frankonii i Pomorza”, Słupsk 2005.
21. Katalog: Wiesław Wiśniewski, Tadeusz Martychewicz, Janina Cydzik-Brzezińska: „Tak to widziałem, Fotografia Jana Maziejuka”, Słupsk 2007.
22. Katalog: „Tak to widziałem”, Koczała 2008.

## PUBLIKACJE INTERNETOWE:

1. M. Abrosiewicz: „Wigierskie serwituty”, [w:] „Przyroda i Krajobraz” nr 1/2002, [http://www.wigry.win.pl/kwartalnik/nr5\\_serwituty.htm](http://www.wigry.win.pl/kwartalnik/nr5_serwituty.htm) (dostęp: 15-01-2014).
2. Kozuchowski Henryk : „Szanujmy wspomnienia”, cz1. <https://tadeuszczernek.wordpress.com/2011/04/15/szanujmy-wspomnienia-henryk-kozuchowski-2/>.
3. Paulina Matoszuk: „Tradycje unickie w Ciciborze Dużym”, (<http://szkolnictwo.pl/index.php?id=PU7854>, (dostęp: 15-01-2014).
4. Andrzej Obecny: „Tak to widziałem” [w:] „Moje Miasto nr 19 (137) 2008”, (<http://www.mojemiasto.slupsk.pl/index.php?id=2899>).
5. Urszula Sztuka-Polińska: „Sytuacja epidemiologiczna niektórych ostrych chorób zakaźnych w Polsce w okresie międzywojennym XX wieku”. „Przegl Epidemiol” 2002;56:137-49 ([http://www.pzh.gov.pl/przeglاد\\_epimed/56-1/561\\_16.pdf](http://www.pzh.gov.pl/przeglاد_epimed/56-1/561_16.pdf)) (dostęp: 15-01-2014).
6. Rudnicki Sławomir: Gwara chachłacka, [w:] <http://www.akcentpismo.pl/pliki/nr1.09/rudnicki.html> (dostęp: 20-01-2014).
7. Jacek Smolarek: „Zagłada jeńców radzieckich”, <http://sprr.republika.pl/publikacja3.htm> (dostęp: 15-01-2014).
8. Jacek Wasilewski: „Język tabloidów - jego źródła i mechanizmy”, [www.rjp.pan.pl](http://www.rjp.pan.pl) (dostęp: 15-01-2014).
9. Tekst źródłowy nr 48. <http://pthlodz.uni.lodz.pl/dydaktyka/zrodla/zrodlo48.pdf> (dostęp: 15-01-2014).
10. <http://marszaleksmiglyrydz.blogspot.com/2011/07/rozkaz-20-wrzesnia-1939.html> (dostęp: 15-01-2014).
11. <http://www.swiatobrazu.pl/world-press-photo-2012-wyniki-25781.html> (dostęp: 15-01-2014).
12. <http://www.polskieradio.pl/39/284/Artykul/301476,Slupska-Solidarnosc-w-rekach-SB>) (dostęp: 15-04-2014).
13. <http://wzzw.wordpress.com/2009/12/16/sluzba-bezpieczenstwa-metody-pracy-operacyjnej/> (dostęp: 15-01-2014).
14. Zbiory Bałtyckiej Biblioteki Cyfrowej: „Głos Pomorza”, numery dziennika z lat 1989 - 1999.

## CZASOPISMA, Z KTÓRYMI WSPÓŁPRACOWAŁ LUB W REDAKCJACH KTÓRYCH PRACOWAŁ JAN MAZIEJUK

1	Gazeta Chłopska	współpraca	Poznań	1960 - 1970
2	Profile	współpraca	Bydgoszcz	1975 - 1985
3	Zarzewie	współpraca	Warszawa	1965 - 1970
4	Głos Koszaliński	współpraca	Koszalin	1965 - 1980
5	Pobrzeże	współpraca	Koszalin	1969 - 1990
6	Gryf	współpraca	Słupsk	1975 - 1985
7	Perspektywy	współpraca	Warszawa	1975 - 1980
8	Prawo i Życie	współpraca	Warszawa	1975 - 1989
9	Konfrontacje	etat	Słupsk	1977 - 1979
10	Zbliżenia	etat	Słupsk	1979 - 1990
11	Nowa Wieś	współpraca	Warszawa	1985 - 1999
12	Pomerania	współpraca	Gdańsk	1985
13	Goniec Pomorski	współpraca	Koszalin	1990 - 1991
14	Tygodnik Nowy	współpraca	Piła	1990 - 1991
15	Nowy Tygodnik	współpraca	Piła	1991 - 1992
16	Głos Pomorza	etat	Słupsk	1991 - 1999
17	Panorama Piłska	współpraca	Piła	1992
18	Przegląd Słupski	współpraca	Słupsk	1992 - 1994
19	Wieczór Wybrzeża	współpraca	Gdańsk	1996 - 1998
20	Dziennik Polski	współpraca	Nowy Jork	1996
21	Powiat Słupski	współpraca	Słupsk	od 2000 roku
22	Naji Gõchë	współpraca	Słupsk	od 2001 roku
23	Moje Miasto	współpraca	Słupsk	od 2005 roku
24	Klimaty Gminne	współpraca	Smołdzino	od 2010

## FOTOGRAFICZNE WYSTAWY INDYWIDUALNE

1	Kwiaty	Powiatowy Dom Kultury	Miastko	1970
2	Konie w obiektywie	Klub „Emka”	Słupsk	1971
3	Nasza dzielnica	Klub „Emka”	Słupsk	1976
4	Wodniactwo	Klub Olimpijczyka	Słupsk	1978
5	Zapis życia	Baszta Czarownic	Słupsk	1981
6	Zapis życia	Dom towarowy	Człuchów	1981
7	Mieszkańców Pomorza portret zwyczajny	Filia Biblioteki nr 8	Słupsk Sławno	1985 1985
8	Powrót państwowości polskiej na ziemię Słupską	Zamek Książąt Pomorskich	Słupsk	1985
9	Oblicza Słupska	Klub MPIK	Słupsk Łódź	1985 1985
10	Słupskie dokonania		Słupsk	1985

11	Słupsk w 40-leciu		Połtawa	1985
12	Bieg Gochów		Bytów	1986
13	Fotografia reporterska	MDK	Słupsk Debrzno	1986 1998
14	Jan Maziejuk i jego Archangielsk	MCK	Słupsk	1988
15	Wilno w obiektywie	Klub MPiK	Słupsk	1989
16	„Zbliżenia” wśród ludzi 1979 - 1989	WDK	Słupsk	1989
17	Wilno	Kościół św. Jacka	Słupsk	1990
18	Świadectwo oskarżenia	Teatr „Rondo”	Słupsk	1990
19	„Solidarność” - 10 lat	Teatr „Rondo”	Słupsk	1990
20	„Belsen”	MDK	Człuchów	1990
21	Przeżyjmy to jeszcze raz		Rzeczennica	1992
22	Miastko w fotografii		Miastko	1999

## UDZIAŁ W WYSTAWACH FOTOGRAFICZNYCH

1	Wystawa fotografii artystycznej	Koszalin		1968
2	III Wojewódzka Wystawa Fotografii Amatorskiej	Koszalin		1971
3	IV Wojewódzka Wystawa Fotografii Amatorskiej	Koszalin		1972
4	Ogólnopolska wystawa fotograficzna „Niedziela”	Warszawa		1972
5	„Pejzaże wiejskie”. Wystawa pokonkursowa	Poznań		1974
6	Miastko w XXX leciu	Miastko		1974
7	Przemysł Słupska	Słupsk	Klub „Parnas”	1976
8	Fotografia chłopów polskich	Warszawa		1985
9	STF. Doroczna wystawa pokonkursowa	Słupsk		1986
10	STF. Doroczna wystawa pokonkursowa	Słupsk		1987
11	IV Międzynarodowe Biennale Fotografii „Artys Opus” ’87	Kamień Pomorski		1987
12	STF. Doroczna wystawa pokonkursowa	Bytów, Człuchów		1988
13	Fotografia reporterska	Słupsk	MDK	1988
14	25 lat STF	Słupsk, Człuchów Węgorzewo	Klub MPiK MOK	1988
15	Wystawa pokonkursowa „Alkohol i jego skutki”	Słupsk	Kościół św. Jacka	1988
16	Dziewczyny „Arabski”	Słupsk	WDK Teatr „Rondo”	1988 1989
17	Kaszubszczyzna w fotografii	Słupsk	Biblioteka przy Braci Gierymskich	1989
18	Kaszubi	Studzienice Słupsk	GOK	1989 1989
19	Kapliczki i krzyże	Warszawa		1989
20	Wystawa ogólnopolska: „Dziecko wiejskie”	Słupsk	MCK	1989
21	Dorobek artystyczny STF ’89	Słupsk	Klub MPiK	1989
22	STF. Przegląd twórczości	Słupsk	Klub MPiK	1989
23	Konfrontacje	Gorzów Wielkopolski		1989
24	Zapis jednej godziny	Słupsk	Klub MPiK	1990

25	STF. Dorobek	Słupsk	Klub MPiK	1991
26	Maziejuk, Arszyński i Oni	Człuchów	MDK	1991
27	Dlaczego?	Słupsk		1998
28	Kronoberg-Szwecja	Bytów	OSiR	1998
29	VI Pomorski Konkurs Fotografii Prasowej	Gdańsk		2002
30	III Ogólnopolskie Biennale Fotografii	Wrocław		2003
31	VII Pomorski Konkurs Fotografii Prasowej	Gdańsk		2003
32	Kochajmy polskie mleko	Warszawa		2003
33	„Kobiety”	Słupsk	„Teatr Nowy”	2003
34	Rzeczywistość kulturowa Środkowej Frankonii i Pomorza. Fotografie z lat 60-tych XX wieku Otto Becka i Jana Maziejuka	Słupsk	MPŚ	2005
35	Rzeczywistość kulturowa Środkowej Frankonii i Pomorza. Fotografie z lat 60-tych XX wieku Otto Becka i Jana Maziejuka	Heideck (Mittelfranken)	Ratusz	2006
36	Wystawa marynistyczna	Ustka	Muzeum	2007
37	Tak to widziałem	Słupsk	MPŚ	2007

## KONKURSY FOTOGRAFICZNE - NAGRODY

1	„Lato na Pobrzeżu” (Ogólnopolski konkurs fotograficzny)	I miejsce	Koszalin	1969
2	III Wojewódzka Wystawa Fotograficzna	I miejsce	Koszalin	1971
3	IV Wojewódzka Wystawa Fotograficzna	wyróżnienie	Koszalin	1972
4	Konkurs fotografii amatorskiej	III nagroda	Koszalin	1972
5	„LZS w obiektywie” (Konkurs ogólnopolski)	II nagroda	Warszawa	1973
6	Konkurs fotograficzny „Młodzi '73”	wyróżnienie	Katowice	1973
7	„Życie na gorąco”	zdjęcie miesiąca	Redakcja „Panorama”	1973
8	„Pejzaże wiejskie” (Konkurs ogólnopolski)	I nagroda	Poznań	1974
9	„Planeta Ziemia” (Konkurs międzynarodowy)	III nagroda	Moskwa	1974
10	„Wypoczynek po pracy”	III nagroda	Słupsk	1974
11	„W moim obiektywie” (Fotoreportaże)	II i III nagroda	Warszawa	1974
12	„Radar i Młodzi” (Konkurs ogólnopolski)	I miejsce	Warszawa	1974
13	„Uroki zimy”	II nagroda	Lębork	1976
14	„Słupska sobota w obiektywie”	wyróżnienie	Słupsk	1976
15	„Nasz zakład i jego ludzie”	I miejsce	Koszalin	1976
16	„Przemysł województwa słupskiego”	II nagroda	Słupsk	1976
17	Turniej obiektywów redakcji „Panoramy”	zdjęcie miesiąca	Katowice	1976
18	„Pejzaże wiejskie” (Konkurs ogólnopolski)	III nagroda	Warszawa	1977
19	„Człowiek-praca-wypoczynek”	III nagroda	Słupsk	1978
20	„O pokój i postęp” (Konkurs międzynarodowy)	wyróżnienie	Praga	1978
21	„Nasza planeta” (Konkurs międzynarodowy)	II nagroda	Moskwa	1979
22	„Dziecko w pracy, zabawie i wypoczynku”	III nagroda	Słupsk	1979

23	„Zabytki - pomniki mej pamięci”	III nagroda, nagroda specjalna	Słupsk	1979
24	„Kaszuby” (Konkurs ogólnopolski)	III nagroda	Kołobrzeg	1979
25	„Obrzędy ludowe” (Konkurs ogólnopolski)	II nagroda	Kraków	1983
26	„Polska wieś”	nagroda specjalna	Warszawa	1985
27	„Zapis z okresu zasiedlania Ziemi Zachodnich”	III nagroda	Warszawa	1985
28	„Człowiek i środowisko” (Konkurs ogólnopolski)	wyróżnienie	Warszawa	1986
29	Konkurs STF	III nagroda	Słupsk	1986
30	„Rolnictwo i wieś słupska”	wyróżnienie	Słupsk	1987
31	„Lato wiejskich dzieci”	wyróżnienie	Słupsk	1987
32	Konkurs STF	III miejsce	Słupsk	1987
33	„Strażacy”	I miejsce	Słupsk	1988
34	„Alkohol w naszym życiu”	I miejsce	Słupsk	1988
35	„Kółka rolnicze” (Ogólnopolski konkurs fotograficzny)	II i II oraz II i III miejsce	Warszawa	1989
36	„S”	2 wyróżnienia	Koszalin	1989
37	„Kości na wsi i w mieście”	III nagroda	Wrocław	1989
38	„Dziecko wiejskie” (Konkurs ogólnopolski)	III nagroda	Słupsk	1989
39	„Moje osiedle”	III nagroda	Koszalin	1989
40	„Rolnictwo i wieś słupska”	wyróżnienie	Słupsk	1989
41	„Ludzie złotego wieku”	III nagroda	Bydgoszcz	1991
42	VI Pomorski Konkurs Fotografii Prasowej	wyróżnienie	Gdańsk	2002
43	„Kochajmy polskie mleko” (Konkurs ogólnopolski)	II nagroda i wyróżnienie	Warszawa	2002
44	„Darling” (Ogólnopolski konkurs fotograficzny)	wyróżnienie	Warszawa	2002
45	„Ogród” (Ogólnopolski konkurs fotograficzny)	wyróżnienie	Warszawa	2002
46	„100 lat budynku Starostwa Powiatowego w Słupsku”	II nagroda i wyróżnienie	Słupsk	2003
47	VII Pomorski Konkurs Fotografii Prasowej	wyróżnienie	Gdańsk	2003
48	„Kochajmy polskie mleko” (II edycja)	I nagroda	Warszawa	2003
49	„Dolina Charlotty” (Ogólnopolski konkurs fotograficzny)	nagroda specjalna	Strzelinko Dolina Charlotty	2007



## SPIS TREŚCI

Kilka zdań o nowej książce Jana Maziejuka ( <i>dr Eugeniusz Grzegorz Wiązowski</i> ) .....	5
Liściem drzewa... ..	9
Ukazy i kurhany .....	10
Między zagrodą a historią.....	18
Gorzki smak rosółu .....	29
Kółko czy zorka? .....	49
Ada i Ala.....	80
W nowych butach .....	109
Na grobli.....	121
Męski wiek, nowe szpalty .....	149
Czas porządków .....	166
We wspomnieniach przyjaciół.....	230
Naga miss i inne przypadki ( <i>Jolanta Nitkowska-Węglarz</i> ).....	230
Z panem Jankiem nasze po terenie wędrówki ( <i>Konrad Remelski</i> ) .....	232
Jana Maziejuka... ślady nie tylko na Gochach ( <i>Zbigniew Talewski</i> ).....	238
Gdzie jest Janek? ( <i>Wiesław Wiśniewski</i> ).....	240
Bibliografia .....	248
Katalogi wystaw: .....	249
Publikacje internetowe: .....	249
Czasopisma, z którymi współpracował lub w redakcjach których pracował Jan Maziejuk.....	251
Fotograficzne wystawy indywidualne .....	251
Udział w wystawach fotograficznych.....	252
Konkursy fotograficzne - nagrody .....	253







Powiat Słupski

